

ORSON SCOTT

CARD

Szkatulka



Fotografował: S. K.

ORSON SCOTT CARD

Szkatułka

Przełożył Rafał Wilkoński

*Czas jest jak koń, co w sercu nam bieży,
Bez jeźdźca pędzi drogą na nocy rubieży.*

Wallace Stevens

Dla Russa i Tammy Howard Hughes (1905-1976) - Popularny amerykański przemysłowiec, lotnik i producent filmowy. Znany z tego, że w ostatnich latach przed śmiercią stał się pełnym odludkiem, wiodąc niemal pustelniczy żywot.

Card

*drogich przyjaciół i ukochanych krewnych,
za wierność jaka prowadzi was
po wyboistych i gładkich drogach życia.*

PODZIĘKOWANIA

Po raz pierwszy od wielu lat napisałem całą powieść w domu. Tak więc każda strona jest świadectwem ogromnej cierpliwości mojej rodziny. Kristine i Emily czytały każdy rozdział ledwie tylko pierwsza, próbna wersja wypływała z drukarki, a Geoff także nie pozwalał zostawić się w tyle; faksy mruczały, kiedy Kathy Kidd w dalekim Sterling, w stanie Wirginia, każdego ranka odbierała i czytała owoc pracy poprzedniego wieczoru. Dziękuję całej waszej czwórce za wasze reakcje, które pomogły mi ocenić to, co napisałem i dowiedzieć się jak należy to poprawić.

Później kiedy pierwszy szkic powieści został ukończony, wielkiej pomocy udzielili mi inni, bardziej zaawansowani czytelnicy, przede wszystkim mój przyjaciel David Fox oraz mój wspaniały redaktor z wydawnictwa Harper, Eamon Dolan; również im chciałbym przekazać serdeczne wyrazy wdzięczności. Wszelkie wciąż istniejące niedociągnięcia tej powieści są najprawdopodobniej wynikiem uporu z jakim niejednokrotnie pozostaję głuchy na dobre rady.

Chciałbym także podziękować Kathleen Bellamy oraz Scottowi Allenowi za wspaniałą pracę w każdych okolicznościach. Dziękuję także Clarkowi i Kathy Kiddom za pokazanie mi DC oraz północnej Virginii.

Na koniec chciałbym wyrazić wdzięczność Charliemu, Benowi i Zinie za to, że zawsze przypominają mi radosne perypetie dzieciństwa.

Organy

Quentin Fears nigdy nie wyjawiał rodzicom tego, co powiedziała mu jego siostra Lizzy zanim odłączyli ją od aparatów i pozwolili umrzeć.

Po wypadku, przez trzy dni Lizzy leżała w stanie śpiączki, a ciało dziewczynki ledwie było widoczne

w kłębowisku przewodów, rurek, pomp, sond, przyrządów pomiarowych, kroplówek podających lekarstwa i substancje odżywcze, dzięki którym lekarze mogli utrzymać jej organy w dobrym stanie i pełnej gotowości do transplantacji, podczas gdy Mama i Tato zmagali się z pytaniem, czy ich córka naprawdę już nie żyje.

Nie można powiedzieć, że nie mieli wątpliwości. Pokazano im proste, równe, niczym nie zakłócone linie, obrazujące fale wysyłane przez mózg córki. Gdyby, zapewnili ich z szacunkiem lekarze, istniała jakakolwiek nadzieja, że w zabandażowanej głowie tli się choć isierka życia, uczepiliby się tej nadziei ze wszystkich sił i zrobili wszystko co w ich mocy, aby dziewczyna odzyskała przytomność. Lecz nadzieja pozostała już tylko tym ludziom, których życie uratować mogły organy Lizzy i to tylko wtedy, jeśli zostaną pobrane zanim ich stan ulegnie pogorszeniu. Mama i Tato zalali się łzami, pokiwali smutno głowami i uwierzyli.

Ale jedenastoletni Quentin nie wierzył lekarzom. Wiedział, że Lizzy żyje. Widział ogromny siniak wystający spod bandażu, ciemną plamą otaczający jej oczy, widział jak powiększa się przez trzy dni, podczas gdy jego siostra wciąż nie wychodziła ze śpiączki i wiedział, że jest żywa. U zmarłych siniaki nie zmieniają się w taki sposób. Dłonie Lizzy były ciepłe i można było nimi bez trudu poruszać. Zmarli mają ręce zimne i sztywne. A któż mógł z całą pewnością stwierdzić, że nie istnieją bardziej utajone oznaki życia niż elektryczne impulsy wysyłane przez mózg?

- Quen dobrze rozumie co to jest śmierć mózgowa - powiedział Tato jednemu z lekarzy, późnym popołudniem pierwszego dnia śpiączki. Mówił cicho, myśląc być może, że Quentin zasnął. - Nie musicie tłumaczyć mu wszystkiego, tak jakby nic nie wiedział.

Doktor wyszeptał coś jeszcze ciszej. Być może na początku były to przeprosiny, ale już pod koniec coraz bardziej przypominało to prośbę, wątpliwość, żądanie.

Cokolwiek oznaczały słowa lekarza, Tato odpowiedział:

- Syn i córka byli bardzo do siebie przywiązani.

- Jesteśmy do siebie przywiązani - poprawił szeptem Quentin.

Małe słówko. Przejęzyczenie. Ale oznaczało, że Tato już się poddał. W jego myślach Lizzy była już martwa.

Mężczyźni wyszli na korytarz, aby kontynuować rozmowę. Takie sytuacje zdarzały się coraz częściej przez następne kilka godzin i dni. Quentin wiedział, że dorośli na zewnątrz spiskują, jak się go pozbyć. Wiedział, że za każdym razem, gdy któraś z osób zwracała się do niego, robiła to właśnie w takim celu. Byli u niego Dziadek i Babcia Fears, a potem Nanny Say, mama Mamy, ale wszystkie rozmowy kończyły się tak samo.

- Chodź do domu, kochanie, pozwólmy Lizzy odpocząć.

- Chcecie powiedzieć, pozwólmy by ją zamordowano.

Wtedy wszyscy z płaczem wybiegali z pokoju, a Tato i Mama wchodzili do środka i wybuchała kolejna kłótnia, podczas której Quentin spoglądał im prosto w oczy i mówił - nie krzyczał, gdyż parę lat wcześniej dowiedział się właśnie od Lizzy, że jeśli będzie krzyczał, dorośli natychmiast zaczną go traktować jak dziecko i nigdy nie wzbudzi w nich szacunku - więc spoglądał im prosto w oczy i mówił dokładnie to, co należało powiedzieć by ich powstrzymać, zmusić do wyjścia z pokoju i pozostawienia Lizzy żywej na łóżku, przy którym wciąż pełnił straż.

- Jeśli naszpikujecie mnie jakimiś lekami, jeśli wywleciecie mnie stąd, jeśli zamordujecie ją gdy zasnę, będę was nienawidził do końca życia. I nigdy, nigdy, nigdy...

- Rozumiemy co masz na myśli - przerwał mu Tato głosem zimnym jak lód.

- ...nigdy, nigdy, nigdy, nigdy, nigdy...

- Proszę cię, przestań, Quen - błagała Mama.

- ...nigdy wam tego nie wybaczę.

Po ostatniej takiej scenie, na trzeci dzień po przyjeździe do szpitala, Mama ze łzami w oczach wypadła na korytarz, gdzie jej własna mama również płakała po tym, co sama usłyszała od Quentina. Tato został z nim sam w pokoju Lizzy.

- Tobie już wcale nie chodzi o Lizzy - powiedział Tato. - Chcesz po prostu postawić na swoim. Ale w tym wypadku nie uda ci się postawić na swoim, Quentinie Fears, ponieważ nie ma nikogo na całym bożym świecie, kto mógłby udzielić ci takiej mocy. Twoja siostra umarła. Ty żyjesz. Twoja mama i ja żyjemy. Chcielibyśmy wyprawić pogrzeb naszej małej córeczce. Chcielibyśmy zachować ją w pamięci taką, jaką była, a nie taką, jaką widzimy ją teraz. A w czasie gdy będziemy ją opłakiwać, chcielibyśmy mieć przy sobie naszego syna. Lizzy wiele dla ciebie znaczyła. Być może wydaje ci się, że była dla ciebie wszystkim i jeśli pozwolisz jej odejść, nie zostanie ci absolutnie nic. Ale tak naprawdę, to coś ci jednak zostanie. Twoje życie. A Lizzy na pewno nie chciałaby, żebyś...

- Nie mów mi czego Lizzy by chciała, a czego nie - przerwał mu Quentin. - Jednego jestem pewien: na pewno chciałaby żyć.

- Czy myślisz, że twoja mama i ja byśmy tego nie chcieli? - Ledwie słyszalne słowa Taty uwięzły mu w gardle i łzy zakręciły się w oczach.

- Wszyscy, prócz mnie, chcą żeby umarła.

Quentin dostrzegł, że Tato ledwie zdołał się powstrzymać, żeby go nie uderzyć i nie wyładować na nim swojej złości. Zamiast tego wyszedł z pokoju trzasnąwszy drzwiami. Quentin znów został sam obok Lizzy.

Rozpłakał się z twarzą wtuloną w dłoń siostry, czując jej ciepło pomimo wbitej tuż obok igły, przez którą do żył kapał jakiś płyn, pomimo plastra przytrzymującego igłę, pomimo metalicznego chłodu krawędzi łóżka, o którą opierał czoło.

- O Boże - szeptał do siebie. - O Boże.

Nigdy tak nie mówił, albo przynajmniej nie w ten sposób, w jaki robiły to inne dzieciaki. "O Boże", kiedy zawodnik przeciwnej drużyny zalicza wszystkie cztery bazy po jednym uderzeniu. "O Boże", kiedy ktoś palnie coś naprawdę głupiego. "O Jezus", kiedy ktoś uderzy się w głowę. Quentin był wychowywany inaczej. Jego rodzice nigdy nie przeklinali, nawet w najłagodniejszy sposób, nigdy też nie używali słów "Bóg" ani "Jezus", jeśli rozmowa nie dotyczyła religii. Tak więc, kiedy z ust Quentina wydobyły się owe słowa, nie był to zwykły okrzyk, jaki często zdarzał się jego przyjaciółom. To musiała być modlitwa. Ale o co się modlił? Czy mówił: Boże, pozwól jej żyć? Czy wierzył w taką możliwość? To byłoby jak opowieść ze szkoły niedzielnej: Jezus mówiący do Jaira: "Dziewczynka nie umarła, ona tylko śpi"? Nawet w tamtej opowieści, owe słowa zostały brutalnie wyśmiane.

Quentin nie był Jezusem i wiedział, że nie modli się o to, by jego siostra zmartwychwstała. Być może chciałby, ale byłaby to głupia modlitwa, ponieważ to, o co prosił, nie mogłoby zostać spełnione. O co więc się modlił? O zrozumienie? Co chciał zrozumieć? Quentin wszystko rozumiał: Mama i Tato poddali się, lekarze poddali się, wszyscy prócz niego poddali się. Ponieważ wszyscy "rozumieli". Quentin wcale nie chciał rozumieć.

Quentin chciał umrzeć. Nie umrzeć "także", ponieważ nie dopuszczał do siebie myśli o tym, że Lizzy umiera, a już tym bardziej myśli o tym, że już nie żyje. Chodziło mu o pewnego rodzaju wymianę. Boże, pozwól żebym to ja umarł zamiast niej. Ułóż mnie na tym łóżku, a jej pozwól wrócić do domu z Mamą i Tata. Niech to mój beznadziejny stan skłoni ich do poddania się. Niech mnie odłączą od aparatów. Mnie, nie Lizzy.

I wtedy ujrzał ją jak we śnie. Przypomniawszy sobie żywą. Nie taką, jak wyglądała jeszcze parę dni temu: piętnastolatkę, którą w sobotni poranek jej przyjaciółka Kate zabrała na przejażdżkę samochodem, mimo że żadna z nich nie miała jeszcze prawa jazdy, a potem Kate zjechała samochodem na bok i uderzyła w drzewo, a jedna z gałęzi dostała się do środka przez otwarte okno po stronie pasażera, niczym palec boży, dwadzieścia cali kory i liści przeszło na wylot przez głowę Lizzy, podczas gdy Kate siedziała obok cała i zdrowa jeśli nie liczyć krwi i mózgu Lizzy skapujących z listków na jej ramię. W swoim śnie Quentin nie ujrzał Lizzy ubierającej się w sukienki, umawiającej się z chłopakami na randki i trzymającej komplet do makijażu po swojej stronie umywalki. Quentin zobaczył dawną Lizzy, swojego najlepszego kumpla, Lizzy, której ciało było równie płaskie jak ciało chłopaka, Lizzy, która była jednocześnie jego bratem i siostrą, jego nauczycielką i powierniczką. Lizzy, która zawsze wszystko rozumiała, która zawsze w porę zdołała go ostrzec przed popełnieniem najbardziej idiotycznych błędów, dzięki której wszystko wydawało się bezpieczne, jeśli tylko było się wystarczająco bystrym i ostrożnym. Lizzy na deskorolce, uczącą go wchodzić na niej po schodach na ganek i mówiącą: "tylko uważaj, bo jak Mama cię zobaczy to dostanie hysterii; ona myśli, że każda fajna zabawa może nas zabić".

To niestety okazało się prawdą, Lizzy. Nie wiedziałaś wszystkiego. Nie pozjadałaś wszystkich cholernych rozumów, prawda? Nie wiedziałaś, że trzeba uważać, aby jakaś gałązka nie dostała się do wnętrza samochodu przez otwarte okno i nie przewierciła ci głowy. Ty idiotko! Ty głupia idiotko...

- Daj sobie siana - powiedziała Lizzy.

Nie otworzył oczu. Nie chciał wiedzieć, czy słowa te wypowiadały usta jego prawdziwej siostry, zakryte ciężkim bandażem, czy też mówiła to Lizzy z jego snu.

- Wcale nie wyszłam na idiotkę. Po prostu, takie rzeczy czasem się zdarzają. Czasem zdarza się, że jest jakiś samochód i jakaś gałąź, które muszą natknąć się na siebie, i jeśli gdzieś w miejscu ich zetknięcia znajdzie się głowa, to po prostu przykra sprawa.

- Kate nie powinna była siadać za kierownicą nie mając prawa jazdy.

- No proszę, nie przyszło ci do głowy, mój geniuszu, że zdążyłam już dojść do podobnych wniosków? Jak myślisz, cóż innego mogę robić leżąc na tym łóżku, prócz przypominania sobie w kółko wszystkich chwil, w których mogłam odmówić Kate? Więc posłuchaj mnie dobrze, żebyś nie ważył się jej winić, ponieważ wystarczyło żebym powiedziała "nie" i nigdy nie wsiadłybyśmy do tego samochodu. Pojechałyśmy na przejażdżkę, dlatego że ja miałam na to równie wielką ochotę jak ona i możesz być pewny, że Kate czuje się teraz wystarczająco okropnie, więc nie radzę ci kiedykolwiek robić jej wyrzutów. Czy Cretin Quenkacz wszystko zrozumiał?

Quentin nie miał wcale ochoty na wysłuchiwanie połajanek. Rozpętał straszliwą wojnę, aby uratować życie swojej siostry i ostatnią osobą, o którą się martwił, była Kate.

- I tak nie mam zamiaru nigdy więcej się z nią widywać.

- Jeśli tego nie zrobisz, pomyśli sobie, że ją obwiniasz!

- Nic mnie nie obchodzi co ona sobie pomyśli, Lizzy! Chcę cię mieć z powrotem, nie rozumiesz?

- Hej, Tin, to akurat niemożliwe. Mój mózg już umarł. Wszystkie światła zgasły. To ciało jest puste. Mnie już nie ma. Wykorkowałam. Odwaliłam kitę.

Nie chciał tego słuchać.

- Ty... przecież... żyjesz.

- A, pewnie. Niezły dowcip.

- Oni chcą cię zabić, Lizzy. Mama i Tato, i lekarze. Dziadek, Babcia i Nanny Say też. Chcą cię odłączyć od całego sprzętu, a potem wyciąć ci nerki, oczy, serce i płuca.

- Masz na myśli moje flaki.

- Zamknij się!

- Moje podroby.

- Zamknij się, mówię ci!

Czy nie wiedziała, że to wcale nie żarty? Chodziło o kwestię życia i śmierci, a ona wciąż

dowcipkowała, jakby wszystko nie miało najmniejszego znaczenia.

- To ma ogromne znaczenie - powiedziała. - Po prostu próbuję cię rozweselić. Próbuję ci pokazać, że tak naprawdę wcale nie odeszłam.

- Powiedz to im, nie mnie. Jeśli za chwilę powiadomię ich, że ze mną rozmawiałaś, jak nic zamkną mnie w wariatkowie.

- A mnie pokroją na kawałeczki, ha-ha-ha, he-he-he...

- Przestań!

- Tin, ja jestem tu, a nie tam, nie ma mnie w tamtym ciele. Ja jestem tutaj.

Ale on nie miał zamiaru spoglądać w górę. Nie chciał zobaczyć tego, co chciała mu pokazać.

- No dobra, niech ci będzie. Jesteś najbardziej upartym bachorem, jaki kiedykolwiek został poczęty przez mężczyznę i niewiastę. Doprowadzasz Mamę i Tatę do białej gorączki! Masz kit, masz kit, masz kit?

Znał dobrze odpowiedź przewidzianą przez ich wspólnie ułożony rytuał.

- Mam kit, mam kit, mam kit.

- To git, to git, to git - zakończyła z chichotem.

- Oni chcą cię zabić.

- Moje ciało już na nic mi się nie przyda, Tin. Wiesz o tym dobrze. Ale nawet gdy je zabiorą i pochowają, lub zrobią z nim cokolwiek innego, wciąż będę tutaj.

- Jasne, będziesz przychodzić do mnie i codziennie ze mną rozmawiać, co nie?

- A więc o to ci chodzi, Tin? Tego właśnie chcesz? Chcesz mieć mnie cały czas pod ręką, jak jakieś wypchane zwierzątko albo maskotkę?

- Mama i Tato powinni zrobić wszystko, żeby cię uratować! - W tym właśnie tkwił cały problem. Mama i Tato nie powinni byli tak szybko uwierzyć lekarzom. Zbyt szybko.

- Posłuchaj mnie, Tin. Czasami Mama i Tato to jedyne osoby, które najlepiej wiedzą kiedy ich dziecko ma umrzeć.

- To najbardziej pomyłona, najgłupsza i najbardziej przerażająca rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem! Rodzice nigdy nie chcą, żeby ich dzieci umierały!

- To nie oni ustawili drzewo. To nie oni wjechali na nie samochodem. To nie oni wsadzili mnie do samochodu. To nie oni wsadzili mnie do tego łóżka. Sama to wszystko robiłam, Tin, albo los, albo

przeznaczenie, albo Bóg, chociaż nic mi o tym nie mówił. Jedyne wybory, jakie im zostawiłam to ten, czy moja śmierć będzie całkowicie bezsensowna, czy nie. Daj im chwilę wytchnienia.

- Nigdy im nie wybaczę.

- Wtedy ja nigdy nie wybaczę tobie.

- Niby czego?

- A tego, że trzymasz mnie tak uwiązaną do ciała, Tin. Wtedy nie mogłam się dłużej powstrzymać. Otworzył oczy. Ale jej nie było. Nie było nikogo, prócz znieruchomiałego ciała leżącego na łóżku, oddychającego za pomocą maski. Nie słyszał już jej głosu.

Wstał i slaniając się na nogach podszedł do drzwi. Czy wciąż drżały po tym jak ojciec zatrzasnął je za sobą? Wyszedł z pokoju. Zobaczył wszystkich jak wpatrują się w niego zaskoczeni: Tato, Mama, Babcia, Dziadek, Nanny Say i trzech głównych lekarzy. Jeden z lekarzy trzymał w ręku strzykawkę. Quentin wiedział po co - chcieli wstrzyknąć mu coś na uspokojenie, żeby móc go wyciągnąć na zewnątrz. Cóż, spóźnili się. Lizzy sama wywalila go z pokoju.

- Dalej, możecie już iść ją zabić - powiedział Quentin. Następnie obrócił się do nich plecami i ruszył korytarzem w stronę wind.

Ojciec przyszedł do samochodu, aby z nim porozmawiać, zanim pobrano organy Lizzy. Podczas tej rozmowy Quentinowi puściły nerwy; rozplakał się, wyznał, iż wie, że Mama i Tato wcale nie chcieli zabić Lizzy, że ona już od dawna nie żyła i mogą sobie zabierać jej organy. Odwołał wszystkie swoje wcześniejsze słowa o tym, że nigdy im nie wybaczy i spytał ojca, czy może poczekać na nich w samochodzie i nie rozmawiać z dziadkami, ani z nikim spośród tamtych lekarzy i pielęgniarek, którzy z pewnością nie będą w stanie ukryć triumfu, słyszalnego w ich głosach i widocznego na ich twarzach, czego on nie potrafiłby znieść.

- Nikt nie ma żadnych powodów do triumfu - powiedział Tato.

- Pewnie nie - odparł Quentin, starając się dobrać takie słowa, jakie Tato chciałby usłyszeć. - Pewnie to tylko ulga.

To Tacie wystarczyło.

- Tak właśnie myślę, Quenie. Ulga. - Tato pochylił się, objął go ramieniem i pocałował w czoło. - Kocham cię, synku. Kocham cię za to, że tak długo wytrwałeś przy twojej siostrze. A także za to, że w porę się wycofałeś.

Quentin pozostał sam w samochodzie do chwili, gdy ciało jego siostry umarło. Nigdy nikomu nie powiedział o tym, że Lizzy przyszła do niego i rozmawiała z nim. Najpierw dlatego, że był zły na wszystkich i nie miał ochoty zwierzać im się ze swych osobistych sekretów. Potem obawiał się, że gdy o wszystkim usłyszą, na pewno poddadzą go leczeniu, próbując mu w ten sposób dowieść, iż to, czego doświadczył, było zwykłym przywidzeniem powstałym wskutek żalu, strachu, napięcia i

zmęczenia. A w końcu zdecydował się nie mówić nic nikomu, ponieważ bez żadnego leczenia sam zaczął podejrzewać, że cała rozmowa w rzeczywistości była przywidzeniem powstałym wskutek żalu, strachu, napięcia i zmęczenia.

Ale to nie było przywidzenie. I gdzieś w głębokich zakamarkach duszy, w miejscu, które rzadko odwiedzał, ponieważ znajdowały się tam sprawy, o których nie lubił myśleć, ale których nie odważył się zapomnieć, zostało przekonanie, że Lizzy wciąż gdzieś żyje i w jakiś sposób obserwuje wszystko co on robi, lub przynajmniej od czasu do czasu patrzy na niego.

W jaki sposób wyraził żal po stracie siostry?

Przeczytał wszystkie książki z jej księgozbioru - tak zawsze nazywała cztery półki ustawione na żużlowych pustakach, zavalone kieszonkowymi wydaniem, które kupowała sama lub dostawała od przyjaciółek. Wybierał zawsze te najbardziej poplamione i podniszczone, te, które miały najwięcej pozaginanych rogów i rozerwanych grzbietów, i od nich zaczynał czytanie. Były tam *Władca Pierścieni*, *Pieśń elektrycznych ciał*, *Opowieści z Narni*, *Źródło życia*, *Kryształowa grot*, *Duma i uprzedzenie*, *Powstanie i upadek Trzeciej Rzeszy*, *Obcy w obcej ziemi*, *Przeminęło z wiatrem*, *Koniec dzieciństwa*, *Śniadanie Mistrzów*. Quentin pochłonał wszystkie, ale kiedy o nich myślał, pamiętał je tak, jak gdyby zostały mu przeczytane na głos przez Lizzy. Pamiętał głos Lizzy, starający się oddać magiczne rytmy zdań Bradbury'ego, delikatną i ugrzecznioną prozę Austen, głos Lizzy opowiadający mu o pierścieniu, który przypadkowo wśliznął się na palec Frodo kiedy spadł ze stołu w Bree, głos Lizzy odczytujący wymiary penisów wszystkich męskich bohaterów *Śniadania Mistrzów* i duszący się ze śmiechu, kiedy narrator wyjawia rozmiary swojego członka. Głos Lizzy oczarowanej magią Merlina, Lizzy szlochającej nad opisem hitlerowskiego żołnierza rozbijającego o ścianę głowę żydowskiego niemowlaka, Lizzy dzielącej tragiczne losy ludzkich dzieci uprowadzonych przez diabelskie stwory, które skusiły je do pójścia za nimi, Lizzy gnanej bezlitosną ambicją, kiedy wznosiła budynki jakich nikt inny nie ośmieliłby się skonstruować lub gdy dla pieniędzy wydawała się za Franka Kennedy'ego, chociaż był on narzeczonym jej siostry. Głosy wszystkich postaci ze wszystkich książek były jej głosem. Tylko podczas lektury Quentin słyszał, jak jego siostra mówi do niego. Przerobił całą biblioteczkę, a potem *zaczął* od początku; każdą książkę przeczytał po kilka razy.

Dostawał też inne książki: na Gwiazdkę, na urodziny, za dobre stopnie (Lizzy zawsze miała dobre stopnie, więc Quentin nie mógł być gorszy). W końcu, kiedy po raz czwarty zaczął pochłaniać zawartość biblioteczki siostry, pewnego dnia przyszedłszy do domu stwierdził, że cały księgozbiór zniknął.

Zniknęły wszystkie półki. Zniknął pokój Lizzy. Została tylko pusta skorupa: ściany, sufit, dywan. Jedyne małe dziurki po pinezkach widoczne na ścianach i czerwona plama na dywanie, gdzie jego siostra wylała kiedyś lakier do paznokci, podczas jedynej próby ich ozdobienia, stanowiły dowód, że pokój ten należał kiedyś do niej. Widok wyczyszczonego, wymiecionego i odkurzonego pomieszczenia stanowił przypomnienie brutalnej prawdy, że Lizzy nie żyje. Być może dopiero wtedy Quentin odczuł jej śmierć po raz pierwszy. Wtedy bowiem uciszono jej głos.

Natychmiast udał się do kuchni, gdzie Mama i Tato siedzieli przy stole. Czekali. Zdawali sobie sprawę z tego, co zrobili, wiedzieli, co to mogło dla niego znaczyć, czekali aby razem stawić mu

czoło. Quentin wszedł do kuchni, nalał sobie wody do szklanki i wypił ją duszkiem, po czym nalał następną i wylał jej zawartość na podłogę.

- Quentin - odezwał się Tato - Nie widzę potrzeby... Quentin otworzył lodówkę, a następnie zaczął wyciągać z niej wszystkie produkty i wyrzucać je za siebie na podłogę. Mleko w kartonach, jajka w tekturowych pojemnikach, naczynia z resztkami, na wpół opróżnione butelki. Poczuł jak ramiona ojca chwytają go z tyłu i zamykają w objęciach. Gwałtownymi ruchami uwolnił się z uścisku i biegiem ruszył w stronę drzwi, prowadzących na podwórze za domem. Ojciec pospieszył za nim.

- Pozwól mu wyładować złość - powiedziała Mama. - To oczyści atmosferę.

Quentin ruszył w stronę rabatek z kwiatami, gdzie energicznymi kopniakami zaczął strącać główki tulipanów, a następnie wyrwać całe kwiaty, rwać wszystko co rosło dookoła. Ostre kolce róż raniły dłonie, ale udało mu się wydrzeć z ziemi trzy całe krzaki, zanim Tato i Mama wybiegli z domu i rzucili się w jego stronę, aby go powstrzymać. Kopał i młócił rękami, nie zwracając uwagi na to, że oboje krzyczą z bólu po każdym celnym uderzeniu, aż w końcu znalazł się na ziemi, z twarzą w trawie i wykręconymi do tyłu rękami, czując na sobie ciężar ojcowskiego ciała. Mama płakała histerycznie, Tato dyszał z wysiłku.

- Nie masz prawa niszczyć wszystkiego w ten sposób - zaczął Tato.

A wy nie macie prawa zabijać Lizzy.

- Nadszedł czas abyśmy szli do przodu i żyli normalnym życiem. Ty także, Quentinie. Prosiliśmy cię nieraz abyś nie poświęcał całego czasu na rozpamiętywanie życia Lizzy. Nie zwracałeś uwagi na nasze sugestie, błagania ani polecenia. Nie masz żadnych przyjaciół, nie robisz nic poza przesiadywaniem w tamtym pokoju i czytaniem wciąż od nowa tych samych książek. Jej książek. To ona czyta mi swoje książki.

- Ale czas z tym skończyć. Nie możemy pozwolić, abyś cały czas żył w takim... ośpieniu. Tak nie można, czas już z tym skończyć...

W chwili kiedy Tato wypowiedział słowo "skończyć", jego głos nagle się zmienił, niemal niedostrzegalnie, tym niemniej dało się wyczuć górujący nad wszystkim ton nieposkromionej furii i przez krótką chwilę, co zdarzyło mu się tylko kilka razy w całym jego życiu, Quentin poczuł strach przed swoim ojcem, przed tym, do czego może doprowadzić tak potężny gniew, kiedy był już pod kontrolą.

Ale wtedy, podobnie jak i poprzednio w podobnych sytuacjach, Mama natychmiast zauważyła tę zmianę u Taty i niemal od razu przestała płakać, a jej głos przybrał spokojny ton. Była racjonalna. Pojednawcza.

- Straciliśmy już jedno dziecko, Quenie. Nie chcielibyśmy tracić drugiego.

Gniew od razu gdzieś się ulotnił i głos Taty również złagodniał.

- W każdym razie nie mam pojęcia w czym zawiniły kwiaty. Albo lodówka.

Mama pośpieszyła z chłodną, intelektualną analizą:

- To nasza własność, kochanie. Zabraliśmy mu jego świat, więc on chciał zniszczyć nasz. Oczywiście w przenośni.

- Nieważne, jaki naukowy termin ma na to psychologia, ale uważam że on zachowuje się cholernie dziecinnie.

- To prawda, ale jest przecież dzieckiem.

I było po kryzysie. Niejednokrotnie przerabiany scenariusz znów okazał się niezawodny. Mama wybucha płaczem. Tato staje w jej obronie, ale jego gniew przeraża ją, więc zaczyna mówić jak świeżo upieczona pani magister, który to tytuł rzeczywiście miała, w odróżnieniu od ojca; on w takiej chwili zazwyczaj wycofuje się, przekazując jej cały rodzicielski autorytet. Rekuncylacja i towarzysząca jej analiza były na porządku dziennym. Quentin miałby trudności z przedstawieniem całego schematu słowami, ale znał na pamięć przebieg i porządek kolejnych etapów, więc wiedział, że na poważną karę się nie zanoszą. Zamiast tego Mama i Tato przez parę dni będą otaczali go oraz siebie nawzajem, wzmożoną troską, przemykając się na paluszkach przez wszystkie rozmowy, unikając konfliktów, wstydząc się swojego zachowania, bojąc się samych siebie, niewiedząc właściwie dlaczego. W naelektryzowanej przestrzeni pomiędzy rodzicami Quentin zostanie pozostawiony swojemu losowi. Zawsze tak było i zarówno on, jak i Lizzy przez długie lata wykorzystywali podobne okoliczności, dające ten niewielki skrawek władzy jakim mogą cieszyć się dzieci, ale czynili to rzadko, gdyż świadomość, że rodzicami można w jakiś sposób sterować lub przynajmniej skłonić do określonych działań, przerażała ich. Czasami lepiej było zrezygnować z postawienia na swoim, niż dostrzec słabość u Mamy i Taty.

- Jeśli pozwolę ci wstać, Quen - zapytał Tato - czy przestaniesz szaleć i pójdziesz spokojnie do swojego pokoju?

Quentin przytaknął skinieniem głowy. W myślach rozbrzmiewały mu słowa piosenki, której uczyli ich w szkolnym chórze. Niech na całej ziemi zapanuje pokój, i niech jego źródłem będzie serce me. Tararara-param-pam-pam.

Tato puścił jego ręce i stoczył się z niego. Quentin zerwał się na równe nogi i poszedł do domu, do swojego pokoju. Przechodząc obok otwartych drzwi do pokoju Lizzy, zamknął je. Zamknął także drzwi do swojego pokoju, położył się na łóżku i obrócił twarzą do ściany.

Po chwili Mama zapukała do drzwi.

- Quen, czy będziesz jadł kolację? Nie odpowiedział.

- Quen, wiesz, że musisz jeść. Nie odpowiedział.

- Quen, czy naprawdę masz zamiar nigdy nie odezwać się do mnie?

Wciąż nie odpowiadał, więc po chwili Mama odeszła od drzwi.

Wyglądało na to, że nie mają zamiaru do niczego go zmuszać. Tamtej nocy poszedł spać bez kolacji, ale następnego ranka wstał i zjadł śniadanie razem z Mamą zanim poszedł do szkoły. Podczas śniadania rozmawiali ze sobą. Normalne poranne rozmowy. Żadnej wzmianki o zajściach z poprzedniego dnia. Nigdy więcej do tego nie wracali. W kuchni przez kilka dni pachniało piklami, których cały słoik rozbił się na podłodze, ale zapach wkrótce wywietrzał. Tato ponownie wkopał wyrwane rośliny i tylko jedna z uszkodzonych róż zwiędła. W pokoju Lizzy powstało połączenie pokoju do szycia z domowym biurem. Jedynym śladem tamtej awantury był fakt, że Quentin nigdy nie wchodził do tego pokoju, nie rozmawiał z nikim kto był w środku i za każdym razem, kiedy drzwi do tego pokoju były otwarte, zamykał je przechodząc obok, niezależnie od tego kto tam przebywał, wcale nie przejmując się wciąż ponawianymi prośbami aby tego nie robił. Po jakimś czasie rodzice dali za wygraną i przez cały czas drzwi do dawnego pokoju Lizzy były zamknięte, czy ktoś był w środku, czy też nie, a jeśli chcieli porozmawiać z synem, wychodzili z tamtego pokoju zamykając za sobą drzwi. Potraktowali to jak coś w rodzaju obopólnej ugody. Dali mu okazję do małej zemsty za to, że ukradli mu głos Lizzy.

W miarę upływu miesięcy i lat, Quentin powoli zdołał odszukać w księgarniach i antykwariatach takie same książki, które Lizzy miała w swojej bibliotece. Kupował je i chował do pudełek, które trzymał w swojej szafie, aż w końcu udało mu się odtworzyć cały księgozbiór. Nawet jeśli jego rodzice wiedzieli o tym, niczego nie komentowali. Ostatecznie miał dobre stopnie, nie narkotyzował się, nie pił ani nie palił, jak inne niedobre dzieciaki w szkole. Psycholog, z którym o tym rozmawiali, powiedział im że, aczkolwiek w celu uzyskania całkowitej pewności byłoby miło porozmawiać o tym z samym Quentinem, to najwyraźniej chłopak dobrze radził sobie ze wstrząsem, jaki wywołała w nim utrata ukochanej siostry. Zważywszy wszystkie okoliczności.

W końcu ludzie, którzy dostali organy po Lizzy, umarli. W końcu każdy musi umrzeć. Quentin podchodził do tego zagadnienia nader filozoficznie. Każdy umiera. Tak naprawdę liczyło się więc tylko to, co będzie się robić pomiędzy chwilą obecną a tą, w której nadejdzie śmierć. Dla Quetnina była to kwestia niezwykle istotna, bo przecież on żył za dwoje.

SKLEP SPOŻYWCZY

Podstawówka, szkoła średnia. Dni były pełne wrażeń, a potem szły w zapomnienie, albo przynajmniej nie wracał do nich pamięcią zbyt często. Przyjaciele. Wesole zabawy. Nie pociągało go towarzystwo rozrabiaków, dzieci bogatych rodziców nie miały na niego sposobu, gdyż nie interesowało go to, co mogły mu zaoferować; tak więc najczęściej przebywał wśród bystrych dzieciaków, wśród grzecznych dzieciaków, które zawsze stosowały się do ustalonych reguł. Bardzo szybko stał się największym bystrzakiem w grupie swoich kolegów, takim, który nigdy nie mówi zbyt wiele, ale zawsze ma na wszystko najlepszą odzywkę, najśmieszniejszy żart, najcelniejsze powiedzonko. Być może wszystkie te gadki, stanowiły urywki z dialogów, które zarejestrował w pamięci podczas lektury księgozbioru Lizzy. Był najbardziej pożądanym jako przyjaciel, a zarazem najbardziej niebezpiecznym. Nieważne jak blisko się z nim było, nieważne jak często robiło się z nim różne kawały, zawsze potrafił nagle zmienić się w przeciwnika i wbić kumplowi szpilę, którą trzeba było przyjąć z uśmiechem na ustach. Tak więc miał przyjaciół, owszem, ale zawsze trzymał ich na dystans.

Szkołę średnią ukończył z wyróżnieniem z hiszpańskiego i matematyki. Uzyskane stopnie zapewniły mu trzecie miejsce wśród abiturientów. Pominięto go w oficjalnych szkolnych plebiscytach na "najlepszego ucznia" w różnych kategoriach, ale w nieoficjalnym głosowaniu klasowym wybrano go "chłopakiem, z którym twoja mama najchętniej pozwałaby ci się umawiać na randki" oraz "najbardziej prawdopodobnym właścicielem firmy, w której chciałbyś się zatrudnić, gdyby nie powiodło ci się w twojej wymarzonej pracy". Był więc lubiany, a nawet podziwiany przez swoich kolegów ze szkoły, aczkolwiek nigdy mu całkowicie nie ufano. Podświadomie wszyscy wiedzieli, że do nich nie pasuje.

Zabawne było to, że uzyskał najwięcej głosów jako chłopak, z którym mamy najchętniej pozwałaby dziewczynom umawiać się na randki, ponieważ w rzeczywistości prawie w ogóle nie umawiał się z dziewczynami. Nie bywał nawet na balach szkolnych, chyba że został specjalnie poproszony przez jakąś słodką i nieznacznie tylko niepowabną klasową intelektualistkę. Nigdy nie odmawiał, wybierał sobie odpowiedni smoking w wypożyczalni, kupował stosowny bukiet, ale z żadną z dziewczyn nie umówił się nigdy na kolejne spotkanie, co najprawdopodobniej raniło ich uczucia, lecz jemu na niczym nie zależało. Tak więc w przeciągu czterech lat odbył cztery randki. Nie był to zbyt imponujący rezultat. Nawet jeśli jego rodzice martwili się owym stanem rzeczy, to nic mu o tym nie mówili.

On w każdym razie niczym się nie przejmował. Nie był ślepy - wiedział, które dziewczyny są atrakcyjne. Miał swoją porcję interesujących snów i przyjemnych fantazji. Ale kiedy przychodziło do umówienia się z jakąś dziewczyną, zaczynał obserwować wybraną koleżankę w klasie, na przerwie, w stołówce czy gdziekolwiek indziej aż w końcu, wcześniej czy później, dziewczyna taka powiedziała lub zrobiła coś... nieodpowiedniego. Po prostu żadna z nich nie była w stanie sprostać wymogom. Jakie to były wymogi, Quentin sam nie potrafił sprecyzować.

Być może miał ten sam problem co Lizzy, kiedy chłopcy zaczęli się nią interesować. Pamiętał jak mówiła: "Po co mam marnować czas z jakimś gościem, skoro wiem, że to nie ma najmniejszego sensu?" Wtedy Mama odpowiadała: "Przecież to bardzo miły chłopak. Czemu po prostu nie umówisz się z nim do kina? Albo na pizzę?" Na to Lizzy przewracała oczami i dalej swoje: "Mamo, czy

naprawdę chcesz powiedzieć, że powinnam pozwalać tym biedakom tracić na mnie forszę skoro wiem, że tylko robię im niepotrzebne nadzieje?" I wtedy obie wybuchały śmiechem nie zwracając uwagi na Quentina, który siedział nie zauważony przy stole w kuchni lub w salonie, czy gdziekolwiek indziej i myślał sobie, cóż to takiego jest między kobietami, że wszystko, co dotyczy mężczyzn wydaje się żartem, który one opowiadają sobie od niepamiętnych czasów, zaś mężczyźni nie są w stanie nic z tego zrozumieć.

Wydawało mu się, że po latach i on zrozumiał. Nie chodziło tu o mężczyzn, ale o ludzi, którzy nie wiedzieli co chcą dać, a co dostać w zamian i w ten sposób wciąż bądź zawodzili innych, bądź sami doznawali zawodu.

Quentin nie wiedział czego chce, ale dobrze wiedział czego nie chce. Nie chciał żadnej z dziewczyn, które znał ze szkoły.

Miał wśród nich mnóstwo przyjaciółek. Lubił je. To były bardzo miłe dziewczyny. Tyle, że nie dla niego.

Nie dla niego były również dziewczyny, które poznał w Berkeley, gdzie studiował najpierw iberystykę, potem matematykę aż skończył na historii, kując jak dziki i uzyskując znakomite stopnie, tak że pomimo zmiany kierunku studiów, ukończył je w przewidzianym czasie, przez kolejne cztery lata nie zaliczając więcej niż dziesięciu randek. Na początku Mama i Tato nic na ten temat nie mówili, ale od czasu kiedy zdał na przedostatni rok, za każdym razem kiedy dzwonił do domu lub odwiedzał rodziców w Santa Clara, Mama zasypywała go pytaniami w rodzaju: "Czy spotykasz się z jakimiś miłymi dziewczynami?" "Czy na tych swoich zajęciach masz jakieś ładne koleżanki?" Pamiętał także burzliwą rozmowę z Tatą, gdy pomagał mu w garażu mieszać farbę, którą mieli pomalować futryny wokół okien i drzwi. Kiedy w końcu stało się jasne do czego prowadzą dziwaczne ojcowskie pytania, Quentin aż poczerwieniał z gniewu i zapewnił Tatę, że owszem, woli dziewczyny od chłopców, tyle że jak na razie nie miał okazji znaleźć właściwej dla siebie partnerki, ale wciąż szuka i niech się Tato nie martwi, kiedy przyprowadzi kogoś ze sobą do domu, osoba ta będzie ubrana w sukienkę i będzie miała dwa chromosomy X, ale teraz powinni już przejść do malowania futryn.

Ostatecznie zrobił dwa fakultety: iberystykę i historię, a zaraz potem znalazł pracę w Santa Clara, w firmie, która próbowała sprzedawać komputery przeznaczone do użytku w domu lub w małych firmach. Dostał tę pracę ponieważ jego kolega ze szkoły średniej, który był tam zatrudniony, pomyślał, że Quentin mógłby się przydać jako doradca przy opracowywaniu programu do nauki historii, lecz w niedługim czasie Quentin zakochał się w programowaniu i okazało się, że ma do tego prawdziwą smykałkę. Po roku sprzedał swoje udziały w firmie produkującej sprzęt komputerowy i przeniósł się do spółki konstruującej procesor tekstów dla nowych komputerów osobistych IBM. W rok później spółka została kupiona przez większą firmę zajmującą się tworzeniem systemów operacyjnych i języków programowania, arkuszy kalkulacyjnych i procesorów tekstowych, w której to firmie zaczął tak szybko awansować, że wkrótce przeniesiono go do centrali w stanie Washington, gdzie oficjalnie zamieszkał na wynajętej barce mieszkalnej, ale w rzeczywistości większość nocy przesypiał we własnym biurze, ponieważ jego obecność była niezbędna przy pracy nad kilkoma dużymi projektami. Nie miał na co wydawać pieniędzy, więc wszystko inwestował w akcje własnej firmy, których wartość najpierw wzrosła stukrotnie, a potem podwajała się każdego roku, aż do

chwili gdy każdy, kto rozpoczął pracę dla firmy w latach siedemdziesiątych został multimilionerem, zaś najbogatszy ze wszystkich był właśnie Quentin.

Pewnego dnia w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku Quentin zdał sobie sprawę, że programowanie raz na zawsze przestało go interesować. To co jeszcze wczoraj stanowiło wyzwanie, dziś nic już dla niego nie znaczyło. Przestały go obchodzić interesy firmy, strategie marketingowe, a nawet ludzie, z którymi pracował. Ludzie się zmienili, praca się zmieniła, zmieniła się też sama firma. Nic go już nie bawiło, a jednocześnie wiedział, że jeśli sprzeda akcje, które posiada, to nigdy w życiu nie będzie już musiał pracować. Czy po wygraniu głównej nagrody na loterii, ktoś wraca do zamykania sklepów? Tak właśnie myślał o swojej, dawniej ukochanej pracy.

Zostawił sobie tylko dziesięć procent posiadanych akcji, a resztą zamienił na gotówkę i w ten sposób mając dwadzieścia sześć lat stał się posiadaczem dwunastu i pół miliona dolarów. Pięćdziesiąt różnych firm produkujących sprzęt i oprogramowanie proponowało mu nedorzecznie wysokie pensje, na które nikt nigdy nie byłby w stanie zapracować, ale odrzucił wszystkie oferty. Tak więc został ze swoją wynajętą barką, bez pracy i, szczerze mówiąc, bez własnego życia. Czuł się tak, jakby brał udział w bardzo długim wyścigu i wreszcie zdał sobie sprawę, że oprócz niego nikt inny już nie biegnie, że minął linię mety ładnych kilka lat temu, lecz nie zauważył tego ponieważ nie było tam żywej duszy, nikogo, kto by wiwatował na jego cześć i poklepywał go po plecach, wołając "Świetny bieg, Quen! Świetny bieg!"

Albo, gdyby tak się dobrze zastanović, być może jacyś ludzie rzeczywiście oczekiwali go na finiszu, tyle że sam Quentin wcale nie dbał o to, co tamci o nim myślą, więc odrzucił ich wyrazy uwielbienia oraz przyjaźń, ponieważ wciąż czekał na ten jeden jedyny głos, którego nigdy już nie miał usłyszeć.

Co można robić gdy się ma dwanaście i pół miliona dolarów? Quentin władował większość pieniędzy w akcje i obligacje przynoszące pewny zysk, umieścił je w bezpiecznym gnieździe jak złote jajo, i nigdy ich nie ruszał, chyba że po to, by zainwestować je jeszcze bezpieczniej. Podczas największej recesji w dziewięćdziesiątym pierwszym zarobił okrągły milion *d'* tytułu odsetek, dywidend oraz zysków z operacji giełdowych. Spłacił dom rodziców, kupił im ładny wóz, a potem zastanawiał się co jeszcze może zrobić ze swoją furą pieniędzy. Nawet wtedy gdy wynajmował luksusowy apartament, pięćdziesiąt patyków wystarczało mu na cały rok, łącznie z utrzymaniem samochodu (żaden wielki szpan, zwykły Nissan Maxima). Na początku trochę podróżował, dopóki nie zdał sobie sprawy, że wszystkie hotele, czy to w CancAn, czy to w Paryżu, czy w Hongkongu są bardzo do siebie podobne. Tak więc majątek wciąż rósł i wydawało się bezsensowne łądowanie go w dalsze inwestycje, które miały na celu jeszcze pomnożenie pieniędzy, których wcale nie potrzebował. Zresztą kiedy portfel akcji i obligacji zaczyna przynosić takie zyski, iż nawet twój broker twierdzi, że więcej już nie da się wyciągnąć, co pozostaje do roboty przez resztę dnia, tygodnia, miesiąca, roku?

W dziewięćdziesiątym drugim Święto Dziękczynienia spędzał w domu z rodzicami. Kiedy Tato skończył swoje lamentsy nad wyborem Billa Clintona na prezydenta, zaczęła się poważna rozmowa. Quentin siedział wpatrując się w płomień na kominku, kiedy ciszę przerwał głos Mamy:

- Quentinie, czy to wszystko nie przyszło ci zbyt łatwo? Natychmiast Ojciec pośpieszył z obroną zasad kapitalizmu, po raz kolejny wyjaśniając małżonce, że Quentin za swą ciężką pracę i właściwe przewidywanie koniunktury został dzięki prawom wolnego rynku właściwie wynagrodzony fortuną,

która w żadnym wypadku nie była zbyt wielka, przynajmniej jeśli porównać ją z bogactwem takiego Rossa Perota czy Billa Gatesa.

Ale wkrótce ojcu skończyła się para i znowu zapadła cisza, więc ponownie siedzieli przez chwilę w milczeniu, wpatrując się w ogień, póki Mama po raz kolejny nie zabrała głosu:

- Jeśli nie masz żadnych własnych marzeń, Quentinie, dlaczego nie pożyczysz ich od innych?

- Marzenia - parsknął pogardliwie Tato. Ale to właśnie on zawsze był największym marzycielem w rodzinie i kiedy Quentin zastanowił się nad tym przez chwilę, zdał sobie sprawę, że zdobywając tak nieprzyzwoite bogactwo, w rzeczywistości zrealizował marzenia swojego ojca. Wystarczyło tylko kilka lat pracy, którą zresztą lubił, aby udało mu się poluzować tę napiętą strunę niepokoju w sercu Taty i stary czuł się teraz szczęśliwy, spokojny. System zadziałał właściwie na korzyść jego syna i w oczach Taty wyglądało to znacznie lepiej niż gdyby on sam zarobił tę całą forszę.

W następny poniedziałek, Quentin powierzył ojcu w zarząd kilkaset tysięcy ze swego portfela, przy czym połowę dochodów Tato miał zatrzymać jako prowizję. Ale to stanowiło tylko część odpowiedzi na sugestię Mamy. Było przecież wielu innych ludzi, którzy mieli swoje marzenia i potrzebowali zaledwie kilku tysięcy lub kilkuset tysięcy dolarów, aby pokusić się o ich spełnienie. Był to jakiś sposób na wykorzystanie posiadanych nadwyżek kapitału.

W *San Jose Mercury News* przez tydzień ukazywało się zamieszczone przez Quentina ogłoszenie następującej treści: "Drobny inwestor szuka partnera z dobrymi pomysłami, gotowego do ciężkiej pracy". Został zasypany listami. Oddzieliwszy te zawierające oczywiste niedorzeczności lub dziecięce marzenia, wybrał kilka tuzinów takich, które zawierały propozycje warte rozważenia. Na koniec utworzył z wybranymi partnerami czternaście spółek, którym on zapewniał kapitał oraz pensję dla księgowego, zobowiązanego do przedkładania mu wszelkich sprawozdań dotyczących działania każdej z firm. Quentin nie wtrącał się do niczego, do chwili kiedy nadchodził czas, aby zwinąć upadający interes lub też umożliwić partnerowi, któremu się powiodło, wykupienie całej firmy. Wszystko na ogół wyjaśniało się w ciągu roku. Ponad połowa spółek rozwijała się dobrze, a niektóre z nich robiły duże pieniądze. Dwie w końcu zaczęły emitować akcje, dzięki czemu przysporzyły Quentinowi zysków znacznie przekraczających sumę jaką zainwestował we wszystkie czternaście partnerstwa.

To był najlepszy rok w jego życiu. Mógł dzielić szczęście wraz z partnerami, którzy odnieśli sukces, a jeśli chodzi o tych, którym się nie udało, to mimo rozczarowania porażką, każdy z nich wiedział, że przynajmniej miał okazję spróbować. A ponieważ Quentin pokrywał wszystkie długi i straty, wszyscy wychodzili na czysto. Nikt niczego nie tracił. Udało się zrobić kilka dobrych rzeczy.

Ale dlaczego ograniczać zakres projektu tylko do południowego wybrzeża? Quentin znów zaczął podróżować. W każdym mieście, do którego przybywał, wynajmował mieszkanie w centrum miasta, zamieszczał ogłoszenie w lokalnej gazecie, wybierał najciekawsze odpowiedzi, wchodził w kolejne spółki. To wszystko zajmowało kilka miesięcy, potem ruszał dalej, zatrzymując mieszkanie na następne dwa lata, aby miał się gdzie zatrzymać podczas kontrolnych wizyt. Nowych miejscowości nie wybierał zamykając oczy i celując w mapę długopisem; jego metoda była bardziej usystematyzowana - wchodził do księgarni, szukał działu turystycznego i jeśli znalazł w przewodniku

lub albumie zdjęcia jakiegoś miejsca, które go zaintrygowało, jechał tam. Trudno było przewidzieć jaki będzie następny cel jego podróży. Kiedy był w Vermont, nie zatrzymał się w pięknym Montpelier, ale w ponurym i brudnym Burlington, a kiedy ruszył do Texasu, ominął hałaśliwe miasta i pojechał na wschód od Dallas poprzez bujne sawanny, aż do Nacogdoches, gdzie pomyślał, że może wreszcie znajdzie dla siebie jakąś stałą siedzibę.

Ale po kilku miesiącach znów był w drodze. Durango, Missoula, Kennewick, Seneca, Asheboro, Mandeville, Oakland, Bronx. Nigdzie nie brakowało marzycieli, nigdzie nie brakowało ciekawych snów. Dayton, Concord, Grand Junction, Grand Island, Flagstaff, Johnstown, Boise, Savannah.

Wiosną tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku wylądował w Herndon w stanie Virginia. Na dworze było już ciepło. Quentin właśnie zamieścił swoje ogłoszenie, ale nie w *Washington Post*, tylko w miejscowej gazetce rozdawanej za darmo w sklepach. Ponieważ do ukazania się ogłoszenia zostało mu jeszcze kilka dni, miał trochę wolnego czasu. W środę poszedł do kina na jakiś film o wirusie Ebola, z Dustinem Hoffmanem wcielającym się w głównego bohatera, lekarza, wynajdującego sposób na syntezę surowicy, umożliwiający jej błyskawiczną produkcję, dzięki czemu udaje się wyleczyć nawet ludzi w zaawansowanym stadium choroby. Quentin wyszedł z kina zastanawiając się czemu jest taki rozdrażniony. Przecież głupie filmy produkowano od wieków. Dlaczego akurat ten tak go zdenerwował?

Wszedł do sklepiku z mrożonymi jogurtami w przedsionku kina, ale w całym pomieszczeniu roznosił się intensywny zapach mocno perfumowanych kaw, w związku z czym był pewny, że wszystkie jogurty będą kawowe, niezależnie od ich oryginalnego smaku. Nie miał pojęcia dlaczego ten zupełnie nieistotny szczegół wywołał w nim chęć, by kogoś zrugać i wyjaśnić mu, nie przebierając w słowach, że nie powinno się podawać czegoś o tak intensywnym zapachu w lokalu, który jednocześnie serwował produkty mające skusić klienta różnorodnością delikatnych smakowych odcieni. Zupełny absurd. W końcu co go to obchodziło? Ale kiedy doszedł do samochodu, plasnął otwartą dłonią w blaszany dach, tak mocno, aż rozboleła go ręka i przez chwilę poczuł się trochę lepiej.

Może moje życie wcale nie jest takie wspaniałe jak mi się wydaje, myślał sobie jadąc Eiden Street w stronę wielkiego sklepu spożywczego sieci Giant. Dochodziła piąta. Ruch w godzinach szczytu nie był w miasteczku wielki, a powrotna fala ludzi dojeżdżających do pracy w DC* miała zalać ulice dopiero za pół godziny. Może mam już dość życia pożyczonymi marzeniami. Ale jeśli przestanę to robić, czym się będę zajmował? I na jak długo wystarczy mi to nowe zajęcie?

Paje mięsne, nektar brzoskwinowy i słodkie krakersy stanowiły prawie całą jego dietę w tamtych dniach. Zastanawiał się nad kupieniem akcji Marie Callendar's, Libby's, czy Nabisco, ale zdecydował, że jeśli chodzi o artykuły spożywcze, to woli być konsumentem niż inwestorem. Przez chwilę zastanawiał się także jaki narzut muszą mieć sklepy sieci Giant, skoro opłaca im się przyjmować zapłatę kartami American Express. A może obie firmy łączyły jakieś sekretne układy, więc prowizja nie była tak duża, jak dla innych klientów? Czy moje życie jest naprawdę takie puste, że nie potrafię wymyślić czegoś innego, o czym mógłbym myśleć.

Wymyślić coś, o czym mógłbym myśleć. To zdanie brzęczało mu w głowie jak mantra, kiedy wyciągał paje z zamrażarki.

Wtem jakiś dziecięcy kwik zakłócił porządek tej nonsensownej litanii.

- Gdybyście kiedykolwiek bywali w domu, to byście wiedzieli, że cały czas jadam same zdrowe rzeczy, a teraz proszę tylko żebyście kupili mi prawdziwego loda zamiast tej prymitywnej podróbki.

To była dziewczynka, mniej więcej w wieku dziesięciu, może dwunastu lat, z blond włosami nazbyt wymyślnie ufryzowanymi w sposób, jaki zawsze wprawiał Quentina w przygnębienie, gdyż wyglądało to tak, jakby ktoś chciał pozbawić małą osobkę jej dziecięcego uroku.

Tyle, że teraz miał okazję oglądać prawdziwą małą harpię. Nadał się twarz, donośny, nieprzyjemny głos, a wokół niej rozgorączkowane rodzice wyłazły ze skóry, aby jakoś ją udobruchać.

- Chcemy tylko, żebyś była szczęśliwa, kochanie - odezwała się matka.

- Sama chciałaś żebyśmy pomogli ci dbać o linię - dodał ojciec.

Czy ci ludzie zdawali sobie sprawę ze swego zachowania? W swych umizgach przypominali zawodowych pochlebców, którzy zawsze otaczają gwiazdy filmowe.

- Ale chyba nie chodziło mi wtedy o lody, prawda? - zawołała dziewczynka takim tonem, jak gdyby jej rodzice byli najtępszymi ludźmi jacy kiedykolwiek żyli na ziemi.

- Myślę, że nie stanie się nic złego jeśli kupimy jej małego "Ben and Jerry's", prawda kochanie? - zapytała matka. - One nie mają tyle tłuszczu co "Häagen-Dazs".

- Kup jej cokolwiek - odparł ojciec. Wyglądało na to, że przynajmniej on zdawał sobie sprawę jakim potworem stało się ich dziecko. Jakże musieli wydawać się słabi, jeśli ona tak łatwo mogła nimi manipulować.

Nagle Quentin oddał się wspomnieniom. Przypomniał sobie jak kiedyś leżał na trawie, przygnieciony ciężarem ojcowskiego ciała. Jak Tato wpadł w gniew, a Mama nagle przybrała pojednawczy ton, zaś jemu udało się postawić na swoim. Tak jak kilkanaście razy przedtem.

Jaki z tego wniosek? Taki, że wszystkie dzieci są manipulatorami, ale on przynajmniej zachował na tyle przyzwoitości, aby nigdy nie upokarzać rodziców w miejscu publicznym tak jak ta mała grymaśnica.

Oczywiście, równie dobrze mogło to oznaczać, że właśnie on jest hipokrytą, podczas gdy dziewczynka po prostu otwarcie robiła to, czego próbują wszystkie dzieci i czemu potrafią się przeciwstawić tylko nieliczni rodzice.

Dzięki Bogu, że sam się nie ożeniłem i nie mam dzieci, pomyślał Quentin. Kto chciałby wdawać się w trwającą całe życie walkę o władzę z własnym potomstwem?

Nabrał wystarczającą ilość mrożonek na kilka tygodni, tyle ile mogła pomieścić zamrażarka w wynajętym przez niego szeregowcu. Potoczył wózek wzdłuż rzędów półek mijając dziewczynkę i poskromionych przez nią rodziców. Bardzo się starał aby na nich nie patrzeć - dlaczego nie mieli

udawać, że nikt nie zauważył ich upokorzenia. Jednakże nie mógł odmówić sobie rzucenia ostrego, pogardliwego spojrzenia w stronę dziewczynki. Odpowiedziała mu nad wyraz bezczelnym spojrzeniem, a w jej oczach dostrzegł jakiś błysk, który go zaskoczył. Czy to możliwe, żeby przyglądała mu się z ironią? Czyżby dokładnie wiedziała, że sprawia wrażenie rozwydrzonego bachora?

A jeśli nawet wiedziała, to co z tego? Świadomość, że jest się nieznośną smarkulą, w niczym tego faktu nie umniejsza, wręcz przeciwnie. Lizzy nigdy nie sprawiała takiego wrażenia. Duma nie pozwoliłaby jej zachowywać się tak, jak ta mała, albo wyglądać jak ona, albo mówić jak ona. Ale ta dziewczyna była żywa, a Lizzy dawno umarła i nagle sposepniał na myśl o tym, jak wiele lat życia straciła jego ukochana siostra i że na pewno lepiej przeżyłaby te lata niż ta rozkapryszona siksa. Lepiej także niż on. Na pewno w wieku trzydziestu czterech lat nie byłaby przytłoczona pustką swego życia. Bo jej życie nie byłoby puste. Na pewno pokochałaby jakiegoś mężczyznę, wyszłaby za niego i miała dzieci. Ale nie takie jak to, które miał przed sobą - dobre dzieci, miłe dzieci, którymi rodzice chwalać się z dumą. Jej życie na pewno miałoby większe znaczenie. Podczas gdy Quentin miał... co? Pieniądze? A ta dziewczynka... w jej oczach widział politowanie. Miała wiedzę, ale nie miała mądrości. Miała władzę, ale nie miała celu. Tak jak on.

Stanął w ogonku do kasy. Młody kasjer przekomarzał się chwilę z odstrzeloną babką stojącą przed nim. Quentin rozglądał się po sklepie beznamiętnym wzrokiem, wszystko widząc, ale na niczym nie zatrzymując oka.

Nagle jego wzrok padł na kobietę, stojącą przy linii szybkiej obsługi, pochyloną nad torebką, w której szukała monet albo długopisu i było w niej coś, co przykuło jego uwagę; może sposób w jaki włosy opadały jej na twarz, może linia jej pochylonych ramion, może ubranie, które miała na sobie. Znał ją, był pewny, że ją zna, ale to nie mogła być ona, chociaż była tak podobna do wspomnienia jakie zachował o Lizzy, że aż mu zaparło dech. I kiedy wyprostowała się podając pieniądze kasjerowi, zrobiła to tym samym, dobrze znanym, sztywnym ruchem, z ramieniem wyprostowanym i unieruchomionym łokciem, tak charakterystycznym dla jego zmarłej siostry.

- Słucham pana - odezwał się chłopak z kasy. Kobieta, którą obserwował, właśnie brała w dłonie swoje torby i udawała się w stronę wyjścia. Quentin szybko skończył wyładowywanie zawartości wózka na przenośnik taśmowy, podnosząc wzrok tak często, jak tylko mógł, próbując dostrzec jej twarz. Nie dlatego, żeby spodziewał się ujrzeć Lizzy, ale jeśli tamta kobieta w jakikolwiek sposób była do niej podobna, to gdyby spojrzął na jej twarz, może przekonałby się, jak wyglądałaby jego siostra będąc dorosła, tyle że to wszystko było jednym wielki szaleństwem, gdyż cokolwiek by zobaczył, przekonałby się, że nie jest to twarz Lizzy i znowu wszystko skończyłoby się tylko bolesnym przypomnieniem, że jej już nie ma. Właściwie to już odczuwał ból. Przed chwilą poruszyło się w nim coś, co od dawna dusił w sobie i czego istnieniu sam starał się zaprzeczyć. Żal, którego nie zdołał nigdy wyrazić, jeśli nie liczyć tamtego żalostnego popołudnia kiedy rozbijał słoiki o podłogę i wyrywał kwiaty z rabatek.

Kobieta odwróciła się dokładnie w chwili, kiedy schylał się aby wyciągnąć ostatnią paczkę z wózka. Kiedy znowu podniósł wzrok była już przy samych drzwiach, ale udało mu się dostrzec jej twarz i ponownie wstrzymał oddech widząc tę dokładną, idealną kopię...

- Proszę pana, gdzie pan...

- Proszę wszystko skasować, za sekundę wracam...

Ale jej już nie było. Zatrzymawszy się przy poręczach, które zainstalowano po to, by uniemożliwić klientom wyciąganie sklepowych wózków na parking, lustrował wzrokiem całą okolicę, czekając czy nie dojrzy gdzieś czasem jej sylwetki, tego charakterystycznego chodu, tych włosów, tego lekkiego swetra, drobnej postaci zdążającej w stronę któregoś z samochodów lub w kierunku następnego sklepu, ale nikogo nie zauważył. Kobieta zniknęła bez śladu.

Ukrył twarz w dłoniach. Owa kobieta nie mogła być tak podobna do Lizzy, to tylko okrutne sztuczki jego pamięci. Wrócił do sklepu, do naburmuszonego kasjera, do ogonka klientów - o tej porze zwykle tworzyli go uciekinierzy przed godziną szczytu - niemal gotujących się do linczu. Przepuścił swoją kartę przez automat, podpisał kwit, zebrał zakupione mrożonki i ruszył w stronę swojego wozu.

Jedyną osobą, jakiej nigdy już nie zobaczę na tym świecie jest Lizzy. Ale właśnie ją najbardziej chciałbym spotkać i zawsze tego chciałem przez cały dzień, przez cały miesiąc przez wszystkie minione lata. Wychodząc z tego beznadziejnego filmu, właśnie jej chciałem się poskarżyć na to, jak prymitywnie potraktowano w nim naukę i jak żal ogarnia na samą myśl, że Dustin Hoffman mógł zagrać tak idiotyczną rolę, niegodną nawet Sylwka Stallone. Na pewno śmiałyby się na cały głos i sypała cytatami z *Absolwenta*, na którego wybrała się kiedyś w tajemnicy przed rodzicami, po tym jak orzekli, że to film wyuzdany i wykraczający poza granice przyzwoitości.

"Mnie wcale nie wydawał się wyuzdany - mówiła po powrocie z kina. - Po prostu przyszedłem do domu i stwierdziłam, że do tego numeru z kutasikami, trzeba mieć cycki trochę większe niż moje".

A w kawiarence z mrożonymi jogurtami, właśnie dla Lizzy przeznaczona była jego nie wypowiedziana tyrada. Za to w sklepie potrzebował siostry, żeby razem mogli się pośmiać z tej małej, rozpuszczonej smarkuli. Mogliby też razem uknuć skomplikowany spisek, polegający na porwaniu małej, co pozwoliłoby przekonać się jak bardzo musieliby obniżyć wysokość okupu, aby rodzice w końcu zapłacili i zgodzili się wziąć dziewczynkę z powrotem.

Ale, niestety nie mogę mieć Lizzy przy sobie.

Kiedy jego samochód dołączał do tłumu innych wozów sunących Eiden Street, po raz pierwszy w życiu przyszło mu do głowy, że nawet jeśli Lizzy nie zginęłaby w wypadku, nie mógłby mieć jej przy sobie w wieku trzydziestu czterech lat, w Herndon, w stanie Wirginia, wiosną tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku, gdyż ona miałaby już trzydzieści dziewięć lat i bez wątpienia byłaby mężatką z kilkorgiem dzieci, z których część uczyłaby się już w szkole średniej; miałaby uwielbiającego ją męża, bo na pewno nie wyszłaby za kogoś, kto byłby na tyle tęp, żeby jej nie uwielbiać i to właśnie ów mężczyzna rozmawiałby z nią, słuchał jej, dowcipkował i wygłaszał jej swoje tyrady. Nie ja.

Gdyby Lizzy żyła, wyjechałaby na studia zanim Quentin zdałby do szkoły średniej. Ich więź uległaby rozluźnieniu. Na pewno trochę by się smucił z tego powodu, ale potem pocieszyłby się towarzystwem swoich przyjaciół, tak jak robili to inni. Nie porównywałby każdej napotkanej dziewczyny z

wyidealizowanym obrazem Lizzy, ponieważ Lizzy przyjeżdżałyby na święta do domu i nie potrzebowałyby jej tak bardzo. Jakiś pociągający i zupełnie odmienny od Lizzy styl, wygląd czy sposób bycia jakiejś dziewczyny zaintrygowałyby go zamiast odstręczyć. Jak każdy normalny człowiek zakochałby się kilkanaście razy w życiu, a obecnie, mając te swoje miliony dolarów, na pewno nie włóczyłby się po całych Stanach, nie pożyczał marzeń od innych, tylko siedziałby sobie w domku i cokolwiek by tworzył, budował czy wygrywał, czyniłby to dla swojej żony, dla swoich dzieci i dla ich przyszłości. Razem snuliby wspólne marzenia, mnóstwo marzeń, tyle marzeń, że mogliby je spokojnie dzielić z obcymi ludźmi, zamiast je od nich kupować, jak on teraz.

Dorośli mężczyźni nie dzielą życia ze swoimi siostrami, tylko ze swoimi żonami.

Nagle skonstatował z przygnębieniem, że jego życie było wyłącznie ciągiem strat. Co ja zrobiłem z tymi wszystkimi latami? Jak wielkim głupcem może okazać się całkiem rozsądny człowiek!

To nagłe olśnienie było dla niego jak cios. Zjechał z Herndon Parkway i zatrzymał się na parkingu przed szeregiem domków; oparł głowę o kierownicę i... co zrobił? Dlaczego płakał jak mały, dziesięcioletni chłopak? Chyba nie dlatego, że po tylu latach dopadł go żal po utracie Lizzy. Zrobiło mu się żal samego siebie. Żal tych wszystkich straconych lat.

Ale to przecież Lizzy umarła, to jej wycięto organy, nie mnie. Dlaczego więc czuję się samotny jak nieboszczyk?

Po jakimś czasie odzyskał panowanie nad sobą, wyciągnął chusteczkę higieniczną z pudełka, które trzymał na wiecznie pustym siedzeniu pasażera, wytarł oczy, przetaił okulary i ponownie nałożył je na nos, a następnie odchylił głowę na oparcie, aby przyjrzeć się okolicy zalanej jasnym światłem wieczoru. Widział samochody zatrzymujące się na parkingu. Ludzi wychodzących z samochodów i udających się do swoich domów, gdzie niektórzy z nich żyli samotnie, niektórzy mieli współlokatorów, a jeszcze innych oczekiwał mąż lub żona, a czasem nawet dzieci, i życie każdego z tych cholernych ludzi wydawało się mieć o wiele więcej sensu niż życie Quentina Fearsa.

I wtedy znowu ujrzał tamtą kobietę, jak wchodzi po schodach do ostatniego domu z szeregu znajdującego się po jego prawej stronie. Wyraźnie widział jej twarz gdy szukała kluczy w torebce. Nie, tak naprawdę to wcale nie była podobna do Lizzy, a przynajmniej nie tak bardzo, jak mu się wydawało w sklepie. Ale jej ruchy naprawdę były identyczne, albo bardzo podobne, dopiero teraz zwrócił na to uwagę. A jej włosy, czy nie były takie same jak włosy Lizzy? Kiedy Lizzy miała podobną fryzurę, albo niemal taką samą? Nieważne, w każdym razie bardzo dawno temu.

Nie, tak naprawdę to wcale nie jest podobna do Lizzy. Ale - i to właśnie najbardziej go zaskoczyło - mimo to wydawała mu się atrakcyjna. Mimo to budziła w nim zainteresowanie. Zachwycił go sposób w jaki się zatrzymała, by poszukać kluczy, sposób w jaki się wyprostowała i przewróciła oczami, spoglądając w niebo ze zniecierpliwieniem, a potem zdecydowała się jeszcze raz włożyć rękę do torebki, by po chwili wyciągnąć dłoń ściskającą klucze na ogromnym mosiężnym kółku. Jak mogła tak długo szukać w torebce czegoś tak wielkiego? Włożyła klucz do zamka, weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. W oknach zapaliły się światła. Była w domu.

Ale ja nie jestem w domu. Ani tutaj, ani nigdzie.

Bardziej niż czegokolwiek innego, Quentin pragnął teraz wyjść z samochodu, podejść do tamtych drzwi, zapukać, uśmiechnąć się łagodnie do otwierającej mu kobiety a potem...

A potem co? Skłamać? Najmocniej panią przepraszam, chyba zatrzasnąłem kluczyki w samochodzie, czy mógłbym skorzystać z pani telefonu i wezwać pomoc drogową? Pani wybaczy, ale zauważyłem panią w sklepie spożywczym i wydała mi się pani tak podobna do mojej zmarłej siostry, że bardzo chciałbym spędzić z panią jakiś czas, myśląc o niej i płacząc... czy ma pani parę wolnych wieczorów?

Najprawdopodobniej kobieta miała męża, który czekał na nią w domu, lub też miał wkrótce nadejść. Ale kiedy siedział w zaparkowanym samochodzie, nie widział nikogo, kto wchodziłby do góry schodami, prowadzącymi do frontowych drzwi. Nie było więc żadnego męża. Najwyraźniej nie było męża. Nabierał coraz większej pewności: to ja powinienem wejść tymi schodami, otworzyć te drzwi i zawołać radośnie: "Cześć kochanie, już jestem". Przekomarzać się z nią, śmiejąc się z jej torebki tak wypchanej, że nie sposób w niej znaleźć pęku kluczy na kółku o średnicy dwudziestu centymetrów, które przecież muszą ważyć co najmniej kilogram.

Cześć, jestem multimilionerem, patologicznie wręcz samotnym i tak pełnym stłumionej tęsknoty za czyimś towarzystwem, że wystarczy pomyśleć jakieś życzenie a ja w mig je spełnię, byle tylko móc pobyc z tobą przez chwilę. Czy mógłbym wejść?

Uruchomił silnik i odjechał. Było już ciemno. Przesiedział na tym parkingu niemal trzy godziny. Kiedy wrócił do swojego mieszkania, wszystkie zakupione przez niego paje nie były nawet zimne, nie mówiąc już o tym, że dawno przestały być mrożonkami. Pół godziny spędził na wyłuskiwaniu ich z foliowych talerzy, przepuszczaniu przez młynek do odpadów i spuszczeniu do ścieków. Potem udał się do Rio Grandę, gdzie siedząc przy barze nad talerzem wieprzowych tamali i butelką sangrii Penafiel ułożył plan, dzięki któremu miał dowiedzieć się kim jest ta kobieta i, co ważniejsze, zaaranżować spotkanie z nią przed końcem tygodnia.

W OGRODZIE

Pierwszą sprawą, którą adwokat Quentiną zdołał ustalić był fakt, że owa kobieta nie jest właścicielką szeregowca - jakaś firma obrotu nieruchomościami wynajmowała go pewnej grupie inwestycyjnej z Atlanty będącej właścicielem około dwudziestu domów w całym kompleksie. Wynikało z tego, że kobieta jest podnajemcą.

Tylko, że to nie była prawda. Oficjalnie dom stał pusty.

Może więc pracowała dla tej agencji nieruchomości. Jednak nikt z firmy nie wizytował mieszkania, oprócz dozorców; wśród pracowniczek nie było takiej, której rysopis odpowiadałby wyglądowi tamtej kobiety.

Może była poprzednim podnajemcą mieszkania. Może krewną poprzedniego podnajemcy? Była żona lub kochanką poprzedniego podnajemcy. Współlokatorką lub sublokatorką wcześniejszego podnajemcy?

Szeregowce były całkiem nowe. Wcześniej zamieszkiwał tylko jeden podnajemcą, czteroosobowa pakistańska rodzina, oczekująca na ukończenie budowy swojego domu w Oak Park. Nie było żadnych współlokatorów, sublokatorów, eks-małżonek ani kochanek, a jeśli nawet jakaś krewna przypominała tamtą kobietę, również nic z tego nie wynikało; nikomu nie dawali klucza, ponieważ pakistańska gospodyni cały czas przebywała w domu, drzwi więc zawsze były otwarte.

Całe dochodzenie kosztowało go około tysiąca dolarów, które musiał wydać na honoraria dla prawnika i prywatnego detektywa, lecz rezultaty śledztwa były równe zeru. Ta kobieta nie istniała. Żadna kobieta nie wchodziła po schodach, nie przekręcała klucza w zamku i nie wchodziła do środka. Nie mógł jej widzieć, gdyż to wszystko nie mogło się zdarzyć.

W sobotę pół dnia spędził na parkingu przed tamtym domem, starając się zrozumieć przyczyny swojej pomyłki. W końcu doszedł do oczywistego wniosku, że jest bardzo samotnym mężczyzną. Mężczyzną, któremu przywidziała się kobieta bardzo podobna do jego zmarłej siostry, aby mógł wyobrazić sobie jak się z nią spotyka, rozmawia i udawać przed sobą, że ma kogoś, z kim może zacząć budować życie. Najwyraźniej był już najwyższy czas, aby zacząć rozglądać się za jakąś partnerką.

Kłopot polegał na tym, że nie miał pojęcia jak się do tego zabrać. Niejednokrotnie był świadkiem scen nawiązywania znajomości przez samotne osoby w takich lokalach jak Rio Grande, Lone Star czy T.G.I. Friday's i zawsze wydawały mu się one przeraźliwie żałosne. "Często tu przychodzisz? Wyglądasz wspaniale, chociaż jeszcze nic nie piłem. Zamówić ci drinka? Pomożesz mi uczcić mój awans? Mam nadzieję, że właśnie zerwałaś z chłopakiem i nie będę musiał wyzywać go na pojedynek?" Czy takie teksty wciąż jeszcze były w użyciu? A jeśli nawet, to czym się kończyły tego rodzaju znajomości? Przygodą na jedną noc? Krótkim, acz burzliwym romanssem? Czy takie spotkanie mogło zaowocować związkiem, który przerwałby jego samotność, czy byłby tylko drobnym epizodem, zdolnym przesłonić jej symptomy na godzinkę lub dwie. Quentin wcale nie miał ochoty zawierać znajomości z kobietą w rodzaju tych, które udają się do takich miejsc w poszukiwaniu mężczyzn w rodzaju tych, którzy przychodzą w takie miejsca w poszukiwaniu kobiet.

Ale w końcu miasteczko znajdowało się tuż pod Waszyngtonem. Wszędzie dookoła co noc wydawano różnorakie przyjęcia. Quentin wiedział o tym, ponieważ kilku jego nowych partnerów obracało się w

tych kręgach... na przykład facet, który próbował założyć poważną fundację, albo ten lobbysta, pragnący porzucić swoje lobby i zająć się działalnością wydawniczą. Każdy z nich z osobna zaprosił Quentina na jedno z takich przyjęć, które uświetniają swą obecnością przeróżni kongresmani, generałowie, admirałowie i podsekretarze stanu. Odmówił im, jak to zawsze miał w zwyczaju.

Ale teraz pojechał do domu i zadzwonił do obydwu. Oba przyjęcia miały się odbyć tego samego wieczoru, jedno w Georgetown, w jakiejś drugorzędnej ambasadzie, a drugie na Chevy Chase, w domu bardzo niegdyś sławnej damy z towarzystwa.

- Będą tam głównie ludzie, którzy wciąż pną się do góry, Quentinie, - powiedział lobbysta. - W mig się zorientują, że nie jesteś człowiekiem władzy, więc pewnie reprezentujesz pieniądze. Mam nadzieję, że ci to nie będzie przeszkadzać.

- Chcesz powiedzieć, że wszyscy goście będą cynicznie szukać kogoś, kogo udałoby się jakoś wykorzystać?

- Na pewno ci, wyglądający na zaaferowanych i podnieconych. Kiedy zobaczysz kogoś naprawdę ożywionego lub rozgorączkowanego, jednym słowem, napalonego, wiedz, że ów ktoś stara się by ten wieczór przyniósł mu jak największe korzyści. Więc jeśli interesuje cię miłe towarzystwo musisz upatrzeć sobie osobę znudzoną, ale nie pijaną i najprawdopodobniej będzie to ktoś, kogo szukasz. Oczywiście ów opis odpowiada zazwyczaj czyjemuś małżonkowi lub czyjejś małżonce, czyli komuś, że tak powiem, spoza układu. Osoby takie najczęściej są nie tylko znudzone, ale także nudne. I w dodatku całkowicie oddane swoim partnerom.

- Chciałbym po prostu zobaczyć jak wyglądają takie przyjęcia. W co mam się ubrać?

Pierwsze przyjęcie było zwykłym koktajlem przed kolacją, a przyszły prezes fundacji nie był na tyle ważną osobą, by zdobyć dla Quentina miejsce przy stole, co mu wcale nie przeszkadzało, gdyż miał przecież w planie jeszcze jeden bankiet. Pierwsze przyjęcie okazało się absolutną klapą - większość zaproszonych stanowili agresywni karierowicze lub, co gorsza, osoby, które właśnie zaczynały wypadać z gry, desperaci, usiłujący odzyskać utracony prestiż. Quentin liczył wszystkie afronty, jakich doznał od gości, aż w końcu zabrakło mu palców, więc skupił się na wyśmienitych zakąskach, unikając jak ognia "koktajlowych bufonów".

Na drugim przyjęciu było o wiele przyjemniej. Według oceny Quentina gospodyni trzymała się znakomicie. Jeśli już ktoś stracił urok i podupadł, to raczej waszyngtońska socjeta, gdyż wielka dama wciąż miała w sobie coś z przedwojennej elegancji. I to nie tej sprzed drugiej wojny światowej. Raczej jeszcze sprzed pierwszej. Czy atmosfera tamtych cudownych czasów mogła jeszcze przetrwać w jej domu? Czasów, kiedy podsekretarze bez wyjątku wywodzili się ze znakomitych i zamożnych rodzin, a swoją służbę dla kraju traktowali raczej jako obywatelski obowiązek, niż jako kolejny szczebel w karierze? Atmosfera dawnych lat panowała przynajmniej przez pierwszą godzinę przyjęcia. Potem jednak zauważył, że jego partner miał rację. Nawet w tym szacownym, nieco staroświeckim gronie, widziało się takich, którzy starali się nieco zbyt usilnie oraz takich, którzy zachowywali zbyt wielki dystans. Status i pozycja były tu równie ważne, jak na poprzednim bankiecie, tyle że tam demonstrowane z ostentacyjną wręcz brutalnością.

Mógłbym być taki sam jak ci ludzie, pomyślał Quentin. Gdybym przypadkiem nie zdobył góry pieniędzy dzięki temu, że z powodzeniem zajmowałem się programowaniem dokładnie w czasie, kiedy działalność ta przyniosła niczego nie spodziewającym się maniakom, prawdziwą lawinę forsy. Mógłbym być kimś spoza, pragnącym znaleźć się w środku, albo kimś z dołu, spoglądającym na szczyt. Teraz jestem, rzecz jasna, poza układem, ale i ponad nim, patrząc na wszystko z góry. Nie potrzebuję niczego, co ci ludzie mogliby mi zaoferować. To ,czego szukam, w ogóle nie zaprzęta ich myśli. Niektórzy z nich być może mają to, czego szukam, ale wcale tego nie szanują i nie boją się stracić: kochającą małżonkę lub małżonka, którego miłość uważa się za coś, co się słusznie należy, którego można ignorować, ranić, a nawet porzucić w nieprzerwanej, gorączkowej wspinaczce do góry. Kątem oka dostrzegł kilka takich osób -kobiet, które najwyraźniej źle się czuły w swych najnowszych strojach od najmodniejszych kreatorów, kobiet, które, podobnie jak mama Quentina, na co dzień udzielały się społecznie gdzie tylko mogły, ale tutaj zajmowały się roznoszeniem tac z herbatnikami. Na tym przyjęciu nic nie było dla nich. Nawet ich mężowie. Oni byli tu, ale nie dla nich.

Przechadzając się po domu, natknął się na wielką bibliotekę z wysokim sufitem i z drabinką przymocowaną do szyny, dzięki czemu można ją było przesuwać dookoła pomieszczenia. Quentin widział takie biblioteki tylko na filmach, toteż nie mógł się oprzeć pokusie by wspiąć się na drabinkę. Wyciągnął na chybił trafił jakąś książkę z najwyższej półki.

- Dobrze, może pan ją pożyczyć, ale proszę nie wyjmować mojej zakładki.

Quentin obrócił się, by zobaczyć skąd dochodził ten silny jeszcze, ale znamionujący podeszły wiek, kobiecy głos i omal nie stracił punktu oparcia.

- Niech pan tylko nie spada, bardzo pana proszę. Majątek rodzinny nie wytrzymałby kolejnego procesu o odszkodowanie. Dlatego między innymi musiałam zerwać z rozsiewaniem plotek.

To była gospodyni. Quentin odłożył książkę na miejsce i zszedł na dół.

- Nie miałem zamiaru grzebać w pani rzeczach - tłumaczył się. - Po prostu nigdy w życiu nie wspinalem się po drabince bibliotecznej.

- A ja jestem już za stara na takie wyczyny - powiedziała kobieta. - Dlatego właśnie mój służący wkłada wszystkie kryminały na górne półki, żebym przez pomyłkę nie przeczytała któregoś po raz drugi i nie poczuła się zawiedziona, kiedy pod sam koniec zdam sobie sprawę, że przecież już znam całą historię. Tyle, że i tak mi się to zdarza, nawet z zupełnie nowymi książkami. Wszystko czytałam. Wszystko widziałam. Wszystkich poznałam. Wszystkich podejmowałam drogimi alkoholami i wiem, że wszyscy wyglądają tak samo.

- Ile razy miała pani okazję poznać mnie? - spytał Quentin. Zauważył, że jak zwykle bezwiednie dostosowuje się do stylu, który rozmówcy wydaje się najbardziej odpowiedni. Obecnie należało być uprzejmym, okazywać żartobliwy dystans wobec własnej osoby, nacierać i ripostować, ale tak, by nie polala się krew. W jego postawie nie było nic z wyrachowanej analizy, po prostu podświadomie wpadał w rolę.

- Co my tu mamy? - przyjrzała mu się. - Samotny, znudzony, ma nadzieję spotkać kogoś, ale nie wierzy, że jest wystarczająco dobrym partnerem dla kogokolwiek.

- Och, jestem wystarczająco dobry - odezwał się Quentin. - Mężczyzna, po trzydziestce, ani śladu brzucha, wszystkie włosy na swoim miejscu, zdrowe zęby, no i forsa.

- Ale nie ma pan wcale ochoty na kobietę, która szukałaby kogoś według takiej listy, czy nie mam racji?

- Domyślam się więc, że to pani jest tą, której szukam.

- Ja? Pan raczy żartować. Wysłałam za mojego męża dla pieniędzy i od tego czasu całkiem nieźle dawałam sobie radę z trzymaniem się ich, pomimo rosnących podatków, recesji, inflacji oraz tych wszystkich ludzi, którzy podtykają pod nos fotografie głodujących dzieci, zanim pozwolą odmówić złożenia datku na ich organizację charytatywną.

- Czy on wiedział, że wychodzi pani za niego dla pieniędzy?

- Mój drogi panie, w tamtych czasach uczciwym ludziom nie przyszłoby do głowy, że można brać ślub z innego powodu. Moja rodzina to były stare pieniądze, zaś jego nowe. Moja rodzina miała większy prestiż, zaś jego miała więcej zer po dwójce i czwórce. Jego mama bardzo chciała tego związku, żeby móc zapraszać lepszych gości na swoje przyjęcia, ja zaś mogłam dzięki temu zapewnić moim siostrze życie na poziomie, do jakiego były przyzwyczajone, aż do czasu kiedy same powydawały się za mężczyzn o wiele bogatszych niż mój Jay. Wszyscy na tym zyskali.

Nie miał pojęcia, że wciąż jeszcze żyli na świecie ludzie, jakby żywcem wyjęci z powieści Jane Austen.

- Kochała go pani?

- Jay'a? Myślałam, że nie, dopóki nie zaczął romansować ze swoją sekretarką podczas wojny. Wtedy przez jakiś czas byłam o niego zazdrosna jak wariatka i brałam to za oznaki miłości. Potem jego libido nieco się wyciszyło i przez kilka lat razem uprawialiśmy ogród, zanim gdzieś około sześćdziesiątki nie dopadła go choroba Alzheimera, przez którą straszliwie zmizerniał i w końcu umarł. Myślę, że właśnie wtedy, przez te kilka lat spędzonych w ogrodzie, kochałam go. Moje doświadczenie mówi mi, że było to coś zupełnie nieprzeciętnego. Nie każdy ma szczęście spędzić takie lata w ogrodzie.

- Ja nawet nie mam ogrodu.

- My też nie mieliśmy, dopóki go razem nie założyliśmy. - Uśmiechnęła się, ale czuł, że chwila intymnych zwierzeń minęła. Jego rozmówczyni była gotowa ruszyć dalej do swych obowiązków. Chciał jej to ułatwić.

- Czuję się winny. Najwyraźniej monopolizuję gospodynię. Przyjrzała mu się przez chwilę, jakby w myślach poddając go ostatecznej ocenie.

- Na tylnej werandzie pewna młoda, inteligentna kobieta przygląda się poskręcanej wiśni, która od lat nie owocuje, ale którą nadal trzymam ponieważ Jay i ja razem ją posadziliśmy i kiedyś mnie pod nią pocałował. To magiczne miejsce, a ja właśnie przechadzałam się pośród gości szukając kogoś, kogo mogłabym posłać, by dołączył do tamtej dziewczyny.

- Długo panią zagadywałem, więc wątpię, czy ona jeszcze tam czeka.

- Powiedziałam jej, że jeśli odejdzie stamtąd zanim pan tam przyjdzie, nigdy więcej nie zostanie wpuszczona do mego domu.

- Powiedziała jej pani, że przyśle pani mnie? Ale przecież nawet mnie pani nie zna.

- Powiedziałam jej, że przyślę pewnego młodego mężczyznę, dla którego powinna być miła ze względu na mnie, gdyż najwyraźniej czuje się samotny na moim przyjęciu.

- Czy naprawdę było to aż tak widoczne?

- Nie. Ale na moich przyjęciach zawsze jest jakiś samotny, młody mężczyzna. Młodzi mężczyźni z natury są samotni. Czy myślał pan, że jest wyjątkowy?

- Więc jest pani swatką.

Odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi, wolnym krokiem, ale jednocześnie szybko oddalając się od niego.

- Mam ogród, który rzadko bywa używany, to wszystko. Jeśli to panu odpowiada, będzie pan spełniał funkcję pokarmu dla roślin - powiedziała znikając w tłumie gości.

Młoda kobieta czekała w ogrodzie, zgodnie z obietnicą gospodyni. Przez chwilę, gdy patrzył na nią od tyłu, wydało mu się, że ją zna. Przez głowę przebiegła mu szalona myśl, że to może być ona, kobieta, którą widział w sklepie, a potem przed drzwiami szeregowca. Ale kiedy dziewczyna obróciła się, zauważył, że jej włosy mają rudawy odcień, a jej twarz w niczym nie przypomina twarzy Lizzy, ani nawet twarzy tamtej kobiety, choć mimo to wydawała się bardzo miła. Znudzona, ale miła.

- A więc to pan jest tym samotnym młodym człowiekiem? - spytała.

- A pani jest tą, która ma mnie rozruszać? - spytał Quentin.

- Nie wytrzymałaby, gdyby nie spróbowała skojarzyć jakiejś pary. Jednak niektóre rzeczy wylatują jej z pamięci. Na przykład to, że już po raz trzeci wysyła mnie pod tę wiśnię.

- Domyślam się, że dwa pierwsze razy były nieudane?

- Na jedno ze spotkań nie mogę narzekać. Nie poznałam mężczyzny mego życia, ale za to znalazłam kandydata do Kongresu z Philadelphii.

- Stamtąd pani pochodzi?
- Nie, to on stamtąd pochodził. Pracuję jako łowca głów, panie...
- Fears.
- Och, to brzmi niebezpiecznie. Albo przynajmniej groźnie.
- Istotnie brzmi to jak "fierce" ale pisze się FEARS.*
- Co za interesująca sprzeczność - powiedziała. - Na piśmie jest pan nieśmiały, wypowiedziany - brzmi pan zatrważająco.
- Niestety, nie jestem kandydatem na żadne stanowisko.
- Ani ja - odparła. - Dziś nie pracuję. Jestem tu ze względu na pamięć o dawnych, dobrych czasach. Uwielbiam naszą *grande dame*, jej ogród, a także jej upodobanie do swatania. Musiałam przyjść na jeszcze jedno jej przyjęcie przed wyjazdem.
- Czyżby wielki świat stracił dla pani swoje uroki?
- Na to wygląda - odpowiedziała. - Obie partie wydają mi się zbyt przeideologizowane. Wciąż upierają się, aby nominować do prezydentury jakichś okropnych facetów tylko dlatego, że mają właściwe poglądy na kluczowe zagadnienia. Nie obchodzą ich tacy kandydaci, jakich ja lubię znajdować.
- To znaczy jacy?
- Zrównoważeni. O otwartych umysłach. Ambitni, lecz przestrzegający reguł. Rozsądni. Telegeniczni i tacy, na których chętnie się głosuje, ale jednocześnie wystarczająco pracowici, bystrzy i uczciwi, bym mogła czuć się dumna, że pomogłam im w starcie do kariery.
- To naprawdę była pani praca? Wyszukiwanie kandydatów?
- Zawsze byłam zdania, że najlepsi kandydaci na stanowiska publiczne to ludzie, którzy nigdy nie myśleli o sobie jako o osobach piastujących takie stanowiska. Ktoś musi sprawić, by połknęli bakcyła.
- Więc co będzie pani teraz robić?
- Szczerze powiedziawszy, nie mam najmniejszego pojęcia.
- Ale skoro wybrała pani tylu kandydatów, na pewno niejeden z nich pomoże pani gdzieś się zaczepić...
- Prawdę mówiąc, panie Fears, jedynym kandydatem jakiego kiedykolwiek znalazłam był ów facet, którego poznałam pod tym drzewkiem, ale wycofał się z wszystkiego po jednej kadencji. Tak

naprawdę to nie był mój zawód, bo nikt mi za pracę nie płacił. To było moje... powołanie.

- A jaki jest pani zawód?

- Urzędniczka średniego szczebla. Ale mam ładną twarz i dobrze wyglądam w wieczorowym stroju, więc często bywałam zapraszana na przyjęcia przez różnych szefów, którzy potrzebowali partnerki dla jakiegoś gościa z zewnątrz, ale wszystko odbywało się uczciwie, zapewniam pana. Zawsze miałam oczy szeroko otwarte, wierząc że znajdę takiego kandydata na dane stanowisko, na którego będę mogła głosować z czystym sumieniem. Moim marzeniem było znalezienie kogoś odpowiedniego na fotel prezydenta.

- Ale już pani porzuciła te marzenia?

- Partie są kontrolowane przez krzykaczy z lewa i z prawa. W tym mieście moje marzenia nie mogą liczyć na spełnienie -zadrzała, chociaż noc była ledwie chłodna. - Sama się sobie dziwię, że aż tyle panu mówię. Na ogół nigdy z nikim o tym nie rozmawiam. Myślę, że został pan wybrany, aby wysłuchać mego łabędziego śpiewu.

- Jestem bardzo ciekawy, dlaczego pani marzenia związane są przede wszystkim z polityką.

W spojrzeniu kobiety dostrzegł wyraz pewnego rozdrażnienia i po chwili poczuł na ramieniu mocny uścisk jej dłoni.

- Ponieważ ja kocham władzę, panie Fears. Władzę sprawowaną mądrze i dobrze, władzę sprawowaną po to, by ludzie czuli się bardziej wolni, bardziej bezpieczni i bardziej szczęśliwi. Kocham władzę dla niej samej, chociaż każdy normalny człowiek powinien udawać, że wcale tak nie jest. Tak jakby ktokolwiek, kiedykolwiek mógł przybyć do tego barbarzyńskiego miasta z jakiegokolwiek innego powodu.

- Dlaczego więc pani sama nie postara się o jakieś stanowisko? - spytał Quentin.

Uśmiechnęła się.

- Wyborcy nigdy nie traktują poważnie pięknych kobiet. Nie jest pani znowu aż taka piękna, omal nie wyrwało się

Quentinowi.

Kobieta zaśmiała się, jakby usłyszała jego myśli.

- Jestem telegeniczna. Kamery i aparaty fotograficzne po prostu mnie uwielbiają. Powinien pan zobaczyć moje prawo jazdy. Albo zdjęcie w szkolnym tableau. Przysięgam panu, że na żadnym zdjęciu nie udaje mi się wyjść źle. To jakieś przekleństwo. Przy osobistym kontakcie wydaję się dużo mniej atrakcyjna.

Quentin zaśmiał się i po raz pierwszy od dwudziestu lat poczuł, że w jego wnętrzu puszczają jakieś węzły, których istnienia nawet nie podejrzewał.

- Do diabła - powiedział. - Szkoda, że nie widziałem pani zdjęcia zanim panią spotkałem.
- Nie, tak jest lepiej. Inaczej czułby się pan zbyt onieśmielony.
- Teraz już musi mi pani pokazać swoje prawo jazdy. Wzruszyła ramionami, otworzyła małą, wieczorową torebkę i wyjęła z niej laminowany arkusik. Spojrzał na dokument ustawiając go tak, by światło księżycy padało na zdjęcie.
- Czy nie pomyłę się jeśli zauważę, że na tej fotografii robi pani okropnego zeza?
- Za pierwszym razem dałam zdjęcie z wywalonym językiem, ale kazali mi zrobić nowe. Bardzo się złościłi.
- To chyba najbrzydsze zdjęcie w prawie jazdy, jakie kiedykolwiek miałem okazję widzieć.
- Naprawdę pan tak uważa? - spytała. - Czy widział ich pan tak wiele, czy tylko pan tak mówi?
- Ciekawe co było na fotce w szkolnym tableau, trzymała pani palec w nosie?
- Miałam kilku przyjaciół, w grupie, która zajmowała się przygotowaniem tableau. Udało im się podłożyć moje zdjęcie zrobione od tyłu. Widać na nim tylko mój kark i włosy w papilotach. Biedacy, mieli mnóstwo kłopotów, dopóki moi rodzice nie uwierzyli, że to ja sama wszystko wymyśliłam.

Według danych w prawie jazdy nazywała się Madeleine Cryer.

- Panno Cryer - zaczął, pragnąc wybadać czy istnieje jakaś szansa na ponowne spotkanie.
- Niech mi pan mówi Madeleine.
- W takim razie pani niech mówi do mnie Quentin.
- Czy to twoje imię?
- Tak.
- Jak to zniosłeś? To przecież straszne imię, zwłaszcza kiedy ktoś nosi już takie dziwaczne nazwisko. Czyżby rodzice cię nie kochali? Czy w szkole nie byłeś chłopcem do bicia?
- Wszyscy wołali na mnie Quen.
- Quentin. Czy to nie jest nazwa jakiegoś więzienia?
- Ktoś niedawno pytał mnie, czy to imię nadano mi na cześć faceta, który nakręcił Pulp Fiction. Chociaż ten gość musi być o jakieś piętnaście lat młodszy ode mnie.
- Muszę cię nazwać jakoś inaczej. Na przykład Tin. Będę cię nazywać Tin.

To przezwisko wymyśliła Lizzy. Kiedy usłyszał jak wypowiada je ta kobieta, aż wstrzymał dech z

przejęcia.

- Nie bądź na mnie zły - powiedziała. - Nie powinnam żartować z twojego imienia.

- Nie jestem zły... Mad.

- Tak, myślę, że skoro ja nazywam cię Tin, ty możesz do mnie mówić Mad. - Uniosła pytająco brew. - Bo mogę cię nazywać Tin, prawda?

- Pod warunkiem, że umówisz się ze mną na kolację. Masz czas w poniedziałek?

- Chciałam jutro polecieć do domu.

- A gdzie jest ten dom? - spytał.

- Stara rodzinna posiadłość leży daleko stąd nad rzeką Hudson. Zazwyczaj lecę do Newark. Już wysłałam do domu większość moich rzeczy. Nie było tego zbyt wiele. Żyję lekko, podróżuję bez bagaży.

- Nad rzeką Hudson. Nie znam tam żadnej dobrej restauracji. Będziesz musiała wybrać sama.

- Och, nie żartuj. Nie będziesz tam leciał tylko po to, żeby zjeść ze mną kolację.

- Czy to przesada?

Przez chwilę przyglądała się jego twarzy, być może próbując wykryć, czy w jego słowach nie kryje się czasem ironia.

- Jesteś słodki.

- W mojej dawnej klasie wygrałem w głosowaniu na "chłopaka, z którym twoja mama najchętniej pozwalałaby ci się umawiać na randki".

- Myślę, że jesteś kimś, z kim moja mama rzeczywiście najchętniej pozwalałaby mi się umawiać na randki. Oczywiście, babcia by się nie zgodziła, ale kto by się nią przejmował?

- Poznaj mnie z twoją babcią, a obiecuję ci, że podbiję jej serce.

Uśmiechnęła się lekko i odwróciła wzrok.

- Może wcale jutro nie polecę.

- Ale jeśli już odesłałaś swoje rzeczy do domu...

- Mówiłam ci już: żyję lekko, podróżuję bez bagaży. Gdzie chcesz mnie zabrać na kolację?

- Jestem tu dopiero od niedawna. Mieszkam w Herndon. Lepiej ty wybieraj.

- A jakim budżetem dysponujesz? Bo to ty będziesz płacił, wiesz?
- Myślę, że starczy mi przynajmniej na jeden dobry obiad w naprawdę ładnym miejscu.
- Nawet nie wiem czym się zajmujesz.
- Właśnie zmieniam pracę, ale w poprzedniej udało mi się zgromadzić pewne oszczędności.
- Jeśli na serio myślisz o jakimś naprawdę ładnym miejscu, to niedaleko Herndon jest taka francuska restauracja. Cośtam-cośtam Chez François. Tuż nad Potomakiem. Nigdy tam nie jadłam, ale słyszałam, że jest dobra. To ten rodzaj lokalu, w którym strzepują okruszki z obrusa pomiędzy kolejnymi klientami.
- Ho-ho! - zawołał Quentin - Czy to oznaka jakiejś kategorii?
- Daj mi swój numer, zadzwonię do ciebie kiedy zarezerwuję stolik.
- Sam się tym mogę zająć - powiedział Quentin, zapisując numer swojego miejscowego telefonu na wizytówce.
- Ale ja nie mam zamiaru dać ci mojego numeru i wtedy co zrobisz z zarezerwowanym stolikiem?
- Zaproszę twoją babcię - wręczył jej wizytówkę.
- Obecnie nie mam telefonu, a nie wiem jeszcze u jakiej przyjaciółki się zagnieżdżę jeśli jutro nie polecę do domu. Wcale nie chcę być nieuprzejma. Obiecuję, że zadzwonię.
- Już gdzieś to słyszałem.
- Na pewno nie - przerwała mu Mad. -To kwestia zarezerwowana dla facetów, tak więc nie mogłeś jej słyszeć. Nie myślę też, żebyś kiedykolwiek ją wypowiadał.
- Czy naprawdę wyglądam na takie niewiniątko? Leciutko dotknęła jego policzka.
- Myślę, że jesteś słodki.
- Ale nie mam władzy.
- Mówiłam ci - władza to moje marzenie. A ty jesteś prawdziwy.

Odwróciła się i odeszła od niego.

- Może cię podrzucić do domu? Czy tam, gdzie masz zamiar zagnieździć się tej nocy?

Ale ona szła dalej, jakby go nie słyszała. Zrobił kilka kroków za nią, potem pomyślał, że może lepiej nie iść za nią, potem znowu się zastanowił i w końcu ruszył za nią, tyle tylko, że dziewczyna zdążyła już przecisnąć się przez tłum i nie można jej było znaleźć w całym domu, chociaż szukał na

wszystkich piętrach.

Oczywiście nie miała zamiaru dzwonić do niego, dobrze o tym wiedział. Mimo wszystko, te pół godziny, spędzone w jej towarzystwie pod starym wiśniowym drzewkiem, które już nie zakwitało, wydało mu się wspaniałą chwilą. Być może wcale nie była podobna do Lizzy, tak jak ta kobieta z jego przywidzenia, ale ich przekomarzanie się do złudzenia przypominało mu wspaniałe, swobodne pogawędki z siostrą. Po raz pierwszy w życiu naprawdę cieszył się z czasu spędzonego w towarzystwie kobiety. Okazało się, że jest to możliwe. To było odkrycie tego wieczoru. Mógł więc żywić nadzieję, że znajdzie kogoś dla siebie. Na świecie najwyraźniej istniało wiele interesujących kobiet, a wśród nich były i takie, które on mógł zainteresować, nie tylko ze względu na posiadane pieniądze, ale jako miły towarzysz. Wcale nie chciał być zawiedziony spotkaniem, które nie doprowadziło do niczego. Wystarczyło, że Madeleine Cryer otworzyła drzwi, których nikomu wcześniej nie udało się otworzyć.

A nazajutrz, w niedzielne popołudnie, ona rzeczywiście zadzwoniła. Wieczorem zjedli razem kolację. Następnego dnia w porze lunchu, zrobili sobie piknik przy Wielkim Wodospadzie na Potomaku. Poruszyli delikatną kwestię pieniędzy, wyznając sobie nawzajem, że żadne z nich nie może narzekać na ich brak. Jej fortuna była dużo starsza, jego znacznie większa, ale to nie stanowiło żadnej przeszkody. Jeszcze tego samego popołudnia Quentin zakupił dla nich obojga angielskie "kolarki" i następnego ranka przejechali cały szlak rowerowy od Purcellville do Mount Vernon, a gdy już dotarli do końca, zlany potem podszedł do niej na miękkich nogach i spytał, czy wyjdzie za niego, na co padła odpowiedź "tak", pod warunkiem, że nigdy w życiu nie każe jej jechać rowerem na tak daleką wyprawę.

INTERCYZA

Wydawało się, że wszystko idzie znakomicie. Chociaż wciąż gdzieś w głębi serca czaiły się lekkie obawy związane z incydentem, od którego wszystko się zaczęło - kiedy zmarła siostra przywidziała mu się jako dorosła kobieta - ale z chwilą gdy Madeleine wkroczyła w jego życie, Quentin zaczął zdawać sobie sprawę, jak bardzo był nieszczęśliwy przez te wszystkie ostatnie lata. Wystarczył

drobny gest, jej uśmiech, jej dłoń spoczywająca na jego dłoni, a czuł wewnętrzne ciepło, na twarzy pojawiał się głupkowaty uśmiech i zaczynał przytakiwać wszystkiemu co słyszał, myśląc sobie: To wspaniałe! Inni ludzie dawno to odkryli i przez tyle lat, chcieli mi o tym powiedzieć! Teraz wiem, co sprawiło, że moi rodzice byli w stanie przetrwać śmierć córki, a potem przemianę ich syna w odludka-włóczęgę. Łączyło ich bowiem coś, co ja dopiero teraz poznaję, ta sekretna więź, której nie sposób dostrzec patrząc z zewnątrz, ponieważ można ją zrozumieć tylko wówczas, jeśli samemu tworzy się z kimś taki związek, i wtedy wszystko jest jasne, świat zmienia się całkowicie, jak wtedy kiedy po raz pierwszy zakładasz okulary i wreszcie wyraźnie widzisz wszystkie znaki drogowe i szyldy, rozpoznajesz ludzi już z daleka i wyodrębniasz wzrokiem poszczególne ptaki w przelatującym po niebie stadzie; przynajmniej tak właśnie odczuwał Quentin i nie miał nic przeciwko temu, by uczucie owo towarzyszyło mu do końca życia.

Poleciał do San Francisco, gdzie miał umówione spotkania kontrolne z kilkoma współnikami. Po zakończeniu wizytacji wstąpił do swojego adwokata, Wayne'a Reada, aby zlecić mu wprowadzenie w testamencie i polisach ubezpieczeniowych wszelkich zmian, związanych z zawarciem małżeństwa.

- Czy ona ma swojego adwokata? - spytał Wayne.

- Nie wiem.

- Czy ma jakieś pieniądze? Majątek?

- Nie wiem.

- Muszę wiedzieć czy mam jednostronnie spisać intercyzę, czy negocjować ją z innym adwokatem, a także czy ona ma jakiś majątek, który taka umowa miałaby chronić, czy mam się zająć jedynie ochroną twojego majątku.

Quentin był rozdrażniony.

- Nie potrzebuję chronić mojego majątku. Kiedy będziemy małżeństwem, wszystko stanie się naszym wspólnym majątkiem.

- Jak długo ją znasz? Półtora tygodnia?

- Ale czekałem na nią przez całe życie! Adwokat przyjrzał mu się uważnie.

- To żart - powiedział Quentin.

- Nieprawda, mówiłeś serio - stwierdził Wayne. - Posłuchaj, jestem twoim adwokatem od czasu, kiedy w ogóle stać cię na jakiegokolwiek prawnika. Wiem, że przez całe życie byłeś straszliwie samotny. Obecnie zakochałeś się i nie chcesz uwierzyć, że może zdarzyć się coś niedobrego. Ale przez te wszystkie lata płaciłeś mi za to abym był przyjacielem, który zawsze będzie mówił ci prawdę. Przyjacielem, który nie zatai przed tobą żadnych złych wieści.

- Przyjacielem, który bierze ode mnie trzysta dolców za godzinę.

- Przyjacielem, którego zadaniem jest wiedzieć więcej o świecie, niż ty sam i uchronić cię przed wplątaniem się w jakiś naprawdę śmierdzący interes.
- Mówiąc w przenośni.
- Trzeba ci wiedzieć, że czasem ludzie są zupełnie inni, niż się wydają na pierwszy rzut oka.
- Wiem o tym, Wayne.
- Niestety nie, Quen. Ponieważ ty jesteś dokładnie taki, na jakiego wyglądasz, zawsze zakładasz, że z innymi rzecz ma się podobnie.
- Miałem kilku partnerów, którzy mnie oszukali.
- Którzy próbowali cię oszukać. Umowy, które z nimi w twoim imieniu zawierałem były tak sprytnie skonstruowane, że nie mogło im się to udać.
- Udało im się jednak zostać z forszą.
- Sam tego chciałeś. Nigdy nie pozwoliłeś mi ich pozwać, albo oskarżyć o przestępstwo.
- To były tylko pieniądze.
- Wcale nie. One stały się tylko pieniędzmi, kiedy tamci wyciągnęli je od ciebie. Kiedy ty je miałeś były czymś więcej. Były dobrym ziarnem. Miały w sobie moc dawania życia. W twoich rękach pieniądze pomagają wielu rzeczom wzrastać. W ich rękach zamieniały się w nowe samochody, telewizory, wystawne obiady w drogich restauracjach. Zniknęły i nie powstało z nich nic wartościowego.
- Chodzi mi o to, że nie potrzebuję żadnej intercyzy chroniącej moje pieniądze. Gdyby Madeleine okazała się oszustką, albo gdyby małżeństwo z nią stało się piekłem, nie wydaje ci się, że to właśnie będzie dla mnie dużo bardziej bolesne niż umoczenie paru baniek w jakimś żalonym procesie rozwodowym? Jeśli stracę kobietę, którą kocham, to co mi po forsie?
- Mówisz tak tylko dlatego, że nigdy nie miałeś okazji stracić ani kobiety, ani forsy. Zranione serce wcześniej czy później się zablizni. Ale stracona fortuna pozostaje stracona na zawsze.
- Zawsze mogę wrócić do pracy. W końcu jestem fachowcem, którego niejedna firma chciałaby mieć u siebie.
- Te czasy już minęły, Quen. Teraz mamy czasy Pentium i Power PC-tów. Wszystko jest programowane w C. Ty się na tym zupełnie nie znasz.
- Ona się ze mną nie rozwiedzie, a poza tym wcale nie chodzi jej o moje pieniądze. Czy możemy przejść do sprawy, z którą tutaj przyszedłem?

Zajęli się więc tą sprawą, co nie zabrało im zbyt wiele czasu. Ustalili, że nowy testament nabierze

mocy w dniu uprawomocnienia się małżeństwa, a ponadto Madeleine zostanie wpisana do jego polis jako główna uposażona, na równi z jego rodzicami.

Wayne wstał zza biurka.

- Gratuluje ci twojego szczęścia, Quentinie. Prawdziwa miłość zdarza się bardzo rzadko.

Quentin także wstał i uścisnął wyciągniętą rękę.

- Mam nadzieję, że za te mądrości nic mi nie doliczasz. Wayne zaśmiał się sucho.

- Skoro i tak nie zwracasz na mnie uwagi, zadam ci naprawdę okropne pytanie: Czy widziałeś jej wyniki testów na HIV?

Quentin cofnął dłoń.

- Wayne, ty masz się zajmować moimi interesami, a nie życiem erotycznym.

- No dobra, dajmy spokój testom na HIV, ale przynajmniej powiedz mi, czy się właściwie zabezpieczyłeś?

- Wayne, zwracam ci uwagę, że już dawno przekroczyłeś granicę przyzwoitości.

Na twarzy adwokata nie było widać ani śladu skruchy czy zmieszania. Wciąż patrzył na niego, czekając na odpowiedź.

- Ale dla twojego spokoju powiem ci - odezwał się w końcu Quentin - że Mad i ja jeszcze ze sobą nie spaliśmy.

Wayne wyglądał na prawdziwie wstrząśniętego.

- Ty chyba żyjesz poza czasem.

- Lata sześćdziesiąte nigdy nie przewróciły mojego domu do góry nogami, więc i dziewięćdziesiąte nie są w stanie niczym mnie przestraszyć.

- Więc nigdy nawet nie próbowałeś się z nią przespać?

- Wayne, wydaje mi się, że to najwyższa pora abys się zamknął - Quentin wciąż się uśmiechał, ale sytuacja była napięta.

- Pewnie już się zastanawia, czy czasem nie jesteś gejem. Quentin zatrzymał się w drzwiach i powiedział:

- Możesz sobie myśleć, że jesteś moim płatnym przyjacielem, ale dla mnie jesteś po prostu adwokatem. Wszystkie moje interesy to także twój interes. Ale o tym, co dzieje się w moich spodniach wiem tylko ja sam i gość z pralni chemicznej.

- Małżeństwo to rodzaj umowy, Quentinie. A w moim interesie leży ostrzec cię, kiedy chodzisz pijany na skraju urwiska. W każdym razie, wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia. Jestem pewien, że będziesz bardzo szczęśliwy.

Wychodząc z gabinetu, Quentin zadbał o to, by drzwi zamknęły się z lekkim trzaśnięciem.

Ale Wayne powiedział to, co powiedział i Quentin nie mógł uwolnić się od jego słów. W końcu rzeczywiście były lata dziewięćdziesiąte. Nie czuł się aż tak wyobcowany ze świata, żeby nie wiedzieć jak bardzo wszystko się zmieniło od czasu, kiedy chodził do szkoły średniej, a jego kumple musieli sporo się natrudzić, żeby móc trzymać dziewczynę za rękę, nie mówiąc już o całowaniu. Wiedział wszystko co trzeba o rewolucji seksualnej, o opryszczkach i o AIDS. Tyle że przedtem zjawiska te nie miały nic wspólnego z jego życiem, gdyż należał do grzecznych dzieciaków, które nigdy nie sprawiały kłopotów swoimi wybrykami. Ale Madelaine? To było nie do pomyślenia, żeby kobieta w jej typie, w tych czasach nie otrzymywała licznych propozycji od różnych facetów. Czy, i jak odpowiadała na te propozycje? Pamiętał jak pięć lat wcześniej słyszał w radiu, że sypiając z kimś, sypia się również ze wszystkimi jego poprzednimi partnerami. Z iloma facetami Madeleine spędziła noc zanim się spotkali? Do czasu rozmowy z Waynem Readem, Quentin zakładał, że Madeleine jest dziewczcą, tak jak on prawiczką. Kiedy się jednak nad tym zastanowił, doszedł do wniosku, iż dotąd przyjmował niemal za pewnik, że wszystkie sympatyczne kobiety są dziewczcami.

Wayne miał rację, Quentin żył poza czasem.

To wszystko zakrawało na absurd. Czy takie same prawa nie stosowały się do obojga płci? Gość zamartwiający się, czy aby na pewno jego narzeczona jest dziewczcą musiałby uchodzić za hipokrytę, gdyby sam miał na koncie kilka przygód.

Ale nie była to tylko kwestia byłych partnerów czy ewentualnych chorób, którymi można się zarazić podczas stosunku. Quentin po prostu w ogóle nie bardzo orientował się w tych sprawach. W każdym sklepie na stojaku z prasą można było znaleźć czasopisma, zamieszczające artykuły o technikach gwarantujących zaspokojenie kobiety przy każdym intymnym zbliżeniu, ale Quentin nigdy w życiu nie przeczytał żadnego z nich. Czy Mad spodziewała się po nim, że będzie znał te wszystkie techniki? Czy one naprawdę były tak niezawodne, jak zachwalano? Czy trudno je było opanować? Byłoby niezwykle romantycznie, gdyby podczas nocy poślubnej co chwila musiał przerywać karesy, by skonfrontować prawidłowość swych zabiegów z opisem w podręczniku.

Do najbliższego samolotu zostało mu jeszcze parę godzin. Zamiast zwrócić wynajęty samochód pojechał dalej autostradą wzdłuż brzegu zatoki, a następnie zjechał do centrum handlowego Hillsdale Mall, planując zakupić tam poradnik jak być niezawodnym kochankiem - wiedział, że w każdej szanującej się amerykańskiej księgarni musi znajdować się przynajmniej kilka książek na ten temat. Ale ku jego rozczarowaniu Hillsdale było jedynym kompleksem handlowym w całych Stanach, w którym nie było ani jednej księgarni.

Dopiero w jednym z kiosków na lotnisku zauważył najnowszy numer *Cosmopolitan*, w którym obiecywano wyjaśnić jak kobieta może zaspokoić fantazje mężczyzny, ale przecież niezupełnie o to mu chodziło. Lecąc na wschód próbował skupić się na filmie, ale dał za wygraną i spróbował zasnąć, a gdy i to się nie udało, usiłował przypomnieć sobie rozmowy chłopaków w szatni szkoły

średniej, albo z czasów studenckich w Berkeley, na początku lat siedemdziesiątych, oraz odpowiednie urywki z filmów i programów telewizyjnych. Wiedział, że dotykanie piersi miało wielkie znaczenie. Ale nie wiedział czy dla faceta, czy dla babki, czy też dla obojga?

Siedział na fotelu zlany zimnym potem, jakby zbudził się z koszmarne snu, w którym nagle znalazł się na scenie i miał wypowiedzieć jakąś ważną kwestię, tyle że nie pamiętał co to za sztuka, a nigdy wcześniej nie był na żadnej próbie. Pocił się i drżał, bo wiedział, że będzie musiał rozebrać się i pójść do łóżka z kobietą, która ma wobec niego ogromne wymagania, jakim prawdopodobnie nie będzie umiał sprostać. Na pewno wszystko spartoli. Pamiętał kilka filmów, na których jakiś nastolatek podczas pierwszego stosunku z dziewczyną podniecał się tak dalece, że kończył zanim dziewczyna na dobre zaczęła, i była to najbardziej uwłaczająca i upokarzająca rzecz, jaka mogła przytrafić się mężczyźnie. Pogarda tej kobiety zniszczy go w jednej chwili. Wkrótce jednak uświadomił sobie, że to wszystko jest jedynie komiczną przesadą, że takie rzeczy albo nigdy się nie zdarzają, a jeśli nawet, to i tak nie mają aż tak wielkiego znaczenia. Jednak Quentin wiedział, że jemu na pewno się to zdarzy, i że dla niego będzie to wielki problem, i że Mad zacznie nim pogardzać.

Wszystko mogłoby ująć mu na sucho gdyby był młody, ponieważ rodzice wychowali go w kulturze, w której czystość była w ogromnej cenie. Obecnie jednak to wychowanie jedynie działało na jego szkodę.

Potem prześladowały go inne słowa Wayne'a. Według adwokata, Madeleine mogła podejrzewać, że Quentin jest gejem. Lecz przecież pocałował ją kilka razy i bardzo mu się to podobało, a każdy z tych przypadków stanowił dla niego wystarczającą wskazówkę, że jest zorientowany heteroseksualnie. Pewnie dla niej nie była to wystarczająca wskazówka. A może była? Czy kobiety w ogóle szukają takich wskazówek?

Mężczyzna, który zajmował miejsce obok niego wrócił właśnie z toalety i spojrzał na zbieleiałe dłonie Quentina, zaciśnięte na poręczach fotela.

- Tak, tak. Kiedyś też strasznie bałem się latać - powiedział.

Quentin uśmiechnął się blado i odwrócił wzrok. Nie miał zamiaru tłumaczyć obcemu człowiekowi, że katastrofa lotnicza wydawała mu się całkiem niezłym rozwiązaniem w porównaniu z przerażeniem, jakie budziła w nim perspektywa kochania się z kobietą, z którą miał zamiar się ożenić. W wieku trzydziestu czterech lat.

Musiał rozwiązać ten problem jeszcze przed ożenkiem. Nie żeby od razu miał się z nią kochać - przy pierwszej wspinaczce nikt nie wybiera od razu najbardziej stromej ściany. Jednak musi czegoś spróbować. Wykonać pierwszy ruch.

Z lotniska pojechał płatną autostradą do Reston Parkway, gdzie znalazł w samoobsługowej części księgarni pełen wybór książek na temat seksu, zdążywszy tuż przed jej zamknięciem. Następnie udał się do domu i właśnie czytał, usiłując wyobrazić sobie siebie samego i Madeleine w opisywanych sytuacjach, kiedy zadzwonił telefon.

- Czy nie umawialiśmy się, że zadzwonisz? - usłyszał jej pytanie.

- Właśnie miałem to zrobić - odpowiedział. - Jestem wykończony. Miałem wątpliwości, czy pragniesz rozmawiać z kimś, kto czuje się tak ogłupiały, jak ja w tej chwili.

- Czy to oznacza, że nie chcesz żebym do ciebie przyszła?

Tak było zawsze - ona przychodziła do niego ponieważ wiecznie przeprowadzała się z miejsca na miejsce, nocując na kanapach w małych mieszkankach swoich przyjaciółek. Miała telefon komórkowy, więc Quentin zawsze dzwonił pod ten sam numer, niezależnie u kogo się akurat zatrzymała. zaproponował, że wykupi jej pokój w hotelu, ale ona tylko się roześmiała.

“Nie chcę, żebyś wydawał na mnie forszę, kiedy mogę się za darmo przespać u którejś z przyjaciółek. Każda z nich ma wobec mnie dług wdzięczności, więc się tym nie przejmuj.” Nigdy nie poznał żadnej z tych przyjaciółek. Wstydziła się go? A może swoich znajomych? Nieważne - zależało mu na Mad, a nie na poznawaniu jej koleżanek.

Więc jeśli mieli się spotkać, oznaczało to, że ona przyjdzie do niego.

- Już po dziesiątej - mruknął słabym głosem.

- Mam dwa kubki lodów z kawałkami czekolady i herbatników.

- A ja mam łyżeczki i talerzyki.

- Wobec tego musimy wejść w spółkę. Będę u ciebie za chwileczkę, Tin.

Nawet podczas sesji egzaminacyjnych na studiach nigdy nie czytał tak pośpiesznie, gorączkowo i z tak napiętą uwagą, jak podczas tych dwudziestu minut dzielących go od przyjścia Mad.

Zanim przyszła, porzucił myśl o wypróbowaniu większości metod, które proponowały mu poradniki. Być może ludzie, będący dziesięć lat po ślubie mogli czuć się na tyle swobodnie, by wyprawiać z drugą osobą podobne rzeczy, ale on nie mógł w żaden sposób wyobrazić sobie, jak zabrałby się do tego z Mad. Chciał jedynie przekonać się, czy jest w stanie, tak jak to sugerowały książki, dostarczyć jej satysfakcjonujących doznań pośród łagodnej gry wstępnej i w ten, rzecz jasna, sposób zapewnić ją, że nawet jeśli nie jest zbyt oblatany, to przynajmniej jego orientacja seksualna jest prawidłowa. Być może miał także nadzieję przekonać się, czy Madeleine jest zainteresowana nim jako seksualnym partnerem. Przy zachowaniu właściwej perspektywy, to mało istotne wydarzenie mogło dostarczyć im obojgu wielu pożytecznych informacji. Poza tym przeglądanie świeżo nabytych wydawnictw, aczkolwiek pośpieszne i pobieżne, wprawiło go w stan zmysłowego podekscytowania. Mówiąc wprost, nieco wulgaryzując, był niezłe podjarany.

Rozmawiali, jedli lody, śmiali się, włączyli telewizor żeby obejrzeć ostatni dziennik, a potem może jeszcze show Lettermana*, zanim Mad pójdzie do siebie, i w chwili gdy prezenter zapowiadający prognozę pogody przesuwiał fronty i wyznaczał niże, Quentin dotknął jej policzka, obrócił jej twarz w swoją stronę, pocałował ją i po raz pierwszy zdał sobie sprawę, jak bardzo niewinne były ich dotychczasowe pocałunki, więc spróbował zalecanego numeru z wsuwaniem koniuszka języka pomiędzy wargi partnera podczas całowania i...

I to był koniec pocałunku. Madeleine wyglądała na wstrząśniętą. Zaśmiała się nerwowo, objęła go za szyję i przytuliła twarz do jego ramienia.

Czy zrobił coś nie tak? Nawet pryszczaci nastolatkwie całowali się z języczkiem, na miłość boską, czy nawet z tym nie mógł sobie poradzić!

Nie, nie, to ją tylko zaskoczyło, nic więcej.

Przejechał dłonią w górę i w dół po jej plecach. Zachichotała.

- Co się stało?

- Łaskoczesz mnie. Co ty właściwie robisz?

- Właśnie próbuję... ten, no... wprowadzić nasze wzajemne relacje na nowy poziom fizycznej bliskości.

Spojrzała na niego jakby był szalony.

- To znaczy, ja właśnie... właśnie sobie pomyślałem, że może już czas abyśmy...

Abyśmy co? Jedyne obraz jaki przychodził mu na myśl był wizją zainspirowaną jedną z najdziwniejszych sugestii, zamieszczonych w seksuologicznych podręcznikach. Wcale nie miał zamiaru zabierać się do tego, co tam proponowano, przynajmniej jeszcze nie tej nocy, ale obraz wciąż tkwił w jego umyśle i w znacznym stopniu przyczynił się do wyrugowania z niego słów, które miał zamiar powiedzieć.

Ale wyglądało na to, że Mad zinterpretowała jego milczenie w najgorszy możliwy sposób. Jej ciało przebiegł dreszcz obrzydzenia i po chwili zerwała się na równe nogi z kanapy.

- Nie! - zawołała. - Czy chcesz żebym się porzygała?

Ta reakcja wykraczała poza jego najstraszniejsze obawy,

- Ja przecież tylko...

- Jeśli myślisz, że kiedykolwiek zdecyduję się na zrobienie czegoś tak odrażającego z miłości, albo za pieniądze...

O co jej chodziło. Jeszcze nawet nic nie powiedział... czy chodziło jej o to, że w ogóle nie zamierza się z nim kochać.

- Przecież mamy zamiar się pobrać - powiedział. - Mąż i żona na ogół pieścą się nawzajem i zazwyczaj żadnemu z nich nie zbiera się z tego powodu na mdłości. Dla większości ludzi zawarcie małżeństwa oznacza, że wcześniej czy później nadejdzie taka chwila, kiedy mężczyzna i kobieta...

- Nienawidzę cię! - wrzasnęła.

Nigdy nie widział jej w takim stanie. Jak oszalała porwała swoją torebkę i nałożyła półbuty - a właściwie ledwie nasunęła je na stopy - po czym niezdarnie pokuśtykała w stronę drzwi, starając się wcisnąć w nie pięty, kiedy już biegła. Trzasnęła drzwiami wychodząc, lub przynajmniej próbowała trzasnąć, ale uszczelka wokół framugi sprawiła, że odgłos uderzenia raczej nie mógł wywołać zadowalającego efektu. Zanim Quentin zdołał dojść do drzwi, jej Eskort już zjeżdżał z krawężnika.

Próbował zadzwonić do niej jeszcze tej samej nocy i przez cały następny dzień, ale udało mu się jedynie nagrać wiadomość na jej komórkowcu. Przez cały czas zastanawiał się gdzie popełnił błąd. Co ona sobie pomyślała o jego poczynaniach? Przecież byli zaręczeni! Wcale nie zamierzał się z nią kochać już tamtej nocy, na pewno chciał poczekać do ślubu. Tak go wychowano. Ale czy nie mógł jej nawet dotknąć? Czy wszystko poszkapił tak dalece, że aż wywołał w niej obrzydzenie?

Czy to w ogóle była jego wina? Może ona była... jak to się nazywało?... o... oziębła. Czy taka przypadłość rzeczywiście istniała? Przypomniawszy sobie, że feministki uznały oziębłość za mit, stworzony przez mężczyzn, aby jakoś wytłumaczyć fakt, że niektóre kobiety nie miały ochoty na uprawianie seksu ze spoconymi i niezgrabnymi gburami. Trzeba przyznać, że był raczej niezgrabny i najprawdopodobniej pocił się obficie. Ale żeby wydawał się gburą? To już chyba trochę za ostro. A może w jej dzieciństwie miało miejsce coś, co każe jej obecnie traktować wszelkie seksualne doświadczenia jako coś obrzydliwego. Przed południem zdołał zaopatrzyć się w większą ilość książek, tym razem na temat seksualnych zaburzeń i czytał wszystkie z wielkim przejęciem do chwili, kiedy zapadł w sen tuż przy wciąż głuchym telefonie, nie doczekawszy się odpowiedzi na swoją piątą wiadomość głosową, zawierającą żalosne przeprosiny i błagania.

Następnego ranka obudził go dzwonek do drzwi. Uparte drryn-drryn-drryn. Zamroczony podniósł słuchawkę telefonu, ale nie usłyszawszy nic prócz sygnału, wstał, narzucił szlafrok i podszedł do drzwi.

Gdy je otworzył ujrzał Madeleine z bukietem stokrotek w ręce. Wyglądała tak, jakby przez całą noc nie zmrużyła oka.

- Myślałem, że mnie nienawidzisz - powiedział.

- Mogę wejść?

- Jasne, wejdź proszę.

- Musisz zrozumieć, że... że trochę przesadziłam tamtego wieczoru. Myślałam, że chcesz..., ale czy to ważne, co myślałam? Chcę wyjść za ciebie, wiesz o tym, i zdaję sobie sprawę, że małżeństwo wiąże się z kontaktem cielesnym, tylko że ja... ja nigdy jeszcze nie byłam z żadnym mężczyzną, wiesz, dlatego... dlatego tak mi głupio.

- Mad, wszystko w porządku. Nie musisz mnie za nic przeproszać. To chyba ja byłem zbyt obsesowy, ale chciałem tylko...

- Nie, to była moja wina, ja...

- Nie dostałaś wiadomości ode mnie?

- Słuchałam ich na okrągło. Nie mogłam uwierzyć, że wciąż mnie kochasz po tym jak się zachowałam. Po prostu... nie mogłam zadzwonić do ciebie, bo nie wiedziałam co ci powiedzieć i...

- Pozwól mi przynajmniej włożyć te kwiatki do wody. I zdejmij płaszcz. Czy naprawdę dziś jest tak zimno?

Z kuchennej szafki wyciągnął szklany dzbanek i włożył do niego stokrotki. Miał zamiar napełnić go wodą, ale najpierw obrócił się, by coś do niej powiedzieć i zobaczył, że rozpięła płaszcz, pod którym była zupełnie naga.

Płaszcz powoli zsuwał jej się z ramion na podłogę, ale nagle Mad zauważyła jego minę. Musiał sprawiać wrażenie naprawdę przerażonego... nie dlatego, żeby brakowało jej urody, wręcz przeciwnie, ciało miała doskonałe w każdym calu, ale jej zachowanie w tak drastyczny sposób różniło się od tego, które pamiętał z ich poprzedniego wspólnego wieczoru, a poza tym Quentin rzeczywiście wpadł w panikę, gdyż nie wiedział co ma robić. Upuścił dzbanek na blat kredensu, który znajdował się zaledwie kilka centymetrów niżej, dzięki czemu naczynie nie zbiło się, a duże ucho uchroniło je przed stoczeniem się na podłogę.

Na jej twarzy w miejsce uśmiechu pojawił się wyraz zakłopotania i konsternacji. Szybkim ruchem ramion narzuciła płaszcz z powrotem na siebie, owinęła się nim szczelnie, po czym opadła na kanapę, zwinęła się w kłębek i wybuchnęła żalnym płaczem.

- Znowu coś nie tak! Jestem taka głupia! Nie mogę uwierzyć, że...

- Nie, nie, Mad, wszystko w porządku, ja tylko... to znaczy, to bardzo miłe z twojej strony, ale wcale nie o to chodziło mi tamtego wieczoru, ja tylko...

- Ale to właśnie miał być najbardziej szalony numer, czy jak to tam nazywali w tym artykule...

Quentin wybuchnął śmiechem.

- Nie śmieć się ze mnie - załkała Mad żałośnie. - Siedzę tu naga, w płaszczu z poliestrową podszewką. A od poliestru dostaję wysypki.

- Chodź. Chodź ze mną - podniósł ją z kanapy, starając się nie spoglądać pomiędzy rozchyłające się poły płaszcza, którego nie mogła właściwie przytrzymać, ponieważ ciągnął ją za rękę - Chodź ze mną.

Zaprowadził ją do swojej sypialni.

- Muszę ci coś pokazać - powiedział. Schylił się i zebrał w stos wszystkie podręczniki seksuologiczne, jakie studiował przez ostatnie dni. - Czy przeglądałaś może którąś z tych publikacji?

Przyjrzała się tytułom i nagle wszystko stało się dla niej jasne. Zawtórowała mu śmiechem.

- Zartujesz? Więc ty też? A więc istnieje na tej planecie jeszcze jedna osoba równie niewinna jak ja?

- Może większość ludzi jest taka jak my - powiedział Quentin - tylko boją się do tego przyznać.

- Nie, żaden człowiek po trzydziestce nie może być takim ciemniakiem jak ty, lub ja. W jaki sposób dwóm analfabetom udało się odnaleźć?

- Posłuchaj mnie, Mad. Miło wiedzieć, że masz takie piękne ciało, takie... oszalamiające ciało, takie...

- Chwytam o co ci chodzi.

- Ale nie ma potrzeby abym widywał cię w tak skąnym stroju przed ślubem, prawda? Jak na razie stresy mamy z głowy. Jakoś się we wszystkim wyszkolimy. Będziemy udawać nastolatków, albo wymyślimy coś jeszcze innego. Odłożymy ten straszliwy dzień na późniejszy termin.

- Świetnie. Znakomicie - podchwyciła z entuzjazmem.

- A nawiasem mówiąc, jeśli pominąć efekt zaskoczenia, sam pomysł z płaszczem - gdziekolwiek o tym wyczytałaś - jest całkiem niezły.

- Był artykuł w *Cosmo*. *Kilka sposobów na zadowolenie mężczyzny*.

- A to wpadka. Widziałem ten numer na lotnisku w San Francisco. Gdybym go kupił, wiedziałbym co powinienem zrobić.

- Ale w *Cosmo* nic o tym nie ma. Najwyraźniej zakładają, że ty już od dawna znasz swoją rolę.

- Cóż, niestety pomylili się - powiedział Quentin. - Zawsze improwizuję.

- Ja też.

- Wiódł ślepy ślepego.

- Aż razem w dół wpadli.

Zaśmiali się. Pocałował ją. Następnie Mad poszła do domu włożyć coś na siebie. Później, jedząc lunch, co chwila wybuchali śmiechem.

- To będzie wspaniała opowieść, której nigdy nie usłyszą nasze dzieci - powiedział Quentin.

Madeleine przewróciła oczami.

- Oczywiście, że o wszystkim opowiemy dzieciakom, tylko każde z osobna.

- Czy rodzice powinni opowiadać dzieciom takie rzeczy?

- Pamiętaj, że mamy lata dziewięćdziesiąte, Quentinie - powiedziała.

- Następnym razem, gdy będę leciał na wybrzeże, Mad, chciałbym cię zabrać ze sobą.
- Jestem bezdomna i bezrobotna. Myślę, że jakoś uda się wcisnąć podróż na wybrzeże w moje napięte plany.
- Chciałbym, żebyś poznała moich rodziców.
- Czy czasem nie znienawidzą dziewczuchy, która chce im zabrać ich kochanego chłopczyka?
- Chyba żartujesz. Będą całować ziemię, na której stanie twoja stopa. Już dawno porzucili myśl o wnukach. A teraz czeka ich premia, gdyż przy odrobinie szczęścia, wnuki mogą być podobne do ciebie.
- Bardzo chciałabym poznać twoich rodziców - powiedziała.
- A kiedy ja udam się do Doliny Hudson, żeby poznać twoich starych?

Spochmurniała i odwróciła wzrok.

- Moja rodzina na pewno w niczym nie przypomina twojej, Quentinie. Myślę, że powinniśmy się pobrać przed tym, jak zabiorę cię do mojego domu.
- Chyba żartujesz! Pokręciła głową.
- Nie mówmy o tym, dobrze? Przynajmniej nie dzisiaj.
- Nie chcesz mnie przedstawić swojej rodzinie i na dodatek w ogóle nie chcesz o tym rozmawiać?
- Przypomnij mnie sobie jak stoję naga w tym durnym płaszczu i od razu przestaniesz myśleć o mojej rodzinie.
- Wręcz przeciwnie. Natychmiast wyobrażam sobie twojego ojca z ogromną strzelbą w dłoniach.

Zachichotała.

- Mój ojciec ze strzelbą? To ci dopiero obrazek. Nigdy w życiu nie dotknąłby broni.
- Jest pacyfistą?
- Nie, absolutnym łamagą. Od razu odstrzeliłby sobie nogę - zaśmiała się znowu, ale po chwili tamto smutne, puste spojrzenie znów zagościło w jej oczach. Dopiero wtedy, gdy Quentin skierował rozmowę na tory bardzo odległe od spraw rodzinnych, nastrój jej się poprawił i znów wyglądała na szczęśliwą.

SZCZĘŚLIWE CHWILE

Czy to możliwe, aby jego rodzice polubili Madeleine za bardzo? Quentin spodziewał się rodzicielskich zachwyków zarówno samym faktem, że ma narzeczoną jak i tym, że przyjechał im ją przedstawić. Podobnie nie miał wątpliwości, że Madeleine oczaruje rodziców, bo przecież była naprawdę czarująca. Ale po kilku spędzonych razem godzinach wydało mu się, że Mama i Tato całkowicie stracili umiar. Po każdym jej słowie wybuchł śmiech lub rozległy się "ochy" i "achy", cmokania i pomruki, w zależności od tego, o czym była mowa i jaka reakcja wydawała się najwłaściwsza. Przez cały czas wpatrywali się w nią jak w obraz i słuchali jej z niesłabnącą uwagą. Co chwila proponowali coś do picia, do jedzenia lub nawet oferowali własne łóżko by się trochę zdrzemnęła - wszystko to znacznie wykraczało poza granice zwyczajowej gościnności.

Zachowywali się wręcz uniesienie. Można by pomyśleć, że to Madeleine jest panią domu, a Mama i Tato należą do służby. Cała ta sytuacja wprawiała go w zakłopotanie, ale nie udało mu się ani na moment odciągnąć któregoś z rodziców na bok, by powiedzieć im żeby aż tak nie przesadzali; nie mógł także doczekać się sposobnej chwili, by znaleźć się sam na sam z Mad i wyjaśnić jej, że jego rodzice nie zawsze zachowują się w ten sposób, a cały szum, jaki robią wokół jej osoby, wynika zapewne z faktu, że starają się nadrobić wszystkie te lata, od kiedy pożegnali się z myślą o małżeństwie swojego syna.

Biedna Mad musiała już mieć po dziurki w nosie tego ich ciągłego uśmiechania się do niej, ale najwyraźniej była wytrawną aktorką, bo nie było widać u niej najmniejszych oznak zniecierpliwienia. Zachowywała się tak, jakby to wszystko było najbardziej naturalną rzeczą na świecie.

Quentin zaproponował, żeby zjedli obiad poza domem.

- Cała nasza czwórka? - spytała Mad.

- To nonsens - powiedział ojciec. - Oczywiście, że pójdziecie sami we dwójkę.

- Papużki nierozłączki muszą mieć czas na małe tęte-ń-tęte. - dodała Mama cała rozpromieniona.

- Ale państwo musicie iść z nami - powiedziała Mad. - Nie wiadomo kiedy będzie następna okazja

na takie spotkanie jak dziś. Musimy przecież mieć jakieś wspólne wspomnienia.

- To prawda. A założę się, że moja kura po wiejsku będzie równie dobra jutro - orzekła Mama.
- Ach prawda, Tin - zawołała Madeleine - przecież dziś rano pomagałam twojej Mamie robić tę kurę.
- Ale nic się nie stanie, jeśli razem z Quentinem pójdziecie do restauracji.
- Nie mogłabym sobie darować, gdybym nie skosztowała kury pani roboty, skoro już jest gotowa.

Quentinowi chciało się wyć. To nie tylko rodzice nadskakiwali Madeleine, ona także nadskakiwała im ile wlezie. Gdyby wszyscy przestali tak gorliwie sobie dosładzać, może były szansę na odbycie normalnej, cywilizowanej wizyty. Ale najwyraźniej sytuacja wymagała zdecydowanej interwencji.

- Posłuchajcie - odezwał się Quentin. - Tak naprawdę to wszystko mi jedno czy pójdziemy do restauracji, czy zjemy coś w domu. Wszystko mi jedno czy to będzie domowa kura po wiejsku, czy hamburgery u McDonalda. Przywiozłem narzeczoną do domu, żeby poznała moich rodziców. Lecz, jak na razie, wydaje się, że wyjedzie stąd nie osiągnąwszy tego celu.

Wszyscy spojrzeli na niego jak na wariata.

- Quen - odezwał się ojciec - przecież my tu jesteśmy. A to jest twoja narzeczona. Już się poznaliśmy.
- Otóż to. Moi rodzice mają swoją osobowość. Mają swoje nawyki i obyczaje. Mają swoje życie. Chciałem wprowadzić Madeleine w to życie. Aby mogła zobaczyć jacy jesteście, jaką wszyscy razem tworzymy rodzinę. Ale wy przez cały czas staracie się być tacy gładcy i usłużni... jakby nagle wasze prawdziwe charaktery przestały się liczyć.

Łzy napłynęły do oczu Mamy.

- Staraliśmy się być mili - wybąkała Madeleine wyglądała na straszliwie zdeprymowaną.
- Tin, myślałam, że wszystko przebiega w jak najlepszym porządku.
- Chcemy tylko żebyście oboje czuli się dobrze - powie-dział ojciec obejmując Mamę ramieniem.
- Posłuchajcie, przepraszam was bardzo, wcale nie miałem zamiaru robić sceny - powiedział Quentin. - Wiecie co wam powiem? Zostańcie tu sobie we trójkę i zjedzcie tę kurę, zapewniając się nawzajem jaka jest przepyszna, a wieczorem niech każde z was kryguje się i wzbrania, każąc drugiemu wybierać program w telewizji albo grę, w którą chce zagrać. Ja idę do kina.

Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi. Już położył dłoń na klamce, gdy nagle usłyszał coś, co sprawiło, że zamarł.

To był śmiech. Ciepły, gardłowy śmiech. Śmiech Lizzy.

Wstrzymał oddech. Obrócił się. Zobaczył Madeleine. Lecz teraz śmiech był już inny. Wciąż był niski, ciepły, ale już nie przypominał śmiechu Lizzy. Mad unikała jego wzroku.

- Dobra, staruszkowie, - odezwała się Mad, nie zwracając się do nikogo konkretnie - może rzeczywiście zdarzają się sytuacje, gdy ludzie są dla siebie zbyt mili. - Spojrzała na ojca i mrugnęła doń porozumiewawczo. - Może wdałby się pan ze mną w bójkę, panie Fears. Myślę, że Tin od razu poczułby się lepiej.

Ojciec uśmiechnął się i kiwnął głową.

- Może nie potrzeba aż bójki. Może wystarczyłaby mała pyskówka.

- Wiem, że próbujemy teraz żartami pokryć zmieszanie -odezwała a się Mama - ale rzeczywiście jest jedna rzecz, która od początku nie daje mi spokoju. Jedna mała rzecz... wiem, że masz prawo nazywać mojego syna jak ci się żywnie podoba, ale... kiedy mówisz do niego "Tin"...

Mad zakryła dłonią usta.

- Ach, prawda, powinnam się była domyślić. Powinnam się była zorientować.

- Skąd mogłaś wiedzieć, że tak właśnie nazywała go Lizzy....

- On sam mi powiedział - oświadczyła Mad. - Po prostu nigdy nie przyszło mi do głowy, że po tylu latach, nazywanie go w ten sposób sprawi, że... ale prawda, przecież w tym domu... Tin... to znaczy Quentin... nie miał nic przeciwko temu, więc pomyślałam sobie... niech mi państwo wybaczą.

- Nie, nie - zawołała Mama. - Teraz jest mi głupio, że w ogóle o tym wspomniałam. Bo w tym naprawdę nie ma nic złego. Ja tylko... chciałam tylko...

- Powiedzieć o tym - wtrącił się Tato. - I tylko tyle. Powiedzieć Madeleine. Że Lizzy też go tak nazywała. I wtedy wszystko będzie w porządku.

- Tak - potwierdziła Mama. - Możesz śmiało na niego tak mówić. Teraz nie będę czuła niepokoju, bo już, bo już... powiedziałam ci o tym.

- Ale mogła mi pani powiedzieć wcześniej - rzekła Mad. -Od dwóch dni doprowadzam was do szału tym...

- Nie, to wcale nie tak - zaprotestowała Mama. - Po prostu... za każdym razem kiedy tak go nazywałaś, chciałam powiedzieć, chciałam wtrącić "Lizzy tak na niego mówiła" i to wcale nie miało być narzekanie, po prostu uwaga, tak jakbym chciała powiedzieć, bo ja wiem, że ona wciąż jeszcze ma swoje miejsce w naszym domu, w naszych wspomnieniach. Ale kiedy już miałam to powiedzieć, czułam się... czułam jakby coś się we mnie zamykało i nie mogłam wydobyć z siebie słowa.

- Cóż - wtrącił się ojciec - na szczęście już je z siebie wydobyłaś.

- Widzicie - ciągnęła Mama - dobrze, że Quentin to wszystko otwarcie powiedział. Trochę za bardzo

przejeśliśmy się rolą gościnnych gospodarzy, prawda? Czuję się wyczerpana tymi wszystkimi uprzejmościami. Ale ja naprawdę cię polubiłam, droga Madeleine. Wydaje mi się, że po prostu bardzo chciałam zrobić na tobie dobre wrażenie.

- Teraz może ustalmy najważniejsze - przerwał jej ojciec. - Jemy obiad w domu, czy idziemy do restauracji?

Zdecydowali, że zjedzą w domu. Wydawało się, że rodzice nareszcie wyszli z kryjówki. Przyszedł czas na swobodną paplaninę, przekomarzanie się, plotkowanie o znajomych z sąsiedztwa i z parafii. Co chwila słychać było wybuchy, tym razem szczerego śmiechu, i wreszcie Mad mogła zobaczyć, jak wyglądało normalne życie w jego domu.

I kiedy około dziesiątej Quentin oznajmił, że zabiera Mad na spacer po okolicy, Tato ziewnął tylko i powiedział:

- Tak, już najwyższy czas byśmy pozbyli się was na chwilę. Stare kości ciągnie już do łóżka.

I o to właśnie chodziło. Mad i Quentin mieli wreszcie być sami.

Trzymając się za ręce szli ulicą od latarni do latarni

- Wcześniej lampy wisiały po prostu na słupach telefonicznych - powiedział Quentin - ale kiedy zaczęli budować autostradę w starym korycie strumienia, zaraz za domem, przeciągnęli kable telefoniczne w ziemi i postawili te aluminiowe latarnie. Szkoda, bo na tamtych starych słupach Lizzy i ja wycinaliśmy swoje znaki. W ten sposób zaznaczaliśmy nasze terytorium. A na tym nic się nie da wyryć - uderzył otwartą dłońią w słup, wydobywając zeń metaliczny dźwięk.

- To jej cień wiszący nad tym domem sprawił, że sytuacja była taka napięta, prawda? - spytała Madeleine.

- Wcale nie cień - powiedział Quentin.

- Jej przedwczesna śmierć, rzuciła cień na ten dom - powiedziała Mad. - O to mi chodziło.

- Nie sądzę, by cała sytuacja miała cokolwiek wspólnego z moją siostrą - powiedział Quentin. - Moi rodzice... nigdy nie widziałem, żeby tak się zachowywali. Jak całkiem obcy ludzie.

- Ja bym się nie zorientowała - powiedziała Madeleine. - Nigdy nie miałam normalnej rodziny.

- Czyżby twoi rodzice mieli po osiem nóg?

- Rodzinka Pajęczaków? - zaśmiała się. - Nie, w zasadzie są całkiem normalni. Ale... prawdę mówiąc zachowywali się dokładnie tak jak twoi rodzice dziś wieczorem, tyle że przez cały czas. Oczywiście wtedy, kiedy miałam okazję ich widywać. Wciąż sprawiali wrażenie jakby byli na...

- Na prochach?

- Raczej na scenie - dała mu żartobliwego kuksańca. - Aż tak źle z nimi nie było.

- Nie miałem zamiaru robić takiej afery - oznajmił Quentin. - Ale wyglądało na to, że nie doczekam się chwili, w której będę mógł spokojnie porozmawiać z tobą. Albo z którymś z rodziców.

- Tak się bałam, że robię coś niewłaściwego - powiedziała Mad.

- To nie była twoja wina. Po prostu oni zachowywali się dziwnie. Tyle że robili to ze względu na ciebie.

Doszli do rogu.

- Tędy właśnie zawsze jeździłem na rowerze do szkoły. Podstawówka była w tamtym kierunku, za wielkim sadem. Teraz jest tam park. Na miejscu sadu. A szkoły już nie ma. Kiedyś drużyna skautowska, do której należałem chciała zarobić i każdy z nas miał roznosić ulotki supermarketu po całym sąsiedztwie. Moim zadaniem było włożenie dwustu takich ulotek w drzwi dwustu domów. Przy dwudziestej skończyła się moja cierpliwość. Resztę wywaliłem do tamtego strumyka.

- Przecież tam nie ma żadnego strumyka.

- W tym miejscu był kiedyś mostek nad strumykiem Wszystko się pozmieniało. Szkoda, że nie mogę ci pokazać okolicy, w której naprawdę mieszkałem. Ty masz szczęście. Czy nie mówiłaś mi, że twoja rodzina od zawsze mieszkała w swoim domu?

- Nie od zawsze. Wszyscy przecież jesteśmy potomstwem emigrantów.

- Ale to i tak musi być miłe wracać w rodzinne strony i zastawać wszystko nie zmienione.

Zaśmiała się, ale był to raczej złowrogi śmiech.

- O tak, to bardzo, bardzo miłe

- Czy są jakieś poważne niesnaski pomiędzy tobą a rodziną? - spytał Quentin.

- Żadne wcale rodowe, ani nic w tym rodzaju - odparła Mad. - Po prostu przez jakiś czas stosunki były dosyć napięte, ale od lat mam wszystko pod kontrolą.

- A jednak wciąż nie chcesz przedstawić mnie twoim rodzicom.

- Och, przyjdzie czas i na to. - Odwróciła się twarzą do niego. - Ale najpierw się pobierzmy.

- Czy myślisz, że staną pomiędzy nami, jeśli będziemy tylko zaręczeni?

- Chciałabym być już częścią twojej rodziny, zanim zabiorę cię na łono mojej.

- Czy mam rozumieć, że ktoś pragnie przybliżyć dzień naszego ślubu?

- Jeszcze nie ustaliliśmy daty.
- Miałem na myśli przejście od "pomówimy o tym później" do "zrobmy to jak najszybciej".
- A może jeszcze szybciej.
- To znaczy kiedy?
- Myślę, że dziś wieczorem chyba już się nie uda. Quentin pocałował ją.
- Trzeba załatwić parę urzędowych formalności.
- Więc załatwmy je najszybciej jak to możliwe. Chcę żebyśmy pobrali się w tym mieście. W kościele, do którego chodzą twoi rodzice. W obecności ich przyjaciół.
- Nic nie mogłoby ich bardziej uszczęśliwić.
- A czy ciebie to uszczęśliwi, Tin? Przytaknął skinieniem głowy.
- Ale minę wciąż masz smutną. Pokręcił głową z uśmiechem.
- Wcale nie jestem smutny. Jestem bardzo szczęśliwy. Im wcześniej się pobierzemy, tym lepiej - wiesz, że tak myślę. Krótko trwało nasze narzeczeństwo, to prawda, ale w końcu czekałem na ciebie przez dwadzieścia lat.
- Czy kochasz mnie tak bardzo jak ją? - spytała Mad. Quentin udał, że rozgląda się dookoła w poszukiwaniu jakiejś tajemniczej nieznanajomej.
- Jak kogo?
- Jak Lizzy, twoją siostrę.
- Wyjašnjmy sobie jedno: nigdy w życiu nie mógłbym się ożenić z moją siostrą.
- To prawda, niepotrzebnie cię o to pytam. Ale czułam... czułam niemal od samego początku, że w twoim życiu była jakaś inna kobieta, chociaż uparcie zaprzeczałeś. Mówiłeś, że nigdy w życiu nie miałeś żadnej dziewczyny, ale za każdym razem gdy wspominałeś dzieciństwo, w twoich wspomnieniach pełno było Lizzy. To ona jest tą inną kobietą, kobietą z twojej przeszłości. A ponieważ ona... nie żyje... nigdy nie zdołam jej dorównać.

Quentin zamknął jej usta długim, namiętym pocałunkiem.

- Nie porównuję cię z Lizzy. Ona wypełnia moje dzieciństwo, moje wspomnienia, moją przeszłość. A ty jesteś moją przyszłością.
- Jestem egoistką, prawda? Ale musisz mnie kochać. Bardziej niż kogokolwiek innego, musisz kochać tylko mnie, bo inaczej nie będę mogła... nic nie będę mogła. Nie będę mogła zaznać szczęścia.

- Od dawna jesteś dla mnie ważniejsza niż ktokolwiek. Kocham cię bardziej niż swoje życie.

Przytuliła się do niego mocno w świetle latarni.

Ale kiedy ręką gładził jej włosy, pomyślał: "Czy to prawda?". Czy naprawdę kochał ją bardziej niż Lizzy? Czy może wciąż jakaś część jego duszy trzymała się Lizzy, nie pozwalając jej odejść. W końcu, jak dotąd, jeszcze nigdy nie przywidziała mu się Madeleine.

Potrząsnął głową, aby oddalić od siebie tę myśl. Przecież właśnie Madeleine nadała jego życiu nowe znaczenie. Teraz mógł spoglądać w przyszłość z radosnym podekscytowaniem. Żadne wspomnienie związane z Lizzy nie mogło tego dokonać. Marzenia znaczyły więcej niż przywidzenia.

Wszystko trwało znacznie dłużej niż się spodziewali, ponieważ ślub w kościele wymagał wielu przygotowań. Samo wysyłanie zaproszeń zajęło im bez mała tydzień. Ale pod koniec sierpnia byli już mężem i żoną, mieli wspaniały kościelny ślub, na którym panna młoda wyglądała jak bogini w bieli, zaś pan młody przez cały czas miał na twarzy głupkowaty uśmiech, przynajmniej tak twierdził Tato jeszcze przed samą ceremonią.

Miesiąc miodowy spędzili oczywiście na Hawajach, gdyż żadne z nich jeszcze nigdy tam nie było, w jedynym miejscu w całym kraju, mającym klimat lepszy niż Kalifornia. Po raz pierwszy kochali się na drugi dzień po tym, jak zamieszkali w Hiltonie nad Zatoką Żółwi, kiedy wypoczęli już po podróży samolotem i zniknęły ostatnie ślady wyczerpania po weselnych uroczystościach. Oboje byli onieśmieleni i szło im bardzo niezdarnie, ale jakoś dali sobie radę.

- W końcu - stwierdziła Madeleine - gdyby to było naprawdę trudne, niewykształceni ludzie nie mieliby tylu dzieci.

Nurkowali, zwiedzali buddyjskie świątynie, polecili do Maui i na wielką wyspę, wcinali świeże ananasy na bazarze w Honolulu i widzieli miejsce, w którym według starej hawajskiej legendy stu wojowników popełniło samobójstwo, siedząc pod wodą do utraty tchu. Oglądali przedstawienie w Polinezyjskim Centrum Kulturalnym, a potem sami w hotelowym pokoju próbowali odtworzyć niektóre z oglądanych tańców, rzecz jasna bez kostiumów. W ciągu tego tygodnia Quentin odkrył, że lubi się dobrze zabawić.

Ale pomiędzy nimi wciąż był jakiś cień; nie chodziło jednak o Lizzy, gdyż cień ten nie pochodził od niego, z czego Quentin zdawał sobie sprawę. To coś tkwiło w Mad. Kochali się, a potem on tulił ją w ramionach, zaś ona uśmiechała się do niego i wtedy on mówił jej tak, kochanie, było wspaniale, było cudownie, kocham cię. A ona zapewniała go, że jej też się podobało, tyle że on wiedział, chociaż nie miał pojęcia skąd to wie, że on mówi prawdę, a ona kłamie. Wcale jej się nie podobało. Coś było nie w porządku w tej sferze ich małżeńskiego pożycia, a ona nie chciała mu powiedzieć co. Nie mógł jej nawet o to spytać, ponieważ w żaden sposób nie uzewnętrzniała niezadowolenia. Raczej wyglądało na to, że dręczy ją jakiś wewnętrzny ból, z którym nie potrafi się uporać, i któremu on nie był w stanie w żaden sposób zaradzić. Ból stawał się najbardziej dokuczliwy zaraz po ich miłosnych wyczynach, kiedy powinna być szczęśliwa, kiedy powinna czuć się kochana i uwielbiana przez swojego męża. Coś odbierało im wspólną radość. Coś, co miało swe źródło w jej przeszłości.

Coś związanego z jej rodziną. Z tym domem nad rzeką Hudson, którego nie chciała z nim odwiedzić.

Czy w dzieciństwie była molestowana? Bitą? Czy brakowało jej uczucia? Jeśli nie miała zamiaru mu nic zdradzić, w jaki sposób mógł się wszystkiego dowiedzieć? W tym przypadku zaangażowanie adwokata do szukania odpowiedzi w niczym by nie pomogło. Poza tym sprawiłby Wayne'owi nie lada satysfakcję. Dopiero tydzień po ślubie, a ty już każesz mi śledzić jej rodzinę? Może gdybyś pozwolił mi przeprowadzić małe dochodzenie przed ślubem...

Nie, chciał żeby to ona o wszystkim mu powiedziała. Zrobi to, kiedy już będzie dostatecznie mu ufać. Kiedy zdoła ją przekonać, że nie ma najmniejszego powodu, aby wątpić w jego miłość i oddanie, w jego hart ducha i honor. Kiedy upewni się, że niezależnie od tego, co mu wyjawia, nic nie będzie w stanie rozerwać łączących ich więzów, wtedy na pewno wszystko mu powie.

Pod koniec tygodnia zaczęła mówić o przyszłości.

- Nasz cudowny tydzień dobiega końca - powiedziała. -

I wydaje mi się, że jeszcze nie mieliśmy okazji pomówić o tym, co dalej.

- Możemy tu zostać przez następny tydzień. Przez następny miesiąc, jeśli chcesz. Rezerwację mamy otwartą.

- Spędziliśmy wspaniały tydzień, ale najwspanialsze wydaje mi się to, że byłam tu z tobą i chcę być z tobą gdziekolwiek się udasz. Ale czy zdecydowaliśmy chociaż, gdzie będziemy mieszkać?

- Mam znajomości w większości miast w Stanach. Ale nie musimy się ograniczać do naszego kraju. Myślę, że równie dobrze będzie się nam mieszkało w Anglii. Albo we Francji. Co powiesz na Paryż? A może wolisz Prowansję?

- Nie wydaje mi się abym była wystarczająco chłodna, by mieszkać w Prowansji.

- Ale twoje ciało wyjątkowo nadaje się na plaże Riwieri.

- Tam nikt nie zwróciłby na mnie uwagi.

- Raczej ja nie byłbym w stanie odpędzić tych wszystkich Francuzów, którzy wyciągaliby do ciebie swoje łapska.

- Ale teraz poważnie, Tin, gdzie będziemy mieszkać? Twoje rzeczy czekają w Wirginii, a moje wciąż są spakowane. Moja rodzina może je odesłać tam, gdzie zdecyduję się zamieszkać. Czy skończyłeś wszystkie swoje interesy w Herndon? Jesteś gotowy do przeprowadzki?

- Bo ja wiem - odparł Quentin. - To nie była praca; raczej hobby, dla zabicia czasu, w oczekiwaniu na spotkanie z tobą. Więc teraz... nie wiem co mam robić.

- To było wspaniałe hobby - powiedziała Mad. - Spełniałeś marzenia innych ludzi.

- Raczej udzielałem im pomocy, aby oni sami mogli spełniać swoje marzenia. To chyba miałaś na myśli.

- Dlaczego chcesz to przerwać?

- Choćby dlatego, że zbyt wielu z nich odniosło sukces.

- A to co ma znaczyć?

- Kiedy poleciłem mojemu adwokatowi włączyć cię do mojego testamentu, kazał mi wziąć od księgowego pełny wykaz moich aktywów. Niektóre ze spółek, których byłem współzałożycielem, są obecnie więcej warte niż fortuna, z jaką zaczynałem cały ten interes. Chcę powiedzieć, że obecnie jestem bogaczem w zupełnie innej skali. Wydaje mi się, że to odpowiedni czas, aby pomóc pewnej osobie, której marzenia mają naprawdę ogromny rozmach.

- Komu?

- Tobie.

Spojrzała na niego, jakby był niespełna rozumu.

- Ty jesteś moim marzeniem, a ja już ciebie mam.

- Kiedyś mówiłaś mi o czymś innym. Pamiętasz, tam w ogrodzie. Pod wiśniowym drzewkiem.

- *En château de la grande dame?*

- Pamiętasz? Mówiłaś, że pragniesz władzy. Chciałaś wybierać kandydatów i ułatwiać im start. Brakowało ci tylko odpowiednich pieniędzy.

- Ale czy ciebie w ogóle obchodzi polityka?

- Nie, dlatego właśnie musimy wejść w spółkę. Ty wybierasz kandydatów, a ja wspierani ich finansowo.

- Ale tak się nie da. Istnieje przecież prawo wyborcze. Należy wziąć pod uwagę chociażby ograniczenia dotyczące finansowania kandydatów.

- Będziemy zakładać komitety wyborcze. Będziemy wspierać finansowo lokalne organizacje partyjne i zachęcać je do popierania wybranych przez nas kandydatów. Mad, w tym życiu nauczyłem się jednego: jeśli masz wystarczająco dużo pieniędzy, to prawo będzie jak trzcina, która zawsze zegnije się w twoją stronę.

- Kiedy tak cię słucham, wszystko wydaje się możliwe.

- Nie tylko możliwe, ale całkowicie legalne. A jeśli nie będziemy mogli finansować kogoś bezpośrednio - tym lepiej. Przecież ostatecznym celem nie jest uzależnienie kandydatów od nas, prawda? Oni mają być niezależni, mądrzy, rozsądni i... telegeniczni, czy nie o to ci chodziło?

- Mówisz serio? - spytała.

- Jak już powiedziałem, mam znajomości w każdym ważnym mieście. Zrobimy wielki objazd. Będziemy chodzić na przyjęcia, których od lat unikałem. Ty wszystkich oczarujesz, a ja będę przeprowadzał konkretne rozmowy z lokalnymi bonzami. Wybierzemy sobie kandydatów i wprawimy całą maszynę w ruch. Czy w przyszłym roku nie ma czasem wyborów? Chyba jeszcze nie jest za późno, żeby znaleźć odpowiednich kandydatów do Kongresu?

- Szkoda, że jest już za późno, żeby wybrać dobrego kandydata na prezydenta.

- Prezydent-śmezydent - machnął ręką Quentin. - Prawdopodobnie będziemy mieli wpływ na więcej spraw, jeśli skoncentrujemy się na legislaturach stanowych.

- Masz rację, Tin. Naprawdę chodzi mi o znalezienie właściwych ludzi i ułatwienie im startu. Mogą to być legislatury stanowe. Komitety okręgowe! Rady miejskie! Zarządy szkół!

- Oto zajęcie w sam raz dla nas! Upadli na łóżko, zanosząc się śmiechem.

- Gadka jak ze starych, głupich filmów - powiedział Quentin. - Mickey Rooney i Judy Garland. "Możemy mieć swoje własne wybory".*

- Nie mam najmniejszego pojęcia o czym mówisz - powiedziała Madeleine.

- Nigdy nie widziałaś żadnego filmu z Andy Hardym? - spytał Quentin. - Ty chyba żartujesz! Czy ty w ogóle jesteś Amerykanką?

- Jestem, tyle że nie z pokolenia wapniaków. Ty chyba naprawdę żyjesz poza czasem!

Dopiero później, kiedy zasnęła obok niego w samolocie, Quentin przypomniał sobie, że Wayne Read mówił mu to samo, ale przecież on nigdy nie wspominał jej o tamtej rozmowie. A może wspominał?

Z pewnością mówił jej wiele rzeczy, nie zdając sobie z tego sprawy. Bo o ile dobrze pamiętał, nigdy nie powiedział, że to właśnie jego zmarła siostra, Lizzy mówiła na niego "Tin". Przecież nie był idiotą - Mad sama go tak nazwała wtedy, w ogrodzie, pod wiśniowym drzewkiem, a wtedy nie ośmieliłby się przerwać jej i powiedzieć: "Proszę cię, nie mów do mnie w ten sposób, bo to przezwisko, które wymyśliła dla mnie moja nieżyjąca już siostra". A potem wcale nie chciał, żeby nazwała go inaczej, wręcz przeciwnie - lubił jak zwracała się do niego w ten sposób, po co więc miałby ją informować, że przezwisko wymyśliła Lizzy? Kiedy miałby to powiedzieć? Tym niemniej ona o tym wiedziała. Wiedziała, zanim Mama zaczęła wyjaśnianie.

A może po prostu dobrze kojarzyła wszystkie informacje? Przyjrzała się faktom, wyciągnęła

odpowiednie wnioski, a potem pomyślała, że on rzeczywiście jej to powiedział. Była taka spostrzegawcza. Nic nie mógł przed nią ukryć. To dobrze, że pragnął być wiernym mężem.

Nowa praca w polityce nie była wcale taka łatwa, jak mu się wydawało. Co prawda, ich pierwotne plany znakomicie się ziściły. Mężczyzna dysponujący taką fortuną jak Quentin i kobieta o urodzie i wdzięku Madeleine, nie mieli najmniejszych kłopotów z wniknięciem w najwyższe kręgi polityczne każdej partii w jakimkolwiek mieście. Problem polegał na tym, że w owych kręgach nie mogli natknąć się na żadną osobę, która spełniałaby ustanowione przez Mad kryteria dobrego kandydata. Na tym zasadzała się podstawowa sprzeczność jej planu: jeśli rządząca klika znała jakąś osobę, ta była już zbyt uwikłana w miejscowe układy, by sprostać ustalonym wymogom.

Musieli znaleźć osoby, które nie miały politycznej świadomości, lub chociaż politycznej samoświadomości. Przez całą jesień dziewięćdziesiątego piątego roku stopniowo rozszerzali swoją sieć. Pozyskiwali zaufanie ludzi mocno zaangażowanych w politykę, ale w równym stopniu kontaktowali się z organizacjami społecznymi, grupami aktywistów, fundacjami charytatywnymi oraz kościołami. Zapraszali na kolacje redaktorów z lokalnych gazet i miejskich urzędników, aby dowiedzieć się od nich kto tak naprawdę liczy się w danej społeczności, lub jaką osobę podziwiali. I powoli zaczęli znajdować odpowiednich ludzi. Co prawda nie w każdym mieście, ale co jakiś czas, tu i ówdzie, jakaś twarz, jakieś nazwisko wysuwało się na czoło.

To była emocjonująca praca i Quentin rozumiał dlaczego Mad tak się nią pasjonowała, chociaż on nigdy by nie wybrał takiego zajęcia dla siebie. Obserwując jej działania, nie mógł wyjść z podziwu. Wszystko zakrawało na cud. Prawda, że to jego pieniądze otwierały przed nimi drzwi politycznych salonów i umożliwiały im prowadzenie wszelkiego rodzaju kampanii, ale tylko ona potrafiła przekonać niechętnych kandydatów, tylko ona umiała rozpalić w nich uszpiętą ambicję, z której albo nie zdawali sobie sprawy, albo wykorzystywali do innych celów. "Od pana wiele zależy. Jeśli pan się nie zdecyduje, to kto? Zamiast walczyć z radą miasta, pan sam może zasiadać w radzie, a wtedy nic pan nie będzie musiał nikomu zawdzięczać. To pan będzie miał wystarczająco wiele odwagi i siły, ponieważ nie będzie się martwił, czy zostanie ponownie wybrany czy nie, prawda? Tak więc nie będzie pan się oglądał na kaprysy wyborców, tylko postępował zgodnie z tym co panu podyktuje serce i rozum. A jeśli pan przegra... cóż, raz kozie śmierć, przynajmniej pan spróbuje, dzięki czemu zyska więcej znajomości, które przydadzą się panu w tym, co robi pan teraz".

A oni kupowali to. Dawali się porwać jej marzeniom, czyniąc z nich swoje własne, a po jakimś czasie jedyną rzeczą, która jeszcze wprawiała Quentina w zdumienie były wyjątkowo niskie koszty całego przedsięwzięcia. Politycy o formacie krajowym mogli kosztować miliony, ale na lokalnych na ogół wystarczało to, co miał przy sobie w portfelu, dopóki dysponowało się rzeszą wolontariuszy, a Madeleine miała wyjątkowo szczęśliwą rękę, jeśli chodzi o wynajdywanie ludzi, którzy umieli skłonić innych do poświęcenia setek godzin na adresowanie kopert, chodzenie od drzwi do drzwi, wystawanie na promocyjnych straganach, czy wydzwanianie do różnych osób. Kiedy zaś wybrany kandydat zaczynał wypływać, z miejsca pojawiali się kolejni sponsorzy.

- Mad - mówił Quentin, w drodze z lotniska do jego rodzinnego domu, gdzie mieli spędzić Boże Narodzenie. - Ten cały polityczny interes nie działa jak powinien.

- Żartujesz? - zdziwiła się. - Przecież wszystko idzie znakomicie!

- Jasne, z twojego punktu widzenia na pewno idzie świetnie. Ale to przedsięwzięcie miało mi pomóc w pozbyciu się części pieniędzy, tymczasem jak na razie wydajemy je zbyt wolno.

- To dlatego, że żyjemy w niewłaściwym kraju - orzekła Mad. - Stany nie są jeszcze dostatecznie skorumpowane. W Ameryce Łacińskiej są państwa, w których chcąc kupić wybory musisz rywalizować z narkotykowymi bossami i w jednej chwili możesz utopić setki milionów dolarów.

- W takim razie muszę pomyśleć nad jakimś nowym hobby. To musi być coś naprawdę drogiego. Może będę sponsorował uczelnie. Słyszałem, że uniwerki to worek bez dna.

- Gmach Wydziału Czegośtam imienia Quentina Fearsa na każdym kampusie, o to chodzi?

- Albo imienia Madeleine Cryer - odparł. - Nie muszą go nazywać akurat moim imieniem.

- Tylko nie Cryer - zaprotestowała. - Nie chcę, żeby to nazwisko widniało gdziekolwiek.

- Już za późno. Mam je na świadectwie ślubu.

- Oszukałeś mnie. Ożeniłeś się ze mną tylko po to, żeby zdobyć mój autograf!

Święta były wspaniałe, chociaż Mad narzekała trochę na zielone trawniki i brak śniegu.

- Nie wszyscy mają szczęście żyć w cudownym klimacie doliny Hudson - powiedział Tato.

- My, w Kalifornii, jesteśmy klimatologicznie upośledzeni - powiedziała Mama. - Niestety naprawdę nieprzyjemne zjawiska nigdy nie występują sezonowo. Nie ma na przykład pory trzęsień ziemi.

- Ale jest pora lawin błotnych - stwierdził tato.

- Ale nie każdego roku.

- W następnym roku - powiedział ojciec - Madeleine powinna zaprosić nas wszystkich na Boże Narodzenie do jej rodziny. Będziemy mogli wreszcie pochodzić sobie w śniegowcach. Czy masz jakichś siostrzeńców lub bratanków, Madeleine? Co ja mówię, przecież jesteś jeszcze na tyle młoda, że możesz mieć w domu młodsze rodzeństwo!

- Niestety, nie ma tam już nikogo, kto wierzyłby w Świętego Mikołaja, jeśli o to ojcu chodzi. - odparła Mad, śmiejąc się.

Quentin bacznie ją obserwował, spodziewając się jakichś wykrętów, ale nic takiego nie miało miejsca.

- Być może rzeczywiście zaproszę was wszystkich.

- Nie - zaproponował natychmiast ojciec. - Ja tylko żartowałem. Wcale nie zamierzamy wpraszać się komuś na święta!

- Może nie na samo Boże Narodzenie - powiedziała Mad. - I tak nie obchodzimy świąt zbyt uroczyście, więc myślę, że bylibyście zawiedzeni. Ale może w tydzień później. Co ty o tym myślisz, Quentin? Czy nie byłby to dobry pomysł na wakacje w przyszłym roku?

- Jasne - przytaknął. - Brzmi zachęcająco.

Ale tak naprawdę był rozdrażniony. Najpierw nie chciała zabrać go do swojego domu by przedstawić go rodzinie, a teraz zaprasza Mamę i Tatę, żeby pojechali tam z nimi. Oczywiście, zapraszała ich z rocznym wyprzedzeniem. Do przyszłej Gwiazdki będzie mogła znaleźć tysiąc różnych wymówek, żeby wizyta nie doszła do skutku. A może jeśli zabiorą ze sobą jego rodziców, łatwiej unikną wszystkiego, czego się obawiała. Może jednak po prostu porzuciła te obawy właśnie dzisiaj, teraz, podczas tej rozmowy.

- Widzę, że nie pałasz zbyt wielkim entuzjazmem, Quen -zagadnęła Mama. - Boisz się, że nie będziemy potrafili poradzić sobie ze sztucami, jakie nam podadzą.

- Nie, tylko że Mad opowiadała mi takie straszne rzeczy o swojej rodzinie. Podobno goście przyjeżdżają tam i... znikają.

Mad spojrzała na niego skonsternowana.

- Nic podobnego.

- Dlatego właśnie nigdy mnie tam nie zabrała. W jej domu straszy. Poza tym został zbudowany na ruinach zakładów chemicznych produkujących niesamowite ilości odpadów. Podobno wystarczy przelecieć nad tym terenem, żeby natychmiast zapaść na raka. Samoloty wszystkich linii omijają to miejsce szerokim łukiem.

- Kiedy budowano dom, nie istniały jeszcze żadne zakłady produkujące chemiczne zanieczyszczenia - powiedziała Madeleine. - Ale cała reszta to prawda.

- Nie zapominaj o indiańskim kopcu pogrzebowym, Mad -ciągnął dalej Quentin. - Jej rodzina kazała zrównać z ziemią kopiec, gdzie Indianie chowali szczątki swoich przodków, bo zasłaniał im widok na rzekę. A teraz w miejscu gdzie stał kopiec nic nie chce rosnąć.

- To nieprawda - powiedziała Madeleine. - Cała nasza posiadłość jest zarośnięta wrzoścem i trującym bluszczem.

- Tym samym, którego twoja mama dodaje do swoich niezapomnianych sałatek na ostro.

- Dobrze, poddam się - powiedziała Madeleine śmiejąc się. - Najpierw zabiorę tam ciebie, żebyś poznał moich staruszków.

Mama i Tato osłupieli.

- Quentin nigdy nie widział się z twoimi rodzicami? - spytał Tato. - Skąd więc może wiedzieć, że nie ma u was dziedzicznego kretynizmu. - Na swój nieporadny sposób próbował wszystko obrócić w

żart.

Mama była pełna współczucia - ale nie dla Madeleine i Quentina.

- Twojej Mamie musi być bardzo przykro, że wyszłaś za mąż nic jej nie mówiąc!

- Nie ma się czym przejmować. Powiadomiłam ją o wszystkim. Po prostu nie zaprosiłam jej na ślub.

- Tym gorzej, tym gorzej! - zawołała Mama.

- Moja rodzina jest bardzo dziwaczna - wyznała Madeleine. - Musicie to zrozumieć. Gdybym spodziewała się po nich, że przyjadą na ślub, uznaliby to za przejaw arogancji z mojej strony. Po prostu musicie zrozumieć... Kiedy przyjechałam tutaj... czy wy czasem nie pozwolicie do obrazów Normana Rockwella?

- To zależy - powiedział ojciec. - Ty lubisz Normana Rockwella?

- Kiedy byłam dzieckiem zawsze widziałam w snach sceny z jego obrazów - powiedziała Mad. - Zawsze wydawało mi się, że to sytuacje z jakiegoś baśniowego świata. Albo z raju. Kiedy umrę, chciałabym właśnie znaleźć się w miejscu, w którym będzie tak jak na obrazie Normana Rockwella, na przykład jak na "Dniu Dziękczynienia" albo na "Bożym Narodzeniu". Tamto "Boże Narodzenie" przypomina mi to, które właśnie razem spędziliśmy.

- Co w takim razie robi twoja rodzina? Łoi służbę i podpała domy w sąsiedztwie? - zapytał ojciec, jak zwykle przesadzając w swoich grubiańskich żartach.

Madeleine uśmiechnęła się blado.

- Służący zazwyczaj rezygnowali z pracy, zanim nadeszła okazja by ich wyłoić - powiedziała. - Po jakimś czasie rodzina w ogóle zrezygnowała z najmowania służby.

Mama była wściekła na ojca, ale oczywiście ukrywała gniew pod żartobliwą miną.

- Nie mogę uwierzyć, że on natrzęsa się z twojej rodziny, Madeleine. On nie ma w ogóle najmniejszego wyczucia, jak zwykle zresztą - powiedziała i niby w żartach wymierzyła ojcu tęgiego kuksańca w ramię.

Ale Quentin widział, że uderzenie było bolesne i na twarzy ojca pojawił się grymas niezadowolenia. Pamiętał takie obrazki z dzieciństwa. - Tato zawsze obrywał boleśnie, gdy się zagalopował. Tym niemniej, nigdy go to nie powstrzymało przed następnym zagalopowaniem się. Można by sądzić, że te bolesne ciosy były środkiem płatniczym w sprzeczkach rodziców, które przybierały postać handlowych transakcji. Czy w przyszłości on i Madeleine również mieli wypracować sposoby na to, by ranić się nawzajem, a następnie robić swoje nie zwracając uwagi na drugiego?

- Proszę was - powiedziała Madeleine - poprzestańmy na stwierdzeniu faktu, że moja rodzina jest dziwna. Ja jestem jedyną osobą, która zachowuje się na tyle normalnie, że może swobodnie pokazywać się w miejscach publicznych. Ale jedno wam powiem. Quentin od dawna umiera z

ciekawości, żeby tę moją rodzinę zobaczyć i na pewno trochę się na mnie gniewa, że go tam jeszcze nie zabrałam. Ale zrobię to już w następnym tygodniu. Po Nowym Roku. Pojedziemy do Doliny Hudson i do Zamku Cryerów, a kiedy wróci tutaj, będzie wam mógł opowiedzieć o wszystkich dziwactwach na jakie się napatrzył. Wierzcie mi, wystarczy zagościć tam na trzy godziny, żeby mieć do opowiedzenia kilkanaście niewiarygodnych historii.

- Opowiedz nam choć jedną z nich już teraz - powiedział Quentin.

- Widzicie? - droczyła się Madeleine. - Teraz kiedy już zgodziłam się go zabrać, przestraszył się i woli żebym przygotowała go na tę wizytę, na wypadek gdyby chciał się wycofać. Ale ja nie powiem mu nic a nic. Będzie musiał pojechać tam z otwartym umysłem, pozbawiony jakichkolwiek uprzedzeń.

- Jestem pewna, że twoja rodzina jest wspaniała - powiedziała Mama - i to właśnie Quentin powie nam po wizycie.

- Może tak, - powiedziała Madeleine z porozumiewawczym uśmiechem na ustach - a może nie. Ale jedno muszę przyznać. Nikt z mojej rodziny nie umie robić tak wspaniałego ciasta bananowego jak ty, Mamo. A słyszę, że ta reszka, która została w lodówce, wzywa mnie po imieniu.

- Ciasto nie wie jak masz na imię - powiedział Quentin. - Ja cię wołałem. Ale na razie możemy przyjąć, że to było ciasto.

- Quentinie - odezwała się Mama z wyrzutem w głosie. - Jesteście już kilka miesięcy po ślubie, więc mógłbyś dać spokój z tymi nachalnymi insynuacjami.

- Insynuacjami? - zdziwił się Quentin. - Ależ co też masz na myśli, matulu droga?

Gdy zjedli ciasto, Mama zabrała się do sprzątanía kuchni, a Tato poszedł wysyłać świąteczne e-maile do swoich braci, zaś Quentin dał Madeleine szansę, by wycofała się ze swego zaproszenia.

- Wcale nie chcę się z niczego wycofywać. Zdecydowałam już, że przyszedł czas abyś ich poznał. Powiedziałabym ci to na osobności, ale rozmowa potoczyła się tak, jak się potoczyła i... ale przecież nie masz nic przeciwko temu, prawda?

- Absolutnie. Prawdę mówiąc, czuję ulgę. Widzę, że nareszcie ufasz mi wystarczająco, aby zabrać mnie do swojego domu.

- To nie kwestia zaufania, jakie mam do ciebie, mój misiu. Po prostu wiem, że dasz radę znieść tę wizytę. Oni po prostu wiedzą, jak zalać mi sadła za skórę. Gdybym nie miała oparcia w tobie, moja wyspa zdrowego rozsądku, to myślę, że nie wytrzymałabym z moją rodziną nawet jednego dnia. Bo jedziemy tam tylko na jeden dzień, pamiętaj.

- A potem co? Nocleg w Holiday Inn?

- Nie, oczywiście, że będziemy musieli zostać tam na noc, ale wiesz o co mi chodzi. Dwadzieścia cztery godziny, a potem ruszamy w drogę, niezależnie od tego jak bardzo moja rodzina nalegałaby na

ciebie, żebyśmy jeszcze zostali, rozumiesz mnie? Ponieważ nawet wtedy, gdy twarz będę miała ułożoną w sztuczny uśmiech i będę mówić: "O tak, Quentinie, zostaliśmy jeszcze trochę", wierz mi, nie będę miała najmniejszej ochoty na przedłużanie wizyty. Chcę żebyś mnie zabrał stamtąd przed godziną duchów.

- To znaczy?

- Jeśli zjawimy się tam w południe, wtedy do południa następnego dnia musimy stamtąd wyjechać, albo zamienię się w kałużę śluzu na podłodze.

- Ciekawy byłby widok. Gdybym pocałował tę kałużę, czy znowu zmieni się w księżniczkę?

- Nie, raczej dostaniesz grypy. - Pocałowała go. - Twój pocałunek już dawno zmienił mnie w księżniczkę.

SHE LOVES YOU, YEAH

Limuzyna czekała na nich późnym popołudniem, w Nowy Rok na lotnisku La Guardia i stamtąd ruszyli drogą prowadzącą w górę rzeki Hudson.

- Szkoda, że nie zobaczymy samej rzeki - powiedział Quentin. - Zanim dojedziemy do Triborough, będzie już ciemno.

- Nie da się zobaczyć rzeki, nawet za dnia - powiedziała Madeleine. - Najlepiej widać ją ze skarpy. Wielkie domy budowano tak, żeby były widoczne od strony rzeki. Bo w tamtych czasach to rzeka była autostradą, a po tej autostradzie pędziły parowce.

- Wasz dom jest aż tak stary?

- W każdym pokoju jest kominek. Kuchnię dodano o wiele później. Na łazienki zaadaptowano fragmenty hollu, niemal wszystkie są wciśnięte pod schodami. Każda z nich powstała na długo po

tym, jak wzniesiono dom.

- Budowali takie ogromne domiszcza, a za potrzebą szli do wychodka.

- Nie udawaj głupka - powiedziała Madeleine. - Każdy z domowników miał swój piękny, porcelanowy nocnik. Nocniki opróżniała służba.

- I każdy miał swoją rolkę papieru toaletowego?

- W każdym pokoju była umywalka i ręczniki. Jak myślisz, po co?

- Ech, stare, dobre czasy - westchnął Quentin.

- Zgaduję, że twoi przodkowie mieli klozety ze spluczkami od piętnastego wieku.

- Nie, ale sami kopali sobie latryny, budowali wygodki i korzystali z projektów w katalogach Searsa. Nikt nie musiał wynosić czyichś nieczystości.

- Wtedy było inne podejście do pieniędzy - powiedziała Madeleine. - Brudną robotę, ktoś inny wykonywał za ciebie, a ty mu płaciłeś.

- Moi przodkowie wierzyli w niezależność. Każdy robił to, co do niego należało i nie musiał się nikomu za nic odwdzięczać.

- Snobizm biedaków.

- Lepsze to, niż bezradność bogaczy.

- Tyle, że to właśnie ty jesteś nadziany.

- Cóż się stało? Rodzinka zbankrutowała?

- Mamy tyle, ile nam potrzeba. Rzecz jasna, w porównaniu z tobą...

- Moja fortuna to czysty przypadek. Pieniądze przyszły do mnie same, kiedy zajmowałem się tym, co lubiłem. Miałem szczęście pracować dla firmy, której szefem był gość mający świra na punkcie marketingu. A kiedy już miałem kupę forsy, nie mogłem nic poradzić na to, że wciąż jej przybywało.

- To właśnie najbardziej w tobie kocham, Tin. Nie masz żadnych ambicji.

- Owszem mam. Moją ambicją jest dzielić z tobą wspaniałą przyszłość.

Uśmiechnęła się do niego. Ze swojej podręcznej torby Quentin wyjął płytę *Beatles Anthology* i włożył ją do odtwarzacza limuzyny.

- Nie miałem jeszcze okazji posłuchać jej od czasu kiedy mi ją dałaś.

- Myślałam, że spodoba ci się coś, co będzie ci przypominać czasy dzieciństwa.

- Wcale ich tak dobrze nie pamiętam. Miałem trzy lata kiedy zrobili swój show u Sullivana.
- Dla mnie to wszystko prehistoria.
- Nie jesteś tak dużo młodsza ode mnie - Z aktu małżeństwa wynikało, że urodziła się w 1965 roku.
- W tamtych czasach mieszkałam na innej planecie - powiedziała. - W domu nie mieliśmy nawet radia.
- No proszę, mieliście porcelanowe nocniki, a nie mieliście radia.
- Ale za to miałam patefon na korbkę.
- Naprawdę?
- Nie, żartuję. Myślę, że gdzieś w domu musiało być jakieś radio, ale na pewno nikomu się nawet nie śniło, żebym to ja mogła wybierać stację. A poza tym nieczęsto ruszaliśmy się z domu.
- Jak to? Nie chodziłaś do szkoły?
- Miałam guwernantki. Rodzinna tradycja.
- Próbowano cię izolować?
- Myślę, że to prawdopodobne - powiedziała Madeleine. -Babcia sprawowała rządy żelazną ręką. Nigdy mnie nie lubiła.
- Słynna babcia? Czy będę miał okazję ją poznać?
- Nie wiem. Powinna już dawno siedzieć w domu starców, odżywiana kroplówką.

Quentin nigdy nie słyszał u niej takich zjadliwych uwag.

- Alzheimer? - spytał.
- Zaawansowana jędzowacizna.
- Myślę, że powinnaś mnie trochę przygotować przed tą wizytą. Na którego z członków rodziny powinienem uważać najbardziej, aby go przypadkiem nie urazić.
- Czy ty nic nie rozumiesz, Tin? Nic mnie nie obchodzi kogo urazisz. Wiele lat temu wyzwoliłam się spod ich kontroli. Przywiozłam cię tu, żeby pokazać im, że na tym świecie żyją jeszcze porządni ludzie i mnie udało się znaleźć jednego z nich, a jeśli nie przypadniesz im do gustu, to niech się wypchają.

Quentin rozmyślał przez chwilę nad jej słowami, słuchając muzyki, a następnie przejrzał małą książeczkę dołączoną do płyty.

- Zabawne, jak wiele z ich pierwszych kawałków przypomina przeboje Elvisa. Tyle, że im nie dorównują.
- Co? - wyglądała na zupełnie zdezorientowaną.
- Mówię o piosenkach Beatlesów.
- Ach, przepraszam, w ogóle nie słuchałam płyty.
- To posłuchaj teraz. Śpiewa Paul, ale co on robi ze swoim głosem. Wyje i rzezi jak oszalały. To w ogóle nie przypomina Beatlesów.
- Trochę fałszuje, prawda?
- To właśnie miałem na myśli. Wydaje się, że w tamtych czasach jeszcze nie znaleźli swojego własnego brzmienia. Ani jeden z ich wcześniejszych numerów sprzed pierwszych nagrań studyjnych nie brzmi jak przebój Beatlesów. Wygląda na to, że weszli do studia jako pierwsza lepsza knajpiana grupa, naśladowująca Elvisa i Ink Spots, a wyszli już jako sławna czwórka z Liverpoolu.
- Mówiłeś, że miałeś dopiero trzy lata, kiedy zaczęło być o nich głośno.
- No tak, ale kiedy byłem już trochę większy, to co tam było do słuchania? England Dan i John Ford Coley. "I Put My Blue Jeans On". "She's Gone". No i niezapomniany Fleetwod Mac.
- Myślę, że musieli jednak odejść w zapomnienie, bo nigdy nie słyszałam o żadnej z tych grup. "I Put My Blue Jeans On" brzmi jak hasło z reklamówki.
- To była piosenka tego małego, śmiesznego gościa z England, przynajmniej tak mi się wydaje. A potem rzeczywiście zrobili z niej reklamówkę. A może to najpierw była reklamówka, a potem piosenka, bo ja wiem. Albo "The Year of the Cat". To dopiero była kicha. Razem z Lizzy musieliśmy cofnąć się w tył i słuchać staroci. Moi rodzice mieli fioła na punkcie Elvisa, ale Beatlesów też lubili. Mieli trochę dawnych nagrań w swoim pokoju.
- Jeśli na początku Beatlesi byli klonami Elvisa, to chyba zrozumiałe.
- Nie, na nagraniach wcale nie byli do siebie podobni. A ty czego słuchałaś?
- Mówiłam ci już, niczego.
- Pewnie jakiegoś disco. W osiemdziesiątym miałaś piętnastkę. Jasne, Michael Jackson! "Billy Jean"! "We Are The World". A może Springsteen?
- To ma być test? Egzamin? - naprawdę wyglądała na rozłoszczoną.
- No co ty, po prostu rozmawiamy sobie o muzyce i to wszystko.

- Ja w każdym razie nie mam zielonego pojęcia o czym mówisz! I wcale nie widzę powodu, dla którego musiałabym się na tym znać, więc możesz zakończyć tę rozmowę!

Wydawała się jednocześnie wściekła i przestraszona, gdy odwracała głowę, żeby spojrzeć przez okno na zapadający na dworze wieczór. Światła i drogowskazy migały na poboczu, gdy mijali je pędząc autostradą.

- To nie był żaden test - odezwał się Quentin cicho. - Po co miałbym cię testować?

- Nie wiem - mruknęła.

- W każdym razie nie miałem zamiaru tego robić. Kocham cię niezależnie od tego, czy interesujesz się muzyką czy nie. Zastanawiałem się po prostu czego słuchano w czasach kiedy dorastałaś. Ludzie zazwyczaj pamiętają, jaka muzyka była na topie w okresie od piętnastych urodzin do ślubu. Ja wcześniej zainteresowałem się muzyką, bo to Lizzy mnie tym zaraziła, kiedy sama weszła w odpowiedni wiek. I nigdy nie przestałem się tym zajmować, ponieważ nie założyłem rodziny. Ty miałaś wielu przyjaciół w DC, czy oni nie słuchali żadnej muzyki?

- Dla mnie to nie była żadna muzyka. Tacy na przykład Nine Inch Nails - zadrżała.

- Ale nikt nie puszczał ci nigdy Counting Crows? Martina Page'a? Albo Natalie Merchant?

- Byliśmy urzędnikami. A mnie obchodziły tylko sprawy związane z rządem. - Obróciła się do niego.

- Beatlesi byli strasznie bogaci, prawda? I sławni?

- Sławniejsi niż Jezus Chrystus, tak się chyba mówiło.

- Aha! I co z tego mieli?

- Z czego?

- No, z tej forsy i sławy. Po co im to było?

- Bo ja wiem. Mogli tworzyć swoją muzykę. Śpiewać swoje piosenki.

- Nie, to właśnie zapewniło im sławę i bogactwo. Ale po co je zdobyli?

- Dla samej sławy i bogactwa. - Przyglądał się z uwagą jej twarzy, zastanawiając się jak ktoś, kogo kochał tak bardzo może nie rozumieć takich prostych rzeczy. - Byli muzykami bo lubili piosenki. Lubili pisać je i śpiewać.

- Tak jak ty lubieś programować, prawda?

- Właśnie. Robisz to, co lubisz i czasem zdarza się, że przynosi ci to pieniądze albo sławę, ale w większości przypadków tak się nie zdarza, ale to i tak nie ma znaczenia, ponieważ robisz to, co uwielbiasz robić.

Pokręciła głową.

- Jak dzieciak, któremu dają wielki, wspaniały prezent, a kiedy go odpakuje, zaczyna bawić się pudełkiem, w którym znajdował się podarunek. Kolorowym papierem i wstążkami.

- W porządku, a ten prezent, według ciebie to co? Nachyliła się w jego stronę i szepnęła z takim przejęciem, że na dźwięk jej słów serce mocniej mu zabiło.

- Władza nad wszystkim.

Przypomniał sobie jej słowa wypowiedziane w ogrodzie. Wtedy też mówiła mu o władzy.

- Ale to też jest tylko pudełko - powiedział. - Mam na myśli władzę.

- Nieprawda.

- Ależ tak. Po co jest władza?

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Tak samo pytałaś mnie o pieniądze i sławę - po co one są? A co z władzą? Z rządzeniem? Po co jest władza nad wszystkim? Co można przez to osiągnąć?

- Co tylko się chce. - Odpowiedź wydawała jej się tak oczywista, że najwyraźniej nie rozumiała, o co mu chodzi.

- No właśnie. Co ty byś chciała?

- Mieć władzę nad wszystkim - powiedziała.

- Pamiętasz tych kandydatów, których zachęciliśmy do ubiegania się o władzę? Mad, czy nie wybraliśmy ich dlatego, że mieli jakieś cele? Jakies sprawy, o które walczyli?

- Oni mieli cele - powiedziała - co nie znaczy, że ja muszę je mieć.

Te słowa zaskoczyły go i zniesmaczyły jednocześnie, więc pożałował, że w ogóle wdał się w rozmowę.

- Myślałem, że wybrałaś tych ludzi ze względu na sprawy, którym służą.

- To prawda - powiedziała. - Najłatwiej jest kontrolować polityka, który służy jakiejś konkretnej sprawie.

Zadrżał.

- To nie ma najmniejszego sensu.

- Jasne, że ma - powiedziała. - Myślałam, że to rozumiesz. Dopóki ktoś taki jest na drodze do

realizacji swojego celu, zrobi wszystko, co mu każesz. Tak samo jak tamci ludzie, z którymi wchodzisz w spółki.

- Co masz na myśli?

- Oni mają swoje marzenia... Dopóki udaje im się je realizować, możesz osiągnąć wszystko inne zgodnie z twoją wolą.

Oczywiście, że to mogło wyglądać tak dla kogoś, kto patrzył z perspektywy Mad. Jego partnerzy wnosili do spółki swoje marzenia, swoją energię, swoje umiejętności i doświadczenie... ale wszystko inne działało się zgodnie z jego wolą, dlatego właśnie Quentin nigdy nie poniósł poważniejszych strat, nawet jeśli przedsięwzięcia kończyły się wielką kląpą. On miał nad wszystkim kontrolę. I jeśli ktoś nie działał zgodnie z wyznaczonym celem, odcinał mu dopływ forsy i zostawiał go swojemu losowi. Wspólnik taki nie ponosił żadnych strat, ale ponieważ przestawał być użyteczny, nie miał z nim już nic wspólnego.

Tak właśnie mogło to wyglądać z jej punktu widzenia. Ale przecież jemu wcale nie o to chodziło, on wcale taki nie był. Nie wykorzystywał ludzi. On im pomagał.

- Bądź realistą - powiedziała Madeleine. - Nikt nigdy nie pomaga nikomu, jeśli nie ma w tym żadnego interesu. Nawet ty. Nawet jeśli usilnie próbujesz oszukać samego siebie, że tak nie jest.

- Nie podoba mi się ta rozmowa - powiedział Quentin.

- Ty ją rozpoczęłaś, Tin. Ale mnie się wydawało, że oboje mamy podobny pogląd na owe sprawy. Nie oszukałam cię. Od samego początku mówiłam, że najbardziej pragnę władzy. Wiedziałaś na co się decydujesz, kiedy wchodziłaś ze mną w spółkę.

- W spółkę? - To słowo zabrzmiało gorzko w jego ustach.

- Nie mam na myśli naszego małżeństwa. Mówię o wspólnym przedsięwzięciu. O wyszukiwaniu kandydatów. Przecież stworzymy sieć ludzi, których będziemy mogli kontrolować w taki sposób, że nie domyślą się nawet, że są kontrolowani. Być może tylko dwa, lub trzy razy w swojej karierze będą musieli zrobić coś dla nas, a kiedy ich do tego skłonimy, nie naruszymy żadnej z wyznawanych przez nich zasad, ponieważ nie będzie to miało nic wspólnego ze sprawą, której z oddaniem służą. Poprosimy ich o pomoc w tym czy w owym, a oni będą pamiętać, że zawdzięczają nam wszystko, więc zrobią to dla nas. Bez zastanowienia, ponieważ zawsze będzie chodzić o jakąś drobną, nie znaczącą rzecz. Jakieś spotkanie. Jakiś głos poparcia. Zablokowanie pewnej sprawy w jakiejś komisji. Poparcie kandydata, któremu przeciwstawia się ich partia, lub odrzucenie innego, którego mieli poprzeć. To będzie coś w rodzaju przysługi, wyświadczonej tym, co pomogli im zacząć błyskotliwą karierę, dzięki której oni tak wspaniale mogli przysłużyć się ich sprawie.

- Więc to my jesteśmy grubymi rybami, które pociągają za sznurki - podsumował Quentin.

- Nie! - zaśmiała się na samą myśl o tym. - Tin, przecież widziałeś mnóstwo takich grubych ryb. Znasz tych ważniaków, którzy pokazują się wszędzie napuszeni, nadęci i wdają się w boje o jakieś lokalne

sprawki, pozbawione jakiegokolwiek znaczenia. To ci, którzy obnoszą swoją biżuterię i opaleniznę na wiecach i konwencjach. Najpierw szczycą się tym, że potrafią zyskać sympatię przeciętnych obywateli, by potem szczycić się, że są od tych przeciętnych obywateli ważniejsi i potężniejsi. My jesteśmy zupełnie inni.

Quentin pokręcił głową. Czuł się tak, jakby w ogóle nie znał Madeleine. A tymczasem była kobietą, którą kochał. Musiał się nad tym wszystkim zastanowić. Cała sytuacja nie miała nic wspólnego z ostrzeżeniami Wayne'a Reada. W końcu przeżyli razem kilka miesięcy. Może miała rację, może powinien zrozumieć jej postawę od samego początku. Cóż to zresztą miało za znaczenie? Właściwie była tylko bardziej szczerą w tej kwestii od innych ludzi. I co z tego? Dała po prostu świadectwo uczciwości. Zgodności przekonań z praktycznym działaniem.

Ale równie dobrze wszystko to mogło oznaczać cyniczną manipulację, do tego stopnia perfidną, że tylko niektórzy politycy mogli się na nią zdecydować.

Odpędził od siebie mroczną myśl. Ta słodka, naiwna i dziecinna kobieta, siedząca u jego boku miała po prostu dziecinne, naiwne i zbyt romantyczne poglądy na władzę. Poglądy osoby spoza układu. Był pewny, że niedługo Madeleine dokona tego samego odkrycia, co on w stosunku do pieniędzy. Odkryje, że władza sama w sobie traci cały urok, kiedy już się ją zdobędzie i trzeba od nowa wymyślać, co wartościowego można zrobić z tym, co się posiada.

Co za podszepty wewnętrznego głosu sprawiły, że nagle tak źle myślał o Mad? Postara się nie mówić nic, co mogłaby odebrać jako krytykę. Lepiej obrócić wszystko w żart, potraktować to jak zabawę, a potem pomóc jej w uzyskaniu bardziej dojrzałego spojrzenia na rzeczywistość, w miarę jak nabierze doświadczenia w świecie polityki.

Nachylił się w jej stronę i pocałował ją.

- Kiedy już będziesz rządzić światem, czy otrzymam zaszczytny tytuł Małżonka Królowej?

Wybuchnęła śmiechem.

- A jak myślisz, po co wychodziłam za ciebie?

Śmiał się razem z nią. Ulżyło mu, gdy przekonał się, że Mad potrafi żartować z siebie. Dopóki jeszcze umiała zachować żartobliwy dystans do swoich własnych pragnień, one nigdy nie zdołają całkowicie zawładnąć jej duszą.

Beatlesi tymczasem śpiewali o tym jak bardzo potrzebują pieniędzy. Wszystko inne zostaw ptaszkom i pszczołkom. Masz na mnie sposób. Fikaj pan, panie Beethoven. I wtedy płyta się skończyła.

Przez chwilę w samochodzie panowała cisza. Słyszał tylko bicie swojego serca, walącego bez przerwy jak perkusja Ringo. Czy ona też słyszała, kiedy opierała głowę na jego ramieniu? Czy słyszała bicie jego serca? Teraz, kiedy należało do niej, czy je słyszała?

Nigdy by nie zauważyli zjazdu do posiadłości, gdyby Madeleine im go nie pokazała. Ale chociaż

wolała "Tutaj trzeba skręcić, teraz!", kierowca przejechał obok wylotu alei dojazdowej wcale jej nie widząc, więc musieli się cofać.

- Przepraszam - tłumaczył się szofer. - Zauważyłem zjazd dopiero wtedy, gdy już go minąłem.

- Nie ma się czym przejmować - powiedział Quentin.

- To prawda, że w ciemności łatwo go przeoczyć - przyznała Madeleine.

Droga, którą jechali była tak zarośnięta, że gałęzie drapały boki samochodu po obu stronach, a w niektórych miejscach zwisały tak nisko, że wydawało się, iż to koniec drogi.

- Zedra cały lakier - mruczał kierowca.

- Przecież zapłaciłem za ubezpieczenie, prawda? - spytał Quentin.

- Oczywiście, proszę pana, nie ma najmniejszego problemu, mówiłem tylko do siebie.

- Przypuszczam, że zapomnieli zlecić ogrodnikowi, by zadbał także o drogę dojazdową. - odezwała się Madeleine. - Albo wpisuje się to w babciną wizję prywatności.

W końcu droga wyprowadziła ich na dużą, zaśnieżoną polanę. Najmniejszy ślad opon lub butów nie naruszał nieskazitelnej bieli śnieżnej pokrywy, mimo że od ostatnich opadów minęło już wiele dni. Tylko długie i płytkie, korytkowate wgłębienie w śniegowym płaszczu wskazywało którądy biegła alejka.

Dom wyłonił się spoza otaczających go ogromnych, starych drzew, które przy dziennym świetle nigdy nie zdołałyby go ukryć przed wzrokiem ludzi, ponieważ budynek wznosił się imponującą pięciopiętrową bryłą nad ogromną werandą, na którą prowadziły schody równie szerokie, jak te wiodące do greckich świątyń.

- Ile setek ludzi zamieszkuje ten pałac? - zapytał Quentin zdumiony i przestraszony.

- W najlepszych czasach, mieszkało tu z pół tuzina rodzin. Nikt się stąd wtedy nie wyprowadzał. Tworzyliśmy bardzo zgrany klan - zaśmiała się. - Tak czy siak duże pieniądze wymagają wielkiego domu, Tin. Niezależnie od tego ilu ludzi w nim mieszka. Jesteś chyba jedyną osobą, która tego nie rozumie.

Oczekiwał ich milczący lokaj; wysoki, szczupły mężczyzna, o wyglądzie typowego majordomusa, jakich zawsze widuje się na filmach kostiumowych lub książkowych ilustracjach. Miał na sobie tylko lekką liberię, ale nie wyglądało na to, żeby panujący chłód mu przeszkadzał.

- Skąd wiedział, że przyjeżdżamy? - zdziwił się Quentin.

- Jestem pewna, że ktoś zauważył światła na alejce.

Quentin nie wiedział po co służący wyszedł przed dom, skoro wcale nie ruszył do otwierania

samochodowych drzwi, ani nie pomógł im przy wyjmowaniu bagaży - wszystko to zrobił kierowca. Quentin dał szoferowi napiwek i odesłał go. Opony buksowały na żwirze, a silnik ryczał jak tornado, gdy samochód odjeżdżał tylnymi lampami oświetlając śnieg na czerwono.

- Wygląda tu bardziej gwiazdkowo niż gdziekolwiek w Kalifornii - orzekł Quentin.
- Mnie nic nie kojarzy się tu z Gwiazdką - powiedziała Madeleine - Ten dom jest posępny i wrogi.
- Witamy w domu, panno Cryer - odezwał się służący cichym głosem.
- Widzisz? - zezłościła się Madeleine. - Przecież wiedzą, że jestem już panią Fears.
- Proszę mi wybaczyć - tłumaczył się lokaj. - To siła przyzwyczajenia.

Służący poprowadził ich w górę schodami. Wychodząc przed dom musiał skorzystać z innego wyjścia, gdyż na schodach prowadzących do drzwi frontowych nikt wcześniej nie zostawił żadnych śladów. Quentin sam niósł swoje torby. Służący niósł torby Madeleine. Czy była to zapowiedź tego, jak będzie traktowany w tym domu? Madeleine należała do rodziny, a jego obecność ledwie tolerowano. A może gdyby Quentin po prostu zostawił swoje bagaże, służący zszedłby na dół i przyniósł je później? Nie miał pojęcia jak należy postępować ze służącymi. A z tego co mówiła Madeleine wynikało, że w tym miejscu i tak mogą panować zupełnie odmienne obyczaje. Jej rodzina miała swoje własne zasady.

Potwierdziło się to kiedy z domu nikt nie wyszedł na ich powitanie. Zostali wprowadzeni po pustych schodach, w absolutnej ciszy, do pokoju na trzecim piętrze, a właściwie ogromnej sali z ładnymi meblami, oświetlonej jedynie dwiema lampami; ich przewody oplecione płótnem wetknięte były do przestarzałych dwuwtykowych gniazdek, które dawno już wyszły z użycia.

- Przypuszczam, że nikt nigdy nie zadbał o to, by dostosować domowe instalacje do ogólnie obowiązujących standardów - powiedział Quentin.

Służący spojrział na niego takim wzrokiem, jakby przyglądał się nowo powstałej rysie na tynku, a następnie zostawił ich samych w ogromnej sypialni w stylu retro.

- Czy ten pokój ma swoją łazienkę, czy też będziemy błędzić po korytarzu?

Zaśmiała się.

- Obecnie każdy pokój ma swoją łazienkę. W latach dwudziestych ktoś z rodziny dostał hopla na punkcie modernizacji. Razem z elektrycznością zrobili całą hydraulikę, ale zobacz tylko na te listwy profilowe - są krzywe. Dlatego, że wcześniej nie było tu ściany. Została dodana, aby oddzielać dwie łazienki, naszą i tę, która przynależy do sypialni obok. Pokazała mu niemal zabytkową łazienkę, z wanną na nóżkach rzeźbionych w łapy i muszlą klozetową ze spłuczką zainstalowaną wysoko pod sufitem, uruchamianą przez długi, ozdobny łańcuszek.

- No proszę - zawołał Quentin - to wyposażenie musiało być staroświeckie już w latach dwudziestych.

- Moja rodzina kultuwyuje ekscentryczne gusta.
- Czuję się tak, jakbyśmy weszli do pałacu Bestii. Mad, zdziwiona, uniosła w górę jedną brew.
- To prawda, w całym domu pachnie okropnie, ale...
- Miałem na myśli tę bajkę o Pięknej i Bestii. Kiedy dziewczyna zamieszkała w pałacu i przez długi czas nie mogła w nim napotkać żywej duszy.
- Och, oni wszyscy już dawno są w łóżkach.
- Jeszcze nie jest tak późno.
- Nie mówiłam, że śpią. Wszyscy domownicy muszą ściśle przestrzegać planu dnia, ułożonego przez Babcie. Cisza nocna rozpoczyna się zaraz po kolacji. Każdy ma siedzieć w swojej sypialni. Włączając w to przybywających gości. Wolno nam jednak zejść na dół i zrobić sobie kanapki. O ile, rzecz jasna, nie będziemy zjeżdżać po poręczach ani krzyczeć na korytarzach. Wszyscy będą nas unikać aż do jutra rana.
- A kto to są wszyscy?
- Nie dowiem się, dopóki nie zrobię porannego przeglądu.

Podzielili między siebie szuflady i szafę, wypakowali swoje ubrania, przebrali się w pidżamy i szlafroki, po czym w kapciach zeszli na dół do kuchni mieszczącej się w suterenie.

- To musi być bardzo wygodne dla służących - powiedział Quentin.
- Dlatego właśnie mamy windy, którymi jedzenie transportuje się do jadalni - oznajmiła Madeleine - Przygotowywanie jedzenia na tym samym piętrze, gdzie mieszka rodzina i przyjaciele wydaje się dobre dla pospólstwa. - Zaśmiała się. - Widzisz, Tin, mam nadzieję, że zaczynasz rozumieć dlaczego nie chciałam od razu przywozić cię tutaj.
- Pamiętam jak *grande dame* mówiła mi, że w dawnych czasach wszyscy pobierali się dla pieniędzy. Nowe pieniądze łączyły się ze starymi pieniędzmi. Czy ja właśnie jestem taką nową fortuną?
- Nie - stwierdziła Madeleine. - Dla mnie jesteś wyłącznie maszynką do kochania.
- Masz musztardę na wardze. - Ale kiedy szukała serwetki, zbliżył się do niej i scałował jej brązową plamkę z ust. Zabrali kanapki ze sobą na górę.

NIE MA JAK W DOMU

Rankiem, patrząc spod na wpół przymkniętych powiek, jak zaspana Madeleine podnosi się z łóżka i rusza do łazienki, Quentin zastanawiał się po co właściwie tak bardzo chciał poznać jej rodzinę. Na pewno nie po to, by teraz denerwować się i zamartwiać, czy sprostą ich oczekiwaniom, lub też, co gorsza, czy nie okaże się, że dokładnie tym oczekiwaniom odpowiada. Fakt, że Madeleine unikała jak ognia udzielenia konkretnych wyjaśnień na temat tego, co było nie w porządku z jej rodziną, lub chociaż kim właściwie byli jej najbliżsi, tylko pogarszał całą sprawę. Jediną osobą, jaką wymieniła, związaną z tym domem była jej babcia. Obie babcie Quentina były takie zabawne, kochające i miłe, każda na swój sposób, że nie potrafił wyobrazić sobie, iż jakakolwiek babcia może być okropna. Cóż mogła robić taka niedobra babcia? Piec ciastka bez cukru? Odmawiać niańczenia wnuków?

- Obudź się, Quentin!

- Czyżbym znowu się zdrzemnął?

- Przecież nie byłam aż tak długo w łazience. Widzę, że masz nadzieję uniknąć spotkania z moją rodziną.

- Być może. Ale zupełnie podświadomie, zapewniam cię.

- Wciąż nie otworzyłeś oczu.

- Kogo jeszcze dziś spotkam? Prócz twej straszliwej babuni?

- Każdego, kto aktualnie przebywa w domu, rzecz jasna.

- A więc poznam także twoich rodziców, prawda?

- Wątpię.

Poczuł jak żołądek podchodzi mu do gardła.

- Więc po co tu jesteśmy? Mad, ja chciałem poznać twoich rodziców.

- Nigdy tego nie mówiłeś. Mówiłeś, że chcesz poznać moją rodzinę.

- Czy to nie to samo?

- Moi rodzice nie mieszkają tutaj. Jakiś czas temu mama bardzo pokłóciła się z Babcią.

- Dlaczego więc nie pojedziemy do twojej mamy?
- Ponieważ to jest mój dom - powiedziała Madeleine. - To moje dziedzictwo.
- Jesteś jedyną spadkobierczynią?
- Tin, myślę, że specjalnie wszystko opóźniasz.
- Po prostu nie jestem w stanie zrozumieć relacji w twojej rodzinie.
- To proste: Babcia poczęła moją matkę, moja matka poczęła mnie. Całkiem jak w Biblii.

Quentin nakrył głowę poduszką. Mad zerwała mu ją natychmiast, a następnie ściągnęła z niego kołdrę. W pokoju panował chłód.

- Daj spokój. Zimno mi.
- Trzeba było w nocy nałożyć z powrotem pidżamę.
- Po tym jak się namęczyłaś zdzierając ją ze mnie zębami?
- Chyba w twoich snach?
- Chcesz powiedzieć, że to wszystko mi się śniło?
- Jeszcze chwila, a przyniosę szklankę wody. Wstawaj moje słoneczko!

Quentin natychmiast odpowiedział cytatem:

- Za każdym razem kiedy słyszę jak się wydzierasz: "Wstawaj moje słoneczko", myślę sobie, jakżeż szczęśliwi są umarli!
- Skąd to jest?
- *Ze Szklanej menażerii* Tennessee Williamsa. Lektura ze średniej.
- Natychmiast wylaż z łóżka - Zaczęła ciągnąć go za stopę. Pozwolił, by ściągnęła go na podłogę, a następnie spróbował wciągnąć ją na siebie. Ale zamiast tego ona postawiła mu stopę na klatce piersiowej i zawołała.
- Wstawaj albo giń!
- Jeśli tylko taki mam wybór.

Podłoga łazienki była jak z lodu. Woda, która leciała z kranu, również była lodowata. Odkręcił kurek gorącej wody wypuszczając jak najsilniejszy strumień. Ale temperatura wody nie zmieniała się. Wysunął głowę przez szparę w drzwiach i zajrzał do pokoju. Madeleine właśnie wbijała się w sukienkę, wykonując dziwaczne ewolucje. Za dnia nigdy nie ubierała się w suknie.

- Jak długo trzeba czekać na gorącą wodę?

- Rankami nie ma gorącej wody. Nie mówiłam ci? Babcia twierdzi, że poranne kąpiele szkodzą zdrowiu. Gorąca woda jest włączana o drugiej po południu, więc możesz urządzić sobie kąpiel pomiędzy czwartą a szóstą, tak aby zdążyć przed kolacją.

- To jakiś żart?

- I co, ubawiłeś się?

- A więc mogę liczyć tylko na zimną wodę?

- To dobre lekarstwo na twoje obawy.

Spryskał sobie twarz i drżąc z zimna wytarł ją ręcznikiem. Przez chwilę rozważał możliwość rezygnacji z golenia - w końcu nie miał jeszcze tak dużego zarostu, który był zresztą bardzo jasny i często zdarzało mu się golić co drugi dzień. Ale czekało go spotkanie z Babcią - miał przecież zrobić dobre wrażenie, nieprawdaż? Skoro nawet Mad ubrała się w suknię...

Po kilku minutach, ubrany w sweter i płócienne spodnie - ostrzegła go, żeby nie brał ze sobą dzinsów, gdyż nie będzie okazji, przy której mogłyby zostać uznane jako właściwe - podał ramię Madeleine, otworzył drzwi i wyprowadził ją na korytarz.

Na korytarzu oczekiwał ich mężczyzna, który stał wpatrując się w nich z założonymi rękami. Miał ciemną brodę przyciętą w szpic. Jego ruchy i zachowanie sugerowały, że jest wojskowym, chociaż ubrany był po cywilnemu, w garnitur o dość staromodnym fasonie.

- Najwyższy czas żebyście już stamtąd wyszli.

- Dlaczego tak się denerwujesz, wujku Stephenie? - spytała Madeleine głosem, którego słodycz mogła przyprawić o mdłości. - Czyżbyś pragnął skorzystać z naszej łazienki?

- Babcia nie pozwala nikomu zacząć śniadania, dopóki wy dwoje nie zejdziecie na dół.

- A więc jest w dobrym nastroju. Miło mi to słyszeć.

Wuj Stephen spiorunował ich wzrokiem i pomaszerował schodami w dół.

- Czekala na nas ze śniadaniem? - zdziwił się Quentin. - Przecież jest już południe!

- Możesz mi wierzyć lub nie, ale to dobry znak - orzekła Madeleine. - Gdyby była na mnie zła, kazałaby wszystkim pozostałym jeść o świcie, a następnie wydała odpowiednie dyspozycje tak, aby w kuchni nie zostało nic do zjedzenia dla nas.

- Więc kazała wszystkim pościć, ponieważ jest dziś wobec ciebie dobrze usposobiona?

- To, że Babcia musi komuś dopiec, nie ulega kwestii. Pytanie tylko, kto będzie ofiarą. Jak na razie wszystko przebiega jak najlepiej dla nas.

- Kim jest wuj Stephen?

- To brat mojego ojca.

- A więc on tu jest, a twojego ojca nie ma?

- Mój ojciec ma swoje życie.

- Więc wuj Stephen nie jest tu z nikim spokrewniony? Jest zaledwie szwagrem twojej mamy.

- Nie powiedziałam nic podobnego. Moi rodzice są kuzynami.

- W drugiej linii?

- Zapewne wolałbyś abym to potwierdziła. Ale niestety, muszę cię zmartwić. Ojciec wuja Stephena i Babci byli rodzeństwem.

- Ale to Babcia dostała dom?

- Babcia zawsze dostaje to, czego chce. Oprócz mnie.

Rodzice Madeleine byli kuzynami w pierwszej linii. Małżeństwo kuzynów niekoniecznie oznaczało, że należy się spodziewać wrodzonych wad u dzieci, a jedynie to, że istniało większe prawdopodobieństwo wystąpienia takich wad.

Zeszli już na parter i Madeleine wskazała głową na podwójne drzwi, z których jedno skrzydło było lekko uchylone

- Zimą zawsze jadamy w bibliotece. Okna są tam wielkie i słońce ogrzewa cały pokój.

- To brzmi zachęcająco.

Kiedy szli w stronę drzwi Madeleine dodała:

- Powinnam cię ostrzec, że Babcia najprawdopodobniej nie będzie z tobą rozmawiać.

- To jakieś żarty.

- Nie bierz tego do siebie. Ona uwielbia wprawiać ludzi w zakłopotanie. Czasem potrafi długie tygodnie nie odezwać się ani słowem.

- W takim razie skąd wszyscy pozostali wiedzą czego chce?

- Och, uwierz mi, ona potrafi dać do zrozumienia jaka jest jej wola - Madeleine wciąż chichotała, kiedy przechodzili przez drzwi prowadzące do biblioteki.

Trzy ściany całe były zajęte przez ogromne regały z książkami, sięgające od podłogi do sufitu, identycznie jak w domu *grande dame*, tyle że tutaj nie było drabinki. Najwyraźniej nikt nigdy nie sięgał po egzemplarze, znajdujące się na górnych półkach. Quentin odniósł wrażenie, że biblioteka nie jest używana, że nikt nie dokupuje nowych książek, nikt też niczego nie pożycza. Swoje istnienie zawdzięczała sile przyzwyczajenia. Jakiś przodek zakupił książki, ale od wieków nikt żadnej z nich nie czytał. Spełniały funkcję tapety.

Na środku pokoju stał długi stół, ustawiony równolegle do rzędu ogromnych okien, również sięgających od sufitu do podłogi. Wykonany był z ciemnego drzewa, tak doskonale wypolerowanego, że blade południowe światło, wpadające przez okna do pomieszczenia, odbite w blacie stołu, było równie jasne jak w rzeczywistości. Biała porcelana również błyszczała, a kryształowe szkła były tak cudownie przezroczyste, że można by ich nie zauważyć, gdyby nie świetlne refleksy, które zdawały się wisieć w powietrzu.

Wokół stołu stały krzesła zajęte przez sześć dorosłych osób, usadzonych zgodnie z zasadami, obowiązującymi na oficjalnych przyjęciach. Dwa puste krzesła czekały na Quentina i Madeleine. Wolne miejsca znajdowały się na przeciwległych rogach stołu.

Wszyscy obecni skierowali wzrok na wchodzących, z wyjątkiem przygarbionej, siwowłosej kobiety, z chustką zarzuconą na ramiona, siedzącej plecami do nich na wysokim krześle u szczytu stołu. To była z pewnością Babcia, gdyż żadna z pozostałych osób Babią być nie mogła. Przy stole siedziała jeszcze tylko jedna kobieta, ale wyglądała najwyżej na pięćdziesiąt lat, co raczej uniemożliwiało jej przewodzenie temu zgromadzeniu.

Madeleine śmiało prowadziła Quentina do chwili, gdy jej dłoń spoczęła na wysokim oparciu babcinego tronu.

- Miło mi widzieć tutaj was wszystkich. Oto mój mąż, Quentin Fears. Możecie zwracać się do niego per panie Fears. A mnie możecie nazywać panią Fears. Quentin, kochanie, pozwól, że ci przedstawię moją rodzinę.

Naprawdę chciała, żeby jej krewni zwracali się do niej "pani Fears"? Z coraz większą trudnością przychodziło mu utrzymanie na twarzy przyklejonego do niej uśmiechu.

- Wuję Stephen'a miałeś już okazję poznać w hollu na górze. Wuj Stephen nieco uniósł się na krześle, nie wstając.

- Bardzo przyjemnie, jak mniemam.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiedział Quentin, raczej polegając na wyuczonych formułkach dialogów, ćwiczonych na lekcjach hiszpańskiego, niż na swojej znajomości *savoir-vivre'u* - czy mam pana nazywać wujem Stephenem?

- Jeżeli będzie miał pan okazję zwracać się do mnie bezpośrednio, panie Fears - powiedział wujek Stephen - proszę się nie krępować i mówić do mnie sir.

- Dziękuję, sir - powiedział Quentin, starając się by jego głos nie zabrzmiał ironicznie.

Madeleine zaśmiała się cichutko.

- Wuj Stephen był w wojsku przez kilka chwil podczas wojny koreańskiej, o czym nikomu nie pozwala zapomnieć... aczkolwiek nie jestem pewna, czy dobrze rozumie różnicę między wojnami koreańskimi a krymskimi. W głębi serca jest jak niezłomny ułan. Naszą sprawą jest walczyć i ginąć, czyż nie, wujaszku?

- Tylko Madeleine może zwracać się do mnie w równie krotchwilny sposób - chłodno oznajmił wujek Stephen, patrząc na Quentina. - Mówię to na wypadek, gdyby sądził pan, że jestem gotów tolerować podobne facecje u innej osoby.

- Będę starał się uniknąć takiej pomyłki, sir - zapewnił Quentin.

- Ta czarująca dama obok wujka Stephena to ciocia Atena. Jest najmłodszą siostrą Babci, tą, która nigdy nie wyszła za mąż. Jej prawdziwe imię brzmi Minerwa, ale ponieważ bardzo go nie lubiła, wybrała sobie jego grecką wersję, jak tyko ukończyła dwadzieścia lat. Ciotka Atena znana jest ze swej mądrości.

Ciocia Atena uśmiechnęła się szeroko.

- Och, Madeleine, tak bardzo za tobą tęskniłam. Gdzież to bywałaś?

- Miałam mnóstwo spraw na głowie - powiedziała Madeleine. - Czyż mój mąż nie wydaje ci się wspaniały?

- Mężów na ogół zbytnio się przecenia. Ale dobrze będzie, jeśli uczyni cię brzemienną i wydasz na świat dziedzica tego imperium miłości... - nagle ciotka Atena zdała sobie sprawę ze swoich słów i przycisnęła dłonie do policzków. - Czy powiedziałam "brzemienną"? Doprawdy, mam niewyparzony język.

- Następne puste krzesło - powiedziała Madeleine - jest przeznaczone dla ciebie, Quentinie, ale obawiam się, że moje krzesło, stojące obok, zostało zajęte przez osobę absolutnie do tego nie upoważnioną.

Siedzący na wskazanym krześle młody człowiek - nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat - podniósł wzrok, a na jego twarzy pojawił się szelmowski uśmieszek.

- Babcia zawsze pozwala mi tu teraz siedzieć, pani Fears.

- Ale nie wtedy, kiedy ja jestem w domu, Paul. Rozmawialiśmy już kiedyś o tym.

- To tylko krzesło, moja droga - powiedział Paul. - Zwyczajne krzesło. Możesz przecież usiąść gdziekolwiek.

- Paul jest młodszym bratem mojej matki - wyjaśniła Madeleine. - Naprawdę ma czterdzieści pięć lat. Wygląda tak młodo, ponieważ stosuje makijaż. Jest także bardzo niski, więc nosi buty na wysokich obcasach. Nie wątpię, że obecnie siedzi na jakimś grubym słowniku.

- Jesteś czarująca jak zwykle - stwierdził Paul. - Maddy zawsze była moją ulubioną siostrzenicą, panie Fears. Nawiasem mówiąc, może pan mówić do mnie Paul. I radzę unikać romantycznych spacerów nad rzeką. Mad ma niebywałą wprawę w spychaniu ze skarpy.

- Jazda stąd - zawołała Madeleine. - I nie próbuj oblizywać sztucców zanim sobie pójdziesz.

Paul wstał i obszedł stół dookoła, sadowiąc się na wolnym miejscu po prawo od Babci. W tym samym czasie Madeleine oprowadziła Quentina wokół stołu z drugiej strony i poczekała aż odsunie dla niej krzesło. Rzeczywiście, na siedzeniu leżał słownik. Podała mu go. Był bardzo ciężki. Po chwili wahania położył go na bufecie, znajdującym się o kilka kroków obok stołu. Następnie pośpieszył z powrotem, aby pomóc Madeleine, która z wdziękiem sadowiła się już na swoim miejscu i przysunął jej krzesło bliżej stołu. Dopiero wtedy, kiedy sam zajął miejsce obok niej, po prawo, miał okazję spojrzeć w stronę szczytu stołu, by przyjrzeć się twarzy osławionej Babci.

Staruszka spała.

Madeleine kontynuowała prezentację.

- Po mojej lewej stronie siedzi Simon. Simon to przyjaciel rodziny. Mieszka tu od... od kiedy, Simonie? Od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego? Czy Truman był jeszcze wtedy prezydentem?

Simon wyglądał na onieśmiałego i zmieszanego. Siedemdziesięcioletni starowina, na głowie miał tylko małą kępkę siwych włosów. Przyglądał je najpierw jedną, potem drugą dłonią.

- Rodzina Cryerów zawsze była niezwykle szczodra dla tych, co nie mieli do zaoferowania nic, prócz swej marnej przyjaźni, która, mimo jej niewielkiej wartości, jest przynajmniej stała.

- Miło mi pana poznać - rzekł Quentin podnosząc się z krzesła.

- Nie! Proszę nie wstawać!. - zawołał Simon. - Nie z mojego powodu! Proszę udawać, że mnie tu nie ma! - Następnie przechylił głowę na jedno ramię i wyszczerzył zęby, podczas gdy jego ciałem wstrząsały drgawki, a język co chwila to wysuwał się na zewnątrz, to cofał do środka w kąciku warg. Tak przypuszczalnie wyglądał śmiech u pełnego uniżenia Simona.

- Babcia trzyma tu Simona w celach wyłącznie estetycznych - poinformowała Madeleine.

Quentin aż się wzdrygnął, słysząc tę złośliwą uwagę.

- Ależ, Mad - szepnął.

Uśmiechnęła się do niego i poklepała go po ręce.

- Jest głuchy jak pień, kochanie. I równie bystry.

- No i wreszcie przyszła pora - powiedziała Madeleine - by przedstawić ci mojego kuzyna imieniem Jude. Nie jestem pewna, w którym miejscu naszego powikłanego drzewa genealogicznego jest jego właściwe miejsce, ale od niepamiętnych czasów pozostaje faworytem Babci i dopóki ona żyje, zawsze będzie zajmował miejsce u jej boku.

- Och, pani Fears, zawsze wesolutka jak skowronek - zawołał Jude. Był to stary cap o krzaczastych brwiach, prawdopodobnie znacznie wyższy nawet od wuja Stephena, ale tak przygarbiony, że jego twarz znajdowała się niemal nad samym talerzem i musiał unosić głowę za każdym razem, kiedy chciał pociągnąć łyk z pucharka. - Czołem, panie Fears. Cieszymy się, że Madeleine - chciałem powiedzieć, pani Fears - znalazła sobie takiego wspaniałego, młodego mężczyznę, jak pan. Serdecznie witamy i radujemy się niezmiernie, iż dane nam było pana poznać. Czy to prawda, że jest pan bogatszy niż sam Bóg?

- Dosyć, kuzynie Jude! - przerwała mu Madeleine - Wiesz dobrze, że Boże miliony gromadzone są w bardziej wiarygodnej walucie, niż dolary amerykańskie. Tu nie ma żadnego porównania.

Najwyraźniej kuzyn Jude uznał to za wyjątkowo zabawny dowcip.

Kiedy starzec śmiał się, Quentin skierował wzrok w stronę szczytu stołu, gdzie zaskoczył go widok szeroko otwartych oczu Babki, lustrujących go niczym reflektory.

Quentin odwrócił się do Madeleine i odezwał się cicho.

- Twoja Babcia...

- Tak, Tin?

Ale kiedy ponownie spojrzął na starszą panią, z rozczarowaniem stwierdził, że jej oczy znów są zamknięte.

- Myślałem, że się obudziła.

- Och, ona słyszy wszystko znakomicie, możesz być tego pewny. To zapada w drzemkę, to znów się budzi, ale przez cały czas wie co się dzieje. A że słuch ma jak nietoperz, więc z pewnością obecnie słyszy nasze szepty. Prawda Babciu?

Ale oczy Babci pozostały zamknięte i nawet jeden mięsień nie zadrgał na jej uśpionej twarzy.

Siedzący obecnie po jej prawej stronie wuj Paul pochylił się do przodu z uśmiechem.

- Przedstawisz mnie jeszcze raz, moja droga? Jeśli chcesz, mogę zmienić imię.

- Nie ma potrzeby, wuju - powiedziała Madeleine. - Czy mam zadzwonić żeby przyniesiono śniadanie?

- Bardzo cię proszę - odezwał się wuj Stephen - Niektórzy spośród obecnych muszą się regularnie odżywiać.

- To twój dzwonek, złotko - dodała ciocia Atena. Madeleine pochyliła się do przodu i zadzwoniła małym dzwonkiem, który leżał obok jej miejsca przy stole. Quentinowi przyszło do głowy, że jej miejsce rzeczywiście było tu, gdzie wcześniej siedział wuj Paul, tak więc rzeczywiście był tu intruzem.

Na dźwięk dzwonka ten sam milczący lokaj, który witał ich wczoraj, otworzył drzwi od pokoju kredensowego, a do biblioteki weszło dwóch służących z parującymi półmiskami. Na pierwszym półmisku znajdowały się biszkopty, na drugim jajecznica na boczku. Obaj zaczęli obsługiwanie biesiadników od Madeleine, a następnie rozeszli się w dwóch przeciwnych kierunkach, obchodząc stół dookoła, mijając się za plecami Babci. Jednakże na talerz staruszki nic nie nałożyli.

Towarzystwo zgromadzone wokół stołu było dziwaczne i najwyraźniej w rodzinie panowały dość napięte stosunki, ale Quentin nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Madeleine sprawowała tu rządy, a nie Babcia. Niechętnie przyjmował do wiadomości, że właśnie jego żona była źródłem rodzinnych napięć, co wydawało mu się wielce niewłaściwe. Nie miał najmniejszego pojęcia, co wydarzyło się w tej rodzinie; wrogość, której był świadkiem musiała mieć swoje uzasadnienie. Cóż on wiedział o siedzących przy stole ludziach? Wuj Paul ze swoim przymilnym uśmieszkiem i przypoehlebnym zachowaniem był tylko o piętnaście lat starszy od Madeleine, ale wyglądał na osobę w jej wieku. Mógł molestować Madeleine, kiedy była dziewczynką, lub przynajmniej próbować. Mógł sobie zasłużyć na tak obcesowe traktowanie ze strony Mad. Quentin nie przykładął zbyt dużej wagi do tych spekulacji, ale przecież pamiętał zachowanie Madeleine, podczas pierwszej próby intymnych pieszczot. Czy to możliwe, żeby Paul - lub ktoś inny - wyrządził jej krzywdę, której późniejszym następstwem była reakcja, że nawet objawy czułości ze strony męża wydały jej się z początku odpychające.

Nie, nie, nie miał prawa przypisywać obcym osobom niewyobrażalnych zbrodni. Jeśli Madeleine o nic ich nie oskarżała, dlaczego on miałby to robić?

Jajecznica była gorąca, boczek perfekcyjnie przysmażony. Świeże biszkopty parowały, masło wciąż rozpuszczało się w ich wnętrzach. Niezależnie od wszelkich osobliwości tego domu, niezaprzeczalna doskonałość miejscowej kuchni sięgała platońskiego ideału. To co jadł nie było zwykłą jajecznicą, lecz superjajecznicą, niedoścignionym wzorem wszystkich innych jajecznic. Do tego boczek nad boczkiem i biszkopty nad biszkoptami.

- Delicje - powiedział Quentin do Madeleine. Nachyliła się z uśmiechem i szepnęła mu do ucha:

- Ludzie z wyższych sfer nie zwykli chwalić jedzenia. Jako pewnik przyjmuje się, że potrawy zawsze winny być wyśmienite, dlatego też wszelka rozmowa na ten temat jest absolutnie bezprzedmiotowa.

Już miał się zaśmiać, kiedy nagle zdał sobie sprawę, że ona wcale nie żartuje. Przez chwilę spoglądał na nią dziwnie, a potem zabrał się do jedzenia. To były potrawy, do jakich jego żona przywykła. Ze wstydem zaczął myśleć o miejscach, do których ją zabierał, o potrawach, które dla niej gotował. Nigdy nie miał ochoty żyć jak bogacz, ale kiedy wybudują sobie dom, będzie musiał wyposażyć go w kuchnię, której nie powstydzi się pierwszorzędny chef, zaś chefowi trzeba będzie zapewnić środki na zakup produktów najwyższej jakości. Nie może zmuszać Madeleine do poprzestania na czymś skromniejszym, nawet jeśli będzie go zapewniać, że tego nie potrzebuje.

Służący wrócili ponownie, tym razem niosąc patery z owocami. Były tam ćwiartki gruszek tak dojrzałych, że niemal natychmiast po włożeniu do ust same rozpływały się w słodki syrop, krążki świeżych ananasów, orzeźwiających lecz nie kwaśnych, maliny nabrzmiałe sokiem i cierpkie, których aromat zdawał się rozchodzić po całym cieple, z chwilą, gdy brał na język każdy z malutkich owoców. Zamknął oczy, by móc w pełni rozkoszować się wybornym smakiem.

- Zasnął! - zakrakał Simon. - Wyrzucić go stąd! Natychmiast!

Quentin zdumiony otworzył oczy. Simon zrobił strapioną minę.

- Jaka szkoda! Znowu przerwali drzemkę! Biedny chłopak! Nowożeńcy nigdy nie zdążą się wyspać, prawda?

Madeleine położyła dłoń na kolanie Quentina, aby powstrzymać go przed ostrą repliką.

- Posłuchaj, Simonie - powiedziała podniesionym głosem, prawdopodobnie ze względu na jego głuchotę. - Pan Fears wciąż jest jeszcze młody. Daleko mu do ucinania sobie rekreacyjnych drzemek.

- Nie chodziło mi o rekreację! - wrzasnął Simon. - Raczej o wspaniały wyczyn! Wielki olimpijski jednobój! Spać, ale nic nie śnić! Utopić potworne grzechy w winie nocy!

Babcia znowu wpatrywała się w Quentina. Ale tym razem jej oczy nie zamknęły się, kiedy spojrzał na Madeleine i pociągnął ją za rękaw.

- Babciu - odezwała się Madeleine. - Mam nadzieję, że mój mąż zyska twoją aprobatę. Potrzebowałam właśnie kogoś takiego jak on, nie sądzisz?

Babcia nie odpowiedziała, ale świdrowała Quentina wzrokiem, jakby pragnęła wwiercić mu się w duszę. Przynajmniej tak to wyglądało. Miał ochotę błagać ją o wybaczenie. Miał ochotę wyjść już z tego pokoju.

- Z kimś takim u mojego boku, będę mogła otworzyć moją szkatułkę, prawda?

Oczy Babci zamknęły się powoli.

- Babcia jest na mnie zła - oznajmiła Madeleine.

- Jaką szkatułkę? - spytał Quentin.

- To mój spadek. Dziadek zapisał ją mnie. Ale, zgodnie z testamentem, nie mogę jej otworzyć, dopóki nie będzie stał przy mnie mój mąż. Słowa Mad trafiły go prosto w serce. Nigdy nie mówiła mu, nigdy nie słyszał nawet najmniejszej wzmianki o tym, że miała się wzbogacić, jak tylko przybędzie do domu z mężem u boku.

- Spokojnie, Tin - powiedziała. - Wcale nie zależy mi na tym spadku. Przynajmniej nie tak, jak wtedy, gdy byłam małą dziewczynką. Wtedy, rzecz jasna, wkurzało mnie, że nie mogę otworzyć szkatułki, którą widywałam codziennie. Ale wyrosłam z tego. Byłabym całkowicie szczęśliwa, gdybym nigdy

nie musiała tu wracać i otwierać tej skrzynki. Ale skoro już jestem i mam przy sobie męża...

- Wiem, że nie wyszłaś za mnie dla pieniędzy - powiedział Quentin. - Ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłaś to zrobić dla swoich.

Uśmiechał się. Ale daleko mu było do żartów.

- To nie są pieniądze. Jestem pewna. A jeśli nawet forsa - powiedziała Madeleine - to raczej symboliczna kwota, bo szkatułka jest niewielka.

Zaśmiała się i poklepała go po ręce.

- Quentin, bierzesz wszystko zbyt serio. Kiedy byłam mała nazywałam tę skrzynkę moim skarbem. Rysowałam sobie mapy domu i zaznaczałam na nich miejsce, gdzie mój skarb jest zakopany, chociaż nikt nigdy nie zakopywał szkatułki; od zawsze znajduje się w dobrze widocznym dla wszystkich miejscu.

- Dość okrutna pokusa dla dzieciaka. Mogłaś ją otworzyć wcześniej.

- Gdybym otworzyła ją przedwcześnie, nie mogłabym zatrzymać tego, co jest w środku - powiedziała Madeleine. - Myślę, że Babcia zawsze miała nadzieję, iż otworzę skrzynkę i stracę mój skarb. Stara kusicielka.

Tym razem w śmiechu Madeleine nie wyczuł złośliwości. Ale tak naprawdę ten śmiech jest złośliwy, pomyślał Quentin. Ona potrafi być złośliwa, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Czy ja, tak naprawdę, znam swoją żonę?

Madeleine pochyliła się i złożyła głowę na jego ramieniu.

- Quentin, wcale nie lubię siebie takiej, jaką staję się wchodząc do tego domu. Ty też mnie takiej nie lubisz. Nigdy byś mnie nie pokochał, gdybyśmy poznali się tutaj. Ale kiedy wyjdziemy stąd razem na zewnątrz, znowu będę sobą, zobaczysz. Znowu będę taka, jaka jestem naprawdę, znowu będę najlepsza. Przestanę być taką... jaką myślisz, że teraz jestem.

- Myślę, że jesteś moją ukochaną żoną. W każdej chwili - powiedział Quentin. - Ale chętnie wyjdę z tobą na dwór. Miałaś pokazać mi rzekę.

- Najadłeś się?

- Opchałem się jak bąk - powiedział Quentin.

- Babciu, myślę, że nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy teraz przeszli się na skarpe

Babcia nie spuszczała wzroku z Quentina, kiedy ten podnosił się z miejsca i odsuwał krzesło Madeleine, tak aby i ona mogła wstać. Ale nie odezwała się ani słowem.

Nagle usłyszeli piskliwy wrzask Simona:

- Każdy, kto jest prawdziwy, niech podniesie rękę! Madeleine szepnęła do Quentina:

- Myślę, że od pewnego wieku powinno się ich wszystkich gdzieś zamykać.

Quentin zaśmiał się i pokręcił głową.

- Po co? Przecież on już jest zamknięty w labiryncie swoich urojeń.

- Zawsze potrafisz wszystko tak pięknie ująć. - Zacisnęła dłoń na jego ramieniu. - Kocham cię za to.

Z biblioteki bezpośrednio na dwór wychodziły tylko okna, tak więc musieli przejść przez holl wejściowy i oficjalną jadalnię, aby dostać się do drzwi prowadzących na tylną werandę. Był to potężny taras wyłożony kamiennymi płytami, zakończony pięcioma schodkami prowadzącymi w dół na pokryty śniegiem trawnik. Trawnik ten, z nielicznymi drzewami - każde otoczone drewnianą ławeczką w formie opasującej pień obręczy - opadał w stronę skarpy, z której rozciągał się widok na rzekę. Rzeka znajdowała się oczywiście dużo niżej, ale w bladym i mdłym świetle zimowego popołudnia widzieli cienie drzew, odbijające się ciemnymi plamami na błyszczącym śniegu, pokrywającym skarpy na drugim brzegu rzeki. Zdawało się, że przeciwległy brzeg znajduje się o wiele mil od nich, aczkolwiek z pewnością dzieląca brzegi odległość nie mogła być aż tak wielka.

- Trochę tu ponuro - powiedział.

- Wyobraź sobie jak pięknie tu jest, kiedy drzewa mają liście - powiedziała Madeleine - Wyobraź sobie te brzegi tętniące życiem. Wyobraź sobie, jak to wyglądało kiedy nasz kraj był jeszcze młody, a na rzece słyhać było syreny parowców i wrzaski dzieciaków, biegnących wzdłuż skarpy.

Jej słowa sprawiły, że wyobraził sobie opisywaną scenę i uśmiechnął się.

- W porządku - powiedział. - Chętnie przyznam, że zima także ma swoje uroki.

- Wiesz, ten dom nie zawsze był siedliskiem starych dziwaków - powiedziała Madeleine. - Kiedyś był przyjazny i pełen życia.

- W czasach, gdy byłaś małą dziewczynką?

- Kiedy tu mieszkałam, byłam bardzo samotnym dzieckiem - odparła. - A Paul... on nie był żadnym towarzyszem dla mnie.

Quentin po raz kolejny pomyślał, czy wuj Paul czasem nie molestował jej, lub czy tego nie próbował.

- Ale mama opowiadała mi o swoim dzieciństwie. Ona i Paul byli całkiem mali, ale chociaż czasy parowców już przeminęły, nasłuchali się różnych opowieści - głównie od ciotki Ateny - i często bawili się w rejs statkiem, gdzieś na brzegu rzeki, albo w bawialnym na poddaszu.

- Dziecięca idylla.

- Właśnie tak. Cokolwiek miałyby to znaczyć.

- Ale ciotka Atena też jest przecież zbyt młoda, żeby pamiętać parowce.

- No jasne. Powtarzała im tylko stare historie. Rodzinne wspomnienia. W końcu musiała zrobić jakiś użytek ze swej głowy. Dzięki temu, że zapamiętała i potrafiła ożywić czar opowieści z dawnych czasów, wykorzystwała ją najlepiej jak mogła.

- Mad, dlaczego jesteś wobec nich taka napastliwa?

- Przepraszam - powiedziała. - Za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżam, jestem taka przerażona, że naprawdę nie zachowuję się najlepiej.

- Czego się boisz?

Nie odpowiedziała, a za chwilę dotarli na skraj skarpy, skąd roztaczał się wspaniały widok na płynącą w dole rzekę. Mimo tego, że jej brzegi pokrywał przyprószone śniegiem lód, i tak wydawała się bardzo szeroka. Quentin przypominał sobie obrazy szkoły malarskiej Hudson River i próbował porównać zapamiętane scenki rodzajowe i pejzaże z tym, co miał przed oczami. Nie było to zbyt trudne. Zanim rzeka zmieniła się w autostradę, była siedliskiem wielu roślin i zwierząt. Teraz, kiedy ruch na rzece ustał, być może wracało na jej wody dawne życie. Na obludzonych brzegach wciąż widać było resztki starych przystani, ale większość przybrzeżnych terenów została ponownie zajęta przez lasy. Ile wiewiórek gromadziło orzechy w dziuplach drzew porastających te skarpy? Ile szopów, królików, polnych myszy i łasic mieszkało tu nie widując człowieka przez długie miesiące?

Poczuł jak ramieniem obejmuje go w pasie, a jej ciało przytula się do jego ciała.

- Och, Quentin, ja bardzo kocham to miejsce, naprawdę. Właśnie dlatego wracam do rodzinnego domu, chociaż zmieniam się tu w kogoś naprawdę okropnego.

- Więc otwórzmy tę szkatułkę, zabierajmy twój skarb i wyjeżdżajmy stąd. Mogę kupić ci taki sam dom nad rzeką, z równie pięknym widokiem. Albo nawet piękniejszym.

- Nie ma drugiego takiego miejsca.

- Nie chcesz żebym poszukał ci innego wiktoriańskiego domu?

- Prewiktoriańskiego, kochanie - powiedziała Madeleine. -Wiktoriański, też coś! To dobre dla... nowobogackich.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

Ruszyli ścieżką wzdłuż klifu. W niektórych miejscach urwisko było naprawdę strome, a dróżka prowadziła samym skrajem skarpy. Pamiętał jak wuj Paul ostrzegwał go w żartach: "Mad ma niebawą wprawę w spychaniu ze skarpy". A on przecież szedł od strony rzeki. Lecz Madeleine wcale nie miała zamiaru go spychać, szła tuląc się do niego, a on uwielbiał spacerować w ten sposób, czuć jak ich ciała lekko ocierają się o siebie, biodro przy biodrze, jego ręka wokół jej ramion, jej ramię obejmujące go w pasie. Wiał chłodny wiaterek, ale jednocześnie słońce przyjemnie grzało.

Dotarli do granic rodzinnej posiadłości i zawrócili do domu. Tym razem poszli inną ścieżką, która prowadziła wokół małego cmentarza, otoczonego kamiennym murem, z furtką w kształcie łuku.

- Czy to nie straszne, trzymać zmarłych na terenie posiadłości? - zapytał Quentin.

- To zależy w jaki sposób ich się traktuje - powiedziała Madeleine. - Za życia byli częścią nas samych. Czy nie powinni pozostać z nami także po śmierci?

- Czy w przyszłości chciałabyś, żeby cię tutaj pochowano?

- zapytał.

- Ja nie zamierzam umierać - odparła.

- Z punktu widzenia statystyki niemal każda kobieta, która wychodzi za mąż, musi zakładać, że przez pewien okres swego życia będzie wdową.

- Czy ty chcesz być tutaj pochowany? - spytała żartobliwym tonem.

- Ale dopiero po śmierci - powiedział. - Byłoby niesprawiedliwie, gdyby zakopano mnie tu jeszcze chrapiącego.

- A więc przyznajesz, że chrapiasz?

- Wszyscy chrapią - stwierdził Quentin. - Ale każdy słyszy tylko chrapanie innych.

- A swojego własnego nie, bo śpi - dokończyła Madeleine.

- Czy nie tak to było?

- Przeszkadza ci moje chrapanie?

- Myślę, że jest słodkie - powiedziała. - Ale kiedy nie pozwala mi spać, zatykam ci nos, a wtedy ty budzisz się myśląc, że pewnie musisz iść do ubikacji, a kiedy już tam jesteś i nadaremnie starasz się wycelować jak najbliżej muszli, ja szybciotko zapadam w sen.

- Bardzo skuteczny sposób. Nawiasem mówiąc, chociaż czasami zdarza mi się chybiać, to jeszcze nigdy nie nasiusiałem sobie na stopy.

- Nawet gdyby ci się to zdarzyło, i tak byś się nie obudził.

- Jesteś wulgarna, jak mały dzieciak - orzekł Quentin.

- Właśnie za to, tak mnie lubisz.

- Być może - przyznał. - Ale musisz mi obiecać, że wyrazisz oburzenie, kiedy nasze dzieci będą wulgarne. Jeśli rodzice są w stanie im dorównać, odbiera to całą frajdę.

- Obiecuję, że będę oburzona.

Kiedy wrócili do domu, jadalnia była pusta. Podobnie biblioteka, w której stół został złożony i obrócony bokiem, tak że nie zajmował już całej przestrzeni pomiędzy ogromnymi ścianami z książek. Pomieszczenie to nie było ani tak przytulne, ani tak zachęcające, jak biblioteka w domu *grande dame*. Zamiast drabinek był tu balkonik, ciągnący się wzdłuż trzech ścian pokoju, na który prowadziły wąskie, kręte schodki. Całość wyglądała odpychająco i niewygodnie, jak wawóz, na którego ściany można się dostać jedynie ryzykując życiem podczas wspinaczki po trzęsącej się, rachitycznej drabince. Podszedł do półek, aby przyrzeć się tytułom, ale niemal w tej samej chwili Madeleine chwyciła go za rękę.

- Tu naprawdę nie ma nic do czytania.

- W takim starym domu - powiedział - można liczyć na wspaniałe znaleziska.

- Niczego tu nie znajdziesz, uwierz mi. W tej rodzinie nikt niczego nie czyta. Kiedy pokój przerobiono na bibliotekę, książki zostały doń zakupione na wagę.

- Ach tak. - Quentin nie krył rozczarowania. Kiedyś miał w ręce pierwsze wydanie *Chaty Wuja Toma* - książkę, która stała się przyczyną wojny i zmieniła oblicze świata, być może był to nawet jeden z tych egzemplarzy, które rzeczywiście miały swój udział w tamtych dramatycznych wydarzeniach. Lecz jeśli miejscowa biblioteka wcale nie była stara... jednakże czasami nawet na garażowych aukcjach można się było natknąć na niespotykane klejnoty.

Zrozumiał jednak, że Madeleine pragnęła już otworzyć swój skarb, bardziej niż to chciała okazać. Pozwolił jej zaprowadzić się do hollu, a następnie do saloniku, znajdującego się w północno-wschodnim rogu domu. Pomieszczenie było oświetlone jedynie światłem wpadającym z zewnątrz, co w zimowe popołudnie oznaczało, iż panował tam mrok, zwłaszcza że ciężkie, brokatowe zasłony były spięte u góry i rozchyłały się na boki ku dołowi, przesłaniając niemal połowę każdego okna.

W salonie znajdowała się cała rodzinka, aczkolwiek wyglądało na to, że wszyscy prócz wuja Paula i Babcia, starają się trzymać tak blisko ścian pokoju, na ile tylko pozwalało umeblowanie pomieszczenia. Babcia stała pewnie, mimo że sprawiała wrażenie skurczonej i zgrzybiałej. Obie dłonie trzymała na misternie rzeźbionej, mahoniowej skrzynce, spoczywającej na małym stoliczku pośrodku pokoju. Wuj Paul krążył wokół niej spoglądając to na skrzynkę, to na Madeleine i Quentina.

- Och, moja droga, pośpiesz się - odezwał się wuj Paul. - Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć co tam jest.

- Nie wątpię, że umieras z ciekawości - odparła Madeleine oschle. - Ale powstrzymaj swoje zapędy.

Wuj Paul mimo to wciąż wyciągał rękę w stronę skrzynki, aczkolwiek ani razu jej nie dotknął.

Babcia nie odrywała oczu od Quentina.

- Tin, kochanie - powiedziała Madeleine - a może ty otworzysz szkatułkę?

- Och, nie, chyba nie powinienem - zachnął się Quentin. - To w końcu twój skarb, który tak bardzo pragnęłaś ujrzeć.

Babcia nadal przewiercała go wzrokiem.

- Tin, wiem że to głupie, ale kiedy nadeszła ta chwila, ręce tak mi drżą, że... czy to nie głupie? Wydaje mi się, że znaczyło to dla mnie więcej niż myślałam. Czy możesz mi pomóc?

- Czy do tej skrzynki jest jakiś klucz?

- Nie ma żadnego klucza! - zawołał wuj Paul.

- Zachowaj swoje pożyteczne informacje dla siebie, wujku P. - powiedziała Madeleine.

- Dobrze, już dobrze. Wiem, że to twoja nagroda.

- Właśnie - potwierdziła Madeleine. - Tam w środku nie ma nic dla ciebie. Zapamiętaj to sobie!

- Wiem, wiem - powiedział Paul. - Ale wszyscy jesteśmy tacy... zaintrygowani. Dokładnie tak, jak na Gwiazdkę... każdy umiera z ciekawości, co też inni mają w swoich paczkach.

- Quentin - powiedziała Madeleine - proszę cię, nie odmawiaj mi.

Quentin westchnął, podszedł do szkatułki i położył ręce na wieczku. Pod palcami poczuł ciepłe i gładkie drewno, powierzchnia skrzynki była czysta i wypolerowana. Wytrawione, geometryczne wzory, wyjątkowo misterne, miejscami przypominały koronki. To była naprawdę piękna szkatułka.

Lecz jednocześnie była to szkatułka, na której wciąż spoczywały ręce Babci. Nie utrudniały mu dostępu, koniuszki palców zaledwie dotykały tylnych rogów wieczka. Ale staruszka wciąż świdrowała go oczami i chociaż nie wypowiedziała ani jednego słowa, nie miał najmniejszych wątpliwości, że jej postawa oznacza absolutny zakaz otwierania szkatułki.

- Myślę, że twoja Babcia nie życzy sobie, żebym ja otworzył tę skrzynkę.

- Powiedziała ci to? - spytała Madeleine.

- Jak dotąd nie była zbyt rozmowna - odparł Quentin - ale sama mówiłaś, że każdemu potrafi dać do zrozumienia, jaka jest jej wola.

- Quentin, wszyscy obecni w tym pokoju wiedzą, że mam prawo otworzyć tę szkatułkę. Takie samo prawo ma również mój mąż... to, co jest w środku należy także do ciebie, prawda? Przecież nie spisaliśmy żadnej intercyzy.

- Wiesz, co mi w tej chwili przyszło do głowy? - Spytał Quentin śmiejąc się. - Czy nie byłoby zabawnie, gdyby to sama szkatułka okazała się całym dziedzictwem? Po prostu pamiątka. W środku

pusta, chodzi jedynie o tę szkatułkę. Symbol magicznych marzeń dzieciństwa, czystych i nieskalanych po wieki.

- Ale tam w środku coś jest, nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

- O tak, skrzynka jest pełna różnych różności! - zawołał wuj Paul.

- Coś zawsze jest pełne czegoś innego, tak czy siak - powiedziała Madeleine. - Na nic tu twoje wyjaśnienia, wujku.

- Ach tak? - odparł Paul. - Ojejku jejku. Jajku, jojku, jujku.

- Tin, otworzysz dla mnie tę szkatułkę, czy nie?

- Jasne! Oczywiście, że otworzę - odparł Quentin.

- A więc zrób to. Po prostu otwórz ją.

- Właśnie to robię.

- Co takiego? - spytała Madeleine.

- Otwieram ją.

- Moje oczy mówią mi coś innego - powiedział wuj Paul, pochylając się w jego stronę i patrząc mu prosto w oczy. - Otwieraj tę cholerną skrzynkę, ty bezwolny sługusie!

Quentin niemal fizycznie poczuł piekący jad w jego głosie. Cofnął się o krok, zdejmując dłonie ze szkatułki.

Babcia wciąż wpatrywała się w niego, ale czy teraz nie uśmiechała się czasem pod nosem?

- Tin! - jęknęła przeciągle Madeleine - Po prostu podejdź do szkatułki, chwyć za rogi wieczka i unieś je. Nie ma tam nawet rygielka.

Stał zmieszany, nie wiedząc dlaczego nie może zmusić się do wykonania tej prostej czynności, w dodatku dla swojej żony.

- Czy to jakiś żart? Coś wyskoczy na mnie z tej skrzynki?

Nagle Madeleine niespodziewanie zaczęła wymachiwać pięściami w powietrzu, niemal płacząc z wściekłości, jak rozkapryszone dziecko.

- Otwieraj ją! Otwieraj ją! Otwieraj ją! - Na jej twarzy pojawił się płaczliwy grymas, a usta wygięły się w podkówkę.

- Wielkie nieba, pani Fears, co za scena! - zawołał wuj Paul.

- Madeleine - odezwał się Quentin - co się dzieje? Nic z tego nie rozumiem.

Mad natychmiast zapanowała nad sobą, ale tego, co się stało, nie dało się już wymazać. Quentin był świadkiem zachowania, jakiego nigdy by się po niej nie spodziewał. Wyglądała jak rozbisurmaniony dzieciak. Zachowywała się tak przez cały czas, odkąd znaleźli się w tym domu. Jak rozpieszczony bachor, który przyzwyczaił się do tego, że wolno mu mówić każdemu to, co mu się żywnie podoba i nigdy nie zostanie za to skarcony.

- To ona cię zatrzymuje, dobrze wiem - powiedziała Madeleine. - Babcia nigdy nie pozwoli mi wziąć tego, co mi się słusznie należy.

- Madeleine, czuję, że nie powinienem otwierać tej szkatułki - wyjaśnił Quentin. - Nic na to nie poradzę. Jeśli to takie proste, otwórz ją zamiast mnie. Naprawdę chcę, żebyś to zrobiła. Ja po prostu nie mam z tym wszystkim nic wspólnego. Otwórz ją sama.

Zamachnęła się na niego ręką i uderzyła, chociaż był o wiele za daleko, aby go mogła dosięgnąć. Następnie wybuchnęła płaczem, wrzeszcząc:

- Po co wyszłam za ciebie, skoro nie jesteś w stanie zrobić dla mnie tego, czego najbardziej od ciebie oczekuję?

- Dobrze, już otwieram! - zawołał Quentin. - Ale chyba zdajesz sobie sprawę, że twoje obecne zachowanie nie może się podobać.

- Otwieraj! - Po jego słowach wyglądała na przerażoną. Quentin ponownie dotknął szkatułki. Była bardzo ciepła.

W palcach czuł mrowienie. Jestem jednym kłębkim nerwów, pomyślał. Najwyraźniej ta skrzynka była dużo ważniejsza niż Mad dawała po sobie poznać. A jednak ukrywała to przed nim przez okres narzeczeństwa i te kilka miesięcy małżeńskiego pożycia. Cały czas tylko spiskując i planując. Znaczyło to, że był przez nią manipulowany, czego nienawidził. Nienawidził manipulować innymi, i być manipulowanym przez innych.

- Mad, naprawdę nie wydaje mi się, aby to była właściwa chwila na otwieranie szkatułki - powiedział Quentin. - Ty jesteś zdenerwowana, ja jestem zdenerwowany i myślę, że najpierw musimy o tym wszystkim porozmawiać.

Madeleine załkała osuwając się na kolana.

- Nie ma o czym rozmawiać! Szkatułka jest moja!

- Wiem, że jest twoja. Ale skoro czekała na ciebie przez tyle lat, to chyba może poczekać do czasu, aż wszystko razem omówimy.

- Czy myślisz, że omówienie wszystkiego cokolwiek da? - odparowała. - To ona cię zatrzymuje. Ona znów jest górą i za to właśnie jej nienawidzę! Zabiję ją, przysięgam!

- Ona wcale mnie nie zatrzymuje, na miłość boską, Mad! - Ale w pewnym sensie Babcia rzeczywiście go zatrzymywała. Wystarczyło spojrzeć na jej palce, dotykające szkatułki, na jej świdrujące oczka.

- Skąd możesz o tym wiedzieć? - zawyła Madeleine. - Cały mój wysiłek, tyle miesięcy, jestem u kresu sił! I wszystko na nic!

- Mam nadzieję, że nie masz na myśli naszego małżeństwa - powiedział Quentin, siląc się na żartobliwy ton. Ale nie w głowie były mu żarty. Ogarnęło go przerażenie.

- Gdybyś mnie kochał - powiedziała Madeleine, podnosząc się z kolan z wyrazem wściekłości na twarzy - gdybyś naprawdę kochał mnie tak, jak mówisz, natychmiast otworzyłbyś szkatułkę. W tej minucie. W tej sekundzie.

Quentin znów odwrócił się w stronę skrzynki i położył ręce na wieczku. Szkatułka zadrżała.

- Ręce mi się trzęsą - powiedział. - Nie sędzę... w tej chwili, Madeleine, zastanawiam się... a raczej twoje zachowanie skłania mnie do zastanowienia się, czy całe nasze małżeństwo nie jest czasem jednym wielkim spiskiem, uknutym tylko po to, żebym mógł otworzyć dla ciebie tę skrzynkę. Powiedz mi, że się mylę, Mad. To wszystko wydaje się takie zwariowane, że...

- Otwórz tę szkatułkę - wyszeptwała. Jej usta nadal wykrzywiał wyraz wściekłości.

Quentin cofnął dłonie od drżącej skrzynki i zasłonił nimi twarz.

- Mad. Mad, co się z nami dzieje?

Usłyszał jej wrzask. Nie był to już wrzask rozkapryszonego dzieciaka, ale wysokie, przeciągłe wycie kobiety, oszalałej z rozpaczy. Obrócił się i wyciągnął ku niej ręce w błagalnym geście. Cofnęła się przed nim, odwróciła się na pięcie i potykając się wybiegła z pokoju.

Skonfundowany, przestraszony i urażony Quentin znowu odwrócił się w stronę szkatułki.

- Dobrze, otworzę ją, Mad! Wróć, już ją otwieram, słyszysz? Ale teraz ręka wuja Paula ponownie spoczęła na skrzynce.

- Nie może pan tego zrobić, dopóki pani Fears nie będzie w tym pokoju - powiedział uśmiechając się. - Tak mówi testament.

Quentin rozejrzał się po saloniku. Nie zauważył kiedy pozostali krewni zdołali wymknąć się z pomieszczenia. Wcale się im nie dziwił - nie była to zbyt przyjemna scena. W pokoju zostali tylko wuj Paul i Babcia. Oboje trzymali dłonie na szkatułce. Quentin spojrzał Babci w oczy.

- Czy ona mnie nie kocha, Babciu? - spytał. Staruszka poruszyła wargami, ale tak nieznacznie, że nie usłyszał żadnego dźwięku.

- Powiniennem pójść za nią - powiedział Quentin. - Poszukam jej i przyprowadzę tu, otworzymy

szkatułkę i wyniesiemy się stąd jak najszybciej, a wtedy może wszystko jakoś się ułoży. Tak właśnie powinienem zrobić, prawda?

Jej wargi znowu się poruszyły. Nachylił się bliżej, aby ją usłyszeć.

- Coś tam sobie mamrocze, starucha - mruknął wuj Paul, ale zdjął ręce ze szkatułki i usunął mu się z drogi.

Kiedy już niemal stykali się z Babcią nosami, usłyszał jak szepcze do niego:

- Znajdź mnie.

Nie miało to najmniejszego sensu. Najwyraźniej kobieta cierpiała na starczy uwiąd. Nie miała nad tym domostwem większej władzy niż Quentin.

Madeleine. Tylko ona mogła mu wszystko wyjaśnić. Tylko ona mogła nadać temu wszystkiemu jakiś sens. W końcu była jego żoną. Kochała go, a on kochał ją, wszystko mieli wspólne, połączyli swoje życie, ona należała do niego, a on należał do niej, na zawsze. To była jakaś idiotyczna sprzeczka, kretyńskie nieporozumienie.

Gdzie ona mogła być. Wybiegła z salonu przez wyjście na holl. Poszukał jej w bibliotece, w pokoju, gdzie przyjmowało się gości, w jadalni. Drzwi na tylną werandę były otwarte, zimowy chłód omiatał podłogę, tak że kiedy tylko wszedł do pokoju, poczuł jak marzną mu stopy.

Podbiegł do oszklonych drzwi prowadzących na werandę. Nie było tam jej. Spojrzał na pokryty śniegiem trawnik i zdążył zauważyć, jak z twarzą ukrytą w dłoniach biegnie niezdarnie w kierunku otoczonego murem cmentarza.

Natychmiast ruszył za nią przez śnieg.

ŚLADY

Nie mógł jej dostrzec nigdzie na cmentarzu. Biegał wśród nagrobków rozglądając się na prawo i lewo, ale nie klęczała przy żadnym z grobów, ani nie ukrywała się za żadną z kamiennych tablic. Rosły tam jakieś krzaki, ale wszystkie były ogołoczone z liści. Gdyby znajdowała się gdzieś pomiędzy czterema ścianami cmentarnego muru, musiałby ją zauważyć.

Cmentarz miał tylko jedną bramę. Sprawdził w obydwu rogach po przeciwnej stronie małej nekropolii, czy jej ślady nie prowadziły czasem do którejś ze ścian, czy może wspięła się na którąś z nich.

Co za absurd! Miała na sobie suknię, była zła, poirytowana... poza tym dlaczego w ogóle miałyby wspinać się na cmentarny mur?

Gdzie więc mogła być?

Musiał na chwilę stracić ją z oczu, gdy biegł w stronę cmentarza. Kiedy on patrzył pod nogi brnąc w śniegu, zauważyła go jak nadbiega i wymknęła się stąd, żeby uniknąć spotkania. Może miała rację. Może powinna się najpierw uspokoić, może on też powinien się uspokoić. Potem wszystko na chłodno rozważą. Przecież ostrzegła go, że kiedy pojedą do jej domu, mogą pojawić się problemy. Mówiła mu, że nie lubi siebie takiej, jaką staje się przyjeżdżając do tego miejsca. Miała rację. On także nie lubił jej takiej, jaką była tutaj. Lecz taką, jaką była poza tym miejscem, taką, jaką była naprawdę - kochał, a przecież mieli stąd odjechać, wrócić do swojego życia, zaś całe dzisiejsze zajście mogło stać się na wół zabawnym wspomnieniem, wydarzeniem, o którym nikomu nie będą opowiadać. Te wspólne doświadczenia wejdą do rodzinnych powiedzonek, staną się podstawą ich małżeńskiego szyfru. Gościa przyjeżdżającego z długą wizytą będą nazywać "przyjacielem rodziny" i oboje będą mieli na myśli Simona. Jeśli ktoś będzie przesadnie oficjalny, Quentin mrugnie do Mad i szepnie: "wykapany wuj Stephen". Jeśli jakaś znajoma będzie wygadywać brednie usiłując zrobić wrażenie inteligentnej, skwitują ją przezwiskiem "Atena" i wspomną to śniadanie oraz biedną starą pannę, która siedziała z nimi przy stole.

Ale nigdy nie będą żartować na temat Babci. Albo wuja Paula. Albo szkatułki. To była jakaś bolesna sprawa i jeśli Quentin kiedykolwiek cokolwiek zrozumie, to dobrze, ale jeśli nie, to drugie dobrze, o ile tylko będzie miał swoją Madeleine i nigdy więcej nie wróci do tego miejsca.

Obszedł dookoła cały cmentarz w poszukiwaniu jej śladów. Nigdzie ich nie było. A więc koniec końców nie przybiegła tutaj.

Stał w bramie wejściowej, spoglądając na ośnieżoną połąć trawy dzielącą go od domu. W stronę cmentarza prowadził tylko jeden rząd śladów. To były jego ślady.

Ale przecież widział ją, jak biegła w tę stronę. Zauważył z werandy, zanim ruszył jej na spotkanie.

Skierował wzrok na przeciwległy brzeg trawnika. Tam były ślady, które zostawili rano; dalsze, prowadzące w stronę skarpy i te nieco bliższe, znaczące ich powrotną drogę. Podeszedł do tych bliższych. Zauważył, że tylko jedna para butów naruszyła zmrożoną powierzchnię śniegowej pokrywy. Były to tylko jego buty.

Ale przecież Mad szła wtedy razem z nim. Obejmował ją ramieniem, a ona obejmowała go w pasie. Szli przytuleni, trącąc się biodrami - pamiętał to dobrze. Niemożliwe, żeby nie zostawiła żadnych śladów na śniegu. Ale przecież widział ją także, jak wchodziła na cmentarz.

Tak samo jak widział kobietę podobną do Lizzy, otwierającą drzwi szeregowca w Herndon, wchodzącą do środka i zapalającą światło.

Wrócił na cmentarz i oparł się o filar łuku, stanowiącego bramę wejściową. Znowu miał przywidzenia. Był zaniepokojony, ale już nie odczuwał przerażenia. Poprzednio zdarzyło mu się to na

skutek samotności i tęsknoty. Tym razem przyczyna musiała być inna. Ale za każdym razem widział to, co bardzo pragnął ujrzeć: najpierw była to Lizzy dorosła i prowadząca normalne życie, teraz była to Madeleine udająca się do miejsca, gdzie mógł ją znaleźć, porozmawiać z nią i uporządkować wszystko pomiędzy nimi. Gdzie mógł się upewnić, że wciąż jest tą samą kobietą, którą zna i kocha, a nie obcą, rozkapryszoną i chciwą dziewczuchą, której zależy tylko na tym, żeby ktoś otworzył jej szkatułkę z tajemniczym skarbem.

Oczywiście, normalni ludzie nie mieli przywidzeń, nawet poddani wielkiemu stresowi. Oznaczało to, że cierpi na jakąś umysłową dolegliwość. Ale choroba ta, jak dotąd nie wpływała negatywnie na jego normalne funkcjonowanie. Poza tym, istnieją leki, które pomagają schizofrenikom panować nad psychozami. Najwyraźniej odczuwał wczesne symptomy postępującej schizofrenii. Mógł pójść do psychiatry i otrzymać leki, które umożliwią mu prowadzenie normalnego życia. Bo przecież nad chorobą można zapanować. Nie ma powodu do obaw.

Jednak, gdyby się dobrze zastanowić, było się czego obawiać. Przechadzając się z Madeleine wzdłuż skarpy, nie znajdował się pod wpływem żadnego stresu, a przecież cały spacer również musiał być przywidzeniem, ponieważ na śniegu nie było śladów Mad.

Chyba, że właśnie teraz miał przywidzenia. Chyba, że jego umysł nie rejestrował śladów odbitych na śniegu, ponieważ nie mógł znieść myśli, że przechadzał się tutaj z tą Madeleine, którą pamiętał ze sceny w salonie. Przy takim założeniu wszystko dawało się wyjaśnić. W tej chwili musiał mieć jakieś psychiczne zaburzenia, ale one w końcu muszą ustąpić. Bo nawet bez leczenia takie omamy mijały. Szczególnie we wczesnych stadiach choroby umysłowej. Kilka lat temu czytał jakąś książkę na ten temat, więc wydawało mu się, że wszystko przebiega właśnie w taki sposób. Kiedy już odzyska kontrolę nad sobą, wyjdzie z cmentarza i zobaczy ślady stóp dwojga osób, a potem wróci do domu i znajdzie Madeleine w sypialni. Tam właśnie powinien ją spotkać. Nawet nie przyszło mu do głowy, żeby sprawdzić czy czasem nie pobiegła na górę. Tak bardzo pragnął jak najszybciej odnaleźć Madeleine, że szukając jej wyjrzał przez otwarte oszklone drzwi jadalni i zobaczył ją na zewnątrz, podczas gdy w rzeczywistości najprawdopodobniej była w pokoju na piętrze, leżała na łóżku i płakała, czekając kiedy wreszcie do niej przyjdzie.

Zawrócił w stronę domu i rzucił okiem na wydeptaną w śniegu ścieżkę, ale nadal nie widział jej śladów. Jeszcze nie może wracać. Musi odczekać chwilę i przyjść do siebie. Musi poczekać, aż znowu zacznie widzieć świat takim, jaki jest naprawdę. Musi się czegoś uchwycić, aby zacząć swój powrót do rzeczywistości. Przypomniał sobie oglądane kiedyś reklamówki opon, którym z bieżników wyrastały palce, kurczowo chwytające się asfaltu autostrady. A jego myśli wpadły w poślizg, mijając wiele obrazów. Musiał zapanować nad tym poślizgiem. Przypominało to jazdę samochodem po oblodzonej nawierzchni.

Zaczął przechadzać się pomiędzy kamiennymi nagrobkami, przyglądając się wyrytym napisom, aby odciągnąć myśli od tego, czego aktualnie doświadczał. Był pewny, że nie napotka tu grobu żadnego Cryera. Dom należał do rodziny matki Madeleine, a on nie znał jej nazwiska. Ale na nagrobkach było wiele bardzo różnych nazwisk, żadne z nich nie występowało w przewadze nad innymi. Natomiast imiona wydały mu się dość znajome. Najprawdopodobniej w rodzinie istniał zwyczaj nadawania dzieciom imion przodków, które przechodziły z pokolenia na pokolenie. Jeden z pochowanych nosił imię Jude. Był też jakiś Stephen. Nie zauważył Ateny, ale w rzeczywistości ciotka miała inne imię. O

proszę, tu mamy Minerve. A tam w rogu jest nawet jakiś Simon.

Ale Simon nie należał przecież do rodziny. A więc musiał to być tylko zbieg okoliczności, że ktoś z leżących na cmentarzu nosił takie samo imię jak on:

SIMON WISTER

DATA URODZIN NIEZNANA - 2 LUTEGO 1877

“BYŁEM OBCY, A TY PRZYJĄŁEŚ MNIE POD SWÓJ DACH”

Poczuł jak fala gorąca zalewa mu twarz, zanim jeszcze myśl zdołała dotrzeć do jego świadomości. Simon był gościem, który został na zawsze. A tutaj miał przed sobą nagrobek, należący do Simona, którego data urodzenia była nieznana i którego epitafium mówiło o przyjętym pod dach obcym.

Cóż, drogi Quentinie, pomyślał sobie, skoro już tracisz rozum, to dlaczego nie miałbyś zjeść śniadania w towarzystwie umarłych, którzy wyszli z grobów.

Wrócił do nagrobka Minervy.

MINERVA MUELLER 1 CZERWCA 1866 - 12 LIPCA 1918 UKOCHANA PRZEZ WSZYSTKICH
MĄDROŚĆ W PROSTOCIE

Śmierć w lecie tysiąc dziewięćset osiemnastego roku sugerowała, że Minerva została zabrana przez falę słynnej epidemii grypy. Miała wtedy... pięćdziesiąt dwa lata. Mądrość w prostocie. Czy w ten delikatny sposób chciano upamiętnić jej wrodzoną demencję? Jeśli ciotka Atena, którą poznał tego ranka miałaby przenieść się na łono Abrahama, trudno byłoby wymyślić dla niej lepszą nagrobną inskrypcję niż ta, którą właśnie odczytał.

Ale przecież oni wszyscy siedzieli przy stole i jedli razem z nim. Rozmawiali z nim i z Madeleine. Istnieli naprawdę.

“Każdy, kto jest prawdziwy niech podniesie rękę!”

Dopiero teraz uderzyła go bolesna prawda słów, wypowiedzianych przez wuja Simona. Zignorowano go, jak kogoś niespełna rozumu. Ale tak czy siak, nikt nie podniósł ręki.

PULK. STEPHEN ALAN FORREST

22 GRUDN. 1910 - 24 GRUDN. 1951

WALCZĄC O POKÓJ NA CAŁYM ŚWIECIE

ZGINĄŁ NA POLU CHWAŁY

GRÓB JEGO LILII PORASTA KWIECIEM

NIESKAZITELNIE BIAŁYM

LILIA I ŻOŁNIERZ JEDNAKO PRZECIE

ŻYWOT MAJĄ NIETRWAŁY

Jego wojskowe maniere. Ktoś powiedział - chyba Madeleine - że służył podczas wojny koreańskiej. Ale wcale nie był stary. Czterdzieści jeden lat, wiek pochowanego tutaj Stephena, w przybliżeniu pasował do wyglądu wuja Stephena, spotkanego przy śniadaniu. Ale nawet ktoś, kto walczył w Korei jako osiem-nastolatek, gdyby żył, musiałby mieć co najmniej sześćdziesiąt lat. A wuj Stephen nie wyglądał na sześćdziesięciolatka z tą jego ciemną brodą i włosami, w których nie było śladu siwych nitek. Może je farbował. A może od dawna już nie żył.

Imiennik kuzyna Jude, Philip St. Jude Laurent urodził się w Yorkshire w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym roku, a zmarł w Stanach w tysiąc osiemset osiemdziesiątym piątym. Czy kiedy mówił nie wyczuwało się u niego brytyjskiego akcentu?

Nie, nie, to czyste szaleństwo.

Nie znał imienia Babci, tak więc nie miał po co szukać jej nagrobka, jeśli w ogóle pochowano ją na tym cmentarzu.

Jedyny Paul jakiego znalazł, zmarł będąc małym dzieckiem, nie zaś człowiekiem czterdziestopięcioletnim, bo tyle lat miał według Madeleine, ani nawet trzydziestoletnim, na jakiego wyglądał.

Chociaż nie przyznawał się przed sobą do szukania takowego, z wielką ulgą stwierdził po chwili, że wśród nagrobków nie ma żadnego z imieniem Madeleine.

Niektóre imiona powtarzały się w rodzinie, to wszystko. Wszyscy krewni wiedzieli o tym i znali dzieje rodziny. Madeleine po prostu każdemu starała się dziś dopiec. Przedstawiała Quentinowi kolejnych członków rodziny, łącząc ich imiona z historiami przodków, po których te imiona dziedziczyli i których historie znali. Tego ranka była po prostu nieznośna, i tyle, on zaś był jedyną osobą, która nie rozumiała jej żarcików. Pozostali na pewno znali treść napisów na nagrobkach.

Ale na śniegu nie było żadnych innych śladów, prócz jego własnych.

Wyszedł z cmentarza, lecz zamiast wrócić na tylną werandę obszedł dom dookoła i znalazł się przed frontowymi schodami. Zauważył ślady opon, które limuzyna zostawiła przed domem. Widział miejsce gdzie samochód zatrzymał się, a kierowca wyszedł, przeszedł najpierw na prawą stronę, a potem na lewą, kolejno otwierając im drzwi. Po lewej stronie, gdzie siedział Quentin, pojawiły się ślady znaczące jego drogę do bagażnika, przy którym zatrzymał się, aby odebrać bagaże od szofera, potem zaś przeszedł na drugą stronę samochodu i wszedł po schodach do domu.

Ale po stronie, gdzie siedziała Madeleine nie było widać żadnych śladów prócz tych, które zostawił kierowca, pomagając jej wyjść z limuzyny. Nie było także żadnych śladów w miejscu, gdzie stał służący. Zaś na schodach wiodących do frontowego wejścia, pozostały tylko ślady jednej osoby. Były to ślady Quentina.

Jeśli to halucynacja, to wyjątkowo selektywna, pomyślał.

Czuł się niemal dumny, że tak spokojnie reaguje na wyraźne oznaki własnego psychicznego rozstroju.

Gdzieś we wnętrzu domu czekała na niego Madeleine. Ona pomoże mu to wszystko uporządkować. Zdecydowała się być z nim w zdrowiu i chorobie, czy nie tak? Czy nie to właśnie obiecywali sobie, wypowiadając słowa starej, kościelnej przysięgi? Zabierze go do psychiatry, jakoś zapanują nad tymi dolegliwościami i życie potoczy się dalej.

Wszedł na schody, dodając jeszcze jedną linię własnych śladów na śniegu, otworzył frontowe drzwi i wszedł do środka.

Ale to nie był już ten sam dom.

Układ pomieszczeń pozostał, rzecz jasna, nie zmieniony. Meble stały w tych samych miejscach. Ale wszystkie większe sprzęty okryte były ochronnymi pokrowcami, zaś podłogę pokrywała gruba na pół cala warstwa kurzu, prócz miejsc gdzie ślady jego nocnych i porannych wędrówek wytyczyły w nawarstwionym brudzie wyraźne ścieżki. Każdy jego krok wzniewał tumany pyłu, tak że już po chwili zaczął krztusić się i kichać. Jak to się stało, że nie krztusił się ani nie kichał, kiedy przechodził tędy wcześniej? A może to robił? Jak przez mgłę pamiętał, że wczorajszej nocy zastanawiał się, czy czasem nie zbiera mu się na grypę. Choć może po prostu wymyślał sobie teraz to wspomnienie, próbując nadać wszystkiemu jakiś sens?

Otworzył drzwi do biblioteki. Szyby w niektórych oknach były powybijane i na stół przykryty grubym płótnem nawiało trochę śniegu. Mnóstwo książek walało się po podłodze. W pokoju panował przenikliwy ziąb. Ślady jego stóp były jedynymi śladami, widocznymi na podłodze. Prowadziły do jedyne krzesła w całym pokoju, które ktoś niedawno odsunął, by na nim usiąść. Pozostałe od niepamiętnych lat stały połączone ze stołem i podłogą kołtunami pajęczych sieci. Nawet krzesło, którego użył, całe lepilo się od pajęczyn i brudu. Dopiero teraz, kiedy po raz pierwszy w tym dniu spojrzął na swoje ubranie, zauważył, że marynarkę i spodnie ma całe w pajęczynach i smugach kurzu. Otrzeptał się energicznie, doprowadzając ubiór do względnego porządku. Jak to się stało, że wcześniej niczego nie dostrzegł?

Nie mam zaburzeń. W miarę jak owe słowa formowały się w jego myślach, był coraz bardziej przekonany co do ich prawdziwości. Tego ranka byłem świadkiem czegoś, co nie działa się naprawdę. Nie było żadnych ludzi, jedzących śniadanie. Pokój nie był wysprzątnięty, meble nie błyszczały. Nie było służących, podających wyśmienite potrawy - na drodze z pokoju kredensowego do stołu nikt nie zostawił żadnych śladów. Więc co ja właściwie jadłem?

Żołądek odpowiedział mu burczeniem, dając do zrozumienia, że tego dnia nic jeszcze nie miał w ustach. Język uschły na wiór informował go, że nie miał też okazji niczego się napić. Ostatnim napojem, jaki pamiętał, była butelkowana woda, którą raczyli się z Mad w limuzynie. Czy ona ją piła? Czy był z nim w ogóle ktoś, kto potrafiłby wypić tę wodę? Czy ktokolwiek w ogóle mu towarzyszył?

Tak, ktoś musiał z nim być. Przecież kierowca limuzyny podszedł do drzwi po prawej stronie, żeby pomóc wysiąść jego żonie - a więc on także ją widział! Jego rodzice ją widzieli. Jego przyjaciele, ludzie na przyjęciach i spotkaniach w całym kraju - wszyscy widzieli ją, rozmawiali z nią. Oni wszyscy nie mogli być szaleńcami, a jeśli nimi byli, to pojęcie szaleństwa nabierało zupełnie innego znaczenia.

Madeleine! Nagle straszliwie zapragnął ją mieć przy sobie. Madeleine, jak mogłem przestać wierzyć w ciebie, choćby na chwilę!

Wybiegł z biblioteki do hollu, a następnie ruszył po schodach do ich pokoju. Gwałtownym ruchem otworzył drzwi. Zobaczył swoje bagaże: walizkę i torbę podręczną. Widać było, że ktoś spał po jego stronie łóżka. Nie było jednak żadnej pościeli, a tylko biały pokrowiec narzucony na materac i pajęczyny, zwisające niczym frędzle ze wszystkich stron. Tylko te szuflady komody, które wybrał dla siebie, były wyciągane. Tylko jego rzeczy wisiały w pachnącej stęchlizną szafie.

Wbiegł do łazienki. W toalecie nie było wody, zauważył tylko swój mocz na dnie muszli. Podłoga łazienki lepiała się od brudu. Wygląd wanny mógł przyprawić o mdłości; najwyraźniej w jakimś miejscu rura była zatkana i jakaś część brudnej wody wypłynęła do wanny, przybierając przez lata postać cuchnącego mułu na jej dnie. Czy Mad wiedziała o tym? Czy wiedziała, jak naprawdę wygląda łazienka i miała w sobie na tyle współczucia, by odwieść go od zamiaru wzięcia kąpieli. Z kranów umywalki nie płynęła woda. Jego szczoteczka wciąż była brudna od pasty... najwyraźniej nie zdołał jej wypłukać po umyciu zębów. A teraz, kiedy o tym pomyślał, wyraźnie poczuł w ustach smak pasty, poczuł jej zaschnięte, ziarniste resztki na dziąsłach.

Z walącym sercem, starając się uspokoić galopujące donikąd myśli, szybko powyciągał swoje rzeczy z szafy i komody, zabrał kosmetyczkę z łazienki i wcisnął wszystko do swoich bagażów. Ostatniej nocy spałem tu całkiem sam, pomyślał. Chociaż kochaliśmy się, Madeleine i ja. Kochaliśmy się, a potem zjedliśmy kanapki. Ale nigdzie nie było widać najmniejszego okruszka, a tylko dziwne esy-floresy wytarte w kurzu i brudzie pokrywającym mały nocny stolik, po którym zapewne szorował palcami, myśląc, że kładzie na nim talerzyk ze swoją kanapką.

Z bagażami w rękach opuścił pokój i pędem zbiegł w dół po schodach. Nie próbował nawet szukać telefonu. Jeśli w tym domu znajdował się jakikolwiek aparat, z pewnością był odłączony, podobnie jak prąd czy woda.

Prąd. Dzisiaj widział wszystko, ponieważ przez okna wpadało dzienne światło. Ale zeszłej nocy nie mogło tu być żadnego światła. Tym niemniej, o nic się nie potykał i na nic nie wpadał. Ktoś musiał go prowadzić. To Madeleine go prowadziła. Może i nie zostawiła żadnych śladów, ale nie ulegało wątpliwości, że ktoś, kto dobrze znał ten dom musiał być razem z nim, bo inaczej nigdy nie byłby w stanie poruszać się po omacku w jego wnętrzu, wejść po schodach na piętro, i odnaleźć sypialnię w panujących tu egipskich ciemnościach. A grube kotary w sypialni były zasłonięte.

To wcale nie były urojenia. Gdy człowiek ma halucynacje, widzi rzeczy, których nie ma, ale Quentin nie słyszał jeszcze o przywidzeniu, które polegałoby na tym, że widzi się istniejące rzeczy w absolutnych ciemnościach. Schizofrenia nie wyposaża chorego w latarkę.

Położył swoje bagaże obok drzwi. Został tu sprowadzony przez kogoś, dla jakichś ważnych powodów. Iluzja trwała dokładnie do chwili, kiedy zdecydował, że nie otworzy szkatułki. Wtedy właśnie Madeleine uciekła, a wszyscy pozostali prócz wuja Paula i Babci zniknęli. Wszyscy ci, których nagrobki udało mu się zidentyfikować na cmentarzu.

Co więc było prawdziwe? Złudzeniem były panujące w domu czystość i porządek. Potrawy i wnoszący je lokaje. Krewni, których poznał byli - czym mogli być? - chyba tylko duchami. Ale stół był prawdziwy, także krzesła, drzwi, łóżko, a nawet muszla klozetowa, umywalka i wanna w łazience. Może w salonie na małym stoliku naprawdę leżała drewniana, grawerowana skrzynka, którą ktoś, z nie znanych mu powodów, chciał otworzyć przy jego pomocy.

Odwrócił się i podszedł w stronę wejścia do salonu, ale kiedy się zbliżył, na drzwiach pojawiły się trzy lśniące, białe litery: NIE

- To nie jest urojenie - szepnął do siebie.

Litery zniknęły. Zrobił jeszcze jeden krok w stronę drzwi.

Zaczęły pojawiać się następne litery, tym razem dużo szybciej. Były mniejsze, a każde utworzone z nich kolejne słowo pojawiało się w miejsce poprzedniego

NIE

WCHODŹ

DO

ŚRODKA

UCIEKAJ

UCIEKAJ

ŚMIERĆ

TU

ŚMIERĆ

Cofnął się od drzwi, omiótł wzrokiem mroczne ściany hollu. W zimnym, wygasłym kominku coś błysnęło. Jakieś światelko. Nie podszedł bliżej, zamiast tego zrobił kilka kroków w tył, zastanawiając się z przerażeniem, co też mogło oznaczać to tajemnicze migotanie. Jednak nie potrafił odwrócić wzroku.

Z kominka wyszedł szczur i usiadł na stosie szczapek, które dawno temu ktoś ułożył w pobliżu paleniska. Zwierzątko świdrowało go wzrokiem, patrząc mu prosto w oczy. Dokładnie tak samo jak Babcia. Po chwili otworzyło pyszczek.

- Znajdź mnie - powiedziało.

To nie był objaw szaleństwa, teraz Quentin miał całkowitą pewność. To nie była wina umysłu, tworzącego fałszywe wizje rzeczywistości. Wręcz przeciwnie, jego umysł już przyzwyczajał się do tego, że reguły, którymi, jak sądził, rządzi się rzeczywistość, nie miały zastosowania w tym domu. Coś kazało szczurowi mówić, coś sprawiło, że słowa pojawiały się na drzwiach pokoju, do którego nie powinien był wchodzić. Coś prowadziło go w tym domu w ciemnościach. Coś kazało mu wierzyć, że ma u boku ukochaną kobietę, kiedy samotnie przechadzał się po skarpie. Ktoś przedstawił go grupie nieboszczyków, z którymi zjadł śniadanie i przekonał go, że je najlepsze potrawy, jakie miał okazję próbować w swym życiu, podczas gdy jego żołądek pozostawał pusty.

Wszystko potrafił racjonalnie sobie wytłumaczyć. Ale jego ciało nie wystarczały racjonalne argumenty. Serce waliło mu jak młot, ręce miał zimne, dłonie mu drżały. Nie śmiał obrócić się plecami do szczura, do drzwi salonu, a jednocześnie nie miał odwagi, by choć chwilę dłużej pozostać w tym domu. W końcu obrócił się i energicznym krokiem ruszył w stronę frontowych drzwi, gdzie zostawił swoje bagaże. Otworzył drzwi, podniósł walizkę i torbę, poczym wyszedł na ośnieżony ganek.

U dołu schodów, tam, gdzie zeszłej nocy zatrzymał się samochód, czekała na niego Madeleine. Jej twarz była spokojna, a nawet trochę smutna.

Przerażenie nagle się ulotniło, a na jego miejscu pojawiła się ulga. Madeleine istniała naprawdę. Madeleine była tutaj z nim. Znowu poczuł, jak całą jego osobę wypełnia miłość. Wszystko będzie w porządku. Ona wyjaśni mu całe to... cokolwiek to było.

- Mad - powiedział. - Nie uwierzysz, co mi się wydarzyło. Pokręciła głową.

- Och, Tin, ja nie jestem Madeleine. Już nie. Madeleine zniknęła.

Zszedł do niej po schodach.

- Możesz nazywać się jak tylko chcesz, ważne, że jesteś tutaj. Myślałem, że cię straciłem.

- Straciłeś mnie wiele lat temu, Tin. Kiedy umarłam w szpitalu. Kiedy kazałam ci, żebyś dał sobie

siana. Kiedy powiedziałam ci, żebyś nie trzymał mnie dłużej uwiązanej do łóżka.

Zatrzymał się, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszał.

- Masz kit, masz kit, masz kit? - zapytała.

I wtedy nie były to już usta Madeleine. Nie nastąpiła żadna transformacja. Nigdy nie było żadnej Madeleine.

- Lizzy - wyszeptał.

- Teraz mnie widzisz - powiedziała. - Ale to tylko złudzenie. Twój umysł nadaje kształt temu, czym naprawdę jestem.

- To cały czas byłaś ty? - Natychmiast przypomniał sobie, jak widział ją w sklepie spożywczym i jak wchodziła do szeregowca.

- To nie byłam ja - powiedziała. - Ale przyszedłam do ciebie między innymi dlatego, żeby ci wszystko wyjaśnić. Masz moc, by mnie wzywać. Kiedy myślałeś, że mnie zobaczyłeś, twoja wielka potrzeba ujrzenia mnie kazała mi wrócić do ciebie. W znakomitej większości jesteśmy przywiązani do dawnych ciał, do naszych szczątków, ale ja jestem bardziej przywiązana do ciebie. Nie mam nic przeciwko temu, naprawdę. Zwłaszcza, że kiedy przybyłam, dostrzegłam grożące ci niebezpieczeństwo.

- Ale jeśli to jesteś ty, Lizzy, to nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

- To nie byłam ja, nie rozumiesz? To był ktoś inny, kto znalazł mój obraz w twoim umyśle i wykorzystał go dla swoich celów. Kiedy przybyłam do ciebie, to właśnie ona sprawiła, że przywidziałam ci się jako kobieta, wchodząca do szeregowca, ale mnie nie było wewnątrz tego, co zobaczyłeś, Tin, ja byłam wtedy z tobą. W samochodzie, tuż obok ciebie, czując jak mnie wzywasz. Kiedy wzywasz mnie w taki sposób, jesteś bardzo silny. Nawet gdybym chciała, nie byłabym w stanie trzymać się wtedy z dala od ciebie.

- Czemu nie przemówiłaś do mnie wtedy, tak jak to robisz teraz?

- Ponieważ ona tam była. Umarli nie mają żadnej siły w porównaniu z żywymi. Jeśli ona chce żebym była cicho, jeśli skupia na mnie swoją uwagę, to uwierz mi Tin, nie jestem w stanie wydusić z siebie słowa.

- Ale ja jestem żywy, Lizzy. Ja chciałem, żebyś przemówiła.

- Tak, dysponowałeś wystarczającą siłą, aby mnie wezwać, ale, jeśli przyjmiemy, że ty jesteś silny, to ona... ona ma coś więcej niż tę siłę. Kiedy mnie zauważyła, dostrzegła szansę dla siebie.

Wykorzystała mnie, przez cały czas trzymając w pobliżu, tak by móc dobierać się do mojej pomieci w identyczny sposób, w jaki dobierała się do twojej. Wykorzystała mnie, jako część Madeleine, która była jej tworem. Jest mistrzynią w manipulowaniu umarłymi. Dziś na śniadaniu uczestniczyłeś w spotkaniu nieboszczyków. Przez całą ostatnią noc przetrząsała cmentarz, wzywając tych wszystkich

biedaków z miejsc, w których właśnie się znajdowali, a potem zmusiła ich do wzięcia udziału w jej małym bankiecie.

- Po co? Kim ona jest? Czy ona to Madeleine?

- Mówiłam ci, ona tylko stworzyła Madeleine. Z niczego. Z twoich pragnień. Madeleine została utworzona z tego wszystkiego, co uważasz za piękne i czarujące. W ten sam sposób udało jej się dobrać doskonały smak, zapach i fakturę każdej potrawy, jaką miałeś okazję dzisiaj spożyć. Mnie też wykorzystwała, jak tylko mogła i wcisnęła w tę całą iluzję. W jej rękach byłam jak miękka glina, musiałam robić to, czego ode mnie żądała, dopóki nie spuściła mnie z oka.

- Domyślam się więc, że w obecnej chwili jesteś poza zasięgiem jej wzroku.

- Zawiodłeś jej oczekiwania. Uciekła stąd, gnana wściekłością. I na jakiś czas zapomniała o mnie. Po raz pierwszy od czasu, kiedy mnie wezwałeś, jesteśmy razem sami.

Quentin przypomniał sobie całą sytuację, kiedy po raz pierwszy zabrał Madeleine do domu, aby poznała Mamę i Tatę. Przypomniał sobie, że Madeleine ani na chwilę nie zostawiła go samego z rodzicami.

- Tak - odezwała się Lizzy. - Właśnie tak było. Ponieważ jest śmiertelniczką, ma nade mną władzę. Udało jej się wkleić kawałki mojej osobowości w Madeleine. Moje wspomnienia o tobie. Pewne moje zwyczaje, na które mogłeś pozytywnie reagować, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

- A ja we wszystko uwierzyłem.

- Pewnie, że tak. Wszyscy uwierzyli. Kiedy pokazywałeś się z nią publicznie, przyciągała mnie i używała jako ośrodka swej osobowości, tak więc potrafiła otumanić setki ludzi naraz.

- Musiało ci być bardzo ciężko.

- Tylko dlatego, że nienawidziłam jej za krzywdy, które ci wyrządza. Jeśli o mnie chodzi, to na ogół nic mnie nie ponagla. Nie mam żadnych pilnych spraw. Umarli nigdy takich spraw nie mają. Nie to, żeby wszystko było nam obojętne, nadal przejmujemy się wieloma rzeczami, tak jak zawsze. Ale jesteśmy bardziej... cierpliwi.

- Mimo to, jesteś tutaj.

- Ponieważ ty nie możesz czekać. Ponieważ istnieją rzeczy gorsze od śmierci.

- Utrata Madeleine?

- Otwarcie tej szkatułki.

- Dlaczego? Co w niej jest?

- Nie wiem, Tin. Wiem tylko, że jest to coś niezwykle silnego, coś, czego wszyscy inni bardzo się

boją.

- Wszyscy inni?

- Inni umarli. Ci umarli ze śniadania. Jediną osobą, która nie ma żadnych obaw jest ta, co próbowała nas wykorzystać. Nie może się doczekać, kiedy dostanie to, co jest w środku. Dlatego właśnie tak się wściekła. Dlatego teraz nie zwraca na nas uwagi. Obecnie nie jesteśmy jej do niczego potrzebni.

- A więc ona jest człowiekiem. Jest w stanie skupić się tylko na jednej rzeczy.

- Jest silniejsza od ciebie i zdecydowanie silniejsza ode mnie, ale nie wszechmocna. Na pewno niektóre jej cechy przeniknęły do osobowości Madeleine, nie sądzę, żeby udało jej się temu zapobiec. Zwłaszcza dzisiaj, kiedy była tak bardzo zajęta sprawowaniem kontroli nad swoimi umarłymi marionetkami, że nie zawsze mogła dołożyć odpowiednich starań, by Madeleine przez cały czas zachowywała się jak chodzący ideał. Szczególnie wtedy, kiedy wprowadziła do pokoju służących. Za tymi służącymi nie kryły się żadne istniejące osoby, ani żywe, ani umarłe. Po prostu sprawiła, że ich widziałeś. To dużo trudniejsza sztuka niż zbudowanie iluzji na bazie prawdziwej duszy. Stworzenie służących doprowadziło ją prawie na skraj wyczerpania. I kiedy skupiała swoją uwagę na utrzymaniu tej wizji, niektórym spośród biesiadników udało się ukradkiem wypowiedzieć kilka rzeczy, które chcieli ci przekazać.

- Lizzy, ja nic z tego nie rozumiem.

- A ty sądzisz, że ja rozumiem? Nie myśl, że dają nam tu podręcznik "Jak być nieboszczykiem". W chwili, gdy umierasz wcale nie poznajesz odpowiedzi na wszystkie pytania. To znaczy, teraz już wiem na pewno, że istnieje życie po śmierci, ale my wcale nie wyglądamy jak ludzie i nie postrzegamy siebie nawzajem jako ludzi. Ty widzisz mnie w takiej postaci, ponieważ kiedy rozpoznajesz mnie jako Lizzy, twój umysł dodaje sobie całą resztę.

W chwili gdy to wypowiedziała, zauważył, że jego siostra przybrała wygląd dużo mniej określony niż przed chwilą, jak gdyby zanikała.

- Nie trać mnie teraz - zawołała Lizzy. - Muszę ci wytłumaczyć, jak to wszystko działa, żebyś nie był zupełnie bezbronny wobec jej sztuczek!

Wyciągnął rękę w stronę siostry, ale natknął się na próżnię. Lizzy stała się jeszcze mniej widoczna.

- Nie wiem jak cię zatrzymać!

- Nie patrz na mnie! Odwróć wzrok i słuchaj mojego głosu do chwili, kiedy znów będziesz miał w myślach mój obraz. Tak samo jak wtedy, kiedy czytałam ci moje ulubione książki.

- Więc to był naprawdę twój głos! - wyszeptał.

- Posłuchaj mnie. Nie licz, że ona już z tobą skończyła. Potrzebowała cię dla swoich celów, ale jeszcze nie dostała tego, co chciała, więc wciąż cię potrzebuje. Ja nie wiem jak z nią walczyć, ale mogę ci przynajmniej powiedzieć, jak to wszystko działa, na tyle, na ile sama się orientuję. To już

coś. W każdym razie tyle mogę dla ciebie zrobić.

Kiwnął głową, nie patrząc na nią.

- Słucham cię.

- Większość śmiertelników nie jest w stanie widzieć nas, umarłych, ale jej to nie sprawia trudności. Ty też czasami możesz widzieć umarłych. Ona potrafi także oderwać się od swego ciała nie umierając, i robi wtedy różne rzeczy. Ty tego nie potrafisz.

- Czy ona jest tutaj? Czy nas słucha? Czy możesz to wykryć?

- Gdyby ona była w pobliżu, wiedziałabym o tym, ale jej tu nie ma, przynajmniej na razie. Nie wyczuwam nawet jej furii, więc musi być bardzo daleko stąd. Możliwe, iż wróciła do swojego własnego ciała, gdziekolwiek ono się znajduje. Najważniejsze, że kiedy wędruje poza ciałem jest podobna do nas, umarłych. Tyle że jest silniejsza, bo jej ciało jest żywe. A więc posłuchaj, czego dowiedziałam się o duszach, tak abyś mógł wiedzieć kim ona staje się wtedy, gdy wychodzi poza swoje ciało. Trudno jest nawet określić miejsce w jakim przebywamy, chyba że jakiś śmiertelnik wezwie nas w ten sam sposób, w jaki ty wezwałeś mnie. Kiedy nie jestem przy tobie, nie ma mnie w zasadzie nigdzie. Wciąż mamy możliwość dokonywania wyboru, ale bez ciała, wybór ten jest niewielki. Nie jesteśmy w stanie zmienić niczego w realnym świecie i pod pewnymi względami jesteśmy bardzo słabi. Bywamy zmęczeni - obecnie na przykład jestem u kresu sił i w pewnym sensie związani ze swoim wcześniejszym życiem, przynajmniej do chwili, kiedy nie znikną ostatnie więzi. Ludzie, których ona wezwała na śniadanie, związani są z tym domem, z rodziną, do której należy to miejsce. Ona jest jej częścią, więc może to wykorzystać w celu przywołania ich i poskromienia. To już koniec. Wszystko Co Wiem Na Temat Śmierci, według Lizzy, Umarłej Dziewczynki.

- Lizzy, kim ona jest?

- Nie wiem, Tin. Właśnie próbuję ci to uświadomić. Myślisz, że cokolwiek zataiłabym przed tobą, gdybym wiedziała? Skoro ma taką siłę, to musi być śmiertelniczką. Na pewno jest żywą osobą. Jest też na tyle potężna, by tworzyć iluzje, które zarówno ty, podobnie jak inne osoby, mogą zobaczyć i dotknąć, a nawet... robić z nimi wszystko to, co ty robiłeś z Mad.

Quentin przypomniał sobie wszystko co robił z Madeleine.

- Lizzy, powiedziałaś, że czasem ty byłaś częścią Madeleine... - zaczerwienił się.

- Używała mnie tylko w tłumie, Tin. I nie martw się tym wszystkim, co widziałam. My nie mamy ciała, i nie obchodzi nas nic, co ma jakikolwiek związek z ciałem.

- Lizzy, ja ją kochałem.

- Kochałeś sen urzeczywistniony przez osobę tak okrutną, że... nienawidzę jej, Tin. Jest podła. Ale Madeleine nie była podła. Madeleine była cudowna.

- Jeśli ta... osoba... jeśli ona jest taka podła, w jaki sposób udało jej się stworzyć coś takiego... kogoś

takiego, jak Mad? -I znowu ogarnęła go tęsknota za żoną, którą, jak się właśnie dowiedział, stracił na zawsze, chociaż wciąż potrzebował jej tak samo, jak przedtem.

- Ona nie wymyśliła Madeleine. To ty ją wymyśliłeś. Ona tylko wydobyła ją z twoich myśli. Dałeś jej gotowy scenariusz, a ona odegrała go dla ciebie. Ta, którą kochałeś, była tylko twoim marzeniem o miłości.

- Dlaczego tak nas skrzywdziła?

- O ile wiem, wszystko ma jakiś związek z tym, co znajduje się w szkatułce. Najwyraźniej nie może otworzyć jej sama, bo inaczej nie potrzebowałaby ciebie.

- Ale jeśli chciała, żebym ją dla niej otworzył, dlaczego Babcia i wuj Paul powstrzymywali mnie przed tym? Przynajmniej ona miała wrażenie, że Babcia chce mnie powstrzymać, a Paul przeszkodził mi na końcu, kiedy już byłem zdecydowany otworzyć tę...

- Widzisz, ona wcale nie wzywała Babci ani Paula. Oni po prostu zjawili się tutaj. Jej babka, to także duch wędrujący. Również musi być żywą osobą. Co się zaś tyczy wuja Paula... nie jestem pewna, kim on właściwie jest.

- Lizzy, ja oszalałem, prawda? Wcale cię tu nie widziałem i nawet wtedy, w szpitalu, z żalu po tobie straciłem głowę i wydawało mi się, że słyszę twój głos, a od tamtego czasu jestem wariatem.

- Posłuchaj, Tin! Nie osłabiaj mnie! Nie jesteś wariatem. To ktoś inny sprawił, że widziałeś to, co widziałeś. A wszystko, co zdarzyło się w salonie, zdarzyło się naprawdę. Ona nie wybrała cię przez przypadek. Jak już mówiłam, jesteś wyjątkowo silny. Z nią nie możesz się równać, ale jesteś wystarczająco silny, żeby nie pozwolić, by robiła z tobą wszystko, na co przyjdzie jej ochota. Czasami udaje ci się ją przechytrzyć. Tak jak wtedy, kiedy sterowała Mamą i Tatą. Złapałeś ją na tym, zauważyłeś, że coś jest nie w porządku i wtedy naprawdę wpadła w panikę, czułam to wyraźnie. Ona cię do czegoś potrzebuje, ale jednocześnie trochę się ciebie boi, bo nie może nad tobą panować. Na pewno masz pewne właściwości, dzięki którym nie jesteś całkiem bezbronny.

- Więc naucz mnie, jak mam je wykorzystać!

- Ale ja nie mam najmniejszego pojęcia. Nigdy nie miałam takiej mocy za życia, a na pewno nie mam wiedzy o ludziach takiej, jak ta... jak ta... nazwijmy ją Użytkowniczką.

- A co z Babcią? Mówiłaś, że ona także żyje. Powiedziała mi żebym ją znalazł. Może to ona chce mnie wszystkiego nauczyć?

- Nie wiem nic ponadto, że Babcia musi żyć w jakimś śmiertelnym ciele, i że wraz z Użytkowniczką nienawidzą się wzajemnie. Czymkolwiek jest to, czego pragnie Użytkowniczką, Babcia stara się ją powstrzymać. A jeśli powiedziała ci, żebyś ją odnalazł, może powinieneś tak uczynić.

- Ale dlaczego to ona mnie nie znajdzie? Madeleine sama mnie znalazła.

- Nie mam pojęcia, Tin. Powiedziałam ci wszystko, co wiem.

- A wuj Paul? Jeśli Użytkowniczką go nie wzywała, to kim on jest.

- Nie wiem kim on może być. Użytkowniczką była strasznie wściekła i poruszona, kiedy się pokazał. Zaś Babcia nienawidzi i boi się go bardziej niż Użytkownicy. Paul jest związany z tym domem mocniej, niż ktokolwiek spośród pozostałych. Zaś Użytkowniczka i Babcia walczyły z nim przez całe śniadanie, starając się trzymać go pod kontrolą. To wszystko co wiem. Absolutnie wszystko.

- Lizzy, co ja mam teraz zrobić?

- Nie wiem. Być może zostawią cię teraz w spokoju. Może wystarczy, że zabierzesz stąd swoje bagaże, opuścisz to miejsce i wrócisz do swojego życia.

- Do jakiego życia? Madeleine była moim życiem. To tak jakby umarła, tyle że nigdy nie żyła. Lizzy, znów czuję się tak samo jak wtedy, kiedy straciłem ciebie.

- Ale mnie nigdy nie straciłeś. A jeśli chodzi o twoją żonę, to musisz wiedzieć, że poznałeś w niej tylko samego siebie.

- To wspaniale. Nie muszę więc już pisać do Ann Landers, ani oglądać programów Oprah Winfrey.*

- Nie bądź takim mądrąłą, braciszku. Mówię ci szczerą prawdę. Wszystko, co było w Madeleine, wciąż jest w tobie. Wszystko to będziesz mógł ofiarować jakiejś prawdziwej kobiecie, którą pokochasz.

- Kłopot polega na tym, że trudno na pierwszy rzut oka rozpoznać, która jest prawdziwą kobietą z krwi i kości, a która nie zostawia śladów na śniegu.

- Ja też nie zostawiam śladów, Tin. Ale wciąż cię kocham. Dlatego właśnie możesz mnie wzywać. I być może Użytkowniczka, kimkolwiek ona jest, właśnie wtedy gdy próbowała zmusić cię do otworzenia dla niej szkatułki, również zakochała się w tobie. Jeśli ma w sobie choć isierkę ludzkich uczuć, nie wiem jakby mogła tego uniknąć. Więc być może ty też będziesz miał nad nią władzę.

- Ja nie chcę żadnej władzy nad nikim! - Quentin usiadł na ośnieżonym stopniu i zatopił twarz w dłoniach. - Lizzy, ja chcę wrócić z powrotem do mojego dawnego życia.

- A kto by nie chciał - szepnęła.

Poczuł, że coś go dotyka, coś ciepłego, głęboko w środku. Było to tak, jakby w sercu zapalił mu się płomyk świecy. Jakby delikatny podmuch radości owiał całe jego wnętrze, rozganiając chmury smutku i rozpaczy. Podniósł wzrok żeby zapytać jej co to takiego, w jaki sposób udało jej się rozjaśnić go wewnętrznym światłem. Ale Lizzy już nie było. Siedział sam na frontowej werandzie pustego domu.

Pustego, ale niezupełnie. Był to bowiem dom, w którym na drzwiach pojawiały się litery, i szczury mówiły ludzkim głosem, a żona, którą kochał bardziej niż swoich rodziców, bardziej niż zmarłą siostrę, żona, która była dla niego treścią całego życia po prostu zniknęła. Uciekła, nie zostawiając

nawet śladów na śniegu.

SAM

Quentin miał mnóstwo czasu na myślenie, kiedy w nikłym blasku blednącego popołudnia podążył piechotą w stronę najbliższego miasteczka, do którego wcale nie było tak blisko. A potem, czekając tam aż samochód z Nowego Jorku przyjedzie go zabrać, jadąc samochodem na lotnisko La Guardia, lecąc samolotem do Waszyngtonu i wreszcie siedząc w swoim mieszkaniu w Herndon, gdzie mieszkał w dniu, w którym zakochał się w Madeleine - wciąż miał mnóstwo czasu na myślenie.

Myślał o wszystkim. O Babci. Lizzy twierdziła, że jest śmiertelniczką, żywą osobą. Sama zaś Babcia wypowiedziała, raz swoimi ustami, lub też wyobrażeniem swoich ust, drugi raz pyszczkiem szczura w kominku, polecenie: "Znajdź mnie!". Czy powinien jej poszukać? Dlaczego ona nie mogła odnaleźć jego? A kiedy już ją znajdzie, to co wtedy? Czy oczekiwała od niego, że włączy się do walki prowadzonej przez ludzi, którzy byli w stanie zrobić to wszystko, co zrobiono jemu? Przez ludzi, którzy potrafią przywoływać duchy umarłych, by kazać im udawać żywych przed jakimś zwykłym śmiertelnikiem? Czy Babcia każe mu znowu zmierzyć się z Użytkowniczką? Nie, nie miał zamiaru tego robić. Miał gdzieś staruszkę, miał gdzieś Użytkowniczkę, miał gdzieś całą tę rodzinę. Niech wszyscy spoczną w końcu na tamym cmentarzu i zostaną tam na zawsze. Sztywni i zakopani głęboko pod śniegiem. Na zawsze.

Myślał też o Lizzy, o tym co powiedziała mu na temat życia po śmierci. Umarli wciąż istnieli, zachowywali wszystkie swoje wspomnienia, ale jej sposób życia w niczym nie przypominał tego, co w tej kwestii miały do powiedzenia wszelkie znane mu teologie. Dlaczego nikt inny nic o tym nie wiedział? Z pewnością nie mógł być jedynym człowiekiem, który rozmawiał z mieszkańcem zaświatów. Był tego pewien. Dlaczego więc nie powstała na ten temat żadna książka? A skoro zmarli błądzili sobie po świecie, zaś śmiertelnicy mogli wzywać ich i panować nad nimi, zmuszając do wykonywania różnych czynności, jakież sens miało umieranie? Po co było to wszystko? I dlaczego musiał spędzić tyle lat bez Lizzy?

Jedyną osobą, o której nie pozwalał sobie myśleć była Madeleine. Na stoliku nocnym wciąż piętrzył się stos poradników seksuologicznych. Nie był w tym mieszkaniu od ślubu. Nigdy nie spał z nią tutaj. Ale wszędzie widział jej twarz. Wykreślił ją z pamięci. Ona przecież nie istniała. Ale pamiętał, jak dotykał jej delikatnego ciała. Pamiętał jej doskonale gładką skórę. Na co dzień chłodną i suchą, zaś rozpaloną w chwilach, kiedy rozpalona być powinna.

Oczywiście, Mad była ucieleśnieniem doskonałości. Podobnie jak maliny, ananasy i gruszki. Podobnie, jak blask polerowanego stołu, naczyń i pucharów. Wszystko wydawało mu się doskonałe, ponieważ Użytkowniczka wyjęła to wszystko z jego myśli. Madeleine dokładnie wiedziała, co należy powiedzieć i zrobić, ponieważ Użytkowniczka zawładnęła wspomnieniami Lizzy, lub nawet

wykorzystywała Lizzy do stworzenia iluzji. Zmusiła ją do brania udziału w tym ohydny przedstawieniu, w którym z całego Quentina liczyła się przede wszystkim para rąk, potrzebna by unieść wieczko szkatułki.

Po co tyle zachodu? Dlaczego wybrała akurat jego? Przy całej potędze jaką dysponowała Użytkowniczką, dlaczego nie wybrała jakiegoś pierwszego lepszego pocziwiny napotkanego na przechodzącej obok posiadłości drodze, i nie kazała mu udać się do wielkiego domu nad rzeką, by otworzył skrzyneczkę?

Skrzynka musiała zawierać coś niezwykłego. Musiała też istnieć jakaś bariera, broniąca Użytkownicze dostępu do szkatułki. Najwyraźniej Użytkowniczką sądziła, że Quentin potrafi przekroczyć tę barierę, i wpadła w furję, kiedy okazało się, że tego nie robi.

Ale co go zatrzymało? Nie czuł przecież żadnej bariery. Już miał unieść wieczko, kiedy Madeleine wybiegła z salonu. Dlaczego tak prędko się poddała? Nie mógł znaleźć odpowiedzi na te pytania.

Kim była Użytkowniczką? Gdzie się znajdowała? Jaką moc mogłaby mu przeciwstawić, gdyby posłał jej prosto w czaszkę pocisk z czterdziestki i półki?

Leżał na łóżku. Dochodziła trzecia rano. Zmarzł i drżał na całym ciele. Sprawdził termostat. Był dużo bardziej rozgrzany niż zwykle. Musiał się przeziębic na drodze tego popołudnia. Zeszłej nocy o tej porze spał w łóżku pełnym pajęczyn, po miłosnym zbliżeniu z tworem własnej wyobraźni. Zeszłej nocy spał w domu, zimnym jak kostnica, choć jemu wydawało się, że było tam ciepło. Dlaczego więc nie zamarzył na śmierć? Czy Użytkowniczką miała wystarczającą moc, by go rozgrzać? Czwarta rano. Umierał z głodu. Próbował oszukać żołądek krakersami znalezionymi w jednej z szafek. Był to jedyny w całym domu produkt spożywczy z aktualną jeszcze datą ważności, ale ciastka smakowały jak ulepione z kurzu. Wstał jednak i zjadł je, popijając wodą z kranu. Wydawało mu się, że wpompował w siebie całe litry kranówki. Wziął prysznic. Wyjął z walizek ubrania, które spędziły noc w zakurzonych szufladach i lepiącej się od brudu szafie, po czym rozwiesił je aby się przewietrzyły. Ubrania, które miał na sobie w dniu przyjazdu do tamtego domu i tego popołudnia, kiedy opuszczał nie zamieszkaną posiadłość, wyrzucił do kubła śmieci. Wyrzucił też swoją szczoteczkę do zębów. O piątej rano z powrotem zagrzebał się w pościeli i wreszcie zasnął, wciąż unikając wszelkich myśli na temat Madeleine.

Ale w nocy jego myśli zbłądziły tam, gdzie nie śmiał pozwolić im pójść i zbudził się, płacząc z żalu po swojej żonie. Madeleine, Mad, Mad. Nic mnie nie obchodzi, że byłaś oszustwem. Ja cię kochałem. Kochałem cię, a ty mnie opuściłaś, chociaż niczym sobie na to nie zasłużyłem, bo byłem dobry dla ciebie. Płakał tak długo, aż znowu zapadł w sen.

Kiedy się obudził była piąta po południu. Na zewnątrz panował już mrok. Wstał i zadzwonił na parking, gdzie stał jego samochód, którego używał kiedy przebywał w DC. Zanim mu go dostarczyli zdążył jeszcze raz wziąć prysznic i ubrać się. Wyszedł na spotkanie kierowcy, dał mu napiwek, wsiadł do samochodu, pojechał do Tysons Corner i wybrał sobie kilka nowych koszul, spodni, skarpetek, a także zapas bielizny. Kupił parę nowych adidasów. Nową maszynkę do golenia, nową kosmetyczkę, dwie nowe walizki, identyczne jak te, które już miał. Nową, zimową kurtkę. Wrócił do domu i ubrał się w nowe rzeczy, a następnie zebrał wszystko to, co miał ze sobą w domu nad Hudson,

łącznie z rzeczami, które wywalił do kubła wczesnym rankiem, upakował w starych torbach i zszedł na dół wyrzucić je do wielkiego żelaznego pojemnika na śmieci, stojącego pod domem. Była dziewiąta. Pojechał do Lone Star, gdzie zjadł orzeszki ziemne i rosół wołowy, a chociaż wydawało mu się, że je popiół, nie przejął się tym, tylko wmusił w siebie sałatkę i kotlet, gdyż postanowił nie dać się wykończyć zgryzocie. Miał zamiar dalej żyć tak, jak przedtem.

Kiedy przyszedł do domu zobaczył, że na telefonie pali się światełko. Ktoś dzwonił i nagrał wiadomość na automatyczną sekretarkę.

Niemożliwe. Jeśli był nieobecny w którejkolwiek ze swych licznych rezydencji - co zdarzało się raczej często – wszystkie telefony natychmiast kierowano do jednego zbiorczego automatu, odbierającego w Nebrasce. Gdy przybywał do jednej ze swych siedzib, rozsianych po całych Stanach i chciał dowiedzieć się czy dzwonił do niego ktoś z miejscowych znajomych i partnerów, wykręcał numer tego automatu i wciskał odpowiedni kod, aby wszystkie wiadomości do niego zostały przesłane na wskazany numer.

Tylko jego rodzice, jego prawnik i Madeleine znali kody, pozwalające zostawić wiadomość na aparacie w tym mieszkaniu, z pominięciem przesłania jej na zbiorczy automat. Ale ani jego rodzice, ani jego prawnik nie wiedzieli, że mogą go tu zastać. Z pewnością byli przekonani, że wciąż jest z Madeleine w jej rodzinnym domu nad rzeką Hudson.

Oznaczało to, że wiadomość została nagrana przez Madeleine. Tyle tylko, że Madeleine nie istniała. Wiadomość musiała zatem pochodzić od osoby, ukrywającej się za Madeleine. Od osoby, która ją stworzyła. Od Użytkowniczki, wyposażonej w zdolność poruszania się bez ciała i śledzenia go, dokądkolwiek by się udał. Tylko ona wiedziała, gdzie może go znaleźć i tylko ona, dzwoniąc mogła wiedzieć, że nie ma go w mieszkaniu, więc najwyraźniej chciała zostawić wiadomość nagrałą na taśmie, a nie rozmawiać z nim bezpośrednio.

Przypomniawszy sobie słowa Lizzy, że Użytkowniczka jeszcze z nim nie skończyła. Nie dostała tego, czego chciała. Jeśli potrzebowała go przedtem, potrzebuje go i teraz. Tyle, że teraz nie będzie już motywowała go przy pomocy miłości.

Nie miał ochoty na wysłuchanie nagranej wiadomości. Ale wyciągnął rękę i nacisnął przycisk PLAY.

- Quentin Fears? Tu Ray Cryer. Bardzo się niepokojmy, gdyż nie widzieliśmy się z Madeleine, od czasu kiedy opuściła ją wczoraj. Zawiadomiliśmy już miejscową policję, która wszczęła poszukiwania, ale wydaje nam się, że ona może cię szukać, w związku z czym istnieje duże prawdopodobieństwo, że natkniesz się na nią pierwszy. O ile tak się stanie, będę zobowiązany, jeśli zadzwonisz. Jej mama, siostra i ja jesteśmy zrozpaczeni. Po prostu zrozpaczeni. Wiem, że byłeś bardzo wzburzony wczorajszego dnia, ale mimo to mam nadzieję, że pomożesz nam odnaleźć naszą córeczkę. Ktoś z miejscowej policji może zadzwonić do ciebie, żeby zadać ci kilka pytań. Mam nadzieję, że chętnie udzielisz im pomocy. Znasz też numer do nas. - W końcowych słowach dało się słyszeć z trudem powstrzymywane emocje.

Ray Cryer? Matka i siostra Madeleine? Mad nigdy o nich nie mówiła. Quentin z pewnością nie miał okazji spotkać żadnej z tych osób. Nie znał też ich numeru telefonu. Ale nie miał najmniejszych

wątpliwości, że ludzie ci zdołają w pełni przekonać policję. To właśnie była najmocniejsza strona Użytkowniczkę - każdego potrafiła przekonać.

Wnioski były jasne. Quentin powinien zrobić to, czego od niego chcieli - a raczej to, czego chciała Użytkowniczka - w przeciwnym bowiem razie policja będzie przetrząsać cały kraj w poszukiwaniu kobiety, której nie znajdą, ponieważ ona nigdy nie istniała. A kiedy okaże się, że nigdzie jej nie ma, Quentin znajdzie się w kłopotliwym położeniu. Rodzice dziewczyny twierdzą, że Quentin pokłócił się z ich córką. Następnie spakował się i zniknął, a oni od tamtego czasu nie widzieli dziewczyny. Dlaczego pan Fears wymknął się bez pożegnania? Gdzie jest Madeleine? Wysoki sędzie, nie trzeba wcale mieć ciała, żeby stwierdzić, że to jakaś brudna sprawa.

Nie. Proces o morderstwo nie wchodził w rachubę. Trzeba przecież przedstawić jakieś dowody. Zwykłe zniknięcie osoby nie wystarczyło. Ale to wcale nie musiało skłonić policji do porzucenia podejrzeń, że morderstwo faktycznie miało miejsce. Bez wątpienia będą deptać Quentinowi po piętach przez długie miesiące i lata, szukając Madeleine. Nie mówiąc już o rozgłosie. Zresztą nie trzeba będzie wielkiego rozgłosu. Wystarczy, że policyjni detektywi odwiedzą wszystkich jego partnerów i wszystkich ludzi polityki, których znał w każdym mieście, gdzie robił interesy... Madeleine poznała ich wszystkich, a jeśli Użytkowniczka zapomni o którymś z nich, zawsze może wnikać w umysł Quentina i wydostać z jego pamięci gotową listę. Nie miał przed nią żadnych tajemnic. Mgła podejrzeń wokół niego zacznie niebezpiecznie gęstnieć. Poza tym byli jeszcze rodzice. Na pewno przesłuchają jego rodziców.

“Znasz numer do nas”. Bez wątpienia te słowa Ray'a Cryera dotrą do policji. Nawet gdyby wykasował je ze swojej taśmy, z pewnością zostały nagrane po drugiej stronie linii i wtedy wszyscy będą się zastanawiać dlaczego on skasował swoje nagranie. A ponieważ nie znał żadnego numeru, jaki wybór mu pozostawał? Musiał wracać do stanu Nowy York, z powrotem do domu nad rzeką Hudson. Policja zapyta go o noc spędzoną w owym domu. Jeśli powie im, że nocował tam razem z Madeleine i jadł śniadanie w towarzystwie jej krewnych, wysłani do posiadłości funkcjonariusze zastaną ciemny, pozbawiony wody dom, a w nim jego ślady odbite w kurzu i łóżko, na którym spała tylko jedna osoba. Jeśli powie im, że dom był opuszczony i ciemny, policja bez wątpienia zastanie go czystym i zamieszkanym, zaś Ray Cryer wyrazi ogromne zaskoczenie na wieść, że Quentin może wygłaszać tak bezczelne kłamstwa.

Nie miał szans. Nie było przed nią żadnej ucieczki. Równie dobrze mógł się od razu poddać i następnego dnia rano zaraz po obudzeniu się ruszyć z powrotem tam, skąd właśnie wrócił. Albo natychmiast wezwać samochód i jechać całą noc, żeby...

Nie ma mowy. Tego właśnie chciała Użytkowniczka. Przypuszczał, że to ona mogła wkładać mu do głowy te myśli, by skłonić go do powrotu. Lizzy powiedziała mu, że jest mocny. Miał wystarczającą siłę by móc stawić jej opór. A Użytkowniczka też nie była wszechmocna, przynajmniej tak twierdziła Lizzy. Jednoczesne sprawowanie kontroli nad sześcioma nieboszczykami, podtrzymywanie iluzji Madeleine i ukazywanie mu nie istniejących służących, którzy wnosili wymyślone potrawy, przywiodło ją na skraj wyczerpania. Jednakże podczas śledztwa nie będzie musiała nawet w połowie tak się wysilać. Głęboka iluzja Madeleine w ogóle nie będzie potrzebna. Jeśli chodzi o Ray'a Cryera, to mógł on być rzeczywistą osobą, nie zaś tworem umysłu. Uczynienie z opuszczonego domostwa czystej i zamieszkannej rezydencji, to dla niej fraszka. Lecz czy potrafi stworzyć złudzenie

szczegółowych dowodów, które będzie można poddać analizie chemicznej? Iluzję plam krwi? Lub czegoś, co mogłoby przekonać sąd, że została popełniona zbrodnia? Być może... ale czy wie, czego dokładnie będą szukać laboratoryjni technicy? Czy stworzone przez nią iluzje uda się wywołać na zdjęciu? Czy też będzie musiała nieustannie czuwać przy fotografii, aby zagwarantować, że każdy, kto obejrzy odbitkę, zobaczy na nim to, co powinien zobaczyć? Jeśli wiedziała wystarczająco wiele i miała wystarczającą moc, by to wszystko zrealizować, wtedy jakikolwiek opór nie miał najmniejszego sensu.

Ale przecież nie była nieskończenie potężna. Istniały granice jej mocy. A on nie miał zamiaru padać i udawać martwego.

Była jedenasta w nocy. Zadzwoił do swoich rodziców w Kalifornii.

- Opuściła mnie - powiedział. To były jego pierwsze słowa.

- Niemożliwe - powiedziała Mama.

- Ach, Quen, strasznie mi przykro - odezwał się Tato. - Nigdy bym nie przypuszczał. Była taka... tak wspaniale do siebie pasowaliście.

- Nie wiem, gdzie jest. Nie powiedziała mi dokąd się udaje.

- Jak mogła zrobić coś takiego? - dziwiła się Mama. - Tak się nie robi. Uczciwi ludzie tak nie...

- A może jej rodzina wie, gdzie mogła zniknąć?

I wtedy Quentin zaczął tworzyć swoją wersję wydarzeń. Ponieważ nigdy nie poznał Ray'a Cryera, ani nawet o nim nie słyszał, nie miał zamiaru przystać na wersję Użytkowniczkę, według której obaj się znali.

- Nigdy nie poznałem jej rodziny. Zabrała mnie do pustego domu nad Hudson. -To było ryzykowne, wiedział o tym, ponieważ tamci powiedzieli policji, że Quentin spotkał się z rodzicami Madeleine. Ale jeśli poddano by go testowi na wykrywaczu kłamstw, zadając pytanie, czy spotkał rodziców Madeleine w jej rodzinnym domu, przeszedłby go bez trudu. -A dziś po południu opuściła mnie.

- Ale to strasznie dziwne - nie mogła uwierzyć Mama. -Przecież właśnie zabierała cię tam, żeby przedstawić rodzinie.

- Pokłóciliście się? - spytał Tato.

- Zadałem jej kilka pytań. Ona nie miała na nie odpowiedzi. Wiedziała, że nie jestem z tego zadowolony, ale nie, nie kłóciliśmy się.

- Wszystko będzie dobrze, synu, jestem o tym przekonana - powiedziała Mama. - Kiedy zda sobie sprawę, że naprawdę ją kochasz, niezależnie od tego, jak...

- Naprawdę bardzo ją kocham, Mamo.

- No właśnie. Na pewno wróci, Quen. Dlaczego miałaby nie wrócić? Pamiętam jak na siebie patrzyliście, to było takie cudowne, przecież wy jesteście tak w sobie zakochani, na litość boską!

- Tato, Mamo, wydaje mi się, że ona nie odeszła po prostu ot, tak sobie. Bardzo się o nią martwię.

- Dlaczego? - spytał Tato.

- Co będzie jeśli jej się coś stanie? Ona po prostu sobie wyszła. Nie wiem dokąd się udała. Nie widziałem jej na drodze, gdy szedłem piechotą do najbliższego miasta. Nie widziałem nawet jej śladów na śniegu.

Na drugim końcu linii zapadła głucha cisza.

- Quen, wiem, że to głupie, ale muszę cię o to spytać. Nie uderzyłeś jej, ani nie zrobiłeś jej nic złego, prawda?

Mama była wściekła.

- Jak możesz mu sugerować coś takiego!

- Uspokój się, Mamo, wszystko w porządku. Jeśli Madeleine nie znajdzie się w najbliższym czasie, policja zada mi takie pytanie i będzie to ich obowiązek. Tato, nigdy nawet nie podniosłem na nią ręki, ani nie skrzywdziłem jej w żaden inny sposób. Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, nic jej nie było i czuła się dobrze.

- Dlaczego w ogóle policja ma się tym interesować? - dziwiła się Mama. - Nie pierwszy raz żona porzuca męża.

- Nigdy nie miałem okazji poznać jej rodziców, ale nagle, ni stąd ni zowąd, zadzwonił do mnie mężczyzna, który twierdzi, że jest jej ojcem i najprawdopodobniej rzeczywiście nim jest. Ale kłamie sugerując, że byliśmy sobie przedstawieni, gdyż to w ogóle nie miało miejsca. On także powiadomił policję, która obecnie szuka jej i na pewno będą mnie przesłuchiwać.

- To wszystko jest takie dziwne - powiedziała Mama. - Oczekiwałam raczej telefonu z wieścią, że spodziewacie się dziecka, a nie, że będziesz przesłuchiwany przez policję.

- Nigdy nie widziałeś się z jej rodzicami - rozważał Tato - a teraz nagle jej ojciec dzwoni do ciebie mówiąc, że policja wszczęła poszukiwania. Quentin, czy nie myślisz, że to może być jakiś szantaż, który Madeleine planowała od samego początku? Ty zapłacisz, a wtedy ona się pojawi i wszystkie poszukiwania nagle okażą się niepotrzebne.

- Nie wiem. Na razie nikt nie żądał ode mnie pieniędzy. Cała sprawa jest niezrozumiała i nie mam pojęcia o co tu naprawdę chodzi. Ale chciałem żebyście o wszystkim dowiedzieli się pierwsi ode mnie, na wypadek gdyby ktoś miał się z wami kontaktować lub przesłuchiwać was.

- To bardzo mądrze z twojej strony, synu.

- A co powinniśmy mówić? - spytała Mama.

- Całą prawdę, Mamo. Nie zrobiłem nic złego i nie mam nic do ukrycia.

- Quentin, tak mi przykro, że to cię spotkało - powiedział Tato. - Jeśli jest to dla ciebie jakieś pocieszenie, oboje z Mamą uważaliśmy twoją żonę za wspaniałą osobę.

- Tak, każdy z nas szuka sobie idealnej kobiety, prawda tato? Różnica polega na tym, że ideał, który ty sobie wybrałeś, jest prawdziwy.

- Och, Quen - zachnęła się Mama.

- Posłuchajcie. Istnieje możliwość, że sprawą zajmie się prasa. Jeśli tak się stanie, na pewno będą się starali przedstawić mnie jako winnego straszliwej zbrodni, bo coś takiego od razu podnosi sprzedaż. Wiecie, nagłówki w stylu "Zaginęła żona komputerowego milionera. Mąż nie jest w stanie wyjaśnić zniknięcia małżonki". Jeśli to jakiś spisek, o czym jestem przekonany, możecie być pewni, że wkrótce znajdą się dowody przeczące temu, co wam powiedziałem. Niezależnie od tego, co będzie się mówić, jednej rzeczy możecie być pewni: nie zrobiłem żadnej krzywdy Madeleine i gdybym mógł mieć ją teraz przy sobie, całą i zdrową, byłbym najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. - I wtedy, ponieważ to, co powiedział było prawdą, a także ponieważ był zmęczony i jeszcze nie miał czasu opłakać utraty żony, zaszlochał gwałtownie i łkał przez chwilę w słuchawkę, czego rodzice słuchali, wierząc mu w pełni i starając się go pocieszyć.

Dlaczego zresztą mieliby mu nie uwierzyć. Wszystko co powiedział było prawdą. A powiedział im wszystko, w co każdy był w stanie uwierzyć.

Potem, fizycznie i emocjonalnie wyczerpany, zapadł w sen przed telewizorem, zanim Letterman doszedł do listy przebojów.

Następnego dnia zadzwonił do swojego adwokata w Wirginii i zapytał w jaki sposób zgłasza się zaginięcie osoby. Wyjaśnił, że żona opuściła go w stanie Nowy Jork, on zaś przyjechał do Herndon, zakładając, że zapewne wróci do którejś z ich rezydencji, ale obecnie w żadnej z nich telefony nie odpowiadały, więc zanim jej nie zlokalizuje, musi przyjąć, że mogło coś się zdarzyć, a tymczasem chciał żeby policja na wszelki wypadek wszczęła poszukiwania... czy nie tak właśnie należało postąpić? Jego adwokat zapewnił go, że owszem, zdecydowanie tak właśnie należało postąpić.

A więc postąpił jak należało, ale policja nie uznała tego za sprawę wielkiej wagi.

- Na pewno wkrótce się pojawi, panie Fears. Niech pan jej da czas, aby mogła trochę ochłonąć.

- Jestem przekonany, że ma pan rację - odpowiedział. - Ale czy mógłby pan zarejestrować moje zgłoszenie? Proszę, niech pan zadzwoni do tamtejszej policji i poprosi ich, żeby jednak rozejrzeli się w okolicy. - Zapewniono go, że jego prośba zostanie spełniona. Wiedział, że policja stanu Nowy Jork potraktuje jego nagłe zabiegi o wszczęcie poszukiwań, jako reakcję na telefon od Ray'a Cryera, ale gdyby w ogóle nie zgłosił, mogło to wyglądać jeszcze gorzej.

Tego samego popołudnia wszedł na pokład samolotu lecącego do San Francisco i wieczorem był w biurze swojego adwokata.

- Właśnie zrezygnowałem z kolacji w mojej ulubionej restauracji w San Rafael, żeby przyjechać do centrum i wiedz, że robię to tylko dla ciebie.

- Powinieneś być mi powiedzieć - odparł Quentin. - Dołączyłbym tam do ciebie.

- Wcale nie chciałem żebyś przychodził - powiedział Wayne Read. - Chciałem spędzić wieczór z moją żoną. Małżeństwo ze mną nie byłoby łatwe dla żadnej kobiety, a dla mojej żony jest to wyjątkowo ciężkie przeżycie. Pamiętaj więc, że ta wizyta sporo mnie kosztuje.

- Madeleine mnie opuściła.

- O! - Przez chwilę Wayne wyglądał jak skamieniały. Następnie położył głowę na blacie biurka. - Naprawdę staram się powstrzymać, Quentin.

- Dalej, powiedz co masz do powiedzenia. Wcześniej też mnie nie oszczędzałeś.

- Quentin, wcale się nie cieszę, że miałem rację. Wolałbym, żebyś ty miał rację.

- Rozumiem, ale ona zniknęła. A ja potrzebuję twojej pomocy.

- Przypuszczam, że ona także ma swojego adwokata. Czy wiesz już kto nim jest? Rozwody to nie moja specjalność i...

- Wayne, nic nie rozumiesz. Ona zniknęła. Nie tylko z mojego życia, ona zniknęła w ogóle. Zameldowałem o jej zaginięciu w Wirginii. Dostałem telefonicznie wiadomość od mężczyzny, który twierdzi, że jest jej ojcem. Z wiadomości wynikało, że jej rodzina również poprosiła policję o wszczęcie poszukiwań.

Wayne zmienił się na twarzy. Stał się bardziej poważny. A także nieco podejrzliwy, aczkolwiek starał się to ukryć. Quentin nie miał do niego pretensji.

Opowiedział Readowi historię, którą wcześniej przedstawił swoim rodzicom.

- Ktoś musiał ją widzieć, jak opuszczała dom. Na pewno gdzieś się w końcu pojawi.

- Wątpię.

- Dlaczego? - znów podejrzliwy ton.

- Ponieważ nigdy w życiu nie widziałem na oczy tego Ray'a Cryera, natomiast on nagrał mi się na sekretarkę, sugerując, że się znamy. Znał kod, który pozwolił mu na wyłączenie zbiorczego automatu odbierającego, i zostawienie mi nagranej wiadomości na aparacie w Herndon, a tylko Madeleine знаła odpowiednie kody. Oczywiście, oprócz ciebie i moich rodziców.

- A więc nie zginęła.

- Powiedzmy, że ten facet, który przedstawia się jako Ray Cryer wie znacznie więcej o jej zniknięciu niż ja?

- Więc odnajdźmy ją - powiedział Wayne. - Jeśli wynajmiemy detektywów i policja ruszy do pracy, wcześniej czy później natrafimy na jej ślad.

- To się nie uda. Nikt nigdy jej nie znajdzie.

Wayne zamyślił się przez chwilę, postukując ołówkiem o blat stołu.

- Quentin, czy ty mówisz mi prawdę?

- Wszystko, co ci powiedziałem to prawda.

- Wcale nie o to pytałem - rzekł Wayne, a widząc, że Quentin ma zamiar coś odpowiedzieć, zatrzymał go unosząc dłoń do góry. - Chwileczkę. Nie złość się na mnie, ale muszę ci to powiedzieć. Jeśli popełniłeś jakąś zbrodnię i chciałbyś, abym w jakikolwiek sposób był zaangażowany w twoją obronę, nie mów mi co zrobiłeś. Jeśli przyznasz się przede mną do popełnienia przestępstwa, będę mógł jedynie poradzić ci, abyś udał się na policję i wyznał całą prawdę, ja zaś nie podejmę się obrony. Czy mnie zrozumiałeś?

- Daj spokój, Wayne - powiedział Quentin. - Nie zabiłem jej. O ile wiem, jest równie żywa jak przedtem.

Wayne rozluźnił się nieco.

- I chciałbym, abyś wszczął poszukiwania. Ale to nie będzie żadne małe dochodzonko. Powinno objąć wszystkie miasta, gdzie mam swoje rezydencje, a jak wiesz, lista jest długa... Tym niemniej, ona mogła udać się do któregoś z tych miejsc, ja zaś muszę przynajmniej stworzyć pozory szeroko zakrojonych poszukiwań.

- Stworzyć pozory?

- Powiedziałem ci już. Na pewno jej nie znajdziemy. Wayne pokręcił głową.

- Naprawdę nienawidzę paradoksów, Quentin. Powiedz jasno: wiesz gdzie ona jest, czy nie?

- Wiem, że nigdzie jej nie ma.

- Jeśli jest pochowana w piwnicy tamtego domu, Quentin, policja na pewno ją znajdzie.

- Ona nie jest nigdzie pochowana, ponieważ nie umarła, ani nie zginęła. Nie ma jej także wśród żywych. Ona nigdy nie istniała.

- Cóż to musiał być za ślub!

- Celem prawdziwych poszukiwań będzie ustalenie jej tożsamości, Wayne. Chcę móc udowodnić, że w żadnym z pięćdziesięciu stanów nie wystawiono świadectwa urodzenia Madeleine Cryer. Że osoba o tym imieniu i nazwisku nigdy i nigdzie nie chodziła do szkoły i nie wykonywała żadnej pracy. Pozostałe nasze działania mają na celu wykazanie, że jestem zrozpaczonego mężem, pragnącym odnaleźć zaginioną żonę. Ale mój adwokat powinien wiedzieć, że tak naprawdę interesuje mnie ustalenie tożsamości osoby, która mnie oszukała. Lub kogoś, kto może coś o niej wiedzieć.

- To zaczyna być interesujące. Zastanawiam się od czego nasi ludzie mieliby zacząć.

- Nie ma od czego zaczynać, Wayne. Jak przewidziałeś, wyszedłem na głupca. Przez cały czas naszego narzeczeństwa, jeszcze w Wirginii, ona zawsze twierdziła, że przemieszkuję kątem u przyjaciółek, że przenosi się z domu do domu. Zawsze dzwoniłem do niej na komórkę. Nigdy nie podała mi numeru telefonu do którejś ze swych przyjaciółek. Nigdy żadnej nie poznałem. Mówiła, że pracuje w jakimś urzędzie, ale nie mam pojęcia, jaki to był urząd i szczerze mówiąc, nie wierzę, że kiedykolwiek miała taką pracę, aczkolwiek, rzecz jasna, zapłacę za przeszukanie federalnych akt personalnych, żeby ustalić czy na pewno nie pracowała w jakimś biurze.

- A co z tym Ray'em Cryerem?

- Kimkolwiek on jest, wątpię żeby mógł nam w czymkolwiek pomóc... jeśli w ogóle zechce rozmawiać z naszymi ludźmi.

- Ale możemy zdobyć informację o nim samym - powiedział Wayne. - Albo on rzeczywiście jest ojcem twojej żony, albo udaje, w każdym bądź razie, sprawdzenie go może nas naprowadzić na jakiś trop.

- Pozostaje jeszcze dom, Wayne. Wszystkie księgi i akty. Trzeba sprawdzić właścicieli w poprzednich pokoleniach. Ona zna ten dom. To nie było żadne oszustwo. Znakomicie się w nim orientuje, nawet w ciemności. Jest z nim w jakiś sposób związana.

- Zrobimy to, Quentin. Chyba nie będziesz miał nic przeciwko temu, że wykreślę jej dane z twoich polis i testamentu?

- Sporządź odpowiednie papiery, a ja je podpiszę.

- Policja będzie cię podejrzewać.

- Jasne, że będzie. Ty też mnie podejrzewasz, a ja w końcu nieźle ci płacę za słuchanie twoich mądrych i nader osobistych rad. Pomyśl tylko o ile mniej oni będą mi wierzyć, że opowiadam im całą prawdę.

- Bo mnie, rzecz jasna, mówisz całą prawdę - ironia w jego głosie była aż nadto wyraźna.

- Powiedziałem ci to, co zamierzam powiedzieć policji. To samo powiedziałem moim rodzicom i to samo zamierzam powiedzieć komukolwiek innemu, a wszystko, co powiedziałem jest prawdą.

- Istnieją jednak jakieś fragmenty, które zostały wyłączone z owej opowieści, prawda?

- Być może.
- Czy masz zamiar mi je przedstawić?
- Chciałbym. O ile starczy mi odwagi.
- Przywilej nieujawniania spraw klienta, przysługujący każdemu adwokatowi obejmuje wszystko, co mi powiesz. Ostrzegłem cię już wcześniej przed ujawnianiem mi popełnionego przestępstwa. Pamiętaj, że mówiłem serio.
- A co będzie jeśli to, co ci powiem, przekona cię, że postradałem zmysły?
- Już dawno utwierdziłeś mnie w takim przekonaniu.
- Ja nie żartuję, Wayne. Sam miałem wątpliwości, co do stanu mojego zdrowia psychicznego i jeśli ty nie jesteś szaleńcem, również będziesz je miał.
- Szaleńcy mają takie samo prawo do posiadania swojego adwokata, jak ludzie zdrowi na umyśle.
- Ale co będzie, jeśli uznasz, że w moim najlepiej pojętym interesie będzie udanie się do szpitala psychiatrycznego? Ubezwłasnowolnienie mnie.
- Nie mam żadnej możliwości by to przeprowadzić - powiedział Wayne. - Twoi rodzice mogliby spróbować. Albo żona. Albo dzieci, gdybyś takowe posiadał. Ewentualni spadkobiercy.
- A członkowie rodziny żony?
- Obecnie najwyraźniej zajęci są wykręcaniem ci zupełnie innego numeru - powiedział Wayne. - Chodzi mi o to, że adwokat nie może na własną rękę wykorzystać swojego klienta. Gdybym tylko spróbował, natychmiast wykluczyliby mnie z adwokatury. Moja praca polega na powstrzymaniu wszystkich tych, którzy czyhają na ciebie.
- Ale jeśli... jeśli mi nie uwierzysz, czy wciąż będziesz pracował dla mnie z równym poświęceniem, jak przedtem? Czy może zaczniesz powierzać moje sprawy swoim pomagierom, aż wreszcie oddasz mnie innemu prawnikowi?
- Quentin, stajesz się nieznośny. Czy masz zamiar mi powiedzieć, że twoją żonę uprowadziło UFO?
- Wolałbym żeby tak było. - Wziął głęboki oddech. - Wyjmij magnetofon.
- Ja wszystko zapamiętam.
- Chcę to mieć nagrane.
- Quentinie, przywilej nieujawniania spraw klienta, przysługujący adwokatowi chroni cię tylko w sądzie, ale nie chroni cię przed publicznymi atakami na twoją reputację. Oczywiście, mogę zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby zapewnić jak najlepszą ochronę informacjom, które nagrasz na

taśmie, ale najlepszą ochronę zapewnisz im nie nagrywając żadnej taśmy.

- Nagrywaj.

- Sam tego chcesz. - Kręcąc głową, Wayne wyjął swój magnetofon. A Quentin opowiedział mu wszystko, zaczynając od tej chwili, kiedy zobaczył kobietę, która wyglądała jak Lizzy w sklepie spożywczym sieci Giant na Eiden Street w Herndon. Od tamtego przywidzenia przeszedł od razu do wydarzeń w domu rodzinnym Madeleine. Opowiedział o kanapkach zjedzonych o północy. O tym, jak rano Mad wyperswadowała mu pomysł wzięcia prysznicu. O przysmakach, jakie podano na śniadanie. O pozostałych ludziach przy stole. O spacerze wzdłuż skarpy. A potem o szkatułce z tajemniczym skarbem, o Babci która poleciła mu by ją odnalazł i o ucieczce Madeleine na cmentarz. O tym, że na śniegu były odbite tylko ślady jego stóp i niczyich innych. O napisach nagrobnych. O ciemnym, zimnym i opustoszałym domu, zakurzonym i brudnym, o łóżku, w którym spał tylko on sam, o komodzie, w której znalazł tylko swoje ubrania. O słowach ukazujących się na drzwiach. O gadającym szczurze. A potem o tym, jak jego nieżyjąca siostra wróciła do niego, żeby wyjaśnić mu wszystko, co zrozumiała z tych wydarzeń. O długim marszu piechotą, z powrotem do cywilizacji.

Opowiedział szybko jednym ciągiem, nie mogąc uwierzyć, że to wszystko zdarzyło się naprawdę.

Wayne Read wyłączył magnetofon, kiwając głową.

- Zatrzymam tę taśmę, Quentinie. Schowam ją w moim sejfie. Nie będę jej dawał sekretarce do przepisania.

- W porządku.

- Jednego tylko nie rozumiem. Dlaczego opowiedziałeś mi tę całą... historię.

- Może po prostu musiałem ją komuś opowiedzieć.

- To do ciebie niepodobne, Quentin. Ty nie należysz do ludzi, którzy lubią się zwierzać i dzielić z innymi swoimi problemami.

- Być może boje się, że w całej tej awanturze mogę stracić życie. Gdyby tak się stało, chciałbym, aby ktoś wiedział dlaczego.

- I tym kimś mam być właśnie ja? Twój bardzo bliski, stary przyjaciel, oddany na całe życie?

Wayne miał rację. To nie dla niego opowiedział całą tę historię. Zastanowił się przez chwilę.

- Jeśli zginę, Wayne, chcę żebyś odtworzył tę taśmę moim rodzicom.

- Daj spokój, Quentin.

- Chcę, żeby o wszystkim wiedzieli.

- Quentin, fakt że powierzyłeś ten sekret właśnie mnie, to jedna sprawa, ale opowiadanie twoim

starym o powrocie Lizzy... przecież to tylko przysporzy im bólu.

Quentin nachylił się nad blatem biurka.

- Oddaj mi taśmę, a znajdę sobie innego adwokata.

- Nie mówiłem przecież, że tego nie zrobię. Po prostu dałem ci najlepszą radę na jaką mnie stać. Od dawna przyzwyczailem się już do tego, że mnie ignorujesz. Ale z ciebie jest naprawdę niezły czubek.

- Wielkie dzięki.

- Jeśli nie jesteś świrem, to musisz być najgłupszym oszustem jakiego kiedykolwiek miałem okazję poznać. Nieboszczycy, szwendający się tu i tam, w oczekiwaniu aż ktoś wezwie ich do siebie? I to w jakim celu? Na śniadanie.

- Musisz przyznać, że nie brakuje mi inwencji.

- Najgorsze jest to, że nijak nie będę mógł wytłumaczyć się żonie. Jeśli usłyszy te banialuki, od razu nabierze pewności, że mam romans i nawet nie zadaję sobie trudu, żeby wymyślić jakieś wiarygodne kłamstwo na usprawiedliwienie.

- A masz romans?

Wayne westchnął i na chwilę odwrócił wzrok.

- Ja nie, ale ona ma.

- Żartujesz?

- Kiedy zaczęła mnie podejrzewać - wyjaśnił ponuro Wayne - zdałem sobie sprawę, że coś się między nami zmieniło i na pewno nie z mojego powodu, bo ja zachowywałem się tak samo jak zawsze. A więc kazałem ją śledzić przez kilka tygodni. Okazało się że obdarza, nazwijmy to - względami, przygodnych chłopaków na parkingach przydrożnych barów.

- I wciąż oskarża ciebie, że to ty romansujesz?

- Quentin, wszyscy ludzie to wariaci. Właśnie dlatego ci to powiedziałem. Żebyś zrozumiał, że wiem, do jakich szalonych rzeczy zdolni są ludzie. Ale na ogół robią to wszystko w rzeczywistym świecie. Chłopaki, z którymi widuje się moja żona, to faceci w typie kowbojów. Chodzi tylko do kowbojskich barów. W Marin County, w San Rafael mamy trójkę dzieciaków, a ona obciąża tym byczkom druty, na parkingu, w zamian za fajkę. Czy nie jest to większe szaleństwo, niż cała ta straszliwa historia, którą chcesz abym odtworzył twoim staruszkom, gdybyś nagle się przekreślił. Kiedyś wydawałeś mi się jedyną wyspą rozsądku na tym pokreconym świecie. Nie byłeś z nikim związany, jeśli nie liczyć własnych rodziców. W nic się emocjonalnie nie angażowałeś. Dzięki racjonalnym decyzjom, co trzy lata udawało ci się podwajać fortunę. Żadnego marnotrawstwa. Żadnych kłamstw. Żadnych złudzeń. I teraz, kiedy nagle zakochujesz się w kobiecie, ona cię rzuca, a ty przychodzisz do mnie z tą historyjką, to przysięgam ci, Quentin, runęła cała moja wiara w pomyślność ludzkiej rasy. Mam tylko

jedno małe pytanko. Czy istnieje jakiś sposób, żeby to moja żona zniknęła z powierzchni ziemi? Nie, nie, nie to chciałem powiedzieć.

- Nie wiem, czy to właśnie chciałeś powiedzieć, Wayne, ale przynajmniej przypomniałeś mi, że nie jestem jedynym człowiekiem na ziemi, który ma kłopoty.

- Nie to miałem na myśli. Zresztą, nie wiem co miałem na myśli. Właściwie, chyba nic nie miałem na myśli. Przypuszczam, że ja po prostu należę do tego rodzaju ludzi, którzy lubią się zwierzać.

- Dlaczego się nie rozwiedziesz?

- Ponieważ wciąż jest dobrą matką, kiedy jest w domu. A ja kocham moje dzieci. I kocham moją żonę. Albo przynajmniej kocham ją taką, jaką wyobrażałem sobie, że jest.

- A ja kocham Madeleinie taką, jaką ją wyobrażałem sobie, że jest.

- Tak, ale przynajmniej twoja żona nigdy nie istniała. - Wayne zaśmiał się, ale śmiech uwiązł mu w gardle. - Dlaczego nie jesteśmy pijakami, Quentinie? Faceci, którzy piją, mogą przynajmniej w takiej chwili pójść do baru.

- A może lodziarnia Swensena jest jeszcze czynna? Moglibyśmy zamówić sobie po sto gałek, a potem rzygać na ulicy.

- Mielibyśmy przynajmniej połowę frajdy, jaką daje dobra popijawa.

Quentin podniósł się z miejsca.

- Przepraszam, że przeze mnie przepadła ci kolacja z żoną.

- No cóż, najprawdopodobniej wbiłbym jej widelec w oko, tak więc można powiedzieć, że uratowałeś mnie od rozprawy o poważne uszkodzenie ciała.

- Mam nadzieję, że nie zdarzy się nic na tyle dziwaczne, co by sprawiło, że mi uwierzysz.

- Też mam taką nadzieję. Ale wciąż cię lubię i zależy mi na tobie, a poza tym jestem najlepszym adwokatem na jakiego możesz sobie pozwolić, zwłaszcza teraz, kiedy jesteś kompletnym świrem.

- Dzięki, Wayne.

- Przyjdź jutro po drugiej, żeby podpisać dokument, który usunie twoją żonę z testamentu i z polis. Ale na lody będziesz musiał pójść sam.

I było po wszystkim. Ktoś inny znał już prawdę - ktoś żywy - nawet jeśli w nią nie wierzył. Teraz należało jedynie czekać. Czekać na rezultaty prywatnego śledztwa, aby sprawdzić, do jakich odkryć ono doprowadzi. Czekać, aż policja zacznie go podejrzewać. Kłopot polegał na tym, że wszystko mogło się skończyć na zgromadzeniu jedynie negatywnych dowodów - nikt jej nie znał, nikt jej nie widział. Ale liczył się papierowy trop. Użytkowniczką nie mogła zmienić śladów, pozostawionych w

papierach. Przynajmniej tak sądził. Umiała stwarzać iluzję, zmuszać ludzi, by robili to co chciała. Ale jak dotąd nie zdarzyło jej się dokonać zmian w rzeczywistym świecie. Jeśli chciała, żeby dom wyglądał na wysprzątany, mogła otumanić ludzi. Jeśli chciała, żeby dom rzeczywiście był wysprzątany, potrzebowała kogoś z miotłą. To samo dotyczyło dokumentów i rejestrów. Fałszowanie rzeczywistości nie jest rzeczą łatwą. To był dobry haczyk na tego Ray'a Cryera. Quentin wiedział, że jeśli poświęci na to odpowiednią ilość pieniędzy, być może w końcu uda mu się dowieść, że Madeleine Cryer nigdy się nie urodziła.

Nie oznaczało to, rzecz jasna, że Użytkowniczka uzna się za pokonaną. Jeśli jedna próba się nie powiodła, na pewno przystąpi do następnej, na tyle zdążył ją poznać. Z jakiegoś powodu ona go potrzebowała. Nawet bardzo. A dopóki go potrzebowała, będzie go nawiedzać, zaś on nigdy nie będzie wiedział, że to ona. Nie mógł już ufać nikomu.

To właśnie było najgorsze. Wiedział, że Użytkowniczka może przyjść do niego, kiedy tylko będzie chciała, pod dowolną postacią. Nigdy nie będzie pewny co ma, a co nie ma żadnego związku z Użytkowniczka. W końcu wcześniej nie dostrzegł żadnych związków pomiędzy kolejnymi widzeniami Lizzy, a spotkaniem z Madeleine na przyjęciu u *grande dame*. Przez resztę swojego życia musi zastanawiać się, czy za każdą osobą, którą napotka, nie kryje się czasem znieawidzona Użytkowniczka, wciąż ponawiając próby przejęcia pełnej nad nim kontroli.

Nie wydostanie się z tej matni, dopóki nie znajdzie Użytkowniczki i nie stawi jej czoła. Poprzedniej nocy, nie mogąc opanować gniewu, wyobrażał sobie, jak znajduje śmiertelne ciało Użytkowniczki i wygarnia do niej z czterdziestkipiątki. Czy teraz, w świetle dnia, rzeczywiście czuł się zdolny do dokonania podobnego czynu? Czy w głębi duszy był mordercą, czekającym jedynie na właściwy bodziec? Zadrżał na samą myśl. Musi być jakiś sposób na pokonanie jej bez zabijania. Na wyrugowanie tej zmory z jego życia.

Oczywiście, najprostszym sposobem byłoby pojechać z powrotem do tamtego domu i otworzyć tę cholerną szkatułkę.

Tyle że nie miał ochoty. Ponieważ właśnie tego Użytkowniczka pragnęła najbardziej. Nieważne, jaki skarb krył się w skrzynce, na pewno oddanie go Użytkowniczce musiało się źle skończyć. Ponieważ Użytkowniczka uwielbiała władzę. Pamiętne słowa Madeleine, tamte niepokojące go słowa... na pewno wyrażały one poglądy samej Użytkowniczki. To nie mógł być nikt inny. Takich poglądów na pewno nie mogła znaleźć u Lizzy, ani w obrazie idealnej kobiety, jaki Quentin nosił w myślach. To była Użytkowniczka, wyjawiająca prawdę o sobie. O swojej miłości do władzy. Cokolwiek znajdowało się w szkatułce, musiało mieć jakiś związek z władzą, a jeśli w całej historii było coś pewnego, to fakt, że Użytkowniczka pod żadnym pozorem nie powinna zdobyć większej władzy.

Władza. Madeleine mówiła mu, że mieszkała w Waszyngtonie, aby znajdować się w pobliżu ośrodków władzy, aby móc wywierać jakiś wpływ. Czy to choć w części była prawda?

Użytkowniczka musiała gdzieś go zauważyć, a przecież dopiero po przeprowadzce do DC zaczął mieć przywidzenia: najpierw była to Lizzy, potem Madeleine. Użytkowniczka mogła dorastać w dolinie rzeki Hudson, ale jej dom był opuszczony od wielu lat. Musiała gdzieś mieszkać, i myśl, że mogły to być właśnie okolice Waszyngtonu, wydawała się całkiem sensowna. A jeśli tam mieszkała, to ktoś ją musiał znać.

Nagle wszystko zaczęło mu się łączyć w spójną całość. Przypomniał sobie przyjęcie u *grande dame*, gdzie poznał Madeleine. Był więc ktoś, kto znał Madeleine, zanim się spotkali.

Nie miał zamiaru posyłać do *grande dame* żadnego z wynajętych detektywów. Był jej winien więcej szacunku. Pójdzie do niej i porozmawia z nią osobiście.

WSPOMNIENIA

- Pamiętam pana? Czyżby? - Była równie uprzejma, jak przedtem, a na jej twarzy nie dostrzegł zmieszania, które wyczuł w głosie.
- Okazała mi pani wielką uprzejmość na pewnym wieczornym przyjęciu - powiedział Quentin. - Prawdę powiedziawszy, przedstawiła mnie pani mojej żonie.
- Zaiste, byłaby to z mojej strony wielka niezręczność, przedstawić sobie męża i żonę.
- Nie, nie, ona jeszcze wtedy nie była moją żoną, myśmy...
- Oczywiście, panie Fears, żartowałam. Jestem już, co prawda, dość stara, ale wciąż jeszcze rozumiem wszelkie zawiłości zwyczajowej konwersacji. Rozmawiałam z panem przez chwilę, prawda? Strasznie się rozgadałam, ale pan wykazał wiele cierpliwości.
- Podczas rozmowy z panią, z radością skonstatowałem, że nie na darmo przerobiłem wszystkie powieści Jane Austen, z biblioteczki mojej siostry.
- To wszystko historie z czasów króla Jerzego, a wtedy mnie jeszcze nie było na świecie, panie Fears.
- Konwersując z panią odniosłem wręcz przeciwne wrażenie. Takiemu wyrostkowi z Kalifornii, jak ja, trudno jest dotrzymać pani kroku.
- Teraz sobie pana przypominam. Złapałam pana na szperaniu w bibliotece.
- Mnie się wydawało, że przyglądam jej się okiem konesera.
- W każdym razie wspinał się pan na drabinkę. Czy przyszedł mi pan podziękować za to, że przedstawiłam pana pannie... jakżeż nazywała się tamta młoda dama? W każdym razie na pewno nie Duncan.

Dlaczego nie Duncan?

- Nazywała się Madeleine Cryer.

- No właśnie. Siostrzenica.

- Siostrzenica?

- Oczywiście, dla pana jest to pańska żona, ale dla mnie jest siostrzenicą moich dobrych przyjaciół o nazwisku Duncan. Przez ostatnie lata, od śmierci mojego męża, zawsze okazywali mi wiele serdeczności.

- Dlatego zaprosiła pani ich siostrzenicę na przyjęcie?

- Jak mogłabym jej nie zaprosić? To taka cudowna dziewczyna. W niczym niepodobna do raczej nieudanej córki Duncanów. Och, ale chyba zaczynam plotkować.

- Jak mówiła Margaret Truman? Jeśli nie potrafisz powiedzieć nic miłego, to usiądź przy mnie, czyż nie tak?

- To na pewno nie są słowa Margaret, drogi chłopcze. Ale tego rodzaju dykteryjki mają brzydką właściwość, że przyczepiają się do osób, które mają nieszczęście często spotykać się z dziennikarzami. Rzecz jasna, nikt tych pismaków nie zaprasza na prawdziwe przyjęcia. Dlatego też nie mają sposobności spotkać naprawdę wartościowych ludzi.

- Chyba nie powie mi pani, że to pani wymyśliła tę...

- Jak myślisz, młody człowieku, ile ja mam lat! - zawołała z udawanym przerażeniem. - Ta historia miała już długą brodę zanim Margaret Truman przyszła na świat. Moja prababka wspomina w swoim dzienniku, jak słyszała, że owe słowa przypisywano żonie Jamesa Buchanana.

- Tego, który był prezydentem tuż przed Lincolnem, prawda?

- Znakomicie! Z taką wiedzą kwalifikuje się pan do pierwszej setki najinteligentniejszych ludzi z pańskiego pokolenia.

- Czy awansuję do pierwszej dziesiątki, jeśli dodam, że Buchanan był kawalerem?

Jego rozmówczyni, aż klasnęła w dłonie z uciechy.

- Jest pan wspaniały, panie Fears! Z nabierania innych nie ma żadnej frajdy, jeśli ci nie zdają sobie nawet sprawy, z tego, że się ich nabiera.

- A Duncanowie należą do tych, co zdają sobie sprawę? Spojrzała na niego ostro.

- A więc przyszliśmy na połów. Ale myślę, że chodzi panu o coś znacznie więcej, lub znacznie mniej, niż zwykłe plotkowanie.

- Znacznie więcej, jak mniemam. Moja żona mnie opuściła.

- Najwyraźniej zrobiła to bez czeku na odpowiednią sumę. Więc kiedy wróci z żądaniami...
- Będę jej oczekiwał, jeśli tylko zdecyduje się wrócić. Odejście było nagłe. Nie wiem, gdzie się obecnie znajduje.
- Czyżby uciekł się pan wobec niej do przemocy, młody człowieku?
- Brzydzą się przemocą - oświadczył Quentin. - Ale doceniam pani troskę o jej bezpieczeństwo.
- Na nieszczęście mężczyźni nie mają etykietek, wyraźnie odróżniających tych, którzy gotowi są skrzywdzić kobietę od niezawodnych dżentelmenów.
- A więc niech mi pani nic nie mówi, a jedynie pozwole mi przesłać krótką pisemną wiadomość dla Madeleine, na ręce Duncanów, za pośrednictwem...
- Za moim pośrednictwem.
- Aczkolwiek przez wiele rąk przejdzie ta wiadomość, ufam że zachowa wystarczającą moc, by trafić do jej serca.
- Przy wszystkich moich lekturach, nie jestem w stanie rozpoznać, gdzie słyszałam tak piękne słowa.
- Usłyszała je pani ode mnie.
- Sam pan to wymyślił? No proszę, umarła sztuka odżywa na mych oczach.
- Ta sztuka nie może zginąć, dopóki ty żyjesz na tym świecie. To w tobie rzeka czasu wyszła z brzegów i ruszyła w innym kierunku, niż cały świat.
- Ale tego to już pan sam nie wymyślił.
- Styczniowy *Atlantic* *.
- Artykuł o Madagaskarze - zaśmiała się. - Och, panie Fears, ależ z pana kawalarz.
- Madeleine i ja czytaliśmy ten numer podczas naszej ostatniej podróży samolotem.

Na jej twarzy pojawił się wyraz powagi.

- Radość, jakiej dostarcza mi przebywanie w pańskim towarzystwie, sprawiła iż zapomniałam o celu pańskiej wizyty. Niechże pan przekaże mi ową wiadomość.

Poklepał się po kieszeniach w poszukiwaniu pióra.

- Obawiam się, że przybyłem tu nieuzbrojony.
- Więc musi pan podnieść się i znaleźć odpowiednią dla pana broń na moim sekretarzyku. Zapewne

będzie pan wolał wybrać któryś z arkuszy, znajdujących się pod spodem, w ten sposób pańska notka nie będzie zaopatrzona w mój monogram.

Quentin podszedł do sekretarzyka, wybrał papier, pióro i napisał:

Droga M

Kocham cię i tęsknię za tobą. Proszę cię, utwierdź mnie w przekonaniu, że czujesz się dobrze. Chciałbym usłyszeć od ciebie, że nasza przyszłość wciąż jest skarbem ukrytym w szkatułce, którą razem możemy otworzyć.

Całuję Cię

Q

Jako że Quentin nie miał najmniejszego pojęcia na czym zależało Użytkownicze, nie był pewny czy wiadomość ta, nawet jeśli do niej dotrze, przyniesie jakikolwiek skutek. Ale jeśli celem Użytkowniczkę rzeczywiście było otwarcie szkatułki, liścik ten każe jej się zastanowić nad tym, ile naprawdę Quentin zrozumiał z tego, co wydarzyło się w domu nad rzeką Hudson. Quentin wolał, żeby myślała, iż zrozumiał mniej niż w rzeczywistości. A ponieważ i tak rozumiał niewiele, nie będzie trudno przekonać ją, że nie rozumiał absolutnie nic.

Nie wiedział tylko, w jaki sposób zdoła powstrzymać ją przed dokładnym przeszukaniem jego pamięci i odnalezieniem wszystkich jego tajemnic, kiedy już zwróci na siebie jej uwagę. Lizzy twierdziła, że Użytkowniczka zostawiła mu pewien margines niezależności. "Nie jesteś całkiem bezbronny" - mówiła mu. Więc może warto było przesłać tę wiadomość?

Złożył arkusz na pół i zaniósł go *grande dame*.

- Och, panie Fears, jest pan okrutny!

- Dlaczego?

- Mógł pan dać mi tę wiadomość w zaklejonej kopercie. Wtedy mogłabym spokojnie otworzyć ją nad parą i przeczytać, co pan napisał. Ale fakt, że poprzestaje pan na zwykłym złożeniu kartki na dwoje, jest dla mnie dowodem takiego zaufania, że wolałabym umrzeć, niż je zawieść.

Quentin roześmiał się i przeczytał na głos treść liściku.

- Och, panie Fears, wcale nie mam zamiaru oddawać jej tej wiadomości. Zamiast tego zajmę się szukaniem własnych skarbów w szkatułkach, abyśmy my razem mogli jej otwierać. Szkoda, że nie ma pan siwych włosów i artretyzmu! Byłoby tak romantycznie!

Teraz zaśmiali się razem.

- Miłość wśród młodych jest dziś taka trudna, panie Fears

- westchnęła, podając mu rękę. Ujął ją delikatnie i ze względu na sposób, w jaki wyciągnęła ku niemu swoją dłoń, nie uścisnął jej, ani nie potrząsnął lecz zamiast tego skłonił się nad nią nisko, myśląc w duchu, że do takiej sceny powinien być ubrany przynajmniej w surdut. - Jeśli tylko ujrzę niepoprawną siostrzenicę moich przyjaciół, udzielę jej ostrej reprimendy za zmarnowanie tak wspaniałego młodzieńca... i to po tylu kłopotach, jakie mieliśmy ze sprowadzeniem pana dla niej!

- Kłopotach?

- Mówiłam panu na przyjęciu, co myślę o małżeństwach i pieniądzach. Duncanowie, to stara rodzina. Pan - nowe pieniądze. Taki mariaż to błogosławieństwo niebios.

- Ale przecież jedyną osobą, jaką znałem spośród gości był pewien lobbysta, który...

- Który został zaproszony na przyjęcie ze względu na znajomość z panem.

- Ale ja przecież zadzwoniłem do niego dzień wcześniej, prosząc go, by zabrał mnie dokądkolwiek.

- Naprawdę? W takim razie Duncanowie musieli już wcześniej bacznie pana obserwować, ponieważ właśnie w przeddzień przyjęcia poprosili mnie o to, bym zaprosiła wspomnianego lobbystę oraz ich drogą siostrzenicę.

- A więc nieprzypadkowo natknęła się pani na mnie w bibliotece?

- Podobnie, jak nieprzypadkowo Madeleine stała pod wiśniowym drzewkiem. Och, panie Fears, sądziłam, że pomagam stworzyć dobrą rodzinę, nie chciałam przyczynić się do złamania pańskiego biednego serduszka. Czy wybaczy mi pan?

- Nie ma tu nic do wybaczenia. Jeśli zaznałem szczęścia w swoim życiu, to dlatego, że była w nim Madeleine. I nawet jeśli to szczęście trwało tylko jeden rok, zawsze będę pani wdzięczny, że wysłała mnie pani do niej tamtego wieczoru.

- Bardzo się cieszę, że nie jest pan politykiem, panie Fears, gdyż musiałabym wyjść z domu i głosować na pana, a ja po prostu nie cierpię przebywać poza domem.

- Pani głos byłby zapewne jedynym głosem poparcia, ale i tak czułbym się jak zwycięzca.

Znowu nagrodziła go brawami.

- Gdyby tylko mógł pan zranić jakiegoś rywala w pojedynku o mnie, umarłabym szczęśliwa.

- Muszę panią o coś zapytać, choć z góry znam odpowiedź. Nie mogłaby pani po prostu powiedzieć, mi jak brzmią imiona Duncanów i gdzie mieszkają, prawda?

- Jeśli pańska żona nie przedstawiła im pana, ani oni sami się panu nie przedstawili, to mnie raczej nie wypada robić tego bez ich przyzwolenia, zgodzi się pan ze mną?

Quentin kiwnął głową. Spodziewał się takiej odpowiedzi

- Wrócę do pani, kiedy wszystko się wyjaśni, aby powiadomić panią o rezultatach.

- Moje drzwi zawsze stoją dla pana otworem, panie Fears. Życzę dobrego dnia.

Kiedy wyszedł na zewnątrz, niemal ze zdziwieniem skonstatował, że znajduje się na zwykłej nowobogackiej ulicy w Chevy Chase. Spodziewał się raczej ujrzeć powozy, sunące po brukowanych jezdniach, rzędy kamienic i kwitnące drzewka wiśniowe. Zamiast tego zobaczył śnieg, otulający bezlistne drzewa i wielkie domiszcza, z których większość świadczyła o tym, że pieniądze i dobry gust nie zawsze idą w parze.

Duncan. Tak brzmiało nazwisko przyjaciół *grande dame*. Ciekawe, od jak dawna byli jej przyjaciółmi? To oni załatwili wszystko tak, aby został zaproszony na przyjęcie. Już wtedy Użytkowniczka musiała mieć go na oku. Jak go znalazła? W mieście przecież aż roiło się od bogaczy. Dlaczego wybrała właśnie jego?

Wydawało się, że warto było odbyć tę wizytę chociażby po to, by zyskać przyjaźń wielkiej damy. Gdyby tylko Quentin rzeczywiście był tym dwornym dżentelmenem, którego udawał w jej saloniku. Tymczasem wiedział, że w jakiejś bliżej nieokreślonej przyszłości czeka go chwila, kiedy stanie twarzą w twarz z przeciwnikiem, lecz ten pojedynek nie skończy się na lekkim zranieniu. Krew poleje się strumieniami, ktoś padnie powalony na ziemię. Przez chwilę myślał, że najprawdopodobniej będzie to on. Ale tanio swojej skóry nie sprzeda.

Wsiadł do samochodu. Kiedy był już w środku, rozejrzał się dookoła, żeby sprawdzić, czy będzie w stanie zauważyć zespół śledczy, którego zadaniem było obserwowanie domu, by odkryć kto wejdzie do niego i kto wyjdzie po jego wizycie. Nie dostrzegł żywej duszy, ani jednego samochodu zaparkowanego na ulicy, co oznaczało, że albo detektywi spaprali robotę, albo należeli do wybitnych specjalistów. Zjechał z krawężnika i odebrał telefon od Wayne'a Reada, który dzwonił do niego na komórkę.

- Właśnie ruszyłeś spod tamtego domu - poinformował go Wayne na powitanie - i jedziesz w stronę obwodnicy miejskiej.

- To nie mnie mają śledzić.

- Chciałem tylko poinformować cię, że nasi ludzie są na stanowisku.

- ...więc dzwonię aż z San Francisco tylko po to, żeby ci o tym zameldować, i to wszystko na twój rachunek.

- Cóż, po pierwsze stać cię na to, a po drugie obaj mamy akcje AT&T.

- Mam pewne nazwisko, którym chcę żebyś się zainteresował. Duncan. Małżeństwo z córką.

Prawdopodobnie Madeleine jest ich siostrzenicą. Założę się, że to pan Duncan jest tym facetem, podającym się za Ray'a Cryera.

- Duncan. Założę się, że w Waszyngtonie i okolicach mieszka tylko jedna rodzina Duncanów.
- Od czego mamy zespół śledczy? Napisałem liścik do Madeleine i zostawiłem go u *grande dame*. Albo pośle kogoś do Duncanów, albo Duncanowie przyślą kogoś, żeby go odebrał. Tak czy inaczej, znajdzie się ktoś, kogo trzeba będzie śledzić.
- Chyba, że szacowna dama poprzestanie na włożeniu liściku do koperty i naklejeniu znaczka.
- Ludzie wciąż robią takie rzeczy? - Wiedział, że to robią, ale ponieważ sam osobiście przez wiele lat nie miał okazji lizać pocztowego znaczka, taka możliwość w ogóle nie przyszła mu do głowy.
- Kosztuje to tylko trzydzieści dwa centy. A wykradanie przesyłek poczty państwowej grozi oskarżeniem o ciężkie przestępstwo wszystkich w to zamieszanych, więc nie zrobimy tego nawet dla faceta, którego kochamy tak jak ciebie, Quentinie.
- Wciąż jednak możecie zdobywać informacje o Duncanach.
- Będziemy dzwonić do wszystkich abonentów o tym nazwisku z pytaniem: "Czy to ta rodzina Duncanów, która ma siostrzenicę, znikającą w magiczny sposób po kilku miesiącach małżeństwa z bogatym szaleńcem, tylko dlatego, że nie może on na czas otworzyć pewnej szkatułki?" Wcześniej czy później, na pewno ich znajdziemy.
- Jeśli jesteś taki mądry, to założę się, że wiesz, jak się nazywał jedyny prezydent - kawaler.
- Nasz? James Buchanan. To gość, który był zaraz przed Lincolnem. Cymbał z Wirginii, zrobił wszystko co mógł, by jak najbardziej zaszkodzić Północy przed Wojną Domową. Potrzeba ci więcej danych?

- Dowiedziałeś się czegoś o numerze komórki Madeleine?

- To telefon komórkowy Numer Jeden. Któryś z aparatów, jakie firmy rezerwują dla użytku wewnętrznego. Nie muszę ci chyba mówić, że przez ostatni rok nie przyznawano go żadnej osobie.

- A ja się zastanawiałem, dlaczego połączenia zawsze były takie czyste - mruknął Quentin.

A więc na wszystkie jego telefony do niej, przez cały okres narzeczeństwa, prawdopodobnie nikt nigdzie nie odpowiadał. Za sprawą Użytkownicy wydawało mu się, że słyszy głos Madeleine dobiegający ze słuchawki.

Na obwodnicę dostał się jeszcze przed godziną szczytu, tak więc jazda do domu była umiarkowanie uciążliwa. Kiedy wszedł do mieszkania, na telefonie znowu paliła się lampka. Zastanawiał się, czy to kolejna wiadomość od "Ray'a Cryera", czy też jakaś inna sztuczka Użytkownicy. Zamiast tego usłyszał głos komendanta policji w Mixinack, w stanie Nowy Jork. To nie była nazwa miasteczka, do którego Quentin poszedł, uchodząc z domu Madeleine. Mixinack leżało na północ, nieco dalej od

tamtego miejsca. Ale ktoś mógł zrozumieć, jakimi prawami rządziło się wyznaczanie obszarów jurysdykcji. Było jeszcze wczesne popołudnie. Oddzwonił.

- Komendant Bolt, słucham.

- Chciałbym mówić z... sam pan odbiera telefony?

- Cała reszta personelu tłoczy się przy automacie z kawą, albo przesiaduje w kibelku. Kto mówi?

- Quentin Fears. Pan dzwonił do mnie.

- Jasne. Czołem!

- Czołem! - Quentin nie zamierzał nic mówić, chcąc najpierw zorientować się, co Bolt już wie. Odczekał więc dobrą chwilę, aż tamten zdecydował się przerwać ciszę i na nowo podjął rozmowę.

- Dostałem faks z Herndon w Wirginii, z którego dowiedziałem się, że zginęła pańska żona. Czy już pan ją znalazł?

- Nie, jeszcze nie. Wynająłem detektywów, ale jeszcze nie ma żadnych rezultatów.

- Cóż, przykro mi to słyszeć. Ja także nie znalazłem pańskiej żony, panie Fears.

- Myślę, że mnie jest jeszcze bardziej przykro słyszeć taką wiadomość.

- Nie wątpię. Takie zerwanie, to ciężka sprawa. Moja żona też mnie kiedyś rzuciła. Niech ją cholera. Ale potem wróciła. Niech ją cholera. To był dowcip, synu. Ale widzę, że nie w głowie panu żarty.

- Doceniam pańską domyślność.

- Jestem wyjątkowo domyślny. Założę się, że zastanawia się pan, dlaczego wydzwaniam do pana, skoro nie mam panu nic do powiedzenia. Cóż mogę na to powiedzieć? Po prostu ciekawski ze mnie facet i lubię sobie pogadać. Tymczasem moja sekretarka właśnie wyszła za mąż, a przy tej szalejącej grypie, musiałem wysłać wszystkich ludzi w teren z radarami, bo inaczej nie zarobiliibyśmy na swoje pensje. To też był dowcip, ale już zrezygnowałem z prób rozbawienia pana.

- Czy to znaczy, że jest pan sam na posterunku?

- Otóż to! Uważnie pan słucha! Dlatego właśnie to ja zobaczyłem pański faks. Dostajemy ich całe mnóstwo... nienawidzę tej maszyny, wie pan, chętnie wyrwałbym ją ze ściany, bo to my musimy płacić za papier, na którym drukuje się każdy kretyński i absolutnie nieważny faks, jaki któremukolwiek z zamieszkujących naszą ojczyznę imbecylów zachce się wysłać do wszystkich posterunków policji w kraju. Ale pański faks wpadł mi w oko ze względu na podany przez pana adres domu gdzie, zgodnie z tym co pan twierdzi, zostawiła pana żona.

- Zna pan to miejsce?

- Widzi pan, to małe miasteczko, a ja znam je bardzo dobrze. Często przejeżdżam koło owej posiadłości. Od pięciu lat nie widziałem tam żywej duszy, odkąd starsza pani przeniosła się do domu spokojnej starości.

Starsza pani związana z tamtym domem przeniosła się do jakiegoś domu starców. To mogło wyjaśniać przyczyny, dla których Babcia sama nie mogła odnaleźć Quentina.

- Co jakiś czas wysyłam tam moich chłopców - powiedział Bolt - żeby zobaczyli, czy nie kręcą się w pobliżu jacyś wandy. Wie pan, czy nikt nie wybija szyb i tak dalej.

- I co, są jakieś szkody?

- Właśnie tego chciałem się dowiedzieć, synu. To przecież pan spędził tam noc.

- Nic takiego nie powiedziałem.

- To prawda. Ja powiedziałem. Zobaczyłem faks z Herndon i pomyślałem sobie, że warto byłoby sprawdzić. Więc następnym razem, kiedy przejeżdżałem tamtędy za dnia, zatrzymałem się i patrzę, a tam rzeczywiście widać ślady opon samochodu, który najpierw wjechał, a potem wyjechał z alejki, prowadzącej do domu. I ślady stóp. Nie lubię takich śladów. One oznaczają wandy. Albo włóczęgów, próbujących zająć opuszczony dom. A ślady opon mogą wskazywać na znudzonych nastolatków, szukających ustronnego miejsca, gdzie można spokojnie popalić trawkę, albo zarazić kogoś jakimś choróbskiem przenoszonym drogą płciową. W każdym razie, do moich obowiązków należy dowiedzieć się co naprawdę oznaczają takie ślady. Dlatego wjechałem w alejkę, zaparkowałem nieco dalej od domu i zorientowałem się, że samochód musiał mieć kierowcę.

- Tak, mieliśmy wynajętego kierowcę.

- Hmm, szukałem śladów pozostawionych przez pańską żonę, ale wygląda na to, że ona w ogóle nie wysiadła z samochodu.

- Tak to wygląda?

- No, chyba że wniósł ją pan do środka. Jestem absolutnie pewny, że ani przez chwilę nie postawiła stopy na śniegu.

- Interesujące spostrzeżenie.

- Jak na razie - odparł komendant Bolt. - Wtedy przypomniałem sobie, jak właścicielka tej posesji prosiła mnie, żeby czasem rzucić okiem na jej dom, więc pomyślałem sobie: najwyższy czas rzucić okiem. Wszedłem po schodach. Strasznie tam brudno, prawda?

- Chyba się z panem zgodzę.

- I zimno. Można sobie nieźle odmrozić dupę. Ale najwyraźniej ktoś wszedł po schodach na piętro i spędził nockę na brudnym pokrowcu, a także wysikał się do klozetu, w którym nie było wody i napluł pastą do wyschniętej umywalki. Zszedł też na dół do kuchni w podziemiach, przez całą drogę

rozdeptując karaluchy, podszedł do pustej lodówki... dobrze mówię?

Przesadny sarkazm Bolta był zaraźliwy. Jak zwykle Quentin dostosował się do tonu rozmowy i odpowiedział w tym samym stylu.

- Istny Sherlock Holmes z pana. Reakcja Bolta była krótka:

- Ha! - mruknął. A następnie ciągnął dalej. - Nie mam zamiaru opisywać całej trasy pańskich wędrówek. Był jakiś spacer po skarpach. Prawdziwy taniec wśród grobów. Obszedł pan dom dookoła. Następnie zobaczyłem ślady, które zostawił pan wychodząc przez drzwi frontowe. Usiadł pan na drugim schodku od dołu, stawiając walizki po jednej z każdej strony. Następnie wstał, wyszedł na drogę i udał się na południe. To chyba mniej więcej wszystko, mam rację?

- Nie da się zaprzeczyć prawdzie, panie komendancie.

- I sam się zapytuję, gdzie była ta kobieta, którą rzekomo ostatni raz widziano, jak opuszcza stary dom Laurentów?

- Laurentów, mówi pan?

- Wydaję mi się, że Laurentowie mieszkali tu najdłużej, więc taka właśnie nazwa przyłgnęła do posiadłości. W każdym razie, jedyna rzecz jaka przychodzi mi do głowy, to ta, że kobieta, której pan szuka, musiała odjechać tamtym samochodem. Wygląda na to, że szofer obszedł samochód, żeby otworzyć jej drzwi, ale ona najwyraźniej nie wyszła na zewnątrz. A teraz nigdzie nie można jej znaleźć.

- To prawda - nigdzie jej nie ma.

- Więc tak naprawdę mam do pana tylko jedno pytanie, panie Fears.

- Fears. Dobry rym do słowa "pirs".

- Oto ono. Dlaczego człowiek, który według doniesień policji z Herndon jest bogatszy niż kilka krajów trzeciego świata razem wziętych, decyduje się wejść do zimnego, opuszczonego domu, by spędzić tam noc wśród robactwa i brudu?

- Czy to przestępstwo, komendancie?

- Och, gdybym pana na tym złapał, mógłbym pana zamknąć i oskarżyć o włóczęgostwo, ale ponieważ jest pan w stanie wykazać się odpowiednimi środkami na utrzymanie, raczej nie wygrałbym takiej sprawy. Naruszenie własności prywatnej również wchodzi w grę, rzecz jasna, ale nic pan nie ukradł ani nie zniszczył. A więc nie będziemy kierować przeciw panu żadnego oskarżenia. Po prostu jestem ciekawy, to wszystko.

- Ja też jestem ciekawy. Ciekawi mnie, gdzie jest moja żona. Nie wygląda na to, żeby pan wiedział.

- Rozumiem - powiedział komendant Bolt. - To trochę nieuczciwe z pana strony, przyjechać tu,

zachowywać się dziwnie, odjechać, a potem odmawiać odpowiedzi na pytania.

Sprawa przyjmowała nie najlepszy obrót.

- Panie komendancie, ja także chciałbym zadać panu pytanie.

- Czy mam na nie odpowiedzieć, czy wykręcić się tak, jak pan?

- Czy nie otrzymał pan zapytania od Ray'a Cryera o moją żonę, Madeleine Cryer Fears?

- To teść?

- Nigdy w życiu nie miałem okazji go poznać, ale on sam twierdzi, że nim jest.

- Może mamy to gdzieś w papierach, ale...

- Nie, on mógł dzwonić tylko w ciągu ostatnich kilku dni. To pan odbierał telefony, prawda?

- Ray Cryer, mówi pan?

- Tak.

- Nie ma nic takiego. Co prawda mamy dość skomplikowane i bałaganiarskie procedury obiegu informacji, więc przysiąc nie mogę, ale raczej nie ma tu podobnej wiadomości.

- Widzi pan, ten cały Ray Cryer zadzwonił do mnie i powiedział mi, że zameldował wam o zaginięciu córki. Twierdził, że zginęła z tamtego właśnie domu. I że lokalna policja prowadzi poszukiwania.

- My jesteśmy lokalną policją i nic takiego nie robimy. Nie szukamy jego córki.

- To robi się coraz ciekawsze.

- Ale skoro był pan w tamtym domu, kiedy ona sobie poszła, panie Fears, dlaczego teść miałby informować pana, że jego córka zginęła?

- To samo chciałbym wiedzieć, panie komendancie. Odniosłem wrażenie, że próbuje ułożyć odmienną wersję wydarzeń.

- Nigdy nic nie wiadomo, prawda? Obecnie mamy tylko pańskie oświadczenie, że żona była w tamtym domu. I wyraźne dowody, że jeśli chodzi o miejsca noclegowe, ma pan bardzo dziwaczne gusta.

- Dziękuję panu, komendancie, nie wiem co zrobiłbym bez pańskiej pomocy.

- A więc chce mnie pan spławić?

- Nie, panie komendancie. Wręcz przeciwnie, mam nadzieję, że będzie pan miał oczy szeroko otwarte

i okaże pomoc wynajętym przeze mnie detektywom, kiedy się u pana zjawią.

- Ten Ray Cryer szantażuje pana, mam rację?

- Słucham?

- Czy był pan na prochach tamtej nocy? Czy była to jakaś narkotykowa transakcja, w czasie której uśpili pana albo grozili panu, czy coś w tym rodzaju?

- O czym pan mówi?

- Najwyraźniej nie ma pan zamiaru opowiedzieć mi, dlaczego zachowywał się pan tak dziwnie, w związku z czym muszę wysilić mózgowicę i układać historyjki, które będą pasować do dowodów.

- Panie komendancie, tamten dom jest nawiedzony przez duchy. Zostałem przez nie zaproszony, spałem z nimi, jadłem z nimi śniadanie, poszedłem na cmentarz, żeby pożegnać się z ich ciałami, a wracając do domu zafundowałem sobie spacer wzdłuż autostrady.

- Wie pan, może i jestem małomiasteczkowym komendantem najmniejszego posterunku po tej stronie rzeki Arkansas, ale drzwi do aresztu są u mnie równie szerokie, jak u każdego innego gliny w całych Stanach. Nie rozumiem więc, dlaczego okazuje mi pan tak ostentacyjne lekceważenie, synu? Dobrze chociaż, że przynajmniej pan płaci za tę rozmowę.

- Panie komendancie, nie chcę być pańskim wrogiem.

- Miło mi to słyszeć. Bo niedobrze mieć mnie za wroga.

- Czy może pan opowiedzieć mi coś o starszej pani Laurent?

- Pani Laurent? Ona nie żyje.

Nie żyje? Cóż więc miało znaczyć to "znajdź mnie"?

- Przykro mi to słyszeć.

- Poszła do piachu jakieś dwadzieścia lat temu, mając więcej lat niż sam Bóg, więc jakoś nikt zbytnio nie rozpacział.

- Chyba wcześniej mówił pan, że staruszka przeniosła się do domu starców, kilka lat temu.

- Posłuchaj mnie, synu. Jest dla mnie absolutnie jasne, że nie ma pan zielonego pojęcia ani o domu, ani o ludziach, którzy w nim mieszkali, a tymczasem twierdzi pan, że został tam zabrany przez żonę, w celu zaprezentowania rodzinie. Niech pan wreszcie postawi sprawę jasno. Czy Ray Cryer szantażuje pana w jakiś sposób? Czy popełnił pan jakieś przestępstwo w tamtym domu? Czy jest pan po prostu zwykłym wariatem? Niech mnie piekło pochłonie, ale nie uwierzę, że ożenił się pan z kobietą, która mogła mieć cokolwiek wspólnego z owym domem, bo ta rodzina już dawno nie istnieje. Stara pani Laurent nie żyje. Obecnym właścicielem jest jej córka, także staruszka, która, jak

już wspomniałem, przeniosła się do domu spokojnej starości. Z kolei jej jedyna córka ma obecnie trzydzieści pięć lat, męża oraz małe dziecko i nigdy nie pojawiła się w tym domu od czasu, gdy jej matka się stąd wyniosła.

- Nie popełniłem żadnego przestępstwa w tamtym domu. Jeśli Ray Cryer próbuje szantażu, to jak dotąd nie zażądał pieniędzy, a jeśli to zrobi, nie dostanie ode mnie ani centa, ponieważ nie zrobiłem niczego, co musiałbym ukrywać. Jeśli chodzi o kwestię mojego zdrowia psychicznego, to ludzie o moich dochodach zazwyczaj uchodzą za ekscentryków.

- Ale pan wciąż nie odpowiada na moje pytania.

- Panie komendancie, bardzo chciałbym się z panem spotkać.

- Odwzajemniam pańskie pragnienie.

- Chciałbym przejść się z panem po tamtym domu i dowiedzieć się wszystkiego, co może mi pan o nim powiedzieć.

- Czyżbym prowadził agencję obrotu nieruchomościami?

- Może mi pan wierzyć lub nie, panie komendancie, ale moja żona przybyła do tego domu razem ze mną. Spędziła w nim dzieciństwo, co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości. Na cmentarzu leżą jej krewni. I jeśli miałbym żywić jakiegokolwiek nadzieje na odnalezienie jej, dopomóc mi w tym może jedynie zebranie wszelkich możliwych informacji o tym domu. Tak więc wkrótce się u pana pojawię. A faksem prześlę panu rachunek za wynajęcie limuzyny, która nas tam zabrała, aby mógł pan dowiedzieć się, czy rzeczywiście przybyłem do tej posiadłości razem z moją żoną.

- Będę na niego czekał, synu.

Pożegnali się chłodno. Quentin odłożył słuchawkę, a następnie zadzwonił do firmy wynajmującej limuzyny, aby przefaksowali do Bolta kopię rachunku. Przez cały czas mówił sobie, że to chyba najgłupsza *rzecz*, jaką robi. Skoro Ray Cryer kłamał, ponieważ nie zgłosił nic policji, dlaczego Quentin sam miał wzbudzać podejrzenia wokół własnej osoby? Dlaczego nie zbył Bolta jakąś bajeczką, nie odłożył słuchawki, oddychając z ulgą i nie odwołał poszukiwań zaginionej żony, której, jak wiedział, nigdy nie miał odnaleźć? A przede wszystkim po co pomagał Boltowi zdobyć niezbity dowód w postaci zeznań kierowcy limuzyny, potwierdzających, że owszem, pani Fears wyszła z samochodu, a następnie weszła do domu razem z panem Farsem? Fakt, że nie było żadnych śladów kobiety wychodzącej z domu, mógł jedynie wzbudzić w komendancie podejrzenia, że chodzi o jakąś brudną sprawę.

Jednakże w tym samym czasie wydawało mu się, że postąpił właściwie. Miał takie wewnętrzne przeczucie. Coś mówiło mu, że komendant Bolt jest porządnym facetem, którego zaufanie warto było pozyskać. Poza tym chodziło o jeszcze jedną, bardzo ważną sprawę.

Komendant Bolt znał starszą panią. I jeśli cała historia miała jakikolwiek sens, to właśnie staruszka, przebywająca w domu spokojnej starości, musiała być Babcią. Czy mogło być inaczej? Tyle, że nie

była ona panią Laurent, która nie żyła od dwudziestu lat, więc musiała być matką Babci, dlatego też Laurent musiało być panińskim nazwiskiem poszukiwanej przez niego kobiety, zaś komendant być może znał nazwisko, które nosiła po mężu i pomógłby mu ją odnaleźć. A więc zawarcie znajomości z komendantem mogło stać się dla niego drogą prowadzącą do Babci.

Lecz równie dobrze mogła to być droga za kratki.

Quentin zadrżał, a następnie pomyślał o tym, co przyprawiło go o drżenie: kiedy czuł się tak pewny, że powinien komendantowi powiedzieć właśnie to, co powiedział, skąd wiedział, że jest to jego własny pomysł? Miał przecież świadomość, że odgrywa rolę w scenariuszu, napisanym przez kogoś innego.

Nie. Użytkowniczka nie była w stanie tego zrobić. Mogła sprawić, że widziałem różne rzeczy, ale nie umiała zmusić mnie, bym zrobił to, czego chciała. Nie może sprawić, żebym mówił lub robił coś zgodnie z jej wolą, bo gdyby była zdolna do takich rzeczy, szkatułka już dawno zostałaby otwarta, a cała historia skończyłaby się już tam, w domu nad rzeką Hudson. Zaś gdyby Babcia mogła skłonić mnie do działania zgodnego z jej zamiarami, na pewno nie musiałaby mnie do niczego namawiać za pośrednictwem gadającego gryzonia.

Quentin zastanawiał się nad tym wszystkim jeszcze przez chwilę, i w końcu zdał sobie sprawę, dlaczego nie próbował zbyć komendanta jakimś kłamstwem. Stało się tak dlatego, że Quentin bardzo dobrze umiał oceniać ludzi, przy czym Madeleine była tu, rzecz jasna, spektakularnym wyjątkiem. Po odbyciu niezliczonej ilości wstępnych rozmów z setkami ludzi, którzy odpowiadali na jego ogłoszenia, a także dzięki doświadczeniom nabytym podczas wieloletniej współpracy z dziesiątkami partnerów, był w stanie bardzo szybko orzec, z którymi ludźmi będzie mu się dobrze pracować, a którzy przysporzą mu jedynie kłopotów.

Komendant Bolt był najwyraźniej facetem w jego typie. Ot, po prostu. Gdyby Bolt poprosił go o fundusze na rozwinięcie jakiegoś własnego interesu, Quentin na pewno z uwagą wysłuchałby jego planów, i nabrawszy przekonania, że założenia wydają się rozsądne, bez wahania podpisałby odpowiednie papiery, gdyż chętnie nawiązałby współpracę z kimś takim jak Bolt.

Tyle, że interesy, którymi zajmował się Bolt polegały na snuciu podejrzeń, zaś jedyną formą współpracy, jaką komendant mógł mieć na myśli była niełatwa współpraca gliny i podejrzanego. Komendantowi brakowało jedynie dowodów zbrodni, a Quentin właśnie pomagał mu je znaleźć.

Być może podświadomie staram się pokrzyżować plany Użytkowniczki, pomyślał Quentin. W końcu, jeśli pójdę za kratki, to na pewno nie będę mógł stworzyć szkatułki.

POWTÓRNE SPOTKANIE

W nocy poczuł, jak coś go dotknęło. Kiedy leżał po swojej stronie łóżka, coś lekkiego ześliznęło się po jego gołym ciele, tuż nad biodrem. Zerwał się gwałtownie, uderzywszy to coś otwartą dłonią. Ktoś jęknął. Rzucił się w stronę włącznika i zapalił światło.

Madeleine siedziała na łóżku, trzymając się za dłoń, jakby coś ją oparzyło, wpatrując się w niego oskarżycielskim wzrokiem.

Nie wiedział co ma powiedzieć.

- Tęsknisz za mną? - spytała.

Nagle ogarnęła go złość na widok obolałej miny, z jaką pochylała się nad swoją dłonią, tak jakby rzeczywiście czuła ból.

- Daruj sobie to przedstawienie. Wiem, że nic cię nie boli.

- Myślisz, że nic nie czuję, kiedy mnie bijesz?

- Wydawało mi się, że to jakiś pajak łazi mi po... cóż, tak bardzo się znowu nie pomyliłem, prawda?

- Nie złość się - powiedziała. - Proszę cię, nie złość się na mnie.

W jej minie było tyle szczerego smutku, tyle tęsknoty, że poczuł jak mięknie i poddaje się wszechogarniającemu współczuciu, zupełnie wbrew swej woli. Ale nie, o nie, nie miał zamiaru znowu dać się oszukać.

- Wynoś się - powiedział.

Była w koszuli nocnej, zaczęła skubać jej rąbek.

- Tin, proszę cię, ja...

- Nie nazywaj mnie tak. Wyciągnęłaś to imię z moich myśli. Albo z myśli Lizzy - ono nie należy do ciebie.

- To przecież twoje imię.

- To moje imię, jeśli wymawia je ktoś, kto mnie kocha. A nie ktoś, kto stara się wykorzystać mnie do otwarcia jakiejś... skrzynki.

Wstał i niezgrabnym krokiem obszedł łóżko dookoła, po czym wyszedł z sypialni i udał się do kuchni. Wyjął z lodówki sok pomarańczowy i nalał sobie do szklanki.

Madeleine stanęła w drzwiach kuchni.

- Wystarczy dla mnie?

- Nie - odparł. - Nie potrzebujesz pić. O to właśnie chciałem się ciebie spytać. Skoro ciebie tak naprawdę nie ma, co robiłaś z tym wszystkim, co jadłaś i piłaś? Gdzie to wszystko zniknęło?

Spojrzała na niego zimno i wróciła do pokoju.

- Aha - powiedziała. - Więc to, co napisałeś w liście, jest zwykłym oszustwem.

Ruszył za nią ze szklanką soku w dłoni.

- Twoje prawdziwe nazwisko brzmi Duncan? Obróciła się gwałtownie w jego stronę.

- Naprawdę nazywam się Madeleine Cryer Fears. Jestem twoją żoną. Masz to na akcie ślubu.

- Ciekawe, jak ci się udało go podpisać? Jak udało ci się umieścić na nim swoje imię i nazwisko? Przecież ty nie potrafisz naprawdę utrzymać pióra.

- Potrafię trzymać pióro. Potrafię trzymać szklankę. Potrafię cię trzymać za rękę. Potrafię cię pieścić. Pamiętasz, jak ci się to podobało? - Pochyliła się w jego stronę. Jej dłoń zbliżyła się, by pogłodzić jego policzek, zsunąć się delikatnie po brodzie i przyciągnąć go bliżej...

Quentin schwycił ją za nadgarstek i przyciągnął jeszcze bliżej, a następnie wylał jej na głowę zawartość szklanki. Pomarańczowy sok spłynął po włosach i cienkimi strużkami zaczął jej ściekać na czoło. Zakryła twarz dłońmi i wybuchnęła płaczem.

- Ja cię przecież kocham, Quentin!

Stał patrząc na sok, który wyglądał zupełnie jak prawdziwy. Patrzył, jak spływa jej z włosów po ramionach, jak jego krople skapują na dywan.

- To nieprawda! - zawołał. - Ciebie nie ma, a kiedy wylałem sok, to spadł on bezpośrednio na dywan. Nie zatrzymał się na twoich włosach, ponieważ ty... ty nie jesteś prawdziwa.

Wyjęła szklankę z jego dłoni i rzuciła nią o ścianę. Rozbiła się z hukiem i odłamki szkła posypały się na podłogę.

- Jak myślisz sąsiedzi słyszeli to, czy nie? - spytała. Światło dochodzące z kuchni odbijało się w oknach szkła. Madeleine płakała. On też.

- Madeleine - odezwał się - tak mi przykro, tak mi... nie uwierzyłybyś... przez te ostatnie dni spędzone bez ciebie...

Przytuliła się do niego. Poczuł jej ciało idealnie przylegające do jego ciała, tak jak zawsze.

- Czy myślisz, że mnie było łatwo? Nie powinnam była stamtąd uciekać, ale Babcia... ona mnie tak nienawidzi. Powinnam była pamiętać, moja miłość do ciebie jest mocniejsza od wszystkiego, mocniejsza od jej nienawiści, mocniejsza od... Och, Quentin, proszę cię, nigdy więcej nie złość się na mnie, proszę cię, tak bardzo się wtedy boję, czuję się taka skrzywdzona.

Kiedy mówiła, on przyglądał się lśniącem kawałkom potłuczonej szklanki i przypomniał sobie refleksy światła w cudownie rżniętych, kryształowych pucharach na stole w bibliotece. A następnie widok pustego i brudnego stołu, przykrytego grubą warstwą kurzu. Przypomniał sobie, jak widział wodę płynącą z kranu do lśniącej czystością umywalki w łazience, a potem lepiący się od brudu zlew z nieczynnymi kurkami.

- Tin, pozwól mi tak do ciebie mówić, proszę, pozwól mi wrócić i znowu być twoją żoną, tak jak przystoi. Tak, jak to sobie obiecaliśmy przed Bogiem.

- Nie chciałaś żeby nas fotografowano na ślubie, Mad -przerwał jej. - Dlaczego?

Bawiła się jego włosami.

- Wyobrażałam sobie, że jestem najwspanialszą panną młodą, piękną jak śnieg w blasku słońca. - Jej słowa były proste, a głos brzmiał jak cicha muzyka. Dłonią gładziła jego skórę. Ta sama pieśczoła zbudziła go przed kilkoma minutami i teraz także sprawiała, że coś się w nim budziło. - Nie chciałam później oglądać zdjęć, na których mogłabym wyglądać inaczej, niż w moich marzeniach. Czy wierzysz w to, co mówią na reklamówkach Kodaka? Że nic nie będzie prawdziwe, dopóki nie masz na to dowodu w postaci fotografii? A może to prawda, że obecna chwila byłaby prawdziwie romantyczna tylko wtedy, gdybym przekazała ci to, co chcę powiedzieć na pocztówce dźwiękowej, albo gdybyśmy tę rozmowę odbyli przez telefon i nagrali ją sobie na taśmie?

Zaśmiał się. To rzeczywiście była Madeleine, kobieta, którą kochał. To był dźwięk jej głosu, jej gładkie włosy, które gładził palcami.

Jej włosy.

I wtedy nagle poczuł, że włosy Mad są lepkie od pomarańczowego soku. Ale jeszcze przed chwilą były zupełnie czyste. Jego dłoń zamarła w bezruchu.

Spojrzała mu w oczy.

- Co się stało? - spytała. - Co się stało?

Odwrócił wzrok. Pomyślał o Lizzy. Pomyślał o tym, jak wydawało mu się, że widzi ją wchodzącą do domu, którego nikt nie wynajmował. Odepchnął Madeleine od siebie i podszedł do ściany, pod którą leżały kawałki szkła. Schylił się, podniósł jeden ostro zakończony odłamek i przeciągnął nim po ścianie. Na papierowej tapecie pojawiło się małe rozdarcie. I nagle zrobił coś, czego w ogóle nie planował, coś, o czym w ogóle nie myślał do chwili, kiedy się na to porwał. Wbił sobie kawałek szkła w skórę na brzuchu. Pchnął drugi raz, trzeci raz. Dopiero wtedy poczuł ból. Był tak mocny, że aż się skulił. Upadł na jedno kolano. Ale wiedział, że to wszystko blaga. Spojrzał w dół na swój brzuch. Ujrzał krew, ale było jej zbyt mało. Wtedy pojawiło się jej znacznie więcej. Zbyt dużo. Nie przeciął przecież żadnego z głównych naczyń. Tam gdzie się skaleczył nie znajdowało się nic, co mogłoby spowodować tak obfity krwotok. W rzeczywistości, dobrze wiedział, że nie było tam żadnej krwawiącej rany. Absolutnie żadnej. Nie było tam niczego, co mogłoby wywołać jakikolwiek ból. Nie było nawet kawałka szkła, który trzymał w rękach. Wciąż jednak w palcach trzymał ostry

odłamek.

Czy Lizzy nie powiedziała mu, że jest silniejszy od większości ludzi. Dlaczego nie mógł poradzić sobie z tymi iluzjami?

Kłęcząc na jednym kolanie, zaczął kroić skórę na drugim. Ciął coraz głębiej i głębiej. Szkło coraz bardziej zagłębiało się w ciele. Ale jedyna rzecz, o jakiej był w stanie myśleć, jedyna rzecz, o jakiej pozwolił sobie myśleć, to ta, że właśnie przeprowadza sekcję żaby na lekcji biologii. Że powoli odkrywa mięśnie nogi, którą obiera ze skóry przesiąkniętej formaliną. I kiedy tak myślał, jego noga również była nogą żaby. Więc obrał ją sobie ze skóry, jak to kiedyś robił z nogą żaby.

- Nie! - wrzasnęła Madeleine.

Na jego nodze nie było żadnej rany. W dłoni nie miał już szkła. Na brzuchu nie pozostał najmniejszy ślad po ukłuciu. Szklanka po soku pomarańczowym leżała na podłodze, gdzie pewnie musiał ją upuścić, kiedy za sprawą Madeleine pomyślał, że to ona wyjęła mu ją z ręki.

Na czworakach podszedł do miejsca, gdzie Mad stała wtedy, gdy wylał jej na głowę sok. Ujrzał tam rozlaną szeroko kałużę, co świadczyło o tym, że na podłogę spadł pojedynczy strumień soku, na którego drodze nie znajdowało się żadne ludzkie ciało. Udało mu się wrócić do rzeczywistości.

Co oznaczało, że utracił swoją ukochaną.

- Madeleine - szepnął.

Z łóżka dobiegł go jej głos, zimny i zły.

- Wciąż tu jestem.

Cofnął się przerażony, usiadł na dywanie i spojrzał na nią. Siedziała na łóżku, układając włosy i przeglądając się w małym lusterku.

- A więc twoja zmarła siostra powiedziała ci, że jesteś silny - odezwała się. - Punkt dla ciebie.

- Kim ty naprawdę jesteś? - zapytał. - Bądź ze mną szczerą, dobrze? Kim jesteś i dlaczego wybrałaś sobie właśnie mnie?

- Nazywam się Madeleine Cryer Fears - powiedziała. - Jestem twoją żoną.

- Przecież ty nie istniejesz i nigdy nie istniałaś.

- Ach tak? A więc z kim się kochałeś we wszystkich ważniejszych miastach całej Ameryki?

- Ze złudzeniem - odparł. - Kochałem złudzenie.

- Zła odpowiedź, Quentinie - powiedziała. - Ja jestem prawdziwa. Jestem najprawdziwszą prawdą, wyciągniętą z najtajniejszych zakamarków twojego serca. Jestem spełnieniem wszystkich twoich marzeń.

- Czego chcesz ode mnie?

- Tego, czego pragnie każda normalna żona. Chcę mieć kogoś, kogo mogłabym kochać. Kogoś, kto kochałby mnie. Chcę zaufania. Wierności. Wspaniałej przeszłości. Chcę urodzić ci dzieci.

- Zamknij się!

- Czy mam rozumieć, że zmieniłeś zdanie, jeśli chodzi o dzieci? Tacy są właśnie wszyscy faceci, kapryśni i zmienni. Ale ja mogę zaczekać. Nie bój się, nie będę próbować żadnych sztuczek... nie będziemy mieli dzieci zanim nie poczujesz, że naprawdę jesteś gotów, by zostać ojcem.

- Nigdy nie dajesz za wygraną, prawda?

Pochyliła się do przodu i ułożyła na kanapie niczym jaszczurka, przechylając się przez oparcie tak, że patrzyli na siebie twarzą w twarz.

- Zdradzę ci pewien sekret, kochanie - wyszeptała. - Jestem równie rzeczywista, jak jakakolwiek inna żona. Jak myślisz, czym jest małżeństwo? To przecież jedno wielkie udawanie. Twoja mama udaje, że nie przeraża ją wybuchowy temperament ojca. Twój ojciec udaje, że wcale nie ma wszystkiego dość, kiedy mama najpierw doprowadza go do szału, a potem dziwi się, dlaczego tak się wścieka. Oboje udają, że są ze sobą szczęśliwi, podczas gdy tak naprawdę czują się rozpaczliwie samotni, ponieważ w trzecim tygodniu małżeństwa zdali sobie sprawę, że wcale się nawzajem nie znają i nigdy nie zdołają się poznać, w związku z czym przez resztę życia pozostaną sobie obcy. Ale tak nie można żyć, nikt nie jest w stanie tak żyć. Widziałam wiele tysięcy małżeństw, więc wiem co mówię. Żadne z małżonków nie może dać sobie rady z faktem, że związało się z absolutnie nieznanym człowiekiem, dlatego co przyzwoitsi, ci, którzy pragną być w porządku, udają takich partnerów, jakich według nich, pragną mieć ich małżonkowie, a następnie udają, że wierzą w podobną udawaną tchże małżonków. Jedyna różnica między nimi a mną polega na tym, że w takim udawaniu nikt mi nie dorówna. Kiedy staram się być dokładnie taką żoną, jakiej pragniesz, jestem nią. Naprawdę nią jestem. To cały sens mojej egzystencji. A kiedy udaję, że kocham cię takiego jakim jesteś, rzeczywiście takiego cię kocham. Jestem całkowicie skupiona na spełnianiu twoich pragnień: dowcipna, kiedy chcesz dowcipkować, seksy, kiedy masz ochotę na seks, wzruszona do łez, kiedy pragniesz sentymentalnych uniesień i atrakcyjna, kiedy chcesz się ze mną publicznie pokazać. Jestem twoją prawdziwą żoną.

- Ty nic nie wiesz - powiedział Quentin.

- Wiem wszystko o tobie.

- Wiesz, jak mieć nade mną władzę. I rzeczywiście, zawładnęłaś mną całkowicie. Tańczyłem, jak mi zagrałaś. Jadłem ci z ręki. Wystarczy dać chłopczkowi dokładnie to, o czym marzy, a będzie służył

jak piesek i błagał o więcej.

- Teraz to ja cię błagam - powiedziała.

- Jesteś kobietą, która nie zostawia śladów na śniegu - powiedział. - Kobietą, przez którą sok przelatuje swobodnie na podłogę.

- Wydaje ci się, że we mnie nie wierzysz.

- Bo tak jest.

- Dlaczego więc wciąż tu jestem?

- Właśnie, że cię nie ma - powiedział.

Wstał. Na początku przez chwilę zachwiał się na nodze, którą pociął sobie odłamkiem szkła. Tyle, że wcale tego nie zrobił, nie było żadnych ran, więc zmusił się by nie utykać.

- Nawet kiedy nie patrzysz na mnie, ja tutaj jestem - powiedziała.

Poszła za nim do sypialni i oparła się o futrynę. Zatrzaskała za sobą drzwi, a te przeszły przez nią nie czyniąc jej szkody. Znalazła się po ich wewnętrznej stronie, razem z nim w pokoju.

- Nie lubię, kiedy robisz coś takiego - powiedziała.

- Kiedy trzaskam drzwiami?

- Myślę, że przez cały ten czas byłam wobec ciebie uczciwa.

- Ty? - Quentin z powrotem zakopał się w pościeli. - Ty jesteś wcieleniem nieuczciwości.

- Wcale nie musiałam przychodzić do ciebie z miłością, wiesz?

Odwrócił się od niej, wyciągnął rękę i wyłączył światło. Teraz jedynie blady poblask, wsączający się do środka przez niewielkie szpary w roletach, oświetlał pokój.

- Mogę znaleźć inne rzeczy w twoim umyśle - powiedziała. Quentin gwałtownie zrzucił z siebie kołdrę. Pół tuzina ogromnych, błyszczących pajaków pędziło po prześcieradle i wspinało się na jego nogi. Szybkim ruchem stoczył się z łóżka na podłogę.

- Wiem, że te pajaki w rzeczywistości nie istnieją - powiedział, dysząc ze strachu.

- A czymże jest rzeczywistość? - Usłyszał w odpowiedzi posępny, męski głos. Po chwili zaś jakaś ogromna ręka zacisnęła mu się na szyi, uniosła go w górę i cisnęła z powrotem na łóżko. Kiedy leżał na plecach z bezradnie rozrzuconymi rękami i nogami, jakaś potężna, biała i ociekająca śluzem sylwetka, z ogromną ropiejącą raną zamiast twarzy, podniosła drugą rękę i z całej siły uderzyła go, celując w pachwinę. Quentin wrzeszczał przerażony, aż monstrum ścisnęło mu gardło tak, że nie mógł

wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

Nic się nie dzieje, mówił sobie. Problem polegał na tym, że należało w to uwierzyć. Jeśli będę wierzył w to, co widzę, ona zabije mnie moim własnym strachem. Muszę przestać walczyć, bo w pokoju nic nie ma. Tak, jak wcale nie było stłuczonej szklanki. Tak, jak nie było ran na mojej nodze. Gardło ściska mi paniczny strach, a nie czyjaś ręka, ponieważ tu nie ma żadnej ręki.

Oddychaj powoli, pozwól by powietrze powoli wydostało się na zewnątrz, a potem powoli wciągnij następną porcję. W pokoju nie ma nikogo prócz mnie. Jestem sam w swoim łóżku.

Otworzył oczy. Potwór zniknął.

Ale teraz Madeleine leżała na nim, z głową przytuloną do jego piersi, pomiędzy nogami czuł jej talię, widział jej długie włosy spływające w nieładzie na prześcieradło. Czuł ciepło jej ciała. Czuł, jak bije jej serce. Owładnęła nim ogromna tęsknota. Podniósł dłoń, pragnął pogłodzić Madeleine. Ale zatrzymał się. Nie robi tego. Podłożył sobie dłonie pod głowę, splatając palce. Ten jej obraz zniknie tak samo, jak obraz potwora.

- Proszę, proszę, jaki z ciebie silny gość - szepnęła. - Jaki dzielny, z jakim uporem trzyma się rzeczywistości. Nigdy nie byłbyś w stanie zrealizować swoich marzeń.

Uniosła się na nim. Ale nie tak, jak każda normalna kobieta, opierając się na łokciach. Raczej przypominała marionetkę, którą odciągnięto do tyłu za sznurki. Bo rzeczywiście stała się marionetką, lalką, której twarz i nagie ciało należały do Madeleine, ale zamiast stawów miała mechaniczne złącza, a szczęka poruszała się na cienkiej żyłce.

- Czy, jeśli pewnego dnia dojdę do wprawy, uda mi się zostać prawdziwą dziewczyną? - spytała.

I zaraz potem zniknęła.

Quentin leżał na łóżku, ciężko dysząc, wyczerpany fizycznie i emocjonalnie.

- Och, Lizzy, udało się - wyszeptał.

Obrócił się na bok, a potem na brzuch, podkurczył jedną nogę, zaś zwiniętą w pięść dłoń podłożył pod brodę, przybierając pozycję, w jakiej zawsze spał od czasów, gdy był małym chłopcem. Ale oczy miał wciąż szeroko otwarte. Nic nie widząc. Widząc wszystko.

TEN, KTÓRY UWIERZYŁ

- Przykro mi Quentin, ale musiał chyba zauważyć, że go śledzimy - powiedział Wayne. - Zawrócił dwa razy i zgubiliśmy go.
- Go? - To już coś, pomyślał Quentin. Przynajmniej wiemy, że to mężczyzna.
- Facet w mundurze firmy kurierskiej. Miałaś rację, nie poprzestała na zwykłym znaczku.
- Faceci z firm kurierskich nie kluczą, żeby urwać się tym, którzy ich śledzą.
- Masz rację. Chłopcy byli pewni, że to zwykły kurier, i że jedyne, co im pozostało, to wysledzenie dokąd zawiezie wiadomość. Ale wtedy on zrobił zwód i tyle go widzieli.
- W każdym razie wiadomość dotarła do adresata - powiedział Quentin.
- Miałaś telefon?
- Wizytę.
- No i?
- Niczego się nie dowiedziałem - odparł Quentin z goryczą.
- Jak to niczego się nie dowiedziałeś? Kto to był?
- Madeleine.
- A więc żyje?
- Wayne, to nie ta Madeleine o jakiej myślisz, kobieta z krwi i kości. To była ta Madeleine, która nie zostawia śladów na śniegu.
- Quentinie, bardzo chciałbym ci pomóc, ale wcale nie ułatwiasz mi tego zadania.
- Jeśli chcesz, możesz nadal wierzyć, że oszalałem, Wayne. Ale nie przerywaj śledztwa.
- Quentinie, ja naprawdę próbuję ci uwierzyć Ale znasz mnie, jestem adwokatem. Potrafię zachowywać się tak, jakbym wierzył mojemu klientowi, niezależnie od tego, czy rzeczywiście mu wierzę, czy nie. Nauczyłem się tego, oglądając proces O. J. Simpsona.
- W porządku, Wayne. Wszystko jest super.
- To znaczy co.

- Wizyta Madeleine. Mój adwokat, który nie może mi uwierzyć, chociaż stara się z całych sił. Detektywi, gubiący kuriera. Nawet jeśli niczego nie znajdą, chcę żeby śledztwo szło pełną parą.
- A właśnie, skoro już o śledztwie mowa, tamten dom zapisany jest na nazwisko niejakiej Anny Laurent Tyler. Prawdopodobnie odziedziczyła go po swojej matce, Delii Forrest Laurent, której z kolei został on zapisany w testamencie przez zmarłego małżonka. Zbudował go także jakiś Laurent, w początkach dziewiętnastego wieku.
- Masz adres Anny Laurent Tyler? - Quentin zapisywał podawane nazwiska. Przypomniał sobie, że na cmentarzu widział jakąś Delii Forrest Laurent, Oddaną Żonę, dzielącą nagrobek z Theodorem Aureliusem Laurentem, Ukochanym Mężem.
- Jasne - odpowiedział Wayne - ale jest to adres tego domu.
- Anna Laurent Tyler. To już coś. Szef policji w Mixinack powiedział mi, że staruszka ma zamężną córkę. Prawdopodobnie nie wyszła za żadnego Duncana, ale może uda nam się znaleźć jego prawdziwe nazwisko w lokalnych gazetach. Trzeba przeszukać ogłoszenia i znaleźć to o panie Tyler, wydawanej za mąż przez swą matkę, Annę Laurent Tyler.
- Kiedy to mogło być?
- Zaczęlbym od gazet sprzed trzech lat, sukcesywnie cofając się w tył. Skąd mogę wiedzieć, kiedy to było? Jeśli dziś dowiem się czegoś więcej od komendanta Bolta, na pewno cię poinformuję.
- Dziś? - zdziwił się Wayne.
- Udaję się z powrotem do stanu Nowy York. Do Mixinack.
- Oszalałeś? Co cię napadło?
- Och, napadło to mało powiedziane. Coś ściga mnie i depta po piętach, gdziekolwiek się ruszę. Pomyślałem więc sobie, że w jaskini lwa będzie równie bezpiecznie, jak gdzie indziej.
- Czy mam przez to rozumieć, że już nie tęsknisz za swoją żoną, tak jak myślałeś?
- Powiedzmy, że ostatnie spotkanie było wyjątkowo bolesne.
- Współczuję ci, Quentin.

Posterunek, któremu szefował komendant Bolt mieścił się w pięknym, starym budynku, typowej siedzibie władz miejskich, wzniesionej z ogromnych kamieni, z klasycznymi kolumnami i lwami, strzegącymi wejścia. Na tyłach budowli stały dwa policyjne wozy, zaparkowane na zarezerwowanych miejscach. Quentin postawił wynajętego Taurusa na jednym z miejsc przeznaczonych dla interesantów, wszedł do środka i zaczął błądzić po piętach w poszukiwaniu posterunku. Najwyraźniej znalazł się w jednym z tych małych miasteczek, w którym wyznawano zasadę, że jeśli nie wiesz gdzie coś się mieści, najprawdopodobniej nie masz żadnego interesu, by to znaleźć. Na pewno poprosiłby o jakieś wskazówki, ale w budynku nie było absolutnie nikogo. Jednak

w którymś z pomieszczeń ktoś pisał na maszynie. Po krótkich poszukiwaniach udało mu się ustalić, że rytmiczne stukanie dochodzi zza drzwi bez żadnego oznaczenia, znajdujących się w podziemiach. Zapukał.

- Proszę wejść - usłyszał kobiecy głos. Wsunął głowę przez drzwi.

- Ja tylko szukam posterunku policji.

- Właśnie go pan znalazł.

- To tutaj? Naprawdę?

- Przecież mówię.

- Jestem umówiony z komendantem Boltem.

Sekretarka palcem wskazała na znajdujące się za jej plecami zamknięte drzwi i wróciła do przerwane go pisanie. Quentin nie zdawał sobie sprawy, że maniere rodem z przestronnych gmachów nowojorskiej biurokracji zdołały się rozpowszechnić, aż tak daleko na północ.

Quentin zapukał do drzwi komendanta, na których również nie było żadnej wywieszki. Tym razem do środka zaprosił go męski głos.

Bolt był potężnym chłopem o włosach ostrzyżonych po wojskowemu, na zapałkę, ale nie miał w sobie ani śladu surowości, która zawsze kojarzyła się Quentinowi z takim wyglądem. Ubrany był w mundur nieco przyciasny, jak na mężczyznę o jego posturze, i trochę wygnieciony. Jego twarz zdawała się promienić ciepłem, jak u człowieka obdarzonego poczuciem humoru. Rzecz raczej niezwykła u policjanta.

- Czołem, jestem Quentin Fears.

Bolt kiwnął głową, ale nie podniósł wzroku znad jakiegoś formularza, który pracownice wypełniał. Z tym ciepłem, to jednak pomyłka, pomyślał Quentin.

Po chwili jednak zdał sobie sprawę, że nie jest to żaden formularz, tylko zwykła krzyżówka.

- Lęk na pięć liter z B w środku.

- FOBIA - odparł machinalnie Quentin.

- Przez "jot"

- Przez "i"

- Ach "FOBJA" - zawołał Bolt wyraźnie wymawiając jot.

- Jeszcze w czymś pomóc? - spytał Quentin.

- I tak, wcześniej czy później, sam bym się domyślił. - Podniósł wzrok na Quentina. - Sądząc po głosie myślałem, że jest pan starszy.

- Nieprawda, mam głos w sam raz jak na mój wiek - odparł Quentin. Tak samo, jak podczas telefonicznej rozmowy Quentin podchwycił bezpośredni styl Bolta i jego przekorny ton.

Bolt wyszczerzył zęby w uśmiechu. Rzeczywiście, miał w sobie dużo ciepła.

- Przebieg naszej rozmowy był tak zachęcający, że sądziłem, iż po takim wspaniałym początku, nigdy pana nie zobaczę.

- Cóż, kto raz odwiedzi Mixinack, wróci tutaj, tak czy siak. - To powinno być nasze hasło reklamowe. Trzeba by je ustawić na tablicy przy wjeździe do miasteczka.

- Takie hasła mogę wymyślać milionami.

- Proszę, niech pan siada, panie Fears. - Ton jego głosu był teraz przyjazny. Instynktowne przecucie nie myliło Quentina. Bolt lubił facetów, którzy tak jak on, lubowali się w słownej szermierce.

Quentin usiadł i rozejrzał się po pomieszczeniu. Biuro było starannie wysprzątane, choć ściany i wszystkie sprzęty wyglądały na solidnie podniszczone i sfatygowane. Zaś na biurku, w przeciwieństwie do tego, co Bolt mówił mu przez telefon, znajdowało się niewiele papierów.

- Widzę, że jest pan zavalony robotą.

- Jak na rosnącą falę przestępczości, radzimy sobie całkiem nieźle.

- Panie komendancie, chciałem zadać panu parę pytań?

- Naprawdę? Tylko parę? Nie mógł pan zadzwonić?

- Pomyślałem sobie: przysługa za przysługę, a pan też miał przecież do mnie jakieś pytania.

- Mimo to, starczyłby telefon. Po co przyjechał pan aż tutaj?

- Ponieważ, jeśli otrzymam odpowiedzi na moje pytania, chciałbym natychmiast wykorzystać zdobyte informacje w praktyce.

Bolt pokiwał głową.

- Ja też zawsze tak robię. Znalazł pan już swoją żonę?

- Prawdę mówiąc, widziałem się z nią zeszłej nocy. Odnalazła się.

Bolt znowu pokiwał głową, ale tym razem nieco wolniej.

- To dobrze. Dlaczego nie przyjechała z panem?

- Nie powiedziałem wcale, że do mnie wróciła. Tylko, że się odnalazła.

Bolt westchnął i wyrecytował:

Miłość to sprawa zawiła i pokrętna
Ta, której pragniesz, jest niedostępna
Ta, którą masz, już dawno się znudziła
Miłość, to sprawa pokrętna i zawiła.

- Moja wybranka nie zdążyła mi się znudzić.

- Podoba się panu ten wierszyk? Sam go napisałem.

- Naprawdę? Wydaje mi się, że gdzieś już go wcześniej słyszałem.

- No tak, to prawda. Dlatego właśnie pracuję na policji w Mixinack, zamiast zbierać hołdy wśród nowojorskiej śmietanki literackiej.

- Chce pan usłyszeć moje pytania?

- Zamieniam się w słuch.

- Gdzie jest Anna Laurent Tyler?

- W domu spokojnej starości.

- A gdzie jest ten dom? Bolt wolno pokiwał głową.

- A co pan zamierza zrobić, gdy się pan dowie?

- Pojadę zobaczyć się z nią.

- To się na nic nie zda - orzekł Bolt.

- Jeszcze pan nie wie, co jej chcę powiedzieć.

- Jeśli o mnie chodzi, może jej pan nawet zaśpiewać arię z "Traviaty".

- A jak to idzie, tenorem czy basem? - spytał Quentin.

- Ona bardziej przypomina warzywo niż człowieka, synu - powiedział Bolt. - Może pan więc mówić, co panu ślina na język przyniesie, ale to się i tak na nic nie zda.

Quentin poczuł, że w płucach brakuje mu powietrza.

- To niemożliwe - powiedział.

- Możliwe jak najbardziej - odparł komendant. - O, niech pan spojrzysz tutaj. Słowo, które krzyżuje się z "fobią", przy "i" to "Traviata". A ja przed chwilą mówiłem o "Traviacie".

- Jeden z wielu cudów, jakie zdarzają się każdego popołudnia w Mixinack.

- Chce się pan z nią zobaczyć mimo wszystko?

- Wcześniej czy później i tak dowiem się gdzie przebywa, ale zamiast zmuszać wynajętych przeze mnie detektywów, do wydzwaniania po wszystkich zarejestrowanych domach spokojnej starości w całym stanie, czemu po prostu nie poda mi pan adresu?

- Zrobię nawet więcej. Zawiozę tam pana.

- Radiowozem? A zapali pan koguta i włączy syrenę?

- Pańskim wozem. Myślał pan, że mam zamiar marnować miesięczny przydział benzyny na darmowe przejażdżki dla milionerów?

- Kiedy może pan pojechać ze mną?

- Teraz - odpowiedział Bolt, odpychając się od biurka. - Nie jadłem jeszcze lunchu. Lubi pan chili?

- Nie - Quentin wyszedł za nim na korytarz.

- To dlatego, że nie jadł pan chili "U Belli". Czy naprawdę przyjechał pan tutaj w tej kurteczce?

- Tak.

- Nikt panu nie mówił, że mamy już zimę?

- Nie planuję dalekich wędrówek na świeżym powietrzu.

- Tu, na północy, w zimie zawsze powinien pan być ubrany tak, jakby miał pan przejść w szalejącej zawiei odległość dziesięciu mil pomiędzy domem a samochodem, który utknął w zaspie.

- Tak powinien być ubrany mój kierowca. Mój ubiór winien wystarczyć na siedzenie w limuzynie i raczenie się szampanem do czasu, gdy szofer wróci z pomocą.

Wyszli na zewnątrz. Quentin poprowadził ich do Taurusa.

- A więc to był żart - powiedział Bolt. - Nie ma pan kierowcy.

- A pan nie ma ciepłego płaszcza.

- Ale ze mnie dureń - powiedział Bolt.

Miał rację, gdyż śnieg rozpadał się na całego.

Wyjechali z parkingu, a Bolt wskazywał mu drogę i po chwili znaleźli się na dwupasmowej szosie wiodącej na południe, obok domu Laurentów. Quentin natychmiast zorientował się, że w ogóle nie jadą do domu spokojnej starości. Rzecz jasna, kiedy dotarli do na wpół ukrytego wylotu alejki, Bolt skierował go w lewo i poprosił, by podjechał pod sam dom.

- Od czasu kiedy tu byłem po raz ostatni, przybyło kilka nowych śladów opon - zauważył Quentin.

- Tak, to moje - odrzekł Bolt. - Musiałem przyjechać tu i sfotografować ślady, zanim śnieg je przysypał.

- Aha - powiedział Quentin. - Dowody?

- Oczywiście. Tyle tylko, że nie wiem czego właściwie mają dowodzić. Zwłaszcza teraz, kiedy pańska żona jest już z powrotem w świecie żywych.

- Żywych, dobre sobie - powiedział Quentin, po czym dodał: - To tylko żart.

- Zrozumiałem. Pierwszy raz słyszałem to chyba w jakimś filmie kostiumowym z Andym Devine. A może on to mówił w którymś z telewizyjnych odcinków *Rin Tin Tina*, kiedy byłem mały. Czy Andy grał w tym serialu?

- Nie mam pojęcia. Nie było mnie jeszcze na świecie -oznajmił Quentin.

Wyszli z samochodu i Quentin posłusznie podążył za policjantem po schodach, prowadzących do frontowych drzwi.

- Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu drobnemu opóźnieniu? - spytał Bolt.

- Raczej się go spodziewałem - odparł Quentin.

- Chciałem tylko, żeby oprowadził mnie pan po miejscach, które odwiedził pan spędzając noc w tym domu.

- Czy potrzebuję adwokata?

- A nie ma go pan?

- Chodzi mi o to, czy potrzebuję mieć go tutaj, ze sobą.

- Nie mam zamiaru aresztować pana za naruszenie własności prywatnej, panie Fears. W związku z tym nie ma potrzeby wzywania adwokata.

- Czy naprawdę wyglądam aż na takiego głupka?

- Zabawny z pana facet, panie Fears.

Stali pośrodku hollu wejściowego. Quentin rzucił okiem na kominek, ale nie dostrzegł w nim gadających szcurków. Na drzwiach do salonu nie było żadnych napisów. A z komendanta był kawał chłopca i w dodatku miał broń. Wszystko to sprawiło, że wkraczając do pomieszczenia, czuł się dużo pewniej niż za pierwszym razem.

- Ostatni raz widziałem ten holl w dniu, kiedy pani Tyler wyjechała do domu spokojnej starości - oznajmił Bolt.

- Założę się, że wyglądało tu wtedy nieco schludniej.

- O wiele schludniej. Dzisiaj rano mieli przyjść szklarze, żeby wstawić szybę w jedno z okien biblioteki. Była wybita, wie pan.

- Wiem.

- Zawsze wchodziłem tylnymi drzwiami. Na parterze. Była tam rampa, prowadząca do kuchni. Obok znajdowały się różne magazyny i narzędziownia.

- Pracował pan tutaj kiedyś?

- Jako dzieciak. Zacząłem od pomocy przy pieleniu, kiedy byłem bardzo mały. Wtedy nie wynaleziono jeszcze tych wszystkich chemicznych preparatów, więc za wrywanie mlecza z trawników, miejscowa dzieciarnia zawsze miała forszę na kino, przez całe lato. Ale ja przychodziłem tu częściej, aż w końcu pozwolono mi strzyc trawę, a potem zostałem pomocnikiem ogrodnika. Dzięki temu sfinansowałem sobie college. Ileż to razy odgarniałem śnieg z frontowego ganku. To była cholerna robota.

- A więc ów dom, to dla pana coś więcej, niż tylko posiadłość sąsiadów.

- W tym domu po raz pierwszy w życiu całowałem się z dziewczyną - westchnął Bolt. - Zejdźmy na dół. Bardzo ciekawi mnie, co pan robił w kuchni,

Quentin poszedł za nim. Po drodze Bolt przekręcał kolejne włączniki.

- Jest światło? - spytał Quentin.

- Mam nadzieję - powiedział Bolt. - Wczoraj kazałem podłączyć prąd. Chciałem zobaczyć więcej, niż pozwalało na to światło latarki.

Przy włączonym świetle schody i korytarz wyglądały tak samo, jak tej nocy, kiedy Madeleine prowadziła go do suterenu na nocną przekąskę. Ale kuchnia wyglądała inaczej. Quentin wyraźnie pamiętał, że na środku stał stół. Tymczasem na podłodze widać było jedynie wyraźnie odcinającą się plamę, w miejscu gdzie ktoś usiadł na brudnym i zakurzonym linoleum.

- Wszedł pan tu, po ciemku lub z latarką - powiedział Bolt - podszedł pan do lodówki, a potem do szafek. Ale lodówka, jak pan widzi, jest zamknięta na zamek i nikt jej nie otwierał. Więc po co było do niej podchodzić? I to dwukrotnie, widzi pan? Dwukrotnie.

Quentin przypomniał sobie, jak wyciągał musztardę, majonez, kilka kawałków krojonego mięsa i główkę sałaty. Potem wrócił jeszcze po pikle, kiedy Mad nabrała na nie ochoty.

- W tej szafce trzymano chleb - powiedział Bolt - i do niej właśnie pan podszedł. Do szafki z chlebem, a potem do szuflady ze sztuccami. Widzi pan? Tyle że... nie ma tu ani chleba, ani sztucców.

Otworzył drzwiczki do pustej szafki, wysunął pustą szufladę.

- A to pech - powiedział Quentin.

- Następnie usiadł pan na podłodze. I to dokładnie w miejscu, gdzie kiedyś stał kuchenny stół. Więcej, dokładnie w miejscu, gdzie stało krzesło na szczycie stołu. Na tym krześle mógł siadać wyłącznie majordomus. Kucharka bardzo o to dbała, by nikt inny - a już na pewno nie spocony pomocnik ogrodnika - pod żadnym pozorem nie siadał na tym krześle.

- Pewnie kierowała nią troska o czystość umeblowania.

- Dlaczego usiadł pan na podłodze, panie Fears? I co znalazł pan w tych szafkach?

Quentin wzruszył ramionami.

- No i proszę - powiedział Bolt. - Chce pan żebym dał odpowiedź na pańskie pytania, lecz pan nie ma zamiaru odwdzińczyć mi się tym samym.

- Po co mam dawać odpowiedzi, w które i tak pan nie uwierzy.

- Odpowiedzi, w które i tak nie uwierzę stanowiłyby znaczący krok naprzód. Ponieważ, jak dotąd, nie wierzę jedynie w to, że wczoraj widział pan swoją żonę żywą.

Quentin pokręcił głową.

- Jeśli oglądał pan uważnie serial z porucznikiem Columbo, to zapewne zauważył pan, że najpierw miał ciało nieboszczyka, a potem dopiero zaczynał śledztwo w sprawie morderstwa.

- Nie mówiłem nic o morderstwie - powiedział Bolt.

- Podzielił się pan ze mną swą niewiarą w to, że wczoraj widziałem moją żonę żywą. A ja oznajmiam panu, że była równie żywa, jak kiedykolwiek przedtem.

Bolt otworzył wszystkie szafki, a następnie usiadł na jednym z usmolonych blatów.

- W tym właśnie miejscu całowałem się po raz pierwszy w życiu. W tej kuchni. Siedziałem tak jak teraz, na blacie.

- Z kucharką? - spytał Quentin.
- Z córką właścicielki. Z Roweną Tyler.
- Ile lat? - spytał Quentin.
- Co ile lat? - Najwyraźniej wybił komendanta ze słodkich wspomnień.
- Ile lat mieliście. Rowena. Pan.
- Ja miałem dwadzieścia dwa. I niech pan nie pyta, dlaczego w takim wieku był to mój pierwszy pocałunek.
- Ja po raz pierwszy całowałem się znacznie później, panie komendancie - oświadczył Quentin.
- A ona miała piętnaście.
- Więc dla niej też był to pierwszy raz?
- Nie pytałem. Biorąc pod uwagę niewinność tego pocałunku, to raczej tak. Dziękuję, że powstrzymał się pan od uwag na temat różnicy wieku.
- Pewnie był to romans w stylu *Kochanka Lady Chatterley* w wersji dla młodzieży.
- Nigdy nie czytałem tej książki. Pachniała strasznym nudziarstwem w porównaniu z tym, co można było przeczytać w czasopiśmie *Szczerze Wyznania*, które ja i moi koledzy przeglądaliśmy ukradkiem w aptece, kiedy mieliśmy po dwanaście lat.
- A więc ta kuchnia jest dla pana miejscem pełnym wspomnień.
- Rowena, gdziekolwiek teraz jest, musi być w pana wieku.
- Obawiam się, że nigdy nie miałem okazji jej poznać.
- Wyszła za mąż i wyjechała stąd, nie miała jeszcze dwudziestki. Pani Tyler wiedziała, jak sądzę, że coś było między nami, gdyż przez pierwszych kilka lat nigdy nie wspominała Roweny w mojej obecności. Aż w końcu pewnego dnia zrobiła to, a ponieważ nie padłem rażony bólem, od tamtej pory informowała mnie na bieżąco, co się dzieje u córki. Podobno w osiemdziesiątym czwartym urodziła dziecko, córeczkę. W tym roku będzie miała dwanaście lat.
- Kobieta, z którą wziąłem ślub była znacznie starsza.
- Ale młodsza od Roweny.
- Zdecydowanie.
- Czy mógłby mi pan to jakoś wyjaśnić, panie Fears.

- Widzi pan, w tym właśnie miejscu możemy wejść w sytuację konfliktową, panie komendancie. Panu wydaje się, że ja rozumiem co zaszło w tym miejscu, ale nie chcę tego panu powiedzieć.
- Czy to nie są pańskie ślady?
- Założę się, że moje.
- A odcisk zadka na podłodze również należy do pana?
- Nie byłbym tym zaskoczony.
- Gdy nie ma prądu, na schodach panują absolutne ciemności, zarówno w dzień, jak i w nocy.
- Skoro tak pan twierdzi.
- Ale pan stawiał kroki bardzo pewnie.
- Może miałem latarkę?
- Zaś kierowca twierdzi, że kiedy wysadził pana wraz z żoną przed domem, w oknach widać było zapalone światła, zaś u dołu schodów czekał na was służący, który zabrał torby pani Fears.
- Ciekawa sprawa, jakie to szczegóły mogą utkwic w ludzkiej pamięci.
- Ten służący znał pańską żonę. Przywitał ją, zwracając się do niej po imieniu.
- Tu chyba szofer coś pomylił - powiedział Quentin. - Zwracając się do niej służący użył jej panińskiego nazwiska, które brzmi Cryer.
- Tyler.
- Cryer.
- Kierowca też tak twierdzi. Zadziwiające, nieprawdaż?
- Miałem nadzieję, że on także będzie pamiętał.
- Światła w całym domu - powtórzył Bolt.
- Nie, w całym domu nie. W paru oknach.
- To niemożliwe - oświadczył Bolt.
- Co za kłamczuch z tego kierowcy.
- Skontaktował się pan z nim przede mną?
- I przekupiłem go, żeby opowiedział panu historyjkę, która w ogóle nie trzyma się kupy? Ależ ze

mnie dureń!

Bolt pokręcił głową.

- Ta rodzina wiele dla mnie znaczy, natomiast pan wyczynia tu różne dziwne rzeczy, a ja naprawdę bardzo, ale to bardzo chciałbym wiedzieć co to wszystko ma znaczyć, bo chociaż starsza pani sprawnością umysłową z trudem dorównuje dziś pęczkowi szczypiorku, jestem jej jednak coś winien. Powiem więcej - bardzo ją lubię. Uważam ją za przyjaciółkę. A kiedy ona umrze, ten dom przejdzie na własność Roweny. A z nią łączyło mnie coś więcej. Nawet jeśli nie byłem w stanie zrobić dla niej tego, czego najbardziej pragnęła.

- To znaczy?

- Chciała żebym wyrwał ją z Mixinack. Quentin pokiwał głową.

- Małomiasteczkowy blues.

- To prawda, jestem małomiasteczkowym facecikiem. Mam małomiasteczkowe marzenia. Powiedziałem, że pojadę z nią do wielkiego miasta, a wtedy ona spytała: "I co tam będziesz robił?", a ja nie miałem na to dobrej odpowiedzi.

- Przecież tam też mają gliniarzy.

- Tak, ale tamci gliniarze tyrają na życie jak woły. A ja nie byłem jeszcze wtedy gliniarzem, pamięta pan? Byłem pomocnikiem ogrodnika.

- Miłość skazana na bolesny koniec.

- Chodzi mi o to, panie Fears, że pan wygląda na jakiegoś komputerowego świrusa, ja zaś jestem naprawdę silnym facetem i jeśli nie nabędę pewności, że nie ma pan zamiaru w żaden sposób zaszkodzić tym ludziom, używając swoich milionów, prywatnych detektywów i adwokatów, zrobię z pana mokrą plamę tu, w tej kuchni.

- Prawdę powiedziawszy, żywiłem nadzieję, że pan będzie bronił mnie przed nimi.

- To są uczciwi ludzie, a pan jest bogatym, kłamliwym dupkiem.

- Panie komendancie, wiem, że nie uwierzy mi pan, kiedy powiem panu prawdę. Jest dla mnie oczywiste, że milczenie również pana nie usatysfakcjonuje, więc najlepiej będzie jeśli skłamię pan, że mi pan uwierzy, a wtedy ja wszystko panu opowiem. Zresztą zrobię cokolwiek, byle tylko uniknąć pobicia.

- Myślisz pan, że tego nie zrobię? Potem możesz pan nasyłać na mnie wszystkich prawników świata. Ale myślisz pan, że mnie to powstrzyma? Myślisz pan, że tego nie zrobię?

- Zrobi to pan, albo i nie. Jeśli zdecyduje się pan na mnie ruszyć, będę tu stał dopóki mnie pan nie powali na ziemię. Nie mam zamiaru podnosić na pana ręki, ponieważ jest pan stróżem prawa, a

ponadto jeszcze nigdy w życiu nie podniosłem na nikogo ręki i nigdy nie dopuściłem się przemocy wobec żadnej osoby.

- Jest pan kwakrem?

- Raczej mięczakiem - odparł Quentin. - Niech pan da spokój, komendancie, przecież pan mnie lubi, a ja lubię pana. Rozumiem, dlaczego pan mi grozi, ale nie mam zamiaru opowiadać historii, które na pewno doprowadzą pana do jeszcze większej furii. Wystarczy mi widok pana w obecnym stanie. Jeśli pobije mnie pan w tej chwili, myślę, że jakoś się wyliżę bez pomocy chirurga.

Policjant zsunął się z blatu i zrobił krok w jego kierunku. Quentin nie cofnął się, chociaż groźby komendanta naprawdę go przeraziły. Jeszcze nigdy w życiu solidnie nie oberwał. Ale widział pamiętną taśmę z pobiciem Rodney'a Kinga, która wywołała słynne zamieszki murzyńskie w Los Angeles. Więc wiedział, do czego może być zdolny wściekły policjant.

Komendant Bolt nie uderzył go. Zamiast tego z hukiem zatrzęsął drzwiczki szafek i wymierzył tęgiego kopniaka lodówce. Potem stanął, opierając czoło o drzwi zamrażalnika.

- Dziękuję, że mnie pan nie uderzył - powiedział Quentin.

- Nie ma za co - powiedział komendant Bolt. - Nie na pana jestem wściekły.

- Domyśliłem się. W końcu sympatyczny ze mnie facet.

- To miejsce spało mi życie. Właściwie powinienem być szczęśliwy. Mam dobrą pracę, dobrą żonę i dobre dzieci. Ale mimo to, wracam tu, a wówczas cała przeszłość znów na mnie spada. I wtedy mam ochotę kogoś skrzywdzić.

- Poznałem to uczucie.

- Naprawdę je pan poznał? Nie, mam lepsze pytanie - czy dał się pan jemu ponieść?

- Panie komendancie, nie jestem pewien kim naprawdę jest Madeleine. Ale wiem na pewno, że kiedy przyjechałem tutaj owej nocy, na podjeździe oczekiwał nas służący, a w domu paliły się światła. Mad i ja zeszliśmy na dół do tej kuchni i usiedliśmy przy stole. Ja siedziałem na szczycie, a ona siedziała po mojej prawej stronie.

- Na krześle sprzątaczk.

- Zrobiliśmy sobie kanapki. Po raz drugi podszedłem do lodówki, żeby przynieść pikle.

Bolt sięgnął w dół i gwałtownym ruchem zerwał blokadę zamka. Najwyraźniej nie był dobrze zamknięty. Otworzył na oścież drzwi lodówki.

- Niech mi pan pokaże te pikle, panie Fears! W lodówce nie było nawet półek.

- Smakowały wyśmienicie - ciągnął Quentin - ale następnego dnia, kiedy moja żona zniknęła, byłem

tak głodny, jak gdybym przyszedł do ciemnej kuchni, siedział na podłodze i nie jadł nic prócz własnych urojeń.

Bolt pokręcił głową.

- Panie komendancie, kiedy moja żona opuściła mnie, ujrzałem ten dom dokładnie takim, jakim widzi go pan teraz. Oczywiście nie widziałem kuchni. Na schodach było zbyt ciemno, żebym mógł tu zejść bez latarki, a ja nie miałem takowej przy sobie. Lecz kiedy Mad była ze mną, w domu paliły się światła. Było także jedzenie. Meble. Wszystko czyściutkie i eleganckie. Zasiedliśmy do śniadania - aczkolwiek była już raczej pora na lunch - przy stole w bibliotece. Szyby w oknach były całe. Zaś wokół stołu siedziało nas ośmioro. Babcia - tak właśnie nazywała ją Madeleine, a oprócz niej... zobaczmy czy zapamiętałem... ja i Mad, rzecz jasna, wuj Stephen, ciotka Atena - nie, naprawdę miała na imię Minerva - niejaki Simon, kuzyn Jude i wuj Paul.

- Paul? - spytał Bolt zmienionym głosem. - Jeden z członków rodziny rzeczywiście nazywał się Paul.

- Znał go pan?

- Widziałem go kilka razy, kiedy byłem małym dzieckiem. Na przyjęciu bożonarodzeniowym organizowanym przez miasto. W Wielkanoc, jak szukał prezentów od zajączka, na trawniku przed domem.

- Naprawdę? Jak wyglądał?

- Był niski - odparł policjant. - Dopiero raczkował. Umarł kiedy miał półtora roku.

- To nie mógł być ten sam Paul - stwierdził Quentin.

- Wyszedł pan na cmentarz - powiedział komendant. - Chodźmy tam teraz. Rozejrzyjmy się.

- A włączył pan tam ogrzewanie? - zapytał Quentin, ale tamten ruszył już w górę po schodach. Quentin poszedł za nim.

Śnieg padał teraz grubymi płatami, na dworze zrobiło się zupełnie gwiazdkowo. Była to miła odmiana po zacinającej, mokrej śnieżycy sprzed paru chwil. Wszystkie dawne ślady zostały zasypane. Ale wydawało się, że komendant dokładnie zapamiętał trasę wędrówki Quentina po cmentarzu.

- Na początku wygląda to tak, jakby chciał pan kogoś złapać. Sadzi pan wielkie susy - mówił Bolt. - Potem zauważył pan, że na cmentarzu nikogo nie ma, więc szuka pan drugiego wyjścia, a następnie sprawdza pan, czy ktoś nie przesadził ogrodzenia - mam rację?

- Trafił pan bez pudła.

- Później zaczyna pan oglądać nagrobki. Sprawdziłem wszystkie, przy których się pan zatrzymał. Simon, Minerva, Jude, Stephen.

- Zbieżność imion nie uszła mojej uwadze - rzekł Quentin. - Ale daty urodzin i śmierci wydały mi się zbyt odległe.

- Widzi pan ten grób? - Spytał policjant i wskazał na nagrobek dziecka imieniem Paul, które umarło przeżywszy półtora roku.

- Tak, widziałem go - powiedział Quentin.

- Paul był bratem Roweny. Ale ona nigdy go nie poznała. Kiedy przyszła na świat, nie żył już od kilku lat. Ale przychodziła tu często popatrzeć na jego grób.

- To smutne - powiedział Quentin.

- Kiedy ją pocałowałem, kiedy była pewna, że jestem w niej zakochany, wyjawiała mi pewien sekret. Wyjawiała mi powód, dla którego tak bardzo chciała uciec z tego domu.

Quentin nic nie powiedział. To było najwyraźniej bardzo ciężkie wspomnienie dla komendanta Bolta, gdyż drżał na całym ciele, a głos łamał mu się z emocji.

- Powiedziała mi, że jej brat został zamordowany. Quentin poczuł, jak jego ciało ogarnia lodowaty chłód. Ale policjant jeszcze nie skończył.

- Powiedziała mi, że to jej matka go zabiła.

Co za wspaniała rodzinka, pomyślał Quentin. Babcia ze śladami krwi na rękach.

- Założę się, że nigdy nie aresztował pan pani Tyler za tę zbrodnię - powiedział Quentin.

- Nie uwierzyłem jej. Powiedziałem Rowenie, że musiała się przestyszeć, że musiała coś złe zrozumieć. Spytałem, jakie ma dowody. Skąd mogła wiedzieć o czymś, co stało się przed jej urodzeniem. A ona po prostu spojrzała na mnie i powiedziała: "Co wiem, to wiem, Mike".

- I co dalej?

- A kiedy jej nie uwierzyłem, już nigdy więcej się ze mną nie zobaczyła. Nie przychodziła do kuchni kiedy kończyłem moją robotę. Przez kilka dni kręciłem się blisko domu, czekając. Przychodziłem wcześniej i zostawałem do późna. Robiłem co mogłem, ale nigdy więcej jej nie ujrzałem.

- Chowala się przed panem?

- Nie mogłem nawet o nią zapytać, bo gdybym zadał jakiegokolwiek pytanie, dałbym tym do zrozumienia, że we własnym mniemaniu mam prawo do zadawania takowych w tym domu, a ja przecież byłem zaledwie pomocnikiem ogrodnika. Ale nie musiałem pytać, wiedziałem, co chciała mi powiedzieć. Rzuciłem tę robotę i zostałem policjantem w Albany, mieście zbyt dużym, jak dla mnie, więc po kilku latach, kiedy zwolniło się stanowisko, które zajmuję obecnie, zostałem na nim zatrudniony. W ten sposób wróciłem do Mixinack i po prostu nie potrafiłem trzymać się z daleka od tego domu, więc często zatrzymywałem się tutaj, a pani Tyler rozmawiała ze mną i przekazywała mi

wieści o Rowenie, nieodmiennie wyrażając żal, że nie zastałem córki w domu. Potem Rowena wyszła za mąż, a resztę już pan zna.

- Czy nadal wierzy pan staruszce?

- Miałem pięć lat, kiedy Paul Tyler zginął. Ale przejrzałem wszystko, co na ten temat mamy w naszej bibliotece. W tamtych czasach lokalna gazeta Mixinack była dziennikiem i cała historia przez tydzień nie schodziła z pierwszej strony. To była prawdziwa tragedia. Szofer, cofając samochodem najechał na dziecko. Nie zauważył, że szczeniak podpełzł na czworakach pod tył wozu w chwilę po tym, jak uruchomił silnik.

- To nie wygląda mi na morderstwo.

- Szofer natychmiast wyjechał do Anglii. Biedak omal nie oszalał. Nie było go tu w czasie dochodzenia. Rodzina wcale go nie winiła, nawet zapłacili mu za podróż. Był jedynym świadkiem.

- Ale któż mógł podawać w wątpliwość przebieg całego zajścia?

- No proszę. I kto to mówi. Kierowca limuzyny w pełni potwierdza pana zeznania jeśli chodzi o światła w całym domu i witającego lokaja, a także jeśli chodzi o żonę, która twierdziła, że wychowała się w tym domu. Pan twierdzi ponadto, że jadł śniadanie z ludźmi, których imiona widnieją na cmentarnych nagrobkach. Wśród nich był także chłopiec, o którym Rowena mówiła mi, że został zamordowany przez własną matkę. Jeśli to prawda, skąd ona mogła o tym wiedzieć? Skąd?

Quentin nie odpowiedział.

- Ponieważ ten dom - oznajmił Bolt - nawiedzają umarli.

Quentin odwrócił wzrok. Zawrócił od bramy cmentarza i zatrzymał się w wejściu, patrząc na padający śnieg. Usłyszał za plecami zbliżające się kroki Bolta i obejrzał się przez ramię.

- Myśli pan, że zwariowałem? - spytał Bolt.

- Czy widział pan kiedyś coś podejrzanego?

- Tylko jedną rzecz - odparł Bolt. Quentin czekał na dalszy ciąg.

- Drzwi w tylnej części hollu, te, po lewej stronie - nie otwierają się.

Drzwi do salonu.

- Widziałem pańskie ślady, wiodące do tych drzwi, a następnie z powrotem, ale nie widać miejsca, w którym pan zawrócił - powiedział Bolt. - Był pan w tamtym pokoju, prawda?

Quentin kiwnął głową.

- Dla pana te drzwi się otworzyły?

- Zapewniam pana, że nie potrafię przenikać przez ściany.

- Kucharka mówiła, że nikt nigdy nie wchodził do tamtego pokoju - powiedział Bolt.

- Wcale mnie to nie dziwi - odparł Quentin.

- Nie jestem w stanie zajrzeć do środka przez okno.

Quentin rzucił okiem na dom.

- Trzeba by było bardzo długiej drabiny.

- Starsza pani prosiła mnie, abym miał oko na jej dom.

- Wygląda na to, że salonik jest tu wyjątkiem.

- Czy mam rację? - spytał Bolt. Quentin kiwnął głową.

- Raczej tak. Z tego co wiem, większość osób, w których towarzystwie spożyłem śniadanie, to nieboszczycy.

- Prócz jednej osoby - powiedział Bolt

- Prócz Babci - powiedział Quentin.

- Teraz pan wie, dlaczego chciałem wysłuchać pańskich odpowiedzi, przed zabraniem pana do niej.

- A dlaczego chciał mnie pan pobić w kuchni?

- Miałem nadzieję, że się mylę, a pan jest tylko jakimś szurniętym bogaczem, który robi sobie jaja z ludzi.

- Dlaczego wolałby pan, żeby tak było?

- Ponieważ jeśli Paul naprawdę został zabity, poznałbym powód, dla którego dom jest nawiedzany przez duchy. Wyjaśniałoby to również dlaczego Rowena wiedziała, że ktoś go zamordował.

- A pan jej nie uwierzył?

- I straciłem ją na zawsze. Quentin oparł się o filar bramy.

- Cóż, panie komendancie, czasami zdarza się, że ludzie po prostu marnują życiową szansę.

- Nie mogę powiedzieć, że zmarnowałem życiową szansę - obruszył się Bolt. - Kocham moją żonę i dzieciaki. Jestem zadowolony ze swojego życia. A jeśli kiedyś zostałem wmieszany w historie Tylerów, to dla pana wynikają z tego same korzyści.

- Co wcale nie znaczy, że Madeleine pasuje do teorii domu nawiedzanego przez duchy - powiedział

Quentin.

- Czy ona musi być pogrzebana, żeby nawiedzać dom? A może pochowano ją sekretnie?

Quentin pokręcił głową.

- Jest tylko jeden mały problem z hipotezą o duchach, panie komendancie. Poznałem Madeleine w Waszyngtonie, na pewnym przyjęciu. Przejechaliśmy razem całe Stany. Co najmniej pół tysiąca ludzi ścisnęło jej rękę na przyjęciach, wiecach i oficjalnych kolacjach, nie mówiąc już o weselu. Nie sądzę, żeby była duchem.

- Wobec tego musimy wrócić do mojej pierwotnej teorii i zastanowić się, czy ma pan świadków, którzy widzieli ją żywą wczoraj w nocy?

- Czy nie możemy po prostu zgodzić się co do tego, że tamtej nocy, kiedy spałem w tym domu, wydarzyły się naprawdę dziwne rzeczy? - spytał Quentin.

- Panie Fears, zanim zabiorę pana do starszej pani, muszę panu powiedzieć, że jednym z głównych powodów, dla których nie uwierzyłem Rowenie był fakt, że dobrze znałem panią Tyler. Jest jedną z najlepszych osób, jakie znam. I nie widzę możliwości, po prostu najmniejszej możliwości, żeby owa kobieta mogła kogokolwiek zamordować, a tym bardziej własne dziecko.

- A moja żona Madeleine kochała mnie tak bardzo, że nie istniała najmniejsza możliwość, żeby kiedykolwiek mogła mnie opuścić.

- Ona jest duchem, synu - orzekł komendant Bolt. - Przecież, do jasnej Anielki, zniknęła na cmentarzu! To dlatego właśnie tutaj jej pan szukał, prawda?

Quentin kiwnął głową.

- Fakt, że jej imienia nie ma na żadnym z nagrobków, nie oznacza jeszcze, że pańska żona nie jest martwa.

- Pan trzyma się swojej teorii, ja swojej.

- Do diabła, synu, skoro i tak obaj wierzymy w to, co niemożliwe, czy nie moglibyśmy przynajmniej do końca wyjaśnić sobie własnych wersji wydarzeń?

- Nie zrobię tego, dopóki nie będę wiedział, jak pańska wersja pasuje do mojej.

- Jeśli pan przedstawi mi swoją wersję, być może pomogę panu dopasować moją.

Quentin rozważał ten pomysł przez chwilę.

- W porządku - stwierdził. - Opowiem panu wszystko po drodze do Babci.

- Nie wiem, czy starczy nam czasu. To niedaleko.

- Za rzekę, w cień drzew?
- Tak można by opisać drogę, do każdego miejsca w tej części kraju, synu.
- Mam na imię Quentin - powiedział Quentin. - Mów mi Quentin.
- A ty mów mi Mike - powiedział komendant.
- Posłuchaj, Mike. Jestem gotów skosztować słynnego chili "U Belli".
- Nie jest to zbyt dobry pomysł, jeśli masz zamiar opowiedzieć mi twoją historię podczas jedzenia. Nikomu jeszcze nie udało się mówić z ustami pełnymi tego chili.
- Jakoś sobie poradzę.

Wrócili do domu, żeby Bolt mógł wyłączyć wszystkie światła. Jako ostatnie zgasił lampy w hollu wejściowym. Zanim wyłączył kinkiety przy frontowych drzwiach, przeszedł całą długość korytarza, stanął przed drzwiami do saloniku i spróbował je otworzyć. Z całej siły naparł na nie i kilka razy szarpnął za klamkę. Jego wysiłki spełzły na niczym.

Odwrócił się do Quentina i wzruszył ramionami.

- Widzisz?
- Wierzyłem ci - powiedział Quentin.
- Podejdź tu i sam spróbuj - namawiał Bolt.
- Nie wiem, czy to dobry pomysł.
- Przecież mówisz, że byłeś tam w środku. Chcę tylko żebyś spróbował otworzyć drzwi. Jestem przy tobie.
- Cóż, będzie to można podciągnąć pod naruszenie własności prywatnej, włamanie i bezprawne wtargnięcie. Zastanawiam się, co takiego może trzymać klamkę z drugiej strony, że nie pozwala ci jej nawet przekręcić.
- Posłuchaj - powiedział Bolt - przecież przed chwilą ustaliliśmy, że w tym domu prócz ciebie i mnie nie ma nikogo innego na tyle prawdziwego, by mógł zostawiać za sobą ślady.

Quentin podszedł wolno do policjanta, który cofnął się, umożliwiając mu dojście do drzwi. Quentin zatrzymał się przed nimi, a następnie sięgnął dłonią w stronę klamki.

Na drzwiach pojawiło się pojedyncze słowo:

NIE

Usłyszał, jak ze jego plecami Bolt wstrzymuje oddech. Quentin odwrócił się i spojrzął na niego.

- Widzisz to?

Bolt cofnął się, podobnie jak to zrobił Quentin kilka dni temu, kiedy po raz pierwszy ujrzał napisy, pojawiające się na drzwiach.

A więc widział je także ktoś oprócz niego. Quentin wiedział, że to absurdalne uczucie, jeśli wziąć pod uwagę nieznaną niebezpieczeństwo, jakie mogło czaić się za drzwiami saloniku, ale przez chwilę miał ochotę niemal podskoczyć z radości, że znalazł świadka tych dziwacznych zdarzeń, w których bierze udział.

- To tylko słowa - powiedział Quentin. - Słowa nie zrobią nam krzywdy.

- Wszystko jedno - odparł Bolt. - Myślę, że na razie wystarczy mi wrażeń.

Quentin nie miał nic przeciwko temu.

- Chodźmy na lunch.

Dłonie komendanta drżały, kiedy zamykał drzwi domu z zewnątrz.

- Przez cały czas trzymasz dom zamknięty? - spytał Quentin.

- Zawsze.

Rygiel i zatraskowa podklamkówka. Dwa zamki.

- Kiedy Madeleine i ja przyjechaliśmy tutaj, drzwi nie były zamknięte.

- Może miała ze sobą klucze?

- Ona nie zostawia za sobą śladów, Mike - przypomniał Quentin. - Wątpię więc, że może nosić klucze.

- Zamek zatraskowy można otworzyć tylko kluczem, wchodząc czy wychodząc - oświadczył Bolt. - A kiedy przyjechałem tu po twoim telefonie, wszystko było pozamykane.

- I nigdzie nie było żadnych śladów prócz moich?

- Żadnych.

Popatrzyli na siebie przez długą chwilę.

- Możemy spokojnie stwierdzić - odezwał się Quentin - że ktoś, lub coś, w tym domu potrafi otwierać i zamykać drzwi bez użycia klucza.

Bolt pomyślał przez chwilę.

- Wiesz, otwieranie drzwi do saloniku, to chyba najgłupszy pomysł, jaki kiedykolwiek przyszedł mi do głowy.

- Pora na chili - zmienił temat Quentin. - Pora na lunch. A potem do domu spokojnej starości.

- Wszystko jedno gdzie - powiedział Bolt, ześlizgując się po przykrytych śniegiem schodach - byle dalej od tego miejsca.

Chili było ostre, ale ponieważ jedli je w Mixinack a nie San Antonio, więc nie było na tyle ostre, żeby utrudnić Quentinowi przedstawienie prawdziwej wersji wydarzeń, jedynej osobie na ziemi, która musiała mu uwierzyć. Następnie obaj wsiedli do samochodu Quentina i ruszyli na północ, nie zważając na gęstniejącą zamieć.

SALATKA

Miejsce, do którego jechali znajdowało się o sto mil w górę rzeki. Śnieg pokrywał okolicę coraz grubszą warstwą i pługi wyjechały na ulicę, podczas gdy miasta Doliny Hudson czekały na kolejną śnieżną burzę,

- Ta pogoda mogłaby wreszcie dać trochę wytchnienia - odezwał się komendant Bolt. - Najwyższy czas, żebyśmy znowu zorganizowali Zimowe Igrzyska w Lake Placid. To jedyne pewny sposób na to, by nie padało przez całą zimę.

- Po prostu starzejesz się - powiedział Quentin. - Ja wciąż uwielbiam śnieg.

- Po prostu jesteś z Kalifornii - powiedział Bolt. - Gdybyś całą młodość spędził na odśnieżaniu, przestałbyś się tak zachwycać zimą. Jesteś pewny, że umiesz dobrze prowadzić na zaśnieżonej drodze?

W odpowiedzi Quentin przyspieszył, a następnie gwałtownie zmienił pas ruchu, tak że kilka razy zarzuciło tyłem wozu. Momentalnie wyszedł z poślizgu i zapanował nad samochodem wracając do bezpiecznej szybkości.

- Następnym razem ustna odpowiedź w pełni mnie usatysfakcjonuje - powiedział Bolt. - Wcale nie potrzebuję demonstracji drogowego piractwa.

- Spędziłem całą zimę w South Bend, a potem w Duluth, a potem w Laramie.

- Radzę ci zmienić biuro podróży. Na następnych światłach zjeżdżaj.

- Na lewo czy na prawo?
- Jeśli skrócisz w prawo, władujemy się prosto na tory kolejowe, więc radziłbym w lewo.
- Skoro jesteśmy już poza twoim okręgiem, to czy mogę ci powiedzieć, że nikt nie lubi, kiedy jakiś pewny siebie glina ostro się na nim, przy byle okazji, wyzłośliwia.
- Nie zależy mi na tym żeby mnie lubiano, Quentin, zawsze jestem ostry po tych papryczkach. Jedyne sposob, żeby pozbyć się ich z mojego organizmu.
- Jak daleko jest stąd do domu starców?
- Na ogół tego typu ośrodki umieszcza się w pobliżu głównych autostrad, żeby członkowie rodziny nie mieli kłopotów, gdyby chcieli przyjechać z wizytą. Ale i tak niewielu z nich to robi. W lewo na następnych światłach. A potem w prawo i wtedy zobaczysz go po prawej stronie.
- Jak się nazywa?
- Nie pamiętam. To jedyny dom starców w okolicy. Wygląda jak wielki motel, tyle że nie ma tylu miejsc parkingowych, ani neonu.
- Mnie bardziej przypomina więzienie niż motel - powiedział Quentin, gdy już ujrzeli budynek.
- Najwyraźniej rzadko widywałeś więzienia.
- Fakt, nie ma tu krat w oknach.
- Ani sześciometrowych ogrodzeń, ani wieżyczek strażniczych, ani reflektorów, ani punktów kontrolnych.
- Czy ja kiedyś mówiłem, że jestem ekspertem? - spytał Quentin. Zatrzymał samochód na parking. Przynajmniej wydawało mu się, że to jest parking. Było na nim mnóstwo wolnych miejsc, ale na asfalcie nie wykreślono żadnych linii wyznaczających stanowiska. Teraz, kiedy już tu dotarł, nie był pewny, co właściwie pragnął osiągnąć. Bolt twierdził, że staruszka jest w stanie śpiączki, lub co najmniej mało komunikatywna. Jeśli mówił prawdę, trudno żywić nadzieję, że wyciągnie od niej jakieś pożyteczne informacje. Ale przecież to ona go wezwała. Poprosiła, by ją znalazł. A może to wcale nie ona? Skąd mógł wiedzieć, że wiadomość pochodziła właśnie od niej? Mając za rywalkę iluzjonistkę tej klasy co Użytkowniczką, nie mógł mieć pewności, co jest prawdziwe, a co nie.
- Śnieg na pewno był prawdziwy, co do tego nie miał wątpliwości. Zbity i zimny dostawał się pod nogawki i wpadał do adidasów.
- Drzwi frontowe domu spokojnej starości były otwarte, ale przy biurku recepcjonistki nie było nikogo. Zauważyli przycisk dzwonka. Bolt nacisnął go, ale nikt nie przyszedł na wezwanie.
- Halo! - zawołał Bolt. Quentin wszedł na główny korytarz, rozejrzał się na prawo i lewo, ale nie zauważył nikogo.

- To niemożliwe, żeby wszyscy byli na wycieczce - oświadczył Bolt.
 - Pewnie w taką zadymkę część pracowników nie dojechała - zauważył Quentin. - Jest już czwarta. Może wszyscy przygotowują kolację.
 - Stołówka jest naprzeciwko nas, na końcu korytarza, kuchnia na lewo od jadalni - powiedział Bolt.
- Rzeczywiście, kucharka i dwaj salowi w gorączkowym szale uwijali się przy kolacji.
- Nikogo nie znajdziecie. Lepiej pomóżcie nam i zabierzcie się do krojenia sałaty.
 - Aha! Już się robi! - mruknął z przekąsem Bolt.
 - Dlaczego nie? - powiedział Quentin. - Przecież nie jesteśmy umówieni na konkretną godzinę.
 - Takie rzeczy mogę robić u siebie w domu! - zaprotestował Bolt.
 - Tak, ale tutaj zrobimy to zupełnie bezinteresownie. - Właśnie zabierał się do mycia rąk.
 - Dzięki! - krzyknęła kucharka.
 - Czy to znaczy, że mogę już wrócić do opróżniania basenów? - spytał jeden z dotychczasowych pomocników.

- Koniec przerwy, stawajcie na głowie! - zawołał drugi. Nikt się nie zaśmiał.

Quentin wziął ze stołu ogromny nóż i zaczął nim siekać sałatę. Wkrótce Bolt dołączył do niego, obierając i krojąc ogórki na plasterki.

- Za każdym razem kiedy to robię, czuję się jakbym kogoś kastrował - stwierdził Bolt.
- Nie wiedziałem, że życie gliny obfituje w tak wyrafinowane fantazje.
- Mówiłem ci już, że jestem poetą.

Przez chwilę pracowali w ciszy, jeśli nie liczyć piosenek kucharki, które ta zaczynała podśpiewywać, nigdy nie dochodząc do końca żadnego utworu. Rozpocząła jedną lub dwiema frazami któregoś z nieśmiertelnych przebojów Elvisa, albo pierwszymi taktami z "Czterech pór roku", nucąc okropnym falsetem, by dalej ciągnąć coraz gorzej i ciszej, aż wreszcie wybrany początkowo motyw zmieniał się w zupełnie inną piosenkę, za którą natychmiast zabierała się z zapalem, do chwili, kiedy znów gubiła się w ledwo pamiętanych słowach.

- Wiem, dlaczego to robimy - oznajmił Bolt.
- Czyżby?
- Boisz się spotkania z panią Tyler i próbujesz jak najdłużej odwlec nieuchronną chwilę.

- To powód, dla którego ja to robię - powiedział Quentin.

- Cóż, ja po prostu nie mam własnej woli.

- Pewnie dlatego z radarem musisz wysyłać innych policjantów. "Skądże, panie władzo, jechałem tylko pięćdziesiątką". "Tak? Och, najmocniej pana przepraszam, a co ja mówiłem?"

Kuchenna robota zajęła im więcej czasu niż się Quentin spodziewał. Dziesięć minut, dwadzieścia, pół godziny, ale w końcu udało im się ukończyć dzieło: zrobili trzy wielkie miche zielonej sałaty, zmieszanej z ogórkami, rzodkiewkami, połówkami małych pomidorów, wiórkami marchewki i ciecierzycą. Wyglądało to imponująco.

- Gdyby tylko pacjenci mieli zęby - westchnął Bolt.

- Wszyscy mają zęby - odezwał się jeden z pomagierów - jeśli nie zapomną zabrać ich ze sobą na stołówkę. - Zalewał się potem, wyciągając z pieca blachy z kurczakami i wkładając następne.

- Nienawidzę takiej mokrej roboty!

- Bardzo mi pomogliście - powiedziała kucharka. - Żartowałam, kiedy poprosiłam was o pomoc i z pewnością zламаłam jakieś sześćdziesiąt przepisów, pozwalając wam tu wchodzić, ale zazwyczaj mam do dyspozycji czworo ludzi, z których część dobrze wie co ma robić.

- *Bon appetit* - powiedział Quentin.

W stołówce przy kilku stolikach siedzieli pojedynczy rezydenci, chociaż jeszcze nic nie podano. Wyglądało na to, że poruszających się na wózkach przywożono nieco wcześniej. Ci, którzy mieli kłopoty z chodzeniem, również potrzebowali forów. Salowi, których najwyraźniej brakowało, uwijali się jak boje w ekskluzywnym klubie.

- Trudno uwierzyć - powiedział Quentin - Tyrają jak woły, i to bez żadnych napiwków.

- Wszystko przez pielęgniarkę, która tym wszystkim trzęsie, żelazna suka - odezwał się Bolt.

W tej samej chwili wspomniana siostra szybkim krokiem wpadła do stołówki, kierując się w stronę kuchennego okienka. Na pierwszy rzut oka wyglądała na kobietę w średnim wieku, ale to tylko ze względu na jej ubiór, przypominający mundur, energiczne, rutynowe ruchy i absolutny brak makijażu. Tak naprawdę musiała mieć niewiele ponad trzydziestkę, może nawet była młodsza, a gdyby nie zatrzymała się jak wryta, rzucając Quentinowi i komendantowi groźne spojrzenie, mogła nawet wydać się atrakcyjna.

- Moja wieczorna zmiana nie może przedrzeć się przez zamieć - oznajmiła - a mimo to wciąż odwiedzają nas goście.

- Mamy sałatkę - pochwalił się Quentin.

- Niech pan będzie poważny - powiedziała pielęgniarka. - To nie bar sałatkowy. - Prześliznęła się

obok nich i weszła do kuchni. Zatrzymała się w drzwiach i zawołała wysokiego salowego, który wyglądał na Polinezyjczyka.

- Bill! Odprowadź tych dwóch panów do recepcji, dobrze? - po czym zniknęła we wnętrzu kuchni.

Kiedy Bill Polinezyjczyk zbliżył się do nich, Bolt wyciągnął swoją policyjną odznakę i podniósł ją do góry. Bill zrobił jeszcze parę kroków w ich stronę, po czym rozpoznał przedmiot trzymany przez Boltę w ręku i wykonał gest, który mógł oznaczać, żeby usadowili się gdzie chcą. Siostra wyszła z kuchni w nieco lepszym nastroju.

- Nie powinnam osobom spoza personelu pozwalać na dotykanie jedzenia, ale nie wiem w jaki sposób moglibyście zatruć sałatkę - powiedziała. - Pani Van Ness twierdzi, że umyliście ręce.

- Takimi rękami mógłbym przeprowadzać operację - powiedział Bolt.

- Ja pana znam - siostra zwróciła się do niego. - Pan jest tym policjantem z Mixinack, który odwiedza panią Tyler.

- To miło, że mnie pani poznaje.

- A któż jest drugim sałatkarzem?

Quentin podniósł się z miejsca.

- Quentin Fears - przedstawił się.

- Sally Sannazzaro - odpowiedziała. - Jestem przełożoną personelu medycznego i p.o. dyrektora tego ośrodka stałej opieki dla dorosłych - Wymienili uścisk dłoni. - Czy pan jest prawnikiem? - spytała. - Nie wygląda pan na prawnika.

- To dobrze - odparł. Dlaczego pomyślała, że jest prawnikiem? - Pani też wcale nie wygląda na przełożoną personelu medycznego i p.o. dyrektora ośrodka stałej opieki dla dorosłych.

- Myli się pan. Właśnie tak wyglądam - powiedziała z naciskiem.

Niezły początek, pomyślał Quentin. Bolt zrobił krok w kierunku drzwi.

- Zapewne karmienie pacjentów obłożnie chorych odbywa się nieco później. Czy nie ma pani nic przeciwko temu, abyśmy tymczasem złożyli wizytę pani Tyler?

- Oczywiście, że mam coś przeciwko temu - powiedziała pani Sannazzaro. - Nie pozwalam na odwiedzanie pacjentów przykutych do łóżka, bez odpowiedniego nadzoru. - Zwracając się do Quentina, dodała: - Oni są zupełnie bezradni, a każdy odwiedzający, to potencjalny niecierpliwy spadkobierca.

Bolt poczerwieniał na twarzy.

- Ja jestem stróżem prawa.

- Pamiętam, ale niewiele mnie to obchodzi - odparła Sannazzaro. - Niech pan nie próbuje mnie straszyć, komendancie. Zawsze chce pan widzieć się z nią sam na sam i zawsze kończy się to naszą kłótnią, więc lepiej od razu przejdźmy do momentu, kiedy pan robi to co panu mówię, bez zbędnych sporów, żebym nie musiała zawiesić panu prawa wstępu.

- Nigdy mi pani nie zawieszała prawa wstępu!

- A więc to nie był pan? - Wyglądało, że całkowicie straciła dla nich zainteresowanie. - Muszę już iść - powiedziała kierując się w stronę drzwi.

- Wolę kiedy kobieta zna swoje miejsce! - zawołał Bolt głośno.

Nawet się nie obejrzała.

- Dlaczego próbujesz ją rozzłościć, Mike? - spytał Quentin.

- Sam jej widok wywołuje we mnie agresję.

Sannazzaro, szorstka i bezwzględna, najwyraźniej tego wieczoru była pod wielką presją i z pewnością nie miała ochoty na zajmowanie się gośćmi.

- Nie dziwię się, że kobieta w jej typie nie jest w stanie znaleźć sobie męża - dodał Bolt.

To był zupełnie nie ten sam człowiek. Miał cięty język, to prawda, ale nigdy nie był taki napastliwy. Przynajmniej, jak dotąd.

- Znając mężczyzn - powiedział Quentin - dziwię się, że kobiety w ogóle chcą wychodzić za mąż.

- Skąd w tobie ta polityczna poprawność? - zagadnął go z przekąsem. - Może ktoś ci trzyma jaja w lodówce, na wypadek gdybyś kiedyś ich potrzebował.

Czy to był ten sam człowiek?

- Facet z jajami to wcale nie ten, który nazywa ciężko pracujące kobiety sukami i robi co może, by utrudnić im życie - powiedział Quentin.

Na twarzy Bolta pojawił się paskudny grymas, ale zamiast odpowiedzieć odszedł szybkim i sztywnym krokiem w stronę recepcji. Quentin dogonił go dopiero wtedy, kiedy tamten usiadł w poczekalni i wziął ze stolika gazetę z poprzedniego dnia. Quentin nie próbował zagadywać, tylko usiadł i zaczął przeglądać ostatni numer *Time'a*, czekając aż Bolt się uspokoi

Ale Bolt wcale nie miał zamiaru się uspokoić. Quentin ledwo zaczął czytać artykuł o nowym substytucie tłuszczu, który powodował wycieki odbytnicze, kiedy Bolt znów się odezwał:

- Nie mogę znieść tego, że chce mnie doprowadzić do pasji.

- W jaki sposób? - spytał Quentin. Jemu wydawało się, że to właśnie Bolt pragnie doprowadzić pielęgniarzkę do pasji.

- Tą całą gadką, że każdy może okazać się niecierpliwym spadkobiercą.

- Ciekawe, że mają takie przepisy. Czy myślisz, że w domach spokojnej starości zdarza się wiele morderstw?

- Nie - zaprzeczył Bolt. - Powiedziała tak tylko dlatego, żeby mnie rozwścieczyć. Kiedy po raz pierwszy odwiedziłem panią Tyler, któraś z salowych poruszyła jej poduszki i staruszce było bardzo niewygodnie. Więc wyciągnąłem jedną z nich, żeby podłożyć ją nieco wyżej i przez ułamek sekundy, kiedy ją układałem z powrotem, rąbek poduszki znalazł się na twarzy starszej pani, akurat w chwili, gdy wkładałem jej rękę pod plecy, żeby ją unieść i włożyć Jasiek pod ramiona. Dokładnie w tym momencie do pokoju wpada nasza Siostra Ratched i z miejsca wyciąga wniosek, że zamierzałem udusić panią Tyler.

- Życie ma swoje przykre chwile - powiedział sentencjonalnie Quentin.

- Wyjaśniłem jej całą sytuację, ale ona wciąż traktuje mnie jak wyrzutka.

- Czy kiedyś zawiesiła ci prawo wstępu?

- Zawsze mi tym groziła, ale nigdy by tego nie zrobiła. Bo gdybym ja nie odwiedzał staruszki, to kto by do niej zaglądał?

- A Rowena?

- Ona jest przekonana, że ta matka zabiła jej braciszka.

- A ty, jak uważasz?

Bolt spojrzał na niego ze złością.

- A więc myślisz, że próbowałem ją zabić, żeby zyskać wdzięczność Roweny? Rowena ma swoją rodzinę, podobnie jak ja. A poza tym nie jest mściwa. Opuściła dom, bo chciała być wolna. Nie musiała zabijać swojej matki. Sam nie wiem, po co się przed tobą tłumaczę. Chcesz żebym uwierzył w twoją wersję wydarzeń z pierwszej nocy, jaką spędziłeś w Mixinack, a jednocześnie podejrzewasz mnie o próbę zgładzenia bezbronnej staruszki, której zawdzięczam wiele szczęśliwych chwil w moim życiu.

- Nie podejrzewałem cię o nic, Mike - powiedział Quentin. - Zbyt szybko wyciągasz wnioski.

- Czyżby? - zapytał z przekąsem, po czym skrył twarz za gazetą.

Przez następną godzinę jedynym dźwiękiem, jaki zakłócił grobową ciszę był zrzędlawy pomruk Bolta:

- Zrobiliśmy dla nich sałatkę, a oni nawet nie podadzą nam niczego do picia.

Zamiast zezłościć się na marudzenie Boita, Quentin postanowił wyładować złość na *Time'ie*, za to że przy każdej wzmiance dotyczącej budżetowego pata całą winę zdawali się przypisywać Kongresowi, zamiast Clintonowi. Mogliby chociaż postarać się zachować bezstronność, pomyślał.

Miał świadomość, że w ten sposób próbuje jedynie odwrócić myśli od swoich obaw. Sprawy całkowicie wymknęły mu się spod kontroli. Wcześniej miał wrażenie, że z Bolta będzie niezły kompan, ale jego postępowanie wobec siostry Sannazzaro przypomniało mu jego wcześniejsze zachowanie w podziemiach domu Laurentów, kiedy groził Quentinowi pobiciem. Nie mogą liczyć na żadnych sprzymierzeńców, zdał sobie sprawę Quentin. Żaden z ludzi, którym ufam, nie wierzy w to, co naprawdę się zdarzyło, a ci, którzy wierzą, mają jakieś własne cele. Bolt. Babcia. Czego chciała od niego staruszka? Ktoś, kto był w stanie sprawić, że w domu oddalonym stąd o sto mil, na drzwiach pojawiały się napisy, nie mógł być całkowicie bezbronny, nawet jeśli żył przykuty do łóżka w domu starców.

Siostra Sannazzaro w końcu podeszła do nich za piętnaście siódma.

- Bardzo mi przykro, że przybyli panowie do nas, kiedy mamy taki ciężki wieczór - powiedziała. - Chętnie poprosiłabym żebyście przyjechali jutro, ale wiem, że komendant Bolt jechał tu z Mixinack, więc pewnie woleliście zaczekać.

- Dziękujemy - powiedział Quentin. - Czy teraz możemy zobaczyć się z panią Tyler?

Sannazzaro badawczo przyjrzała się jego twarzy. Czego szukała? Jakiej dokonywała oceny?

- Wybaczcie mi panowie, ale muszę spytać... po co chcecie się z nią zobaczyć? Ona nie mówi. Nie jestem nawet pewna, czy wie co mówią inni, kiedy zwracają się do niej.

- Ale nie jest w stanie śpiączki? - spytał Quentin.

- Nie - odpowiedziała siostra Sannazzaro. - Nie jest także sparaliżowana - znów zmierzyła go wzrokiem, jakby zastanawiała się, czy warto poświęcić mu czas, potrzebny na odpowiednie wyjaśnienia. Najwyraźniej uznała, że warto - Po prostu już nie zwraca uwagi ani na swoje ciało, ani na swoje życie.

- Jest w depresji? - spytał Quentin.

- To raczej rozpacz. Już wcześniej widywałam takie przypadki. Nie reaguje na Prozac. Najdziwniejsze jest to, że jeszcze nie umarła. Najczęściej, kiedy rezydent traci wszelką nadzieję, śmierć przychodzi bardzo szybko. Ale pani Tyler leży w takim stanie od kilku lat. Marnuje pan swój czas. - Nie musiała dodawać: "I mój".

- Siostrzo Sannazzaro - odezwał się Quentin - naprawdę nie mam pojęcia, co pragnę osiągnąć przez tę wizytę. Ale to był mój pomysł, żeby tu przyjechać, a nie komendanta Bolta. On tylko pokazał mi drogę. Nie mam zamiaru skrzywdzić pani Tyler, ani nikogo z jej rodziny. Ale bardzo chciałbym spróbować porozmawiać z nią. To nie powinno jej zaszkodzić, jak pani myśli?

- Chyba ma pan rację. Poszli za nią korytarzem.

- I tak nie mogłaby nam w tym przeszkodzić - odezwał się Bolt na cały głos, tak aby siostra Sannazzaro mogła go słyszeć. - To w końcu nie jest więzienie, a poza tym istnieją jeszcze takie rzeczy, jak *habeas corpus*, czy prawo do prywatności.

Quentin nie był prawnikiem, ale dałby głowę, że żaden z przepisów prawa nie zapewniał jakichkolwiek przywilejów dwóm niezapowiedzianym gościom spoza rodziny, odwiedzającym rezydentkę domu spokojnej starości, w nocy, kiedy na zmianie brakuje kilku ludzi. Ale nie chciał nic mówić Boltowi, biorąc poprawkę na jego dziwne wieczorne poirytowanie.

Sannazzaro także zignorowała uwagi komendanta.

- Mam nadzieję, że to nie zabierze zbyt wiele czasu, panie Fears. Dziś wieczorem mamy jeszcze wielu pacjentów, którym musimy pomóc przy kąpieli.

Weszli za nią do windy i pojechali na ostatnie piętro, a potem udali się do końca korytarza.

- Nasi pacjenci na stałe pozostający w łózkach nie potrzebują wygodnego dostępu do świetlicy ani do stołówki - wyjaśniła siostra. - Na ogół także mają najmniej wizyt, toteż rozsądne jest umieszczanie ich w najdalszych zakątkach szpitala.

Pani Tyler miała cały pokój dla siebie. Leżała wyciągnięta na łóżku z rękami spoczywającymi równolegle wzdłuż boków ciała. Mógł ją tak położyć salowy. Żaden człowiek sam nie ułożyłby się w podobnie symetrycznej pozycji.

Jeden rzut oka na jej twarz wystarczył, aby Quentin zorientował się, że była to kobieta, którą widział na śniadaniu w domu Laurentów.

- Znalazłem panią - powiedział.

Oczy staruszki otworzyły się na długą chwilę, a potem znowu się zamknęły.

- A niech mnie! - mruknęła siostra Sannazzaro. - Ona pana zauważyła.

Quentin usiadł przy leżącej i wziął ją za rękę.

- Miło cię spotkać w cielesnej postaci, Babciu - powiedział

- Babciu? - zdziwiła się Sannazzaro.

- Mogłaby pani chociaż udawać, że nie podsłuchuje - warknął Bolt.

Sannazzaro stanęła w drzwiach, nic już nie mówiąc.

Nie poruszając wargami Quentin ostrożnie formował słowa w myślach. Czy mnie rozumiesz? Czy możesz czytać w moich myślach, tak samo jak Madeleine?

- Chciała pani, żebym tu przyjechał - odezwał się wreszcie cicho. - Mówiła pani, żebym panią znalazł.

Nie było żadnej odpowiedzi. Nawet jej palce nie zacisnęły się na jego dłoni.

- Nie ma w niej więcej życia niż w kalarepie - odezwał się Bolt niecierpliwie. - Zobaczyłeś ją, więc chodźmy już.

Quentina niepokoił fakt, że w jego słowach nie było żadnego śladu uczucia jakie podobno żywił wobec staruszki. Jeszcze w Mixinack wydawało się oczywiste, że dobro starszej pani leżało policjantowi na sercu. Ale teraz...

- Przepraszani, jeśli cię nudzę - powiedział Quentin. - A co ty robisz, jak ją odwiedzasz? Grasz z nią w szachy? Chodzisz na spacer?

- Siedzę i trzymam ją za rękę - odparł Bolt.

- Albo przygniata ją poduszkami - dodała Sannazzaro oschle.

Bolt spiorunował ją spojrzeniem. Quentin był bardzo zdziwiony, że przełożona personelu medycznego domu spokojnej starości mogła tak obcesowo strofować gościa, zwłaszcza jeśli był nim ktoś, kto opiekował się starszą panią, nie spodziewając się za to żadnej zapłaty. Przecież jednak wcale nie był pewny, czy Bolt nie dostaje jakiejś zapłaty za sprawowanie pieczy nad nieruchomością. Teraz jednak najważniejszą sprawą było nawiązanie kontaktu z panią Tyler, zaś pyskówki pomiędzy Sannazzaro i Boltem raczej mu w tym nie pomagały.

- Jeśli już nie możemy być na przyjacielskiej stopie - powiedział Quentin - to najuprzejmiej państwa proszę, byście w miarę możliwości zamknęli się na chwileczkę.

- Strasznie tu duszno - powiedział Bolt wstając. - Czy zadzwoni pani po swoich prawników, jeśli poproszę żeby dano mi trochę resztek z kuchni?

- Może pan zjeść wszystko, co nie znajduje się na podłodze z odcisniętym śladem pantofla - odparła Sannazzaro. - Ale dopiero wtedy, kiedy kucharka przyniesie to panu do jadalni. Pana pobyt w kuchni naprawdę narusza państwowe przepisy sanitarne.

Bolt wstał i poczłapał do drzwi.

- Oczywiście oboje dobrze wiecie, że tak naprawdę to idę do kibelka. To chili nie daje mi spokoju.

Dla Quentina chili było zbyt łagodne, żeby wywołać w nim jakiegokolwiek żołądkowe sensacje. Ale w końcu było to chili przyrządzone w stanie Nowy York, a poza tym nie zjadł nawet połowy tego, co Bolt.

Quentin odwrócił się z powrotem do pani Tyler.

- Nie zostaniemy sami - przemówił cicho - więc jeśli ma pani zamiar mi coś powiedzieć, to obecnie

jest na to najlepsza chwila.

Ale staruszka nie odezwała się ani słowem. Nawet nie mrugnęła, ani nie uściśnęła jego dłoni.

Quentin westchnął i opadł na oparcie krzesła, wypuszczając rękę pani Tyler.

- Co za strata czasu - powiedział. - Przepraszam siostrze Sannazzaro.

- Bardzo dziękuję wam za pomoc przy sałatce - powiedziała siostra. - Nieczęsto zdarza nam się korzystać z pomocy ochotników, jak pan się zapewne domyśla. Większość mieszkańców domu to ludzie samotni, o których nikt już nie pamięta. Żyją ze swoich oszczędności lub za pieniądze ze sprzedanych domów. Wielu z nich nigdy nie miało dzieci. Tym, którzy mieli, raczej nie trafiło się kochające potomstwo. Pewnie wydam się panu cyniczna, ale w moim przekonaniu, jedynymi ludźmi, którzy odwiedzają naszych obłożnie chorych pacjentów są spadkobiercy w potrzebie, pragnący dowiedzieć się, jak długo jeszcze uparcie trzymający się życia spadkodawcy będą stać im na drodze do majątku, którego wartość nieubłaganie maleje.

- Ja nie jestem spadkobiercą - powiedział Quentin.

- Ale zwracał się pan do pani Tyler per "babciu".

- Tak właśnie przedstawiła mi ją moja żona.

- Nie wiem, które z tych kłamstw jest bardziej bezczelne, panie Fears. Czy to, że jest pan rzekomo mężem wnuczki pani Tyler, czy też to, że był pan jej przedstawiony.

- Więcej jest rzeczy na niebie i ziemi, niż się wydaje naszym filozofom - zacytował Quentin. - Proszę, niech pani dopuści do siebie możliwość, że mogę być uczciwym człowiekiem, który sam został oszukany.

- Dlaczego miałby się pan przejmować tym, co ja myślę? - spytała siostra Sannazzaro.

Dobre pytanie. W jego staraniach było coś więcej, niż próba przekonania strażnika pilnującego bramy. Zależało mu na tym, żeby siostra Sannazzaro myślała o nim dobrze. Odpowiedział jej pierwszymi słowami, jakie przyszły mu do głowy.

- Ponieważ wydaje mi się pani uczciwą osobą, która dobrze wykonuje swoje obowiązki, pracując pod dużą presją, i której naprawdę leży na sercu dobro rezydentów.

A potem pomyślał jeszcze o innych rzeczach, o których nie wspomniał: o tym, że nic od niego nie chciała; że dokonywała szybkiej i ostrej oceny, ale potem nie bała się zmienić swojej opinii; że mówiła i robiła dokładnie to, co uważała za słuszne, bez zbędnego tłumaczenia się, ale także bez niepotrzebnej szorstkości.

- To oczywiste, że pani nic nie obchodzi co ja myślę - powiedział Quentin - i na ogół mogę to również powiedzieć o sobie, ale prawda jest taka, że nie lubię kiedy dobrzy ludzie źle o mnie myślą. Prawdę mówiąc, tak samo nie lubię, żeby źli ludzie źle o mnie myśleli, ale w tej sprawie niewiele da

się zrobić, nie stając się jednym z nich.

Sannazzaro uśmiechnęła się. Zrobiło jej to lepiej niż lifting twarzy.

- A potrafi pan ich odróżnić?

- Nie lepiej niż ktokolwiek inny - powiedział Quentin. - Na ogół ufam ludziom, dopóki mnie nie zawiodą. Mam dzięki temu mniej wrzodów na żołądku niż ludzie, którzy nie ufają nikomu.

- Nie mówiąc już, że broni się pan w ten sposób przed kolostomią - dodała Sannazzaro. - Różne pokolenia wydają się wyrażać swój stres przez różne części ciała. Nasi rodzice mieli kłopoty żołądkowe. Nasze pokolenie jest zorientowane bardziej rektalnie.

- Piękna myśl.

- A więc naprawdę wydawało się panu, że został pan przedstawiony pani Tyler?

Quentin spojrzał na starszą panią i pokiwał głową.

- A pana żona twierdziła, że jest jej wnuczką?

- Zabrała mnie do domu pani Tyler i powiedziała, że należy do jej babki.

- A gdzie jest pańska żona, panie Fears? - spytała siostra Sannazzaro.

Quentin ostrożnie dobierał słowa.

- Opuściła mnie w okolicznościach, które mogłyby sugerować, że nasz związek nie był ani tak uczciwy, ani tak szczery, jak mi się to wcześniej wydawało.

- Więc nie powinien być pan zaskoczony, jeśli powiem panu, że pani Tyler ma tylko jedno dziecko, zamężną córkę Rowenę, która z kolei również ma tylko jedno dziecko, małą dziewczynkę o imieniu Roz. Ta córka ma teraz pewnie dziesięć lub jedenaście lat.

- Zna je pani? - spytał Quentin.

- Znam dane pani Tyler z karty rezydenta. Pamiętam także nasze długie rozmowy. Kiedy tu przyjechała, nie była jeszcze w takim stanie. Z ogromnym smutkiem obserwowałam, jak zapada w ten stan zaledwie po kilku miesiącach pobytu w naszym ośrodku.

- Lubiła ją pani? - spytał Quentin.

- Oczywiście, że tak. Nie miała wielkich wymagań, na nic nie narzekała. - I zaraz uśmiechnęła się kwaśno na swoje własne słowa. - W zasadzie można by to powiedzieć o każdym pacjencie w stanie śpiączki. Jeśli chodzi o panią Tyler, najbardziej ceniłam w niej wdzięk i hart ducha. Odniosłam wrażenie, że miała okazję doświadczyć wszystkiego, co w życiu najgorsze, lecz mimo to wciąż potrafiła znajdować drobne okruchy radości, kryjące się w fałdach czarnej płachty rozpaczy.

- Ale w końcu rozpacz wzięła górę?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Ona wciąż żyje. Więc wolę wyobrazić sobie, że gdziekolwiek wędruje duchem, nie snuje się smętnie po jakimś mrocznym pustkowiu, lecz zamiast tego kontempluje stokrotki, kwitnące pośrodku ugoru.

- Rozmigotany tłum żonkili - zacytował spontanicznie, zanim zdążył pomyśleć co mówi. Czuł się tak, jakby podczas rozmowy z siostrą Sannazzaro otworzył na oścież drzwi umysłu, przez które wszelkie, najbardziej nawet dowolne skojarzenia z tematem ich pogawędki, wypadały swobodnie na zewnątrz.

- Wordsworth - rozpoznała pielęgniarka. Przynajmniej znała źródło. - "Szedłem sam - obłok wolnym lotem, tak nieraz płynie. W pewnej chwili, oczy me nagle olśnił złotem, rozmigotany tłum żonkili".*
Co za idiotyczny wiersz, nie uważa pan? A myślałam, że tylko ja miałam w średniej szkole nauczycielkę od angielskiego, która kazała nam uczyć się na pamięć i recytować romantyczne poezje.

- Prawdopodobnie tak było. Ja po prostu czytam coś i niektóre rzeczy zostają mi w pamięci zupełnie na chybił trafił.

- Czy to znaczy, że czytał pan Wordswortha z własnej woli?

- Zanim się ożeniłem miałem mnóstwo czasu. Przez pewien okres próbowałem przeczytać całą biblioteczkę Pnaguina.

- Co pana przed tym powstrzymało?

- Wśród wszystkich tych powieści i poezji jest mnóstwo prawdziwego nudziarstwa, które udaje angielską literaturę.

- Zawsze myślałam o książkach, jak o ludziach - powiedziała Sannazzaro. - Nawet te najnudniejsze warte są szacunku, ale nie ma sensu szukać ich ani poświęcać im czasu.

- Ludzie jednak mają tę wadę - powiedział Quentin - że nie można włożyć do nich zakładki i odłożyć na bok do czasu, kiedy znów będzie się miało na nich ochotę.

Sannazzaro zaśmiała się krótko i hałaśliwie, a następnie uniosła jedną brew.

- Nie zgadzam się z panem - powiedziała. - Wielu ludzi robiło tak ze mną mnóstwo razy.

- Czy czuje się pani, jakby miała zbyt dużo zagiętych rogów?

- A pan?

- W obecnej chwili - powiedział Quentin - czuję się mocno sczytany

Ku jego zdziwieniu, kobieta lekko się zarumieniła i odwróciła wzrok. Niepostrzeżenie wszystko nabrało zbyt osobistego wymiaru. Zauważył, jak znów przybiera swoją służbową minę.

- Dobrze, panie Fears...

- Mam na imię Quentin. Tak jak więzienie w Kalifornii.

- Bez "San"

- Pani ma moje "San". Czy to nazwisko tłumaczy się jak "Święty Nazaret"?

- Raczej "Święty Nazarejczyk". Ale przede wszystkim oznacza dla mnie moich rodziców. Ciężko pracowali i bardzo mnie kochali, ale studia były przewidziane wyłącznie dla moich braci.

- Pani miała wyjść za mąż i rodzić dzieci? - spytał Quentin.

- Albo zniknąć. Są dla mnie mili, kiedy wracam do domu na święta, ale nikt nigdy nie pyta mnie co robię, ani nikogo to nie obchodzi, kiedy sama im opowiadam. Zaś do moich zamężnych sióstr i bratowych zawsze mają tysiące pytań. Ich pozycje w rodzinnym rankingu zależą od liczby posiadanych i oczekiwanych dzieci. Rywalizacja jest bardzo ostra.

- Dzieci to dobra rzecz - powiedział Quentin przekornie. Dzisiaj zdążył już przekonać komendanta Bolta o swojej politycznej poprawności. Czy w tej chwili miał zamiar udowodnić siostrze Sannazzaro, że jest neandertalczykiem? Czy może był zbyt zmęczony, żeby uważać na to, co mówi.

Nie, to nieprawda. Polubił siostrę Sannazzaro, dlatego też nie chciał silić się na uprzejmość. Zamiast tego wolał być z nią szczery, więc powiedział to, co myślał.

- Wiem, że dzieci to dobra rzecz - powiedziała Sannazzaro, nieco rozdrażniona, jak można było przewidzieć. - Nie mówiłem, że są złe.

- A ja nie mówiłem, że pani mówiła, że są złe - powiedział Quentin. - Po prostu pomyślałem sobie o dzieciach i o tym, że żona mnie opuściła i już nie zobaczę, jak dorastają nasi synowie i nasze córki. Zwykle uzalam się nad sobą. Zajmuję pani czas tymi bredniami, podczas gdy pani musi się zająć przygotowaniem kąpieli. Przepraszam.

Już się podnosił, kiedy ku jego zaskoczeniu siostra Sannazzaro dała mu znak ręką, aby usiadł, a następnie sama usiadła na drugim krześle, z obitym siedzeniem i oparciem, przeznaczonym dla gości.

- Tak czy siak planu kąpieli nie zdołamy dziś wykonać. Jak tylko stąd wyjdę, salowi pomyślą, że ich popędzam i powstaną niepotrzebne napięcia. Prawdę mówiąc, wszyscy wyrabiają już nadgodziny i najchętniej poszliby do domu, więc za kilka minut mam zamiar ich zwolnić, prócz jednego, który rzeczywiście pracuje dziś na nocną zmianę.

- Na nocnej zmianie pracuje tylko jeden człowiek?

- Od kolacji do ciszy nocnej zostaje czterech, a potem dwóch, kiedy wszyscy już położą się do łóżek. Ale ja zostaję dziś na noc, więc wszystko będzie w porządku. I muszę przyznać, że nie mam nic przeciwko spędzeniu kilku minut z kimś, kto wcale się mnie nie boi.

Nie był pewny czy to prawda. - Siostra Sannazzaro rzeczywiście potrafiła wprawić rozmówcę w onieśmienie. Ale najwyraźniej nie robiła tego celowo, ani nie czyniła specjalnych starań w tym kierunku. Była po prostu zbyt bezpośrednia, zbyt szczerą i było jej absolutnie obojętne czy sprawia dobre wrażenie, czy nie, co z miejsca dawało jej przewagę nad innymi. Quentinowi bardzo się to podobało. Intrygowało go.

- Nigdy nie słyszałem o pielęgniarce, kierującej domem spokojnej starości. Czy na ogół interesu takiego nie prowadzi ktoś w rodzaju domokrażnego sprzedawcy, którego zadaniem jest omamić ludzi i wyssać z nich trochę forsy?

- To naprawdę dobrze prowadzony dom, więc nasi rezydenci to nie są naiwni poczciwcy, którzy dali się nabrać - powiedziała siostra Sannazzaro. Zanim Quentin zdążył zaprotestować, ciągnęła dalej. - Ale ma pan rację, wcześniej szefem był tu gość w typie handlowca. Pewnego razu został jednak przyłapany w pokoju pewnej rezydentki, z rękami w szufladzie nocnego stolika i z odpiętym rozporkiem - nie wiem, co bardziej oburzyło właścicieli. W każdym razie natychmiast potrzebowali dobrze wyszkolonego zastępcy. Już wtedy byłam tu przełożoną personelu medycznego. Więc od października dziewięćdziesiątego czwartego roku jestem p.o. dyrektora.

- Dlaczego nie zrobią pani pełnym dyrektorem? - spytał Quentin.

- Ponieważ nie chcę tej posady i wciąż odmawiam jej przyjęcia.

- Dlaczego więc nie rzuci jej pani na dobre i nie wróci do obowiązków pielęgniarki?

- Bo jeśli to zrobię, przyślą następnego gościa w typie handlowca do prowadzenia tego domu, a ja nie mam ochoty wracać do tamtego koszmaru.

- A więc nie obejmie pani tej posady, ani nie zamierza jej pani nikomu odstąpić - dziwił się Quentin.

Zaśmiała się.

- Mnie także wydaje się to bardzo głupie, ale co mam robić? Płacą mi tak, jak pielęgniarce, plus premie, dzięki czemu oszczędzają pieniędzy, a ja tymczasem nie mam na głowie żadnego ciołka, pragnącego obniżyć koszty, który podlizuje się rodzinom, a jednocześnie okrada pacjentów. Poza tym, jeśli pominąć fakt, że cały czas jestem zmęczona i praktycznie nie mam prywatnego życia, wszystko idzie wspaniale.

Quentin znów odezwał się pod wpływem jakiegoś impulsu.

- Na szczęście oboje wiemy, że jestem w depresji i właśnie staram się podnieść po spektakularnym rozpadzie małżeństwa, bo inaczej natychmiast zaproponowałbym, że wyrwę panią z tego błędnego koła. - Zastanowił się nad własnymi słowami. Czy był to zwykły flirt dla flirtu? A może naprawdę podświadomie chciał coś przez to powiedzieć.

Na szczęście jego rozmówczyni potraktowała owe słowa jako żart, a nie jako wstęp do dalszych zalotów.

- Tylko niech pan nie mówi nic o Wyspach Dziewiczych, bo jeszcze złapię pana za słowo i nie będzie się pan mógł opędnąć od żelaznej sukki, która wcale nie najlepiej wygląda w bikini.

- No i masz. Teraz cały czas będę myślał, jak pani wygląda w bikini.

Oboje się roześmieli.

Quentin odczuł ulgę, zdając sobie sprawę, że były to tylko niewinne igraszki dwojga zmęczonych ludzi, którzy wiedzieli, że nic z tego nie będzie. Ale w swoim życiu nie miał zbyt wielu okazji do flirtowania, a romansujące pary widywał najczęściej podczas oczekiwania na swoich partnerów w szykownych barach, gdzie wszyscy flirtujący byli tak pijani, że wcale nie zależało im na tym, by błyszczeć dowcipem i inteligencją. Taka zabawa z zupełnie trzeźwą i atrakcyjną kobietą, dodawała rozmowie dreszczyku emocji. Z drugiej jednak strony gnębiło go poczucie winy. Chociaż Madeleine nie istniała naprawdę, wciąż czuł się żonaty i chciał być wiernym mężem.

- Myśli pan o swojej żonie - stwierdziła Sannazzaro.

- Cóż, myślałem właśnie o tym, że wciąż czuję się żonaty.

- Miło słyszeć. Miałam okazję poznać zbyt wielu mężczyzn, którzy nigdy nie czuli się mężami, niezależnie od tego, ile żon zdążyli już zaliczyć. Swoich i cudzych.

Nagle, przypominając sobie gdzie jest, Quentin spojrzał na nieruchomą twarz pani Tyler.

- Zastanawiam się, co pani Tyler czuła do swego męża.

- Kochała go - powiedziała siostra Sannazzaro. - Ale on młodo zmarł. Powiedziała mi, że śmierć ich pierwszego dziecka, małego chłopca, była dla niego zbyt wielkim ciosem. Stracił ochotę do życia. Tak, jak już panu mówiłam - kiedy ludzie wpadają w prawdziwą rozpacz, nie żyją zbyt długo.

- Wydaje się bardzo stara, jak na dziesięcioletnią wnuczkę.

- Myślę, że dziewczynka ma już jedenaście lat. Ale prawdą jest, że pani Tyler późno wyszła za mąż. Może dlatego mąż wpadł w taką rozpacz. Dzieci miała dopiero po czterdziestce.

- Skąd takie opóźnienie?

- Czy to kiedykolwiek wiadomo? Wyszła za pana Tylera sześć miesięcy po tym, jak go poznała. Był od niej ponad dziesięć lat młodszy. Myślała, że to on ją przeżyje, co wcale jej nie przeszkadzało, gdyż nie chciała być wdową.

- Nie wyszło - mruknął Quentin.

- Cóż, pan miał zostać ojcem - powiedziała Sannazzaro. - Życie człowieka nie dostosowuje się do żadnych planów.

- Dlaczego więc ludzie wciąż planują? Zastanowiła się nad tym przez chwilę.

- Ponieważ w ten sposób dowiadujemy się kim jesteśmy. Przez to, co chcemy osiągnąć. Przez to, kim próbujemy się stać.

- Ale przegrywamy.

- "Przegrywamy" to niewłaściwe słowo, panie Fears. Po prostu celujemy i nie trafiamy do celu. Ale za to trafiamy w inne miejsca.

- Auu!

Uśmiechnęła się. Ale mówiła poważnie, więc widział, że żart trochę ją uraził.

- Przepraszam - powiedział. - Myślę, że ma pani rację. Po prostu zbyt przywiązałem się do celu, do którego chybiłem. Tak, że nawet nie zainteresowałem się tym, gdzie właściwie trafiłem. Może strzała jeszcze nie napotkała nic na swojej drodze. Proszę, niech pani mówi do mnie Quentin.

- Bez "San"?

- Tak ja będę panią nazywał.

- Mów mi Sally - powiedziała.

- Naprawdę mogę mówić ci Sally? - spytał. Był naprawdę zadowolony, że ta rozmowa nie skończyła się niczym.

Przyglądała mu się przez chwilę zanim powiedziała:

- A kiedy będziesz już wiedział, jak mają się sprawy z twoim małżeństwem, nie będę miała nic przeciwko, jeśli zadzwonisz do mnie od czasu do czasu.

Quentin uśmiechnął się. Lubił kobiety, które umiały ustalać jasne reguły gry. Podobało mu się także to, że uznawała te same reguły co on.

Kobieta odpowiedziała mu uśmiechem.

Wstał żeby wyjść, ona także. Właśnie wyciągał rękę w stronę klamki, kiedy na drzwiach pojawiły się słowa:

NIE ODCHODŹ

Jego dłoń zatrzymała się tuż nad klamką.

- Co się stało? - spytała siostra Sannazzaro. Sally. Spojrzał na nią. Nie widziała napisów. Niedobrze. Byłoby świetnie, gdyby mógł i jej opowiedzieć wszystko. Ale bez naocznych dowodów, jakie miał Bolt, nigdy by mu nie uwierzyła. Nie chciał, by pomyślała, że jest wariatem. Bardzo chciał, żeby go lubiła, ponieważ potrzebował przyjaciela, który byłby dobrym i uczciwym człowiekiem, żyłby w prawdziwym świecie i nie brałby od niego trzystu dolców za godzinę.

- Sally - odezwał się. - Muszę porozmawiać z panią Tyler. Sam na sam. Wiem, że nie będzie mnie słuchać, ale to dla mnie bardzo ważne. Na pewno jej nie skrzywdzę. Jeśli chcesz rekomendacji na mój temat, możesz zadzwonić do mojego prawnika, jego numer jest na wizytówce - podał jej jedną. - Możesz także zadzwonić do moich rodziców, oni powiedzą ci, że zawsze byłem grzecznym chłopcem.

- Może powinnam zadzwonić do twoich sąsiadów - powiedziała Sally.

- Powiedzą ci, że jestem samotnikiem, który nie wtrąca się w niczyje sprawy i najbardziej lubi własne towarzystwo. - Uśmiechnął się.

Sally pokręciła głową.

- Quentin, nie wiem, dlaczego miałabym ci zaufać. Bardzo zręczny z ciebie lawirant. Nie mówisz mi prawdy. I wlałeś tu w dość podejrzanym towarzystwie.

Najwyraźniej naprawdę nie lubiła Bolta.

- Wcześniej nie widziałem, żeby Bolt zachowywał się w ten sposób. Gdybym wiedział, że stosunki między wami są tak napięte, nigdy bym go ze sobą nie zabrał. To, co ci mówiłem, to prawda, ale masz rację, nie powiedziałem ci wszystkiego, bo nie chcę, byś pomyślała, że jestem szalony.

- Więc przekonaj mnie o tym.

- Sally, widziałem panią Tyler w jej domu w Mixinack, kilka dni temu. Spała przez całe śniadanie, ale gdy przeszliśmy do saloniku, spojrzała mi prosto w oczy i powiedziała: "Znajdź mnie". Dlatego właśnie jestem tutaj.

- To mnie nie przekonuje.

- Teraz rozumiesz, dlaczego ci tego nie powiedziałem, ale to właśnie jest prawda. Przeżywam szalone wydarzenia, ale ja nie jestem szalony, ponieważ co jakiś czas ktoś inny prócz mnie, widzi te same niesamowite i nieprawdopodobne rzeczy, które ja widzę. Dziś przed południem widziałem, jak na drzwiach tego domu w Mixinack, nie wiadomo skąd, pojawił się magiczny napis. Bolt też widział.

- Bolt nie jest najlepszym świadkiem na poparcie tezy o twoim pełnym zdrowiu psychicznym, Quentinie.

- A kiedy kierowca limuzyny podrzucił mnie i moją żonę, kilka dni temu, do tamtego domu, widział światła w oknach i oczekującego nas służącego, zupełnie tak samo jak ja. Natomiast następnego dnia zorientowałem się, że w domu nie ma prądu i to od czasu, kiedy pani Tyler przybyła tutaj. Zaś jedynymi śladami, jakie pozostały na śniegu przed domem, były ślady moje i kierowcy.

Siostra Sannazzaro zadrżała.

- To wcale nie jest zabawne, panie Fears - powiedziała.

- Chciałaś znać prawdę - odparł Quentin. - Ale kiedy ci ją przedstawiam, przestaję być Quentinem i z

powrotem zmieniam się w pana Fearsa.

- Nie wierzę w opowieści o duchach.

- To dobrze - powiedział Quentin - ponieważ moja żona żyje, podobnie jak pani Tyler.

Sally spoglądała na niego przez długą chwilę, ale jej mina wyrażała sprzeczne emocje. Nagle gwałtownie ruszyła do drzwi, schwyciła za klamkę i otworzyła je zamaszystym ruchem.

Bolt omal nie wleciał do pokoju. Zaśmiał się nerwowo, łapiąc równowagę.

- Właśnie wchodziłem.

- Podśluchiwałeś pod drzwiami - zauważył Quentin.

- To było bardzo zabawne - powiedział Bolt - słuchać cię, jak starasz się przekonać ją do czegoś, co absolutnie nie przystaje do jej ograniczonej wizji świata prowincjonalnej piguły.

Quentin miał ochotę posłać go na podłogę.

- Oczywiście, że siostra mi nie wierzy. Bo to naprawdę niewiarygodna historia.

- Więc po co ją opowiadałeś? Przecież już jadła ci z ręki. Quentin poczuł niewymowną pogardę dla Bolta. Gdzie się podział ten człowiek, którego jeszcze w Mixinack traktował jak dobrego znajomego? Czy naprawdę sądził, że rozmowa, którą odbył z Sally nie była niczym więcej, jak tylko sprytną manipulacją?

- Wynosimy się stąd - powiedział Quentin.

- Najwyższy czas - potwierdził Bolt. Rzucił w stronę siostry Sannazzaro tryumfujące spojrzenie. Quentin schwycił go pod ramię i prawie siłą wyciągnął z pokoju.

- Skąd ten nagły pośpiech? - drwił Bolt. - Przed chwilą jeszcze nic cię nie goniło.

- Przez krótką chwilę dzisiejszego dnia myślałem, że cię lubię - powiedział Quentin. - Ale myliłem się.

- Oho! Widzę że wiedźma z tego przytułku rzuciła na ciebie urok.

Zamiast wyrznąć policjanta łokciem w twarz, Quentin szybkim krokiem ruszył do przodu.

- Panie Fears! Quentin! Zaczekaj!

Zatrzymał się i obrócił. Sally Sannazzaro wybiegła z pokoju pani Tyler na korytarz.

- Quentin, ona przemówiła! Powiedziała mi, żebym sprowadziła cię z powrotem!

Quentin zaskoczony spojrzał na Bolta. Ten wyglądał na rozżłoszczonego, a nawet zawstydzonego.

- Kłamię - wyszeptał. - Mózg tej starej dawno przestał funkcjonować. Jest warzywem, niczym więcej.

- Bolt, wiem że to nieprawda, tak samo jak ty.

- Ona jest już martwa - wymamrotał Bolt. I nie ruszył za Quentinem z powrotem na koniec korytarza.

Quentin zatrzymał się w drzwiach, gdzie napotkał wpatrzone w niego oczy Sally.

- Nie kłamałem, Sally - powiedział.

- Wierzę, że pani Tyler umie właściwie oceniać ludzi - odpowiedziała cicho. - Najwyraźniej masz dar przywracania innym życia.

- To byłoby naprawdę coś wielkiego.

- Zostawiam cię z nią samego, ale nie wpuszczaj tutaj Bolta.

- Na pewno tego nie zrobię.

Następnie wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Pani Tyler odwróciła głowę i spojrzała na niego.

- Dziękuję, że przyszedłeś - wyszeptała.

PANI TYLER

Długo nie używany głos był chrapliwy. Kiedy wykonywała jakieś gesty, jej dłoń wydawała się nieprawdopodobnie delikatna, niemal przezroczysta. Próbowwała przewrócić się na bok, ale ciało wydawało się zbyt ciężkie, by zdołała je poruszyć. Quentin pomógł jej obrócić się, by mogła widzieć krzesło, na którym siedział i poczuł, że jest tak lekka, jakby została uformowana z powietrza. Czyżby nie miała kości? Co mogło przykuwać do ziemi tak ulotną istotę? Na pewno nie grawitacja.

- Świetnie wszystko zniosłeś - powiedziała. Pokręcił głową.

- Od kilku dni prawie nic nie jem.

- Bądź silny.

Nie potrzebował matczynych rad od tej kobiety. Potrzebował odpowiedzi. Ale teraz, kiedy już do

niego przemówiła, nie wiedział, o co ma pytać.

- Dlaczego do tej pory nic pani nie mówiła?

- Przebywanie w ciele jest dla mnie niebezpieczne - powiedziała.-Wieczne czuwanie...

- ...to cena wolności, o ile dobrze pamiętam - powiedział Quentin. - Ale pani wcale nie wygląda mi na wolną.

- Za to jestem żywa.

- A kto chce panią zabić?

- Rowena.

- Pani własna córka?

- Pokłóciłyśmy się.

- Na to wygląda.

- To ona cię wybrała, nie ja - powiedziała pani Tyler,

- Wybrała mnie, do czego? - spytał Quentin. - Dlaczego sama nie może otworzyć szkatułki ze skarbem?

- Okropne, że tak to właśnie nazywa.

- Więc co to jest?

- Trumna. Więzienie. Brama piekieł.

- Gdyby tak to nazwała, na pewno bym ją dla niej otworzył.

- Pod żadnym pozorem nie wolno ci otwierać tej skrzynki.

- To pani powstrzymała mnie ostatnim razem?

- Sam się powstrzymałeś. Ja ci tylko pomogłam.

- Ale ja próbowałem ją otworzyć.

- Tak ci się wydawało. Twoja mądrzejsza część bała się tego. Twoja mądrzejsza część właśnie uczyła się, by nie ufać sukubowi.

Do tej chwili Quentinowi nie przyszło do głowy, że Madeleine mogła być właśnie sukubem. Złym duchem, zsyłanym na mężczyznę, by uwieść go we śnie. Znał te duchy z mitów i legend, ale nigdy nie słyszał historii, w której sukub towarzyszyłby mężczyźnie na tyle długo, by zawrzeć z nim

małżeństwo.

- Co jest w tamtej skrzynce? - spytał.

- Błagaj Boga, żebyś nigdy nie musiał się dowiedzieć.

- To nie jest odpowiedź.

- Nie sprowadziłam cię tutaj, by odpowiadać na twoje pytania. Zbyt mało wiesz, by zadać te właściwe. A ja nie mogę za długo przebywać w moim ciele. To bardzo niebezpieczne. Zbyt wiele może się wydarzyć, kiedy przestaję pełnić wartę.

- W porządku, więc niech mi pani powie to, co powinienem wiedzieć.

- Rowena utrzymuje moje ciało przykute do łóżka, a kiedy wysyłam swojego ducha, ona śledzi mnie jak cień. Gdziekolwiek się udam, ona czeka tam na mnie, blokując mi dostęp do wszystkiego. Staram się być jak najbliżej wszystkich jej poczynań, ale nawet nie wiedziałam o twoim istnieniu, do chwili, kiedy sukub przyprowadził cię do domu, a ona zaczęła budzić zmarłych.

- Ale dlaczego ja? - zapytał Quentin. - Czy pani wie dlaczego?

- Mogę tylko snuć przypuszczenia. Wszystko zależy od tego, ile ona wie. Rowena była takim buntowniczym dzieckiem. Znienawidziła mnie od chwili, gdy dorosła na tyle, że była w stanie wyluskać wspomnienia z mojego umysłu. Nie zrozumiała tego, co się kiedyś stało i nie pozwoliła mi niczego wyjaśnić. Mój umysł wydał jej się tak obrzydliwy, że nie miała zamiaru nigdy więcej do niego wchodzić. Tak mi powiedziała.

Córki, wchodzące do umysłów swoich matek.

- Kim wy właściwie jesteście?

- Och, Quentinie, czy naprawdę jesteś taki tępy? Jesteśmy wiedźmami. Prawdziwymi wiedźmami, nie głupimi prostytutkami, które biegają na golasa, próbując przedstawić nasze pełne udręczenia powołanie, jako jakiś dziwaczny mistyczny kult. To nie jest coś, co można samemu sobie wybrać. Większość ludzi posiada moc w ilościach śladowych. Jeden, czy drugi przebłysk co jakiś czas, to wszystko co dociera do nich z drugiej strony. Ale my dorastamy obcując zarówno z duchami, jak i z ciałami. Widzimy wszystko, możemy dotknąć wszystkiego, czy będzie to duch, czy ciało. Słyszymy słowa wypowiedane głośno, a jednocześnie potrafimy usłyszeć kryjące się za nimi myśli. Potrafimy chodzić używając nóg, ale możemy także spowodować, aby nasz duch latał. Widzimy żywych ludzi, ale możemy widzieć umarłych, a kiedy wiemy gdzie są zakotwiczeni, jesteśmy w stanie przywołać ich i zmusić do przybycia na nasz rozkaz.

Quentin wrócił myślami do czasów szkółki niedzielnej, do usłyszanej tam biblijnej opowieści, w której także występowała wiedźma. Do historii o wiedźmie z Endor.

- Tak, tak - odezwała się pani Tyler. - Chrześcijan i Żydów zawsze wprawiała w zakłopotanie ta historia w ich pismach. W jaki sposób kobieta, która wybrała zło, mogła posiadać moc, by

przywołać wielkiego proroka z krainy umarłych? Więc mówią, że to była mistyfikacja. Albo że to Szatan udawał Samuela. Ale my wiemy, co ta kobieta zrobiła i jak to zrobiła. Nad wszystkimi umarłymi można zapanować. Saul znał Samuela. Musiał mu zostać jakiś szczątek po starym proroku... zapewne jakiś włos. Może nawet rozkopał jego grób i wyciągnął z niego kawałek ciała. Zaniósł go do wiedźmy, a ona użyła go, by wezwać zmarłego i wtedy Samuel przemawiał do Saula przez nią. Może Saul był taki, jak ty... być może coś niecoś widział, jeśli naprawdę się wysilił. Wtedy tak było, to i teraz tak być może. W ten sam sposób moja córka wezwała kuzyna Jude, biednego Simona, Stephena i tę starą, głupią Minerve.

- Rozkopała ich groby?

- Może nie było potrzeby. Wszyscy byli przywiązani do domu, możliwe więc, że nie potrzebowała szczątków. Ale jak myślisz, dlaczego chrześcijanie tak zawsze szaleli na punkcie szczątków swoich świętych? One zapewniały moc przyzywania ich duchów... takie wykorzystanie relikwii było, rzecz jasna, zakazane, ale nie znaczy to, że nie było chętnych. Jeśli ktoś był w posiadaniu oryginalnego kawałka palca świętego Piotra, mógł wezwać go do siebie. To wcale nie są brednie.

- Jak więc udało mi się wezwać moją siostrę? Nie mam żadnego jej szczątka.

Pani Tyler była zdumiona.

- Udało ci się wezwać twoją siostrę? Sam wezwałeś zmarłą osobę? Kiedy?

- Kiedy byłem małym chłopcem. Mniej więcej w wieku pani wnuczki. Moja siostra była na granicy życia i śmierci, a ja nie chciałem dopuścić, żeby pobrano jej organy do transplantacji. Siedziałem sam przy jej szpitalnym łóżku, tak, jak siedzę teraz przy pani i wtedy ona przyszła do mnie. Albo przynajmniej przemówiła do mnie w moich myślach. I powiedziała mi, że powinienem pozwolić jej odejść.

- Nie musisz opowiadać mi całej historii. Już ją widzę. Niesamowite. O, nie, tylko nie to!

- Co takiego?

- Ukryła to przede mną, mała żmija. To wszystko zmienia.

- Co zmienia?

- Ona wie więcej niż przypuszczałam. Nie jest kompletną ignorantką, jest tylko głupsza niż kiedykolwiek mogłam to sobie wyobrazić.

- Co ona wie?

- Nie jesteś pod wpływem uroku. Ona nie ma nad tobą władzy. Och, dlaczego tego nie zauważyłam? Oczywiście, posłała sukuba zamiast po prostu rzucić na ciebie urok.

- Zostałem zauroczony, niech mi pani uwierzy.

- Wręcz przeciwnie, zostałeś oczarowany, ale nie zauroczony. Wciąż jesteś wolny.
- Tak mi się wydaje.
- Ona ma nadzieję, że dzięki tobie będzie mogła zapanować nad bestią. Ponieważ jesteś taki silny. I wolny. Gdybyś wypuścił bestię, działając pod wpływem uroku, bestia w ogóle nie zwróciłaby na ciebie uwagi, a zamiast tego ruszyłaby prosto na nią. Ale jeśli będziesz wolny w chwili, gdy bestia cię dotknie, wtedy zapragnie ciebie. Ona liczy na to, że twoją siłą przyciągniesz bestię do siebie. Bestia zawsze podąża w kierunku siły. Ona myśli, że kiedy bestia opanuje cię od środka, kiedy cała zawładnie twoim ciałem, wtedy będzie mogła ujarzmić cię urokiem i w ten sposób zapanować nad nią.
- Nad kim?
- Nad bestią, która zabrała mojego synka. Quentin przypomniał sobie opowieść Bolta.
- Rowena powiedziała komendantowi Boltowi, że zamordowała pani swoje dziecko, nim ukończyło dwa lata.
- Ona sądzi, że to właśnie odkryła w mojej pamięci, ale ja nie zabiłam mojego chłopca. Ona nie rozumiała.
- Czego nie rozumiała?
- Paul został opanowany jeszcze zanim ukończył roczek. Był pięknym i nadzwyczaj bystrym chłopcem. Miał być chwalebny dzieckiem światła. Tak niewielu chłopców posiada moc, ale on był wprost niezwykły. Został zauważony przez bestię, która ukradła jego ciało. Odkrycie tego zajęło mi trochę czasu. Na początku myślałam, że jakaś inna wiedźma rzuciła urok na moje dziecko, więc próbowałam odnaleźć połączenie i przerwać je. Ale połączenie znajdowało się w środku. Coś zawładnęło ciałem chłopca i w końcu zdałam sobie sprawę, że to nie był już mój Paul, tylko bestia używająca skradzionego mu ciała. Paul zniknął i już nigdy nie miałam go odzyskać. Kiedy bestia zabiera komuś ciało, staje się ono jej własnością. Nie ma w nim już miejsca dla poprzedniego posiadacza. Teraz Quentin wszystko już rozumiał.
- Więc Rowena widziała, jak zabija pani chłopca.
- Ujrzała w moich wspomnieniach, jak odcinam bestii dostęp do żywego serca. Ale córka była wtedy jeszcze bardzo mała. Oczywiście pomyślała, że to mój mały Paul. Próbując mnie powstrzymać, bestia sprawiła, że ciało płakało i błagało mnie o litość dziecięcymi słowami Paula. "Nie, mamusiu! Nie rób mi krzywdy, mamusiu!", wołało. Rowena ujrzała tę scenę. Ale ja znałam prawdę. Chłopiec dokonywał takich rzeczy, jakich żadna z nas nie potrafi. Przemieszczał różne przedmioty mocą umysłu. Potrafił je także niszczyć. Znajdowaliśmy je: muchę zatopioną w szklanej szybie, zamki otwierające się bez kluczy... też to widziałeś? To właśnie świadectwo obecności bestii.
- Czym jest bestia? Czy to ta, którą opisuje Księga Apokalipsy?

- To smok. Może być ich wiele, ale nigdy nie słyszałam, żeby na ziemi w tym samym czasie przebywał więcej niż jeden. Zagnieżdża się w ciele, które na początku było normalnym ludzkim ciałem, ale kiedy zostanie wzięte w posiadanie przez bestię, przybiera takie kształty, jakich ona pragnie. Kiedyś zagnieżdżyła się w ciele Adolfa Hitlera, gdy ten próbował zarabiać malowaniem w Anglii, i miała go w posiadaniu od tamtego czasu, aż do chwili, kiedy moc bestii wyczerpała się tak dalece, że wystarczyło jej jedynie na zatrucie zamieszkiwanego przez nią ciała. Wcielała się także w starożytnych zdobywców, którzy usypywali kopce z czaszek i siali strach po całym świecie. Bestia kocha śmierć. Równie mocno pragnie siły. Im silniejszy jest człowiek, którego ciałem zawładnie, tym silniejsza jest bestia, dopóki ten człowiek żyje.

- A więc można ją zabić.

- Lecz ilu ludzi musi cierpieć i umrzeć zanim bestia padnie? Oczywiście, w końcu można ją zabić. Ale w tym wieku, kto jest na tyle czysty, by móc ją zgładzić?

- Czysty? Jak święty Jerzy? - Quentin nie mógł powstrzymać się od śmiechu. To wszystko przypominało romantyczne historie z ujarzmianiem smoka w celu wyzwolenia pięknej damy.

- Z czego się śmiejesz? Jak myślisz, dlaczego Rowena wybrała właśnie ciebie?

- Na pewno nie ze względu na moją czystość - powiedział Quentin.

- Cóż możesz o tym wiedzieć! - zawołała pani Tyler. - Musisz być czysty jeśli pragniesz pozostać sobą w obecności bestii. Plan Roweny nie ma szans na powodzenie, jeśli ty nie jesteś czysty.

Quentin zaśmiał się znowu, tym razem gorzko.

- Więc chyba się zawiedzie.

Pani Tyler nie zwracała na niego uwagi.

- Gdyby pozwoliła mi żeby ją czegokolwiek nauczyła, na pewno wiedziałaby, że nie jesteś w stanie zapanować nad bestią. Na pewno widziała moje wspomnienia o mocy, jaką posiadał Paul. Jak mogła nic nie zrozumieć, skoro widziała tak wiele?

- Może nie uwierzyła w tę historię z bestią - zasugerował Quentin.

- Wiedziała jaką moc sama posiada. Wiedziała, że moje wspomnienia są prawdziwe. Jakich dowodów jeszcze potrzebowała?

- Może pomyślała sobie, że pani zwariowała i że cała historia o pani synku owładniętym przez ducha smoka jest tylko tworem wyobraźni powstałym na skutek chorobliwych podejrzeń. Jeśli w pani wspomnieniach ujrzała tylko, że jej brat miał kilka wyjątkowych zdolności, a potem zobaczyła scenę, jak pani, nadmiernie tym wszystkim przejęta, z zimną krwią morduje go...

- To nie był Paul, to była...

- Skąd mogła pani wiedzieć, że to bestia? Czy była pani do końca pewna?
- Oczywiście, że byłam pewna! Czy masz mnie za potwora?!
- Nie wiem. Problem w tym, czy pani ma się za potwora.
- O czym ty mówisz?
- Dlaczego czekała pani do chwili, kiedy miał już prawie dwa lata, zanim go pani uśmierciła? Przecież była pani pewna!
- Bo bestia miała twarz mojego syna. Bo miała głos mojego syna. Ponieważ chciała się ukryć przede mną, dopóki mój syn nie nabierze więcej sił, tak żebym już nie potrafiła stawić jej najmniejszego oporu. Niewiele brakowało, by tak się stało. Niewiele brakowało, a mogło się okazać, że czekałam za długo. Niewiele brakowało, a stałaby się na tyle potężna, by mnie powstrzymać. Ale moja zemsta się powiodła. Nie uwolniłam jej. Zamknęłam ją.
- W szkatułce?
- Kiedyś zamknięto ją w butelce i wyrzucono w morze, ale fale wyrzucają butelki na brzeg, gdzie mogą znaleźć je ludzie.
- Była dzinem?
- Tak, ale takim, który nie spełnia innych życzeń, prócz swoich własnych - powiedziała. - Innym razem bestia została ukryta w z mumifikowanym ciele, w Egipcie, ale jacyś złodzieje wkradli się do sekretnej komnaty i znowu ją uwolnili. Zabicie jej rozwiązuje problem na dzisiaj, ale potem znowu będzie szukać sobie innego gospodarza. Chciałam ukrócić jej swobodę, aby nie mogła jakiejś innej matce zrobić tego, co zrobiła mnie.
- Czy wcześniej wdziała pani kiedyś tę bestię? - spytał Quentin.
- Oczywiście, że nie. Ale posiadałam gruntowną wiedzę. W odróżnieniu od Roweny nauczyłam się wszystkiego od mojej matki. A także od mojej babci. Wiedziałam, jak można wykryć bestię.
- Czy pani babcia lub mama widziały ją kiedyś?
- Nie waż się oskarżać mnie o to, o co mnie oskarżasz.
- Nie oskarżam pani o nic - powiedział Quentin. - Po prostu wydaję mi się, że być może Rowena nie uwierzyła w pani opowieść o bestii, dlatego że w głębi serca pani również nie była do końca przekonana o słuszności swojego wyboru.
- Czy myślisz, że mogłabym się zamierzyć nożem na to ukochane ciało, gdybym miała choć cień wątpliwości?
- Gdzieś w najdalszych zakątkach pani umysłu czai się strach, że być może dała się pani porwać

szaleństwu i zabiła własnego syna.

- Nieceee! - Tonie było słowo, lecz upiorne wycie. W niewiadomy dla niego sposób jej wąta pierś wydała z siebie tak potężny okrzyk, że na pewno usłyszano go we wszystkich pokojach w całym domu spokojnej starości.

I wtedy nagle jej ciało zwiotczało. Opadła na plecy i ułożyła się tak jak przedtem, symetrycznie, z zamkniętymi oczyma. Jej duch znów gdzieś uleciał

Ale niezbyt daleko. Na ścianie pojawiły się świetliste litery, których blask omal go nie oślepił:

KŁAMCA

- Wcale pani nie oskarżałem - znów starał się wytłumaczyć. - Próbowałem tylko domyślić się dlaczego Rowena, sprawdzwszy w pani pamięci wciąż wierzy, że pani zamordowała jej brata.

WYNOŚ SIĘ

- W porządku. - Podeszedł do drzwi i otworzył je. Uderzył go tumult kroków i mieszanina dźwięków hałaśliwych głosów. Oczywiście wszyscy mieszkańcy domu spokojnej starości usłyszeli wrzask pani Tyler. Zauważył Sally Sannazzaro pędzącą w stronę pokoju z wyrazem przerażenia na twarzy.

- Sally - zawołał do niej Quentin - wszystko w porządku! Nic jej nie zrobiłem. Po prostu powiedziałem coś, co ją rozgniewało. Ale teraz znowu zasnęła.

OBYŚ ZGINAŁ

Słowa pokrywały całą ścianę korytarza, jak ogromny fresk. Obrócił się i przeczytał to, co pojawiło się na ścianie po przeciwnej stronie.

KOCHAŁAM MOJE DZIECKO

- Nie mam co do tego wątpliwości, pani Tyler - powiedział cicho, wiedząc, że staruszka słyszy go, ale nie słucha.

Sally odepchnęła Quentina na bok, wpadając do pokoju. Dopiero kiedy zobaczyła, że starsza pani wciąż oddycha, wyszła na zewnątrz. Obawiał się, że zaraz runie na niego z pięściami.

- Rozmawialiśmy tylko - powtarzał uparcie, podnosząc ręce, aby bronić się przed jej ewentualnym atakiem.

- Wynoś się - usłyszał. - I nigdy więcej tu nie wracaj, rozumiesz mnie?

- Sally, ja nic jej nie zrobiłem. Ona wezwała mnie do siebie. Potrzebuje mojej pomocy, a ja chcę jej pomóc. Powiedziałem tylko coś, co ją rozzłościło, bo to była prawda.

Odpowiedź pani Tyler zapłonęła na ścianach, na których ukazało się jedno, powtarzające się bez

końca słowo: KŁAMCA KŁAMCA. KŁAMCA

- Ale ona wkrótce się uspokoi - ciągnął Quentin - potem będziemy musieli znowu porozmawiać.
- Nie widzę najmniejszych szans na taką rozmowę - oznajmiła siostra Sannazzaro. - A teraz wynoś się razem ze swoim przyjacielem Boltem. Już dość narobiliście zamieszania w tym domu.
- W porządku, już sobie idę.
- Zdążyłam wezwać policję i ambulans lotniczy. Więc radzę ci się pośpieszyć.
- Dobrze, że przyszedłeś zobaczyć, co się naprawdę stało zanim wezwałeś kawalerię - rzucił ze złością Quentin. - Nie nadużyłem twojego zaufania.
- Moje zaufanie skończyło się, gdy usłyszałam krzyk mojej przyjaciółki. Wyła tak, jakbyś rozrywał ją na strzępy!

Quentin aż poczerwieniał ze złości, czując że w tak głupi i niezawiniony przez siebie sposób utracił przyjaźń siostry Sannazzaro. Jednak mimo tak kategorycznego osądu, niezmiernie pragnął poznać ją bliżej. Ponieważ tak bardzo różniła się od Madeleine. Nie była dokładnym odzwierciedleniem jego pragnień, idealnie dostosowującym się do każdej jego zachcianki; zawsze pozostawała sobą. A jeśli cokolwiek robiła dla niego, czyniła to z własnej, nieprzymuszonej woli. Inni ludzie, których znał przynajmniej po części przypominali mu Madeleine. Zawsze starali się odgadnąć jego oczekiwania, próbowali dać mu to, czego pragnął, aby znaleźć się po jego stronie. Dlatego też nigdy nie wiedział jacy byli naprawdę. Mógł nie rozumieć postępowania siostry Sannazzaro, ale jedno nie ulegało wątpliwości: była osobą prawdziwą. Miał ochotę chwycić ją za rękę i krzyknąć, dopóki mu nie uwierzy: Ja także jestem prawdziwy! Równie prawdziwy jak ty. Ale może wcale taki nie był. Niewykluczone, że aby przebywać w towarzystwie dobrych ludzi należało być równie czystym jak wtedy, gdy chciało się przeżyć w obecności bestii.

Komendant Bolt przyczłapał ku nim leniwie od strony windy.

- Jakieś ofiary? - zapytał wesoło.
- Pan zaraz będzie jedyną ofiarą, jeśli natychmiast się stąd nie wyniesie - powiedziała Sannazzaro. - Zabiję pana własnoręcznie, a potem zeznam, że zrobiłam to w obronie własnej.

Weszli do windy, siostra Sannazzaro razem z nimi.

- Chcę widzieć jak wychodzicie z budynku, wsiadacie do samochodu i natychmiast stąd odjeżdżacie.

W milczeniu zjechali na parter. Ale kiedy odprowadzała ich do drzwi, do głowy przyszła jej nowa myśl.

- Postawię strażnika przed jej pokojem - oświadczyła. - Stać ją na to. A ja będę pewna, że nigdy więcej żaden z was do niej nie wejdzie.

Quentin zatrzymał się zaraz za oszklonymi frontowymi drzwiami. Wokół niego wiatr rozwiewał płatki śniegu. Słyszał już syreny wozów jadących na sygnale w stronę budynku.

- Sally - powiedział - dotrzymałem słowa i nie skrzywdziłem pani Tyler w żaden sposób. Kiedy będziesz chciała żebym przyjechał tu, po prostu zadzwoń do mnie. Przyjadę na pewno.

Siostra Sannazzaro zatrzasnęła mu drzwi przed nosem i przekręciła klucz.

Bolt czekał już na niego przy samochodzie.

- Wsiadaj, durniu, chyba nie masz zamiaru spędzić tu całej nocy, odpowiadając na jakieś kretyńskie pytania.

Towarzystwo Bolta naprawdę mu już obrzydło, ale obecnie nie miał zbyt wielkiego wyboru. Był tylko jeden samochód, którym mógł się stąd wydostać przed przyjazdem policji i Bolt również miał zamiar się w nim usadowić. Quentin miał kłopoty z otwarciem drzwi, ponieważ cały aż trząśł się z gniewu, wściekłości, nerwowego wyczerpania i strachu na wspomnienie wszystkiego, co usłyszał od pani Tyler i niesprawiedliwości siostry Sannazzaro. Nie, wcale nie dlatego się trząśł. Po prostu drżał z zimna. Nic więcej.

Wycofał samochód i ruszył w stronę wjazdu na parking.

- Nie skręcaj w prawo, głupku. Jedź w lewo!

- Ale właśnie z tamtej strony słychać syreny.

- Chyba nie chcesz, żeby wyglądało to na ucieczkę, prawda?

- W porządku. W końcu to ty jesteś gliną - Quentin wyjechał na zasypaną śniegiem drogę i ruszył w stronę, z której przyjechał. Po drodze minęła ich karetka i wóz straży pożarnej. Ale nie było policyjnego radiowozu. Siostra Sannazzaro w końcu nie wezwała policji. Albo policja jechała wolniej niż pozostali. Nie czekał żeby to sprawdzić.

Dopiero gdy wjechali na autostradę, Bolt zadał pytanie, którego należało się spodziewać.

- Czy nie będziesz miał nic przeciwko temu, że spytam co takiego, u diabła, stało się w tamtym pokoju?

- To ja powinienem spytać ciebie, Mike. Co za diabeł w ciebie wstąpił?

- O czym ty mówisz? - zdziwił się Bolt. - Ja przecież nic nie zrobiłem. To ty rozmawiałeś ze starszą panią. Oczekuję relacji.

Wczesnym popołudniem, kiedy razem jedli chili, Quentin opowiedział mu wszystko, co wiedział do tamtej chwili. Ale teraz, kiedy miał jeszcze w pamięci jego zachowanie się wobec Sally Sannazzaro i zastanawiał się, czy mocne przekonanie Sally o jego próbie uduszenia staruszki nie było całkiem bezpodstawne, odeszła mu ochota by dzielić się z Boltem tym, czego się dowiedział.

- Jej słowa nie miały najmniejszego sensu - powiedział. - Najwyraźniej coś sobie uroiła. Nie mam pojęcia za kogo mnie wzięła, ale przestraszyła się i zaczęła wrzeszczeć.

- Jeśli od kilku lat bardziej przypominała seler niż człowieka, to czy wrzask ten należy uważać za oznakę poprawy, czy pogorszenia? - spytał Bolt. Jego głos znów przybrał kpiarski ton. Znowu był sobą. A może sobą był właśnie przed chwilą, podczas odwiedzin w domu starców. Skąd Quentin mógł to wiedzieć?

- Podobała mi się ta Sally - oświadczył.

- Niezwykle czarująca kobietka.

Quentin spojrział na znak stojący przy drodze, drogowskaz. Na znaku zauważył wyraz, który wcale nie był nazwą miejscowości.

DALEJ

Dalej?

- Mam dla ciebie niemiłą wiadomość, Quentinie – odezwał się Bolt. - O ile znam się na kobietach, to siostra Sannazzaro raczej cię nie lubi.

Ale przez chwilę go lubiła.

Tablica, na której powinna znajdować się reklama restauracji usytuowanej przy następnym zjeździe z autostrady, również została zmieniona.

OTWÓRZ SKRZYNKĘ

- Oczywiście, cóż ja mogę wiedzieć o kobietach? - ciągnął Bolt.

Na znaku, który wcześniej informował o pobliskiej stacji benzynowej, obecnie można było przeczytać:

POZWALAM CI

Dalej, otwórz skrzynkę, pozwalam ci. Dzięki, Babciu.

Niewielka strzałka wskazująca zjazd, również miała inną treść niż przedtem.

ZGINAĆ

- Nawiasem mówiąc, czy zauważyłeś te napisy na znakach? - spytał Bolt.

- A ty?

- Najwyraźniej ktoś cię nie lubi - stwierdził Bolt. - Czy Sannazzaro jest w stanie robić takie rzeczy?

- Wątpię - odparł Quentin. - To się dzieje za sprawą starszej pani. Ona jest wiedźmą. Rowena też jest wiedźmą. A moja żona, Madeleine, to sukub.

Przez chwilę Bolt wyglądał na rozdrażnionego

- Rowena nie jest wiedźmą!

- Zastanów się przez chwilę - powiedział Quentin. - Owe słowa nie pojawiają się na znakach same z siebie.

- To sprawka staruszki.

- Tak, z pewnością. Ale inne rzeczy nie były jej sprawką. To właśnie Rowena trzyma ją przykutą do łóżka. Jesteśmy świadkami wojny pomiędzy wiedźmami, które biją się o smoka i rozsyłają sukuby, żeby pozyskać sobie współpracę przypadkowego mężczyzny. Przez minutę postaraj się nie myśleć, że Rowena nie może być jedną z nich tylko dlatego, że ją kochałeś.

- No proszę, a co ty możesz wiedzieć o Rowenie?

- Nic. Ja nie wiem absolutnie nic o niczym, Bolt.

- To tak jak ja.

- Masz rację. Gdybyś tam, w domu spokojnej starości, nie zachowywał się jak kutas, Sannazzaro na pewno nie wściekłaby się tak na mnie.

- Nie wiem co się ze mną dzieje, kiedy znajduję się w towarzystwie tej kobiety - wyznał Bolt. - Jeśli ktokolwiek jest tu wiedźmą, to właśnie pielęgniarza.

Ja nie nazywam ich wiedźmami w przenośni, chciał powiedzieć Quentin. Chcę ci powiedzieć, że kobieta, którą kochasz najprawdopodobniej ujarzmiła cię urokiem i ma nad tobą pełną kontrolę. Najprawdopodobniej też ona sterowała tobą w domu starców.

Ale mówienie mu o tym nie miało najmniejszego sensu. Ponieważ jeśli była to prawda, Bolt nie potrafiłby zrozumieć.

- Tak czy siak, od lunchu minęło już sporo czasu - powiedział Bolt. - Jeśli przez przypadek, któryś z tych znaków zamiast ci złorzeczyć poinformuje nas o jakimś żarciu, to może zjechalibyśmy gdzieś na kolacyjkę?

Jak on mógł w takiej chwili myśleć o jedzeniu? Ale kiedy już o tym wspomniał, Quentin poczuł, że też jest bardzo głodny.

- Jesteś pewny, że policja nie będzie nas szukać?

- Właśnie wjechaliśmy do naszego okręgu - oznajmił Bolt. - Ten znak, na którym było napisane "Kłamca" jakieś osiem razy, to właśnie oznaczenie granicy. Poza tym wydaje mi się, że ta Sannazzaro

wcale nie wezwała glin.

- Też mi się tak wydaje.

- A widzisz? Chyba jednak cię lubi, Quentin. Nie nasłała na ciebie glin... tak, to mi wygląda na miłość.

Quentin musiał roześmiać się wbrew sobie. Bolt znowu był taki jak wcześniej. W domu spokojnej starości też wszystko się uspokoi. Siostra Sannazzaro zda sobie sprawę, że jej reakcja była zbyt gwałtowna. Pani Tyler także. Wszystko jakoś się ułoży.

Teraz powinien rozważyć to, czego się dowiedział. Spróbował przypomnieć sobie wszystkie opowieści o wiedźmach, jakie miał okazję usłyszeć i przeczytać. Brodawki na nosach i zakrzywione brody były najwyraźniej tworem przesądów. Magiczne wywary stanowiły raczej domenę alchemii lub medycyny ludowej, która służyła zarówno do leczenia, jak i rzucania uroków. Ale obraz wiedźm wzywających nieboszczyków, nasyłających sukuby na uspionych mężczyzn, gromadzących makabryczne kolekcje szczątków znanych im ludzi - te opowieści musiały być oparte na prawdziwych wydarzeniach. Podobnie jak historie o wiedźmach czczących Szatana... bo cóż mogło się zdarzyć jeśli bestia, o której mówiła pani Tyler, zdoła zawładnąć ciałem dorosłego człowieka? Mnóstwo ludzi uwielbiało Hitlera. Caligula sam obwołał się bogiem. Co by było gdyby bestia opanowała jakiegoś biednego druida? Jak odbieraliby to ludzie, którzy nie rozumieli działań wiedźm ani nie wiedzieli kim naprawdę był człowiek, którego czcili? Ponieważ bestia wcielała się w człowieka na całe życie, mogła uczynić z wiedźm swoje osobiste niewolnice, oddające się bachanaliom odpowiadającym opisom z najdziwaczniejszych przekazów średniowiecznych. Wiedźmy, sukuby, smoki, diabeł. Dla niektórych osób to zawsze były jakieś wymyślone, mityczne postacie. Ale nie dla ludzi, którzy od urodzenia posiadali większą zdolność do rozmawiania z duchami żywych i umarłych.

A ja? Quentin wciąż się nad tym zastanawiał. Z pewnością nie miał takiej mocy, jaką dysponowały te kobiety, ale przecież nie był całkowicie bezbronny. Wszak wezwał Lizzy zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy, nie będąc w posiadaniu żadnego jej szczątka. W chwili kiedy wyobraził sobie, co by było, gdyby miał jakiś jej szczątek, zastanowił się dlaczego nie miałby wziąć sobie fragmentu jej ciała. Czy nie to samo zrobili lekarze zajmujący się przeszczepami? Organy jego siostry zostały rozsiane po całym kraju i żyły dalej, a jej duch był uwiązany do nich, dopóki one także nie umarły. Zatrząśł się z obrzydzenia.

- Zamiast drzeć z zimna, możesz włączyć ogrzewanie - odezwał się siedzący obok niego Bolt.

Quentin pomyślał o biednym Bolcie, który nie zdawał sobie sprawy, że zakochał się w wiedźmie. W Rowenie, która całowała się z nim w kuchni. Jeśli Quentin został całkowicie oczarowany przez sukuba, o ile silniejszy musiał być czar, który został rzucony na Bolta, skoro miał okazję całować wiedźmę? Czy w ten sposób wiedźmy rzucały urok na mężczyzn? Pocałunkiem, który miał także moc obudzić śpiącą królową. Pocałunkiem, który zmieniał żabę w człowieka. Pocałunkiem śmierci.

Starał się uporządkować w pamięci wszystko, co pani Tyler opowiedziała mu o ludziach ujarzmionych urokiem. O mężczyznach nie posiadających własnej woli. Bestia nie zważałaby na

takiego gościa, natomiast rzuciłaby się na kobietę, która go zniewoliła. Więc jeśli Bolt był zauroczony, wyjaśniałoby to dlaczego Rowena nie mogła użyć go do otwarcia szkatułki. Ryzykowałaby tyle, co otwierając sama. Ale do czego taki zauroczony niewolnik w rzeczywistości był zdolny? Czy istotnie wysyłała go, by uśmiercił jej matkę? A on wcale nie zdawał sobie sprawy, że właśnie próbował to zrobić? Jego racjonalny umysł musiał wymyślić sobie jakieś inne wyjaśnienie dla własnych działań, na przykład takie, że chciał poprawić starszycie poduszki. Bolt kochał i szanował panią Tyler, więc na pewno sam z siebie nie wpadłby na pomysł zabicia jej. Nawet podczas mordowania starszej pani, myśl o takim czynie byłaby dla niego niepojęta. Niebezpieczne baby z tych wiedźm. Niebezpieczne, kiedy kochają i kiedy nienawidzą. Oczywiście jeśli przyjąć, że mogły pokochać jakiegokolwiek człowieka zamiast poprzestać na używaniu go do własnych celów.

Quentin wystukał na telefonie komórkowym numer Waynea Reada. Nie zwracał uwagi na to, czy Bolt go słucha, czy nie. Rowena, pani Tyler i mnóstwo innych wiedźm na całym świecie mogło słuchać wszystkich jego rozmów, a on nigdy by się nie zorientował.

Po zwyczajowych pozdrowieniach Quentin przeszedł do rzeczy.

- Jeśli jeszcze nie masz adresu tak zwanych Duncanów, to mam dodatkowe informacje. Imię i nazwisko panięskie żony brzmi Rowena Tyler. Adres, którego szukamy, prawdopodobnie znajduje się w karcie pani Anny Laurent Tyler, przebywającej w Domu Emeryta w Willoughby. - Podał mu adres.
- Wciąż prowadzimy śledztwo na pozostałych kierunkach -oznajmił Wayne. - Jeśli właśnie byłeś w tym domu, dlaczego sam nie wzięłeś adresu?
- Jakoś nie udało mi się nawiązać dobrych stosunków z kierownictwem.
- Więc jak nasz detektyw ma zdobyć informacje?
- Tak, żeby nie musiał za to stawać przed sądem, Wayne.
- Naczytałeś się za dużo kryminałów, Quentin. Większość prywatnych detektywów to nie są szkoleni włamywacze.
- Większość włamywaczy też nie przeszła żadnego szkolenia. Należałoby po prostu wejść do tego domu w godzinach urzędowania administracji, wyjąć kartę z kartoteki, skserować stronę z adresem i wyjść. Obecnie mają tam niedobory personelu.
- Quentin, ty żyjesz w świecie iluzji.
- Wszyscy w nim żyjemy, Wayne. Właśnie dowiedziałem się, że moja żona była sukubem stworzonym przez pewną wiedźmę. Czuję się tak, jakbym przez cały rok świętował Halloween.
- Znajdziemy jakiś rozsądny sposób na zdobycie tego adresu.
- Dzięki.

- A tak przy okazji, Quentin, pytałeś mnie jak rozwieść się z kobietą, która nie istnieje, prawda?
- Myślałem, że mogą z tym być problemy.
- Nie ma najmniejszego problemu. Wcale nie potrzebujesz rozwodu. Nigdy nie byłeś żonaty.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Wszystkie dokumenty - pozwolenie, świadectwo ślubu - nigdy nie zostały przez nią podpisane.
- Przecież sam widziałem jak składała podpis. - Ale to nie miało, rzecz jasna, najmniejszego znaczenia. Wiedział o tym, kiedy wypowiadał te słowa.
- W obu rubrykach każdego dokumentu jest twój podpis. Wziąłeś ślub sam ze sobą, Quentin.
- Przynajmniej mam pewność, że nie będzie żadnych zdrad.
- Do widzenia, lunatyku. Postaraj się żeby jeszcze przez kilka dni nie zabrali cię do wariatkowa, przynajmniej do czasu kiedy mi zapłacisz.
- Zrobię co w mojej mocy.

Bolt śmiał się, kiedy Quentin odłożył słuchawkę.

- Posłuchaj, jeśli Rowena nie będzie chciała, żebyś ja odnalazł, to nikomu nie uda się zdobyć prawdziwego adresu.
- Więc będziemy musieli trzymać się nadziei, że ona chce, abym ją odnalazł.
- Nie przypuszczam, żebyś zabrał mnie ze sobą.
- Uwierz mi, Bolt, jeśli ona chciałaby, żebyś do niej przyszedł, nie byłbym w stanie cię powstrzymać.
- Cholernie szczerą odpowiedź - powiedział Bolt, udając, że żartuje.

Rowena istniała gdzieś w rzeczywistym świecie. Wcześniej czy później detektywi Wayne'a Reada musieli ją odnaleźć. Jeśli wciąż potrzebowała Quentina, na pewno pozwoli im się odszukać. To ona stworzyła sukuba, którego Quentin pokochał i stracił. Jeśli się z nią spotka, na pewno będzie miał jej wiele do powiedzenia.

ŚNIEG

Na ogół Quentin potrafił cierpliwie czekać na to, aż inni wykonają swoją pracę. Przez wiele lat zajmował się zapewnianiem różnym ludziom pieniędzy i wsparcia przy rozkręcaniu jakiegoś interesu. Otrzymywał okresowe sprawozdania informujące go o tym, jak się sprawy mają, odbywał kontrolne spotkania z partnerami, ale przez większość czasu pozwalał im robić to, co lubili robić, realizować własne marzenia i czekał aż do chwili, kiedy było już całkowicie jasne, jak wszystko potoczy się dalej.

W pewnym sensie obecnie znajdował się w podobnej sytuacji. Wbrew swojej woli zaangażowany w realizację marzeń nieznanym mu osobom, czekał na rozwiązanie całej sprawy. Problem polegał na tym, że nie wiedział jakie to były marzenia, kto właściwie marzył i dla kogo wszystko stanie się koszmarem, kiedy marzenia te zostaną spełnione.

Zastanawiał się czy nie poczekać na sprawozdanie Wayne'a w Mixinack. - Bolt nawet zaproponował mu nocleg na tapczanie w gabinecie ogromnego, starego wiktoriańskiego domu. Ale Mixinack to było miejsce, gdzie znajdowała się szkatułka, a na razie Quentin nie chciał przebywać w jej pobliżu.

A czego chciał? Podrzuciwszy Bolta na posterunek, gdzie stał samochód komendanta, Quentin ruszył na południe drogą opustoszałą wskutek szalejącej zamieci. Spikerzy podający komunikaty drogowe w radio błagali ludzi, by zjechali z dróg na czas trwania kataklizmu, który zdążyli już ochrzcić "Śnieżycą Roku". Lotniska zostały zamknięte. Quentin nie miał tego wieczoru szans na złapanie jakiegokolwiek samolotu. Powinien był poszukać sobie jakiegoś motelu i tam przeczekać śnieżną nawałnicę. Zamiast tego ruszył dalej na południe. Nie dlatego, żeby spodziewał się tam lepszej pogody - chodziły pogłoski, że śnieżycy zablokuje Waszyngton lepiej niż impas w sprawie budżetu. Ludzie znani *grande dame* jako Duncanowie, którymi niemal na pewno byli Rowena Tyler wraz z mężem i córką, mieszkali w okolicach stolicy. I to właśnie z nimi musiał się zobaczyć. Żeby przekonać się ile było prawdy w opowieści pani Tyler. Żeby dowiedzieć się, czego naprawdę od niego żądano. I żeby znaleźć jakiś sposób na wyplątanie się z tej kabały.

Teraz już o niczym innym nie marzył. Do niedawna liczyła się tylko Madeleine. W tej chwili najważniejsza była wolność. Wiedział, że mężczyźni, który miał okazję poznać idealną kochankę, niełatwo przyjdzie znaleźć kogoś, kto mu ją zastąpi. Rowena mogła mu zwrócić jego ukochaną, ale miał wrażenie, że cena za taką przysługę byłaby zbyt wysoka. Dlaczego więc szukał jej i rodziny? Dlaczego nie ruszył na zachód, gdzie wkrótce znalazłby jakieś czynne lotnisko, skąd mógł polecieć do Kalifornii, albo na Hawaje, albo do Tokio, albo do Singapuru. Pomyślał sobie o wszystkich tych miejscach, które dawno chciał zobaczyć, a do których nigdy się nie wybrał, gdyż nie miał z kim ich oglądać. Jerozolima. Kilimandżaro. Machu Picchu. Wielka Rafa Koralowa. Himalaje. Taszkient. Timbuktu. Nie było już sensu czekać na jakąś towarzyszkę. Albo zobaczy je sam, albo w ogóle.

Ale czy na ziemi było jakiegokolwiek miejsce, gdzie mógłby czuć się wolny od tego wszystkiego? Może dadzą mu spokój i znajdą kogoś innego, żeby wykonał ich polecenia. Lecz czy na pewno było to lepsze rozwiązanie niż jego udział w całej sprawie? Przecież ich następną ofiarą mógł stać się mężczyzna, którego z tym światem łączą mocniejsze więzi. Mąż, ojciec, ktoś, kto umierając zostawi po sobie wielką pustkę. Quentin wiedział, że nawet jeśli zginie, to nic wielkiego się nie stanie. Jego testament został zmieniony tak, by cały majątek przeszedł na rodziców. Wayne załatwi wszystkie sprawy majątkowe z istniejącymi spółkami i partnerstwami, a wtedy staruszkowie będą mogli na serio oddać się filantropii, aby móc pozbyć się całej jego fortuny zanim sami umrą, zostawiając sobie

tyle, ile będą potrzebować do zakończenia życia w spokoju i komforcie. Odchodząc ze świata zostawi po sobie taką pustkę, jak ryba wyciągnięta przez wędkarza z oceanu.

Dlaczego więc miałby zrzucać to na kogoś innego? Przecież nikt bardziej niż on nie nadawał się do poświęcenia w tej walce. Bądź dobrym żołnierzem, mówił sobie. Maszeruj dzielnie, wysuń się na czoło, wyceluj i oddaj najlepszy strzał na jaki cię stać. A potem zgiń, jeśli to będzie konieczne. Ale z kulą w piersi, nie w plecach. Nie rejterując przed wrogiem.

Czy ja czasem nie dramatyzuję? Zaśmiał się z siebie i przełączył radio na inną stację, kiedy głos spikera rozpląnął się w białym szumie wywołanym przez śnieżną zamieć.

Bramy wjazdowe na autostradę Jersey były zamknięte. Wyszukał inną trasę i o trzeciej nad ranem przemierzał już wyludnione ulice w centrum Filadelfii. Zatrzymał go jakiś policjant.

- Nie zalecałbym przejażdżki, proszę pana - powiedział. - Nie zdaje pan sobie sprawy z niebezpieczeństwa?

- Nie mam gdzie się podziąć - odparł Quentin. - Wszystkie lotniska zasypane, a ja muszę wrócić do DC.

- Proszę znaleźć sobie motel i zatrzymać się w nim na noc.

- Wtedy mój samochód zostanie przysypany i utknę w tym odciętym od świata mieście.

- Zawsze to lepsze, niż za trzy dni być wykopanym z zaspy nieboszczykiem, sztywnym jak deska.

- Czy wystarczy panu jeśli obiecuję, że znajdę sobie jakieś bezpieczne miejsce na nocleg a potem pojedę tam gdzie chcę, czy ma pan może zamiar śledzić mnie i aresztować za to, że chcę się dostać do domu?

Policjant spojrział na niego z niesmakiem.

- Niech pan robi co chce - warknął i wrócił do wozu patrolowego.

Niech pan robi co chce. Niezła rada. A jeśli to, co najbardziej na świecie chciałbym zrobić jest absolutnie niewykonalne? Ponieważ chcę jechać do domu, panie władzo, a moim domem wcale nie jest to wynajęte mieszkanie w Herndon, ani chata moich starych w Kalifornii. Dom to miejsce, gdzie mieszkają ludzie, którzy czekają na mnie i martwią się, kiedy mnie nie ma. Ale na całej ziemi nie znajdę takiego miejsca, choćbym jechał nie wiadomo jak daleko.

Dlaczego wciąż użalam się nad sobą? Zawsze lepsze to, niż zmuszanie innych do użalania się nade mną. A ktoś naprawdę powinien się nade mną uzalić, gdyż moje życie bez wątpienia należałoby już określić jako żałosne, jeśli jeszcze nie jest absolutną katastrofą.

Och Lizzy, dlaczego wtedy wieczorem musiałaś wybrać się na tę idiotyczną przejażdżkę? Albo dlaczego ja nie pojechałem wtedy z tobą? Dlaczego nie mogliśmy zrobić transplantacji w odwrotnym kierunku. Potrzebowałaś mózgu, a mój był w całkiem niezłym stanie. Na pewno zrobiłabyś z niego lepszy użytek niż ja. Dlaczego oni nie mogli przeszczepić ci mojego życia, tak abyś ty mogła żyć za mnie?

- Głowa do góry, Tin - powiedziała Lizzy.

Siedziała obok niego, wygodnie moszcząc się w fotelu, starając się znaleźć jak najbardziej komfortową pozycję.

- Nieźle sobie radzisz z jazdą w śniegu. Tego w ogóle nie uczyli nas na kursach prawa jazdy w szkole.

- Dziękuję, że się zjawiłaś - powiedział. - Przepraszam, nie chciałem cię wzywać.

- Nie ma sprawy. Prawdę mówiąc, lubię gdy to robisz. Czas płynie tam zupełnie inaczej niż tutaj, więc naprawdę trudno się nudzić, a poza tym można robić mnóstwo rzeczy, w zależności od tego, jak rozumiesz słowo "robić", ale muszę przyznać, że brakuje mi ciała. Tak naprawdę nigdy go porządnie nie wykorzystałam, Tin.

- Właśnie myślałem to samo o sobie.

- Nie, myślałeś o sobie, że jesteś równie niepotrzebny jak łajno psa, który właśnie zdechł.

Zaśmiał się wbrew sobie.

- Właśnie myślałeś, że jesteś facetem, który z utęsknieniem czeka aż jakiś granat wleci do jego okopu, a wtedy on nakryje go swoim ciałem i ocali pozostałych chłopaków, żeby prezydent mógł potem wręczyć Order Honoru* jego rodzicom wraz z ośmioma skrzyneczkami zawierającymi jego resztki.

- Lizzy, czy jest jakiekolwiek wyjście z tej sytuacji?

- Jest tysiąc różnych wyjść, Tin. Ale każde z nich może oznaczać twoją śmierć.

- To chyba nie takie straszne. Ty najwyraźniej całkiem nieźle sobie radzisz.

- Jasne. Śmierć to nic straszego. Ale nie widzę potrzeby, żeby spieszyć się z przejściem na naszą stronę. Kiedy już tu jesteś, tęsknisz za wszystkim co miałeś, Quentin. Nawet za bólem. Nawet za rozpaczą.

- A więc pani Tyler miała rację? Skarb, który jest w szkatułce może mnie zabić?

- Skarb ze szkatułki. Chodzi ci o to, czy bestia jest prawdziwa? Do tej pory nie wiedziałam jak to nazwać, ale teraz kiedy widzę w twojej pamięci wszystko, co mówiła ci staruszka, muszę powiedzieć, że ta nazwa trafnie opisuje zło, które mieszka w tamtym domu.

- Uwięziła je w szkatułce. Niedobrze byłoby je wypuścić.

- Nie wiem, Tin. Zamknięte, wciąż będzie starało się przyciągnąć kogoś żeby otworzył skrzynkę. Ale jeśli zginie, być może upłynie dobra chwila, zanim kto inny wpadnie na pomysł, by je wezwać. Zanim otworzy się na nie i wpuści je do siebie.

- Co ty mówisz, Lizzy. Ostatnio zawładnęło jednorocznym dzieciakiem.

- Ona cię okłamała, Tin.

- Bestia nie posiadała chłopca?

- Posiadła, jak najbardziej. Ale nie zjawiała się ni stąd ni zowąd. Ona ją wezwała.
- To brzmi jeszcze straszniej, niż moje oskarżenia.
- Pani Tyler nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi. Myślała, że ma do czynienia z genialnym dzieckiem, więc chciała by nauczyło się wszystkiego. Trochę przesadziła.
- Jak ci rodzice, którzy pchają swoje dzieciaki do żłobków przygotowujących na studia?
- Coś w tym rodzaju.
- Albo uczą dzieci szybkiego czytania, zanim jeszcze na dobre zdołają poznać alfabet.
- Zmuszała dzieciaka, aby wzywał rzeczy, których nie był w stanie kontrolować swoim rozumem. Choćby nie wiem jak inteligentne było jednoroczne dziecko, Tin, choćby potrafiło chodzić i mówić, i robić wiele innych niesamowitych rzeczy, nigdy nie będzie wiedziało jak postępować z czymś, co istnieje od początku świata. Kiedy to przyszło, dzieciak po prostu zginął, trzymał się tylko swojego ciała jak pasażer zwisający na tylnych schodach, błagający, żeby kierowca nie zamykał czasem drzwi.
- Skąd wiesz o tym wszystkim, skoro nie wie tego nawet pani Tyler?
- Kiedy taki pasażer wleczony za autobusem po jakimś czasie ma tego dosyć, zaczyna błagać kierowcę, aby jednak zamknął drzwi. Aby go odciął i zostawił za sobą. Nawet jeśli wie, że rozbije się o jezdnię.
- Znalazłaś małego Paula?
- Nie spodobał mi się nikt inny w tym domu. Malutki Paul był samotny i przerażony. Do tej pory nie wiedziałam w jaki sposób był związany z tamtym domem.
- A więc on wciąż był w tamtym ciele.
- W pewnym sensie. Pani Tyler nie myliła się. Najlepszą rzeczą jaką mogła zrobić, to odciąć go od ciała, którego już nigdy więcej i tak nie mógłby użyć. Ale nie zrobiła tego, tylko zostawiła go na wpół umarłego, w zawieszeniu, uwiązanego do tej szkatułki. A teraz jest już za późno. Kiedy skrzynka zostanie otwarta, ktoś zajrzy w gardło bestii. Zaś malutki Paul wciąż będzie na miejscu. Wierchowiec, którego w każdej chwili można dosiąść, podobnie jak osobę, którą bestia pożre.
- Masz na myśli mnie.
- Mam nadzieję, że ciebie bestia nie dostanie - powiedziała Lizzy. - Proszę cię, nie daj się jej pożreć.
- Więc powinienem uciekać.
- Nie wiem. Może powinienem zostać na placu boju i wygrać.

- Czy to się uda?

- Wiedźmy są potężne, ale ty nie jesteś bezbronny. Masz w sobie trochę siły. Poza tym, ty nie pragniesz żadnych korzyści dla siebie.

- Jak to? A zachowanie życia, to nic?

- Nie, tak naprawdę ty nie dbasz nawet o to. Jedno, co można powiedzieć na pewno o wszystkich pozostałych, zarówno o wiedźmach, jak i o bestii. One bardzo czegoś pragną. Są tak spragnione, że przebywanie w ich towarzystwie przyprawia o ból. Myślą, że to pragnienie jest równoznaczne z siłą. Tak więc według nich, im mniej pragniesz, tym słabszym wydajesz się rywalem. To może cię ocalić.

- Jak bardzo spragniony był mały Paul, kiedy zawładnęła nim bestia?

- Bardzo, bardzo spragniony. Dzieci to chodzące pragnienie, a jego matka uczyła go czego ma pragnąć. Mogę się założyć, że nawet gdyby bestia nie przyszła, on sam wyrósłby na potwora.

Quentin zaśmiał się.

- Tak, widywałem już takie dzieciaki.

- Nie żartuję, Quentinie. Potwory się nie rodzą, potwory trzeba stworzyć. Robią to ich potworni rodzice, lub potwory stają się takimi, poprzez dawanie posłuchu swym zachciankom. Ale nie wychodzą zdeformowane z łona matki. Zawsze będzie istniała ścieżka, która mogłaby ich ocalić, nawet jeśli nigdy nie zdecydują się jej wybrać.

- Nasi rodzice także nie byli doskonali, Lizzy.

- Ale byli dobrymi ludźmi, a my o tym wiedzieliśmy. To wystarczy, jeśli dziecko także pragnie być dobre.

- I tego wszystkiego dowiedziałaś się po śmierci.

- Nie, Quentinie. Tego wszystkiego dowiedziałam się zaglądając w twoje wspomnienia i wyczytując z nich to, czego sam się nauczyłeś, nawet nie zdając sobie sprawy.

- Więc to tak samo jak z Madeleine? Znowu rozmawiam sam ze sobą?

- Od kiedy umarłam, Quentinie, zawsze kiedy rozmawiasz ze sobą, mówisz do mnie. Ja jestem tam, w środku, jestem częścią ciebie. Nie musiałeś nigdzie kraść moich szczątków, tak jak to robią wiedźmy. Oddałam ci moje serce na długo przed tym, zanim mi je wycięli. Razem z moimi nerkami i rogówkami.

- Obecnie biorą również wątroby i płuca.

- Samochody na części, ludzie na części - wypadki drogowe to obecnie najbardziej dochodowy biznes w całych Stanach.

- To musiałaś wyjąć z mojej głowy - powiedział Quentin. -Pamiętam, że gdzieś to wyczytałem.
- Quentinie, jest jednak coś czego bardzo pragniesz.
- Co takiego?
- Pragniesz dobrego życia. Życia, które warto byłoby przeżyć.
- Pewnie, że tak. Któż by tego nie pragnął.
- Ale co będzie, jeśli ceną takiego życia okaże się zabicie kogoś innego?
- Daj spokój, Lizzy.
- Czasami dobrzy ludzie muszą robić okropne rzeczy. Pani Tyler musiała zdecydować co ma robić, kiedy bestia zawładnęła jej dzieckiem, niezależnie od tego z czyjej winy zło zostało zaproszone. Mama i Tato musieli podjąć decyzję, by pozwolić lekarzom na pocięcie mnie i unicestwienie mojego ciała, żeby można je było wykorzystać do wielu szlachetnych celów.
- Nigdy im tego nie wybaczyłem.
- Oni sami nigdy tego sobie nie wybaczyli. Ale jakoś to przeżyli, podobnie jak pani Tyler. Ponieważ to właśnie robią dobrzy ludzie. Czasami muszą dokonywać strasznych wyborów, a potem żyją dalej pogodzeni z ich skutkami, ponieważ zrobili to, co było słuszne, lub przynajmniej to, co im samym wydawało się najbliższe słusznego wyboru.
- Więc kogo mam zabić?
- Bestię.
- Ale powiedziałaś, że kiedy szkatułka się otworzy...
- Znajdź bestię i zabij ją. Odeślij ją z powrotem do świata ciemności.
- Wtedy znajdzie sobie kogoś innego i wróci.
- Może przez długi czas nikt nie będzie jej wzywał. A jeśli to się stanie, wtedy ktoś inny będzie ją musiał znaleźć i zabić. Ale ty spełnisz swój obowiązek tu i teraz.
- Lizzy, ja przecież nigdy w życiu nikogo nawet nie uderzyłem ze złości.
- Teraz też nie możesz kierować się złością. Niezależnie od tego, kto to będzie i co ci zrobi. Nawet jeśli będzie to sama bestia, nie wpadaj w gniew, nie pragnij zemsty. Ponieważ jeśli dostaniesz się do jej gardła, wtedy ty będziesz błagać, by odcięto cię od twojego ciała.
- Tak jak ty błagałaś mnie. Wzruszyła ramionami.

- Patrz. Drogowskazy do Baltimore. To już niedaleko Waszyngtonu, prawda?
 - Połowa drogi z Filadelfii. Przy tym śniegu mogę tam nigdy nie dojechać. Muszę naprawdę mieć źle w głowie, skoro decyduję się na tak ryzykowną eskapadę.
 - To naprawdę blisko. Na pewno ci się uda.
 - Lizzy, czemu nie możesz być przy mnie przez cały czas? Żebym mógł z tobą porozmawiać. Myślę, że byłoby nam razem bardzo fajnie. Co by to było za życie!
 - Cokolwiek byś zrobił, dla mnie nie będzie to życie. A jeśli ja zostanę z tobą, nie będzie też żadnego życia dla ciebie. Wzywałeś mnie wiele razy w pierwszym roku po mojej śmierci, ale ja ci się nie ukazywałam, prawda? Dopóki nie znalazłeś się w prawdziwych kłopotach. Przez resztę czasu zostawiałam cię w spokoju.
 - Wcale nie chciałem, żebyś zostawiała mnie w spokoju, Lizzy.
 - Czasami dostajemy to, czego wcale nie chcemy.
- Z trudem mógł ją dostrzec przez łzy tęsknoty i żalu.
- Lizzy, strasznie się boję.
 - To dobrze.
 - I cierpię. Straciłem ciebie. Ją też straciłem. To boli.
 - Weź aspirynę - powiedziała Lizzy. Zawsze tak mówiła, kiedy marudził i narzekał.
 - Teraz bierze się Tylenol. I co tam jeszcze. Advil.
 - Excedryne. Anacin - przyłączyła się do ich starej zabawy.
 - Buforan. Proszki Migrenowe Goddey'a. Lizzy, nie opuszczaj mnie, proszę cię.

Ale już jej nie było. Uściwszy opłatę, wjechał do tunelu pod Baltimore. Gdzieś po drugiej stronie tego tunelu czekała na niego wiedźma, która przysłała do niego Madeleine, wiedźma, która zaprowadziła go do szkatułki, wiedźma, która chciała nakarmić nim bestię.

UŻYTKOWNICZKA

Tuż przed świtem wjechał na stołeczną obwodnicę. Na skutek szalejącej śnieżycy ruch był tak niewielki, że jechał szybciej niż zazwyczaj. Wydawało się, że puchowa śnieżna pokrywa tłumi wszystkie dźwięki, chociaż Quentin dobrze wiedział, że hałas wewnątrz samochodu był taki jak zawsze. Wyjechał zza zakrętu i ujrzał świątynię Mormonów, jak zawsze jasno oświetloną, ale teraz, w padającym śniegu, bardziej niż zwykle przypominającą fantastyczną budowlę ze snu. W miejscu, z którego świątynia wydawała się najbardziej podobna do zamku w Disneylandzie, ktoś ogromnymi literami napisał na moście ponad autostradą Poddaj się, Doroto! Widać było, że litery zostały przykryte tynkiem, ale kilka jaśniejszych plam znaczyło miejsce, gdzie zostały wypisane. Pomyślał o treści napisu i uśmiechnął się.

Ale zaraz potem przypomniał sobie, że są to słowa, które Zła Wiedźma z Zachodu wypisała na niebie nad Oz i śmiech zgasł mu na wargach. Jego wiedźmy nie używały mioteł do latania. Mimo to potrafiły latać. Któż mógł wiedzieć, ile wiedźm obserwuje go teraz, kiedy jedzie samochodem. Cześć, Rowena. Witam, pani Tyler. Przedstawicie mnie innym uczestniczkom sabatu? "Patrzcie, to właśnie ten chłopak! Trzeba go było zobaczyć jak nadskakiwał sukubowi, którego mu posłałyśmy! Nawet się z nią ożenił, biedaczyna! Dałabyś wiarę?"

Co za głupcy z tych śmiertelników.

Zjechał na płatną autostradę, która dopiero co została odśnieżona, ale jeszcze nikt nią nie jechał, w każdym razie nie w kierunku zachodnim. Był sam w otaczającej go zewsząd bieli. Przy wjeździe na autostradę tylko w jednej budce siedział ktoś z obsługi, ale Quentin wybrał przejazd z automatem na monety, gdyż nie miał ochoty na kontakt z żadnym człowiekiem, nawet w takiej szczątkowej postaci, jak przy płaceniu myta. Teraz, kiedy dom był już blisko, z trudem przychodziło mu opanować senność. Zaczął więc głośno recytować napisy na drogowskazach wskazujących kolejne zjazdy. Wolf Trap Farm Park. Hunter Mill. Wiehle. Reston Parkway. Zjechał przy Fairfax County Parkway, wrzucił następną ćwierćdolarówkę do automatu i wjechał na drogę; był już na niej jakiś ruch. Jeśli za ruch na drodze można uznać obecność samotnej furgonetki, której koła buksowały na oblodzonym skrzyżowaniu.

Zatrzymał wynajęty samochód na przykrytym śniegiem parkingu i przeszedł obok swojego własnego samochodu, zasypanego aż po szyby w oknach. Większość pozostałych samochodów również była zakopana w śniegu. Najwyraźniej nikt ich nie używał od początku śnieżycy. Nikomu, kto miał odrobinę oleju w głowie, nie przyszłoby to na myśl. Niebo trochę się rozjaśniło, kiedy wspinał się po schodach do drzwi. Gdzieś w dali za gęstą zasłoną śniegu i ciemnych chmur musiało wzejść słońce. Wszedł do mieszkania, zrzucił ubranie i padł na łóżko.

Obudził się, gdy minęło południe. Dzwonił telefon. Odebrał go przez sen.

- Obudź się, Quentinie! - jakiś głos krzyczał w słuchawce.

- Co? - spytał Quentin zaspanym głosem. - Kto mówi?

- To ja, Wayne Read, po raz dziewiąty. Quentin, czy teraz już się obudziłeś? Powiedz coś rozsądnego. To test.

- Cześć, Wayne.
- Czyżbyś przez całą noc jechał, walcząc z rekordową zamięcią? Czyś ty się czasem nie pozamieniał na głowy z karaluchem?
- Karaluchy zostały w domach na czas burzy.
- Łebskie stworzenia. Jeśli nie masz zamiaru się budzić, to nie odbieraj telefonu, Quentin. Pozwól zadziałać automatycznej sekretarce.
- Nie miałem pojęcia, że go odebrałem. Czego chcesz?
- Mam dla ciebie imię, nazwisko i adres, którego szukałeś. Ci ludzie naprawdę nazywają się Duncan, ale ich numer telefonu jest zastrzeżony, a rodzina nie jest właścicielem żadnego domu, więc ich odszukanie nie było wcale takie łatwe. Ray i Rowena Duncanowie. - Podał mu adres. - Nasz miejscowy detektyw mówi, że ten dom mieści się na osiedlu szeregowców w Sterling, na rogu Sugarland i Church. Ulica Sugarland przecina Dranesville Road na ostatnich światłach przed Droga nr 7. Czy to wszystko jest dla ciebie jasne?
- Aha.
- Zapisalesz to, czy mam zadzwonić później?
- Właśnie zapisuję - Quentin zaczął szukać ołówka. Po chwili zdał sobie sprawę, że jeśli otworzy oczy, będzie mu znacznie łatwiej. - Jak jasno! Chyba świeci słońce!
- Tak, śnieżycy jak na razie ustała. Wszystkie dzienniki o tym mówią. W Kalifornii ludzie uwielbiają głądzić o śnieżycach na wschodzie. Czujemy się wtedy tacy mądrzy.
- Kalifornijczycy potrzebują tego od czasu do czasu - powiedział Quentin.
- Ty też jesteś stąd, więc pewnie to rozumiesz.
- Jak zdobyłeś adres?
- Skomplikowana detektywistyczna robota, Quentin. Nasz współpracownik z Manhattanu podjechał do tego domu spokojnej starości, wszedł do środka i spytał o adres najbliższego krewnego pani Anny Laurent Tyler. Dyrektorka - pewnie ją znasz...
- Sally Sannazzaro.
- Dzięki, sam chyba bym tego nie wymówił. Kiedy nasz człowiek powiedział, że działa w imieniu Quentina Fearsa, zgodziła się podać mu ten adres. Dała mu także wiadomość dla ciebie.
- Jeśli jest to coś w rodzaju "obyś szezł w potwornych mękach", to możesz sobie oszczędzić.
- Raczej coś w rodzaju przepraszam, że byłam taką suką i pani Tyler także przeprasza, i proszę wróc,

bo ona chce z tobą porozmawiać.

- Sama nazwała się suką?

- To cytat.

- Czy nie dodała przymiotnika "żelazna"?

- Nie użyła żadnych innych określeń, ale myślę, że możesz sobie dowolnie dobrać jakikolwiek metal.

- Więc pewnie już nie jest na mnie wściekła.

- Moim zdaniem właśnie taka jest główna myśl tej wiadomości. Ale mogę ci ją powtórzyć, jeśli chcesz.

Quentin sam nie wiedział dlaczego odczuł wielką ulgę, i omal nie zaczął skakać z radości.

- Świetnie. Naprawdę znakomicie.

- Czy ty czasem nie piłeś?

- Całą noc jechałem. Jeszcze się nie obudziłem.

- Mam dla ciebie radę. Nie jedź na spotkanie z tymi ludźmi, dopóki naprawdę się nie obudzisz.

- Jasne.

- Przejdź się do kina. Zalecałbym coś lekkiego i głupiego. Coś, co odwróci twoją uwagę od kłopotów. Nie idź na *Amerykańskiego prezydenta*, to jednak trochę za głupie. *Sabriny* też ci nie polecam, bo będziesz strasznie cierpieć, że nie jesteś zakochany. Przynajmniej ja naraziłem się na takie cierpienia. No chyba, że jesteś.

- Jestem co?

- Zakochany.

- Wayne, czy ja płacę trzy paczki za godzinę takich gadek?

- Trzy i pół. Dobre rady zawsze w cenie. Po *Dwunastu małpach* będziesz się zastanawiał, czy czasem nie jesteś wariatem, więc też lepiej na to nie chodź.

- Ty naprawdę oglądasz wszystkie te filmy?

- Muszę coś robić w czasie kiedy moja żona odwiedza country-bary. Nie jestem na tyle zakochany w pracy, żebym siedział w biurze po nocach. Chociaż muszę przyznać, że twoje ostatnie zlecenia dostarczają mi sporo roboty. Prowadzę tu coś w rodzaju centrum informacyjnego. Z wszystkich pięćdziesięciu stanów otrzymuję raporty o tym, że nigdy nie słyszano tam o żadnej Madeleine Cryer.

- Przepraszani cię. Możesz odwołać tę część poszukiwań. Nikt nie oskarży mnie o zabicie jej. To oni powinni bardziej obawiać się śledztwa w tej sprawie niż ja.

- Na odwołanie jest trochę za późno. Dostałem już wszystkie sprawozdania wraz z rachunkami. Dzięki faksom faktury przychodzą błyskawicznie.

- A więc zapłać wszystko. Mam ci przysłać następny czek?

- Nie, wciąż mam pełne konto. Quentin, wstawaj, weź prysznic, przejdź się na film. Najlepszy będzie jakiś idiotyczny sequel. *Jeszcze bardziej zrzędlawy staruch* albo *Ojciec narzeczonej II*. Nie, to ostatnie odwołuję. Ten też może cię wprawić w przygnębienie.

- Żegnam pana, panie Ebert.*

- Siskel! Na Boga, Quentin, ja biegam każdego dnia. Do widzenia.

Quentin wstał, uzbroił się w miotłę i ruszył odgarniać śnieg ze swojego samochodu. Nie miał odpowiedniej szufli, ale małe dłutko do lodu z wynajętego samochodu pomogło mu odkuć najbardziej zmrózone warstwy pokrywające karoserię. Większość pozostałych samochodów już została odśnieżona. Wiele miejsc na parkingu było pustych. Widocznie ludzie znowu zaczęli jeździć samochodami do pracy. Albo po prostu wychodzili z domów, nim całkiem w nich zwariują. Pługi musiały już wyjechać na trasy, gdyż ulice były przejezdne, a natężenie ruchu wróciło do normy.

Odniósł miotłę i postawił ją przy drzwiach, nie trudził się otwieraniem drzwi do domu i chowaniem jej wewnątrz. Nie wchodził także do środka po zapisany wcześniej adres Duncanów. Jeszcze nie był gotów do wizyty.

Zamiast tego posłuchał rady Wayne'a, przynajmniej w pewnym sensie. Podjechał do centrum rozrywkowego Reston Town Center, zostawił samochód na podziemnym parkingu i wszedł do kina. W oknie wisiała wielka tektura z odręcznym napisem "Tak!!!! Kino jest otwarte!!!!". Quentin podszedł do kasy i spytał co warto obejrzeć, na co kasjer odpowiedział mu, że *Dwanaście małp* to najgenialniejszy film jaki kiedykolwiek nakręcono, więc Quentin kupił bilet i wszedł do środka.

Nie był to wcale najgenialniejszy film, jaki kiedykolwiek nakręcono, ale owszem, całkiem przyzwoity i zgodnie z zapowiedzią Wayne'a, bardzo niepokojący. Wydawało się, że ogólne przesłanie brzmi: nie możesz nic zmienić, a wcześniej czy później i tak musisz umrzeć, więc po co w ogóle próbować? Ale film był heroiczny i szlachetny niemal do samego końca. Zaś bohaterowie usilnie próbowali rozpoznać co jest prawdziwe, a co nie, więc przedstawiona sytuacja była Quentinowi dość bliska. Po zakończeniu seansu zastanawiał się dlaczego zdecydowano, że Bruce Willis będzie miał trzy ujęcia z obnażonymi pośladkami, a nawet przez krótką chwilę, w scenie bitwy, stanie nagi przodem do kamery, podczas gdy Brad Pitt tylko raz pokazał tyłek, kiedy skakał po łóżkach w sali domu wariatów. Czy w Hollywood istniała jakaś hierarchia związana z rozbieranymi zdjęciami? Im więcej masz milionów na koncie, tym częściej świecisz publice w oczy gołym zadkiem?

Z takimi właśnie myślami opuszczał kino i w blasku słońca udawał się do Rio Grande, gdzie jak na

godzinę czwartą trzydzieści po południu, panował całkiem spory ruch. Usiadł na wolnym miejscu studiując menu, podczas gdy przy stoliku obok jakieś małżeństwo rozmawiało o tym, jak to dobrze, że w końcu wyszli z domu, zamiast doczekać się aż policja znajdzie ich martwych, gdyż jeszcze chwila, a zatłukliby się nawzajem, a także o tym czy lepiej było zamówić dwie przystawki z wieprzowych tamali, czy też podzielić się jedną, a w ogóle gdzie są te chipsy, czy kelner nie słyszał jak prosili o dodatkowe chipsy? Quentin podniósł wzrok i spojrzał uważnie na ciemnowłosą kobietę o rumianych policzkach, na jej męża, łysiejącego blondyna i powiedział:

- Ja nie jem chipsów, może państwo się poczęstują?

Małżonkowie wyglądali na strasznie zmieszanych tym, że ktoś słyszał ich rozmowę, po czym odmówili dziękując i przepraszając jedno przez drugie. Ale Quentin mówił serio. Na chwilę zapomniał o panujących w restauracji zasadach, zgodnie z którymi każdy winien udawać, że jego stolik oddzielony jest od pozostałych murem dwu i półmetrowej grubości. Zasada ta nie dotyczyła, rzecz jasna, kelnerów, którzy z kolei winni udawać, że każdy ze stolików jest jedynym jaki obsługują. Restauracyjny bon ton przypominał reguły rządzące życiem w małym miasteczku. Zauważ mnie kiedy chcę być zauważonym, ale nie wtrącaj się kiedy chcę, żebyś zostawił mnie w spokoju.

Kelner przyniósł parze zamówione przez nich drinki a następnie podszedł do stolika, który zajmował Quentin. Kiedy składał zamówienie, zauważył jak sąsiedzi wznoszą swoje szklanki, pozdrawiając go wesołym toastem. Uśmiechnął się do nich. A więc czasami mury upadały.

Powrócił do siebie. Słońce właśnie zachodziło. Nie mógł odkładać wszystkiego w nieskończoność. Wziął karteczkę z adresem i ruszył w stronę domu, gdzie mieszkała wiedźma, która wybrała go na swoje narzędzie.

Spodziewał się płomieni buchających z komina lub rolet ozdobionych sylwetkami tańczących diabłów. Zamiast tego zobaczył zwyczajny domek, tak typowy dla północnej Wirginii, jeden z pięciu tworzących szereg. Każda z pięciu fasad różniła się od pozostałych - najwyraźniej mieszkańcy próbowali przydać każdemu z szeregowców indywidualnego charakteru i wdzięku. Domek bardzo przypominał ten, w którym mieszkał Quentin. Światło przy drzwiach frontowych było zapalone.

Wiem, że na mnie czekasz, powiedział cicho. Wiem, że mnie obserwujesz od dłuższego czasu, że czekałaś aż zbiorę się na odwagę i przyjdę tutaj. Więc dalej, otwórz drzwi i skończmy tę grę pozorów.

Ale drzwi pozostały zamknięte.

Wspiął się na schody i zadzwonił. Po chwili jakiś mężczyzna podszedł do drzwi.

- Słucham pana?

- Czy to pan Duncan? - spytał Quentin.

- Tak. Czy my się znamy?

- Nazywani się Quentin Fears.
- Przykro mi, ale nie oczekuję pańskiej wizyty. A powinienem?
- Czy pan mówi poważnie? - spytał Quentin. Ale najwyraźniej mężczyzna nie miał najmniejszego pojęcia kim jest Quentin i po co przyszedł. - Czy pan Ray Duncan?
- Tak - mężczyzna powoli zaczynał tracić cierpliwość.
- Pańska żona to Rowena Tyler Duncan?
- Tak, i co z tego?
- A jej matka to Anna Tyler Duncan?
- Tak. - Wydawało się, że twarz mężczyzny spoważniała. -Czy coś jej się stało?
- Chciałbym wejść, jeśli mogę i porozmawiać z panem i pańską żoną.
- Ale kimże pan jest? - nie ustępował Ray.
- Byłem wczoraj w domu spokojnej starości i rozmawiałem z Sally Sannazzaro. Ponieważ lotniska były pozamykane, jechałem tutaj samochodem całą drogę, żeby z państwem porozmawiać.

- Jeśli ma pan wiadomość od panny Sannazzaro, dlaczego pan po prostu nie zadzwonił?

Quentina męczyła już ta rozmowa. Nie obchodziło go co za grę prowadzą ci ludzie, miał wszystkiego serdecznie dosyć. Stał i czekał nic więcej nie mówiąc.

W końcu ciekawość wzięła w Duncanie górę nad podejrzliwością. Otworzył szerzej drzwi i zaprosił Quentina do środka.

Znalazł się w całkiem zwyczajnym salonie, pstrokatym od zbyt dużej ilości elementów dekoracyjnych, może zbyt wzorowanym na zdjęciach z *Architectural Digest*, ale nie na tyle, by raziło to oczy, jeśli tylko stało się plecami do kominka. Quentin ustawił się właśnie w takiej pozycji, lecz bynajmniej nie ze względów estetycznych. Stojąc tak miał dobry widok na drzwi frontowe, korytarz prowadzący do kuchni i jadalni oraz na schody wiodące do pokoi na piętrze.

- Niech pan siada panie... Pierce, czy tak?
- Fears, panie Duncan. - Quentin usiadł na krześle z wzorzystym obiciem, zdejmując z niego białe poduszeczki i układając je na podłodze. - Czy pańska żona jest w domu?
- Właśnie robi obiad.

Quentin pomyślał sobie o śniadaniu, jakie jadł w domu Laurentów w Mixinack i nie wzruszył się tą informacją.

- Niech pan ją tu przyprowadzi.

- Proszę powiedzieć w jakiej sprawie pan przychodzi, panie Fears.

Quentin stracił cierpliwość.

- Przyszedłem tutaj raz i nie mam zamiaru przychodzić ponownie. Nie mam także zamiaru zostawać ani minuty dłużej, jeśli pańska żona nie przyjdzie tu natychmiast i nie stawi mi czoła.

- Nie stawi panu czoła? Niech pan się stąd natychmiast zabiera i rusza w stronę drzwi, bo jeśli nie, to...

W korytarzu oddzielającym kuchnię od jadalni pojawiła się kobieta.

- Co się dzieje, Ray?

- Nie przychodź tutaj, Ro. A najlepiej będzie jak wezwiesz policję. Mamy tu intruza, który...

Ale kobieta zignorowała jego polecenie i przez jadalnię przeszła do salonu.

Quentin nie mógł się oprzeć wrażeniu, że gdzieś już ją widział. Teraz, kiedy stanęła przy swoim mężu, oboje wydali mu się skądś znajomi. Ale szczególnie kobieta... musiał spotkać ją wcześniej. Czy rozmawiał z nią kiedyś? Niezależnie od tego przy jakiej okazji się spotkali, nie mógł sobie niczego przypomnieć. Być może po prostu była podobna do Madeleine. W końcu to Rowena stworzyła sukuba, który z pewnością miał jakieś cechy swojej stwórczyni.

Sukuba? Kogo próbował oszukać? Wciąż przecież myślał o Madeleine jak o prawdziwej kobiecie, jak o swojej żonie, mimo stale ponawianych wysiłków, by wyrzucić ją ze swego serca.

- Rowena Tyler Duncan - powiedział. - Nazywani się Quentin Fears.

Kiedy nie dostrzegł najmniejszej reakcji na jego imię, ciągnął dalej.

- Zeszłego wieczoru rozmawiałem z pani matką. Twarz Roweny pociemniała.

- Nic mnie to nie obchodzi. - Obróciła się, by wyjść z pokoju.

- I wróciłem do Mixinack z Mikem Boltem. Przystanęła i powoli obróciła się w jego stronę. Wyglądała na poruszoną.

- To nasz dawny ogrodnik.

- Obecnie jest komendantem policji w Mixinack - oznajmił Quentin.

- Miło mi to słyszeć.

- Ma żonę i kilkoro dzieci.

Rowena kiwnęła głową. Ray Duncan wyglądał na lekko zakłopotanego.

- Co to za jeden ten Mike Bolt? O kim wy mówicie?

- To mój przyjaciel z dzieciństwa - powiedziała Rowena.

- O, niech pani nie będzie taka skromna! - zawołał Quentin. - Rzuciła na niego urok wiele lat temu. W kuchni domu swojej matki, z tego co słyszałem.

- Czego pan chce? - wyszeptała Rowena wściekle.

- Niech pani nie udaje niewiniątka - powiedział Quentin. - Nie jestem tutaj ze względu na to, czego ja chcę. To nie ja prowadzę dziwne gierki, Roweno. Jest dokładnie odwrotnie. Więc skończ już tę udawaną i powiedz mi czego chcesz, żebyśmy mogli razem podjąć jakieś decyzje.

Rowena i Ray spojrzeli na siebie. Cokolwiek to miało znaczyć, nie widać było, aby jego przemowa zachęciła ich do większej z nim współpracy.

- Drogi panie - odezwał się Ray - wydaje się pan wiedzieć o nas więcej niż byśmy sobie tego życzyli, ale zapewniam pana, że my dla odmiany nie mamy najmniejszego pojęcia o tym, kim pan właściwie jest.

Jego słowa zabrzmiały tak szczerze, że przez chwilę Quentin pomyślał czy przypadkiem to on cały czas nie oszukiwał samego siebie. Ale przecież Mike Bolt widział napisy na znakach i na drzwiach w domu Laurentów. A Madeleine zniknęła, nie zostawiając żadnych śladów. To wszystko zdarzyło się naprawdę, pani Tyler sama to przyznała, a Rowena naprawdę była wiedźmą.

- Wiem więcej niż myślicie - powiedział Quentin. - Wiem, że Rowena zajrzała w umysł swojej matki wiele lat temu i zobaczyła tam wspomnienie czegoś, co wyglądało jak straszna zbrodnia. I z tego co wiem, rzeczywiście była to zbrodnia. Potworny, niegodny czyn. Morderstwo popełnione na bracie Roweny o imieniu Paul, kiedy ten nie miał jeszcze dwóch lat.

Rowena zakryła twarz dłońmi.

- Ro, czy to prawda? - Ray wyglądał na szczerze zdumionego.

- Pańska żona, panie Duncan, dobrze wie, że jej matka sądziła, iż wcale nie zabija swojego synka tylko coś, co sama nazywa "bestią". Pani Tyler szczerze wierzy, że ten stwór wziął w posiadanie ciało jej prawdziwego dziecka, którego już w tamtym ciele nie było i którego nie dało się już uratować. Jedyne co jej pozostało, to zabić bestię. Ale nie do końca jej się udało. Natomiast w jakiś sposób zdołała uwięzić bestię w szkatułce, która znajduje się w saloniku rodzinnego domu nad rzekę Hudson. Czy mam rację, Roweno?

Rowena, cały czas siedząca z twarzą ukrytą w dłoniach, kiwnęła głową.

- Lecz z niewiadomych powodów, panie Duncan, Rowena zdecydowała się otworzyć wspomnianą skrzynkę.

Rowena podniosła wzrok, przerażona.

- Och, nie. Proszę, tylko nie to.

Ray również był wzburzony.

- O co chodzi, Ro?

Rowena zerwała się na równe nogi i pędem ruszyła w stronę schodów. Ale potem zmieniła zamiar, równie szybko wróciła do swojego krzesła i usiadła, podwijając pod siebie długie poły koszuli.

- To nie pański interes! - zawołała. - Ani mojej matki!

- Zapewne podzielałbym twoje zdanie, gdybyś nie wciągnęła mnie w tę całą zabawę, która od ponad roku rujnuje moje życie.

- Zabawę? - dziwił się Ray.

- Dlaczego mu nie powiesz, Roweno? Pewnie wolałby to usłyszeć od ciebie.

Rowena wyglądała na zmieszaną, ale potem najwyraźniej podjęła jakąś decyzję.

- Niech pan to powie, panie Fears. Niech pan opowie wszystko nam obojgu.

- Chodzi o Madeleine - zaczął Quentin. - Moją żonę. Sukuba, którego ty stworzyłaś, Roweno. Czy naprawdę twój mąż nie ma pojęcia, że jesteś wiedźmą?

Ray zerwał się z krzesła i ruszył w stronę kuchni.

- Dzwonię na policję.

- Usiądź, Ray - powiedziała Rowena.

- Przecież to wariat, Ro.

- Nie, musimy go wysłuchać - powiedziała. - Musimy się dowiedzieć co zaszło.

Ray oparł się o ścianę. To nagłe weto ze strony żony najwyraźniej go rozwścieczyło.

- Naprawdę wierzy pan, że pańska żona Madeleine jest sukubem stworzonym przez wiedźmę? - spytała Rowena.

- Zabrała mnie do domu, w którym spędziłaś dzieciństwo. Za jej sprawą uwierzyłem, że jest zamieszany. Spotkałem tam kilku twoich zmarłych krewnych i kilku niezupełnie zmarłych. Była tam twoja matka, jeśli nie ciałem, to na pewno duchem. A także twój brat Paul, chociaż Madeleine mówiła mu "wuju". Podobnie do pani Tyler zwracała się per "Babciu".

I wtedy Quentin przerwał. Bo chociaż jego słowa w sposób widoczny sprawiały Rowenie wielki

ból, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że opowieść tę słyszy po raz pierwszy. Jednocześnie Quentin zastanowił się, dlaczego Rowena tworząc Madeleine nie uczyniła jej kobietą w swoim wieku? Przecież miała mniej więcej tyle samo lat, co on. Poza tym Rowena mogła łatwo dostarczyć Madeleine wszelkich potrzebnych wspomnień, by sukub był w pełni przekonujący jako członek pokolenia przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, do którego należał także Quentin.

Tymczasem Madeleine nie znała wielu rzeczy, jakie powinna była znać. Ich nieznajomość tłumaczyła samotnym dzieciństwem spędzonym w izolacji, ale w rzeczywistości Madeleine nie mogła być tworem dorosłej kobiety. Szczególnie wtedy, w salonie, kiedy zmieniała się w nieznośnego, rozpuszczonego bachora, zachowującego się jak... dziesięcioletnia dziewczynka.

- To twoja córka - wyszeptał Quentin. - No jasne, ona też jest... jedną z was.

- Jest wiedźmą - powiedziała Rowena przybitym głosem. - Ray, idź obudź Roz.

- Ro, przecież wiesz jak ona nie cierpi kiedy budzimy ją z drzemki.

- Co wtedy robi? - spytał Quentin. - Lata gdzieś szpiegując ludzi?

- Ona nie rozumie jakie to wszystko niebezpieczne - powiedziała Rowena.

Ray był już u dołu schodów.

- O czym wy mówicie?

- Proszę cię, Ray. Przyrowadź ją tutaj.

Ray westchnął i wbiegł po schodach na górę. Rowena spojrzała na Quentina i odezwała się poważnym głosem.

- Moja córka to niezwykła dziewczyna, panie Fears. Niesamowicie utalentowana i... bardzo silna. Może gdybym pozwoliła mojej matce nauczyć mnie czegokolwiek, mogłabym ją kontrolować chociaż na tyle, na ile moja mama potrafiła kontrolować mnie, kiedy byłam mała. Dziecko, które posiadało taką moc, taką wiedzę, wymaga wyjątkowej opieki, żeby nie postradało zmysłów. Ale ja nie mogłam w niczym zaufać mojej matce, zwłaszcza po tym, co zrobiła z Paulem.

- Nigdy go pani nie poznała.

- Poznałam go i to dobrze - odparła Rowena. - Przychodził do mnie codziennie kiedy dorastałam.

Quentin od razu wszystko zrozumiał.

- To nie był Paul, Roweno. To była bestia.

Pokręciła głową, a potem zalała się łzami.

- Nie wiem - powiedziała. - Wiedziałam tylko, że nie chcę żeby mama... jeśli ona była w stanie zabić

nieposłuszne dziecko, to jak mogłam powierzyć jej opiekę nad moją córką? Od lat nie jestem w stanie sprawować żadnej kontroli nad Roz. Obawiam się, że czasami to ona przejmuje kontrolę nade mną. Bada wszystko uważnie, kojarzy, a potem... znika na całe dni, ja zaś nie mam pojęcia co się dzieje. Wiem, że całkowicie panuje nad swoim ojcem. Jest całkowicie zniewolony urokiem. Kiedy ja zrobiłam to samo Mike'owi, nie miałam pojęcia co robię. Zostawiłam go w spokoju od tamtego czasu, gdy...

- Więc kto posyła go, by zabił pani matkę? Rowena podniosła dłoń do ust.

- Och nie. Ona nie mogłaby...

- Oczywiście, że bym mogła, mam - dobiegł ich z góry rozkapryszony, dziecięcy głosik.

Mała dziewczynka zeszła w dół schodami. Jej włosy sprawiały wrażenie lekko przyklepniętych po drzemce, ale poza tym były ułożone w schludną fryzurkę. Quentin mógł sobie wyobrazić jak dziewczynka wyglądała podczas takiej drzemki - ramiona ułożone wzdłuż boków z perfekcyjną symetrią, ciało w całkowitym bezruchu, w ten sam sposób, w jaki pani Tyler leżała w domu spokojnej starości, kiedy jej duch czuwał lub robił cokolwiek mu kazała. Na przykład zmieniał napisy na znakach drogowych.

Kiedy wreszcie dziewczynka dotarła na niższe schody i ukazała im swą twarz, Quentin wiedział już dlaczego państwo Duncan wydali mu się znajomi. Przypomniawszy sobie gdzie widział całą trójkę. W sklepie spożywczym sieci Giant na Eiden Street, tuż przed tym, jak Lizzy przywidziała mu się po raz pierwszy.

- Masz rację, Quentinie - odezwała się Roz. - O ile dobrze pamiętam, nie spodobałam ci się wtedy.

- Pomyślałem sobie, że jesteś nieznośną, rozpaskudzoną smarkulą.

Roz posłała mu swój najbardziej uwodzicielski uśmiech zalotnego kociaka.

- Ale ci wtedy pokazałam, co?

- Tak, pokazałaś mi, że wcale się nie myliłem.

- Pokazałam ci na czym polega prawdziwa moc! - Jej uśmiech zmienił się w złośliwy grymas. - W myślach przechowywałaś drogocenny skarb, jakim była twoja siostra. Porównywałaś ją ze mną. Dlatego sprawiłam, że ją ujrzałeś. Doprowadziłam cię tym do szaleństwa.

Quentin rzucił okiem na Rowenę, nadal skuloną na krześle i na Raya Duncana, który zszedł po schodach za swą córką, a teraz usadowił się na kanapie. Jak przyjmowali jej słowa?

Oboje siedzieli wpatrując się przed siebie tępym, pustyni wzrokiem.

- Wyłączyłam ich na chwilę - oświadczyła Roz. - Nie ma potrzeby, aby wiedzieli cokolwiek o naszych sprawach.

- Stworzyłaś Madeleine tylko po to, by mnie dręczyć dlatego, że śmiałem pomyśleć sobie to, co dla wszystkich, którzy cię widzieli i tak było oczywiste?
- Nie, głupcze. Wtedy pokazałam ci tylko twoją siostrę. Ale potem, kiedy siedziałeś sobie urzeczony wizją, którą dla ciebie stworzyłam, ni stąd ni zowąd pojawiła się ona sama!
- Kto?
- Lizzy - odparła Roz. - Twoja zmarła siostra. Jej duch. Ja jej nie wzywałam. Zresztą nawet mnie nie zauważyła. To ty ją wezwałeś. Tak ze mnie zakpić! Okazało się, że ty też masz moc! Któż mógł się tego spodziewać?
- Tobie i tak nie jestem w stanie dorównać.
- No cóż, ja jestem dość niezwykła. Podobnie jak kiedyś wuj Paul. Tyle, że moja mama nie zabiła mnie, tak jak zrobiła to Babcia ze swoim cudownym chłopczykiem. Nie każdemu zdarza się natknąć w historii rodzinnej na taką uroczą aferkę.
- Opierasz się tylko na wspomnieniu twojej matki, ze wszystkimi jego przekłamaniami.
- Pewnie udałoby mi się zdobyć te wspomnienia bezpośrednio od Babci, ale wiedziałam, że staruszka jest bardzo silna. Ona i Matka nieustannie ze sobą walczyły. W ten sposób zdobyłam połowę swojej wiedzy, obserwując jak obie usiłowały uniemożliwić sobie śledzenie się nawzajem. Potem bez trudu przejęłam kontrolę nad matką - była pozbawiona wszelkich osłon. A ojciec to przecież zwykły człowiek.
- W związku z tym nie warto się nim przejmować.
- Od czasu do czasu potrzebuję go do wykonania paru telefonów.
- Chyba nie powiesz mi, że ty to wszystko zaimprovizowałaś.
- A dlaczego nie? - zdziwiła się Roz. - Byłeś silniejszy niż większość ludzi. Zastanowiłam się nad tym przez kilka minut i zdałam sobie sprawę, że mogłabym cię wykorzystać do otwarcia dla mnie szkatułki ze skarbem.
- Tak właśnie nazywa ją twoja mama?
- Moja matka nie ma najmniejszego pojęcia, co to jest i jak to wykorzystać. To niewiarygodna moc. Babcia naopowiadała jej straszliwych historii o tej skrzynce, ale to dlatego, że żadna z nich nie ma w sobie ani krzty kreatywności. Mnie natomiast przychodzą do głowy rzeczy, o których jeszcze nikt nigdy nie myślał. Nawet smok! Smoka można zabić, co tylko daje mu wolną rękę do zawładnięcia inną osobą. Można go także schwytać, co udało się Babci. Ale ja przeprowadziłam badania, o których nie pomyślała ani Babcia, ani tym bardziej moja matka. W pewnych książkach można dokopać się do cennej wiedzy, jeśli oczywiście potrafi się oddzielić nonsensy od prawdy. Ja mam tylko jedenaście lat, ale - jak to określić w miarę skromnie? - w szkole o takich jak ja mówi się "dzieci szczególnie uzdolnione".

Quentin miał ochotę dzielić ją w tę małą, zarozumiałą buźkę.

- A mówiłeś, że nigdy na nikogo nie podniosłbyś ręki, czy nie tak, Quentin?

Złościło go również to, że zwracała się do niego po imieniu.

- A jak miałabym się zwracać? - spytała. - Może powinnam mówić ci "Tin"?

W tej samej chwili przestała być małą dziewczynką. W mgnieniu oka zmieniła się w Madeleine, Serce Quentina zabiło mocno, mimo tego, co wiedział.

W chwilę potem Madeleine była już całkiem naga i płaszała dookoła pokoju jak striptizerka z jakiegoś taniego filmiku.

Ale to już przerabiali, więc wiedział co ma robić. Zmusił się do myślenia, że jego ukochana nie istnieje.

Ale Madeleine nie zniknęła.

- Trudniej się mnie pozbyć - odezwała się Madeleine, siadając Ray'owi na kolanach i okręcając sobie kosmyk jego włosów wokół palca - kiedy w środku jest prawdziwa osoba.

Rzeczywiście trudniej, ale nie było to całkiem niemożliwe. Quentin przypomniał sobie kapryśną dziewczynkę i po chwili iluzja rozplynęła się, a na jej miejscu ujrzał Roz, siedzącą na kolanach ojca i bawiącą się jego włosami.

- Wiesz, Quentinie, jesteś fatalnym kochankiem. Każda kobieta, która zdecyduje się na spędzenie z tobą nocy będzie musiała udawać orgazm.

W ustach małego dziecka, jakim była, słowa te brzmiały szczególnie nieprzyzwoicie.

- To twoja wina, Quentinie - powiedziała. - Wcale nie interesowałam się tymi rzeczami, dopóki ty sam nie zacząłeś obmacywać Madeleine w swoim salonie. Jasne, że na początku wszystko spaaprałam, więc musiałam się sporo naczytać, a także podglądać rodziców, żeby domyślić się, o co właściwie chodzi w tym całym seksie. Ale w końcu dałam sobie radę, co nie? Spełniłam wszystkie twoje fantazje!

Quentin odwrócił wzrok, zawstydzony.

- Och proszę, daj spokój, spójrz na mnie, tutaj jestem, sam chciałeś stawić mi czoło, nieprawdaż? Więc staw mi czoło. Bądź mężczyzną! Rozchmurz się.

- Ty wcale nie chcesz żebym był mężczyzną - powiedział Quentin. - Chcesz żebym był twoim narzędziem.

- Ale przecież dobrze się bawiliśmy, prawda? Trochę pomieszaliśmy w polityce. Była z nas niezła para, kiedy za pomocą twojej forsy zmienialiśmy oblicze amerykańskiej klasy politycznej. Kto rządzi

Stanami, rządzi całym światem. Gdybyś tylko miał do tego odpowiedni zapal, mogłabym dać sobie spokój z tą całą szkatułką i zabrać się za wielką rozgrywkę. Do dziewięćdziesiątego szóstego nie dalibyśmy rady, ale w dwutysięcznym bylibyśmy gotowi. Obu kandydatów na prezydenta mielibyśmy w kieszeni. Ale ty się nie nadawałeś. Nie potrafiłbyś pociągnąć tego do końca. Już wtedy wiedziałam, że będziesz mi sprawiał same kłopoty. A więc... musiałam przejść do planu B.

- Do szkatułki.

- Prawdę mówiąc, zawsze był to plan A, dobrze o tym wiedziałam - oświadczyła Roz. - Wiedziałam, że nawalisz, bo ty właśnie taki jesteś, masz miękki kręgosłup, tak samo jak matka. Po prostu brak ci serca do prawdziwie wielkich dzieł. Spójrz tylko na moją matkę - gdyby miała w sobie choć odrobinę ikry, nigdy nie mogłabym utrzymać jej w takim stanie. To. w końcu wiedźma! Mogłaby strząsnąć z siebie mój urok, gdyby tylko chciała. Gdyby tylko wiedziała, co z nią wyprawiam. Ale ona wciąż myśli, że mnie kocha i dlatego właśnie tak łatwo poddaje się mojej kontroli. W taki sam sposób sprawowałam kontrolę nad tobą, dopóki byłeś zakochany w Madeleine.

- Ale nie udało ci się zmusić mnie do otworzenia szkatułki.

- Wszystko przez Babcie. Oczywiście nie wiedziała, że to ja, ponieważ przez cały czas zasłaniałam się duchem matki. Wykorzystuję tylko jego część, która służy mi jako maska.

- A więc to ty kierujesz Mike'em Boltem. Za pośrednictwem matki. I wciąż uniemożliwiasz pani Tyler obserwowanie twoich poczynań.

- Spokojnie, spokojnie.

- Ale nie jesteś w stanie robić tego wszystkiego naraz.

- Nie ma takiej potrzeby. Po prostu trzymam się ludzi, którzy mają jakiegokolwiek znaczenie. Ludzi, którzy się liczą.

- Ale mimo to, boisz się - powiedział Quentin. - Inaczej nie próbowałabyś zabić swojej Babki.

- Jasne, że się boję, tępaku. Mamy do czynienia z czymś wyjątkowo potężnym. Smok to nie przelewki! A Babcia może przeszkadzać. Chcę ją usunąć z drogi. Już i tak błąka się po ziemi co najmniej o dziesięć lat za długo.

- Dokładnie o całe twoje życie. Co za zbieg okoliczności.

- To dzieciobójczyni. Zasluguje na śmierć. - Roz zachichotała. - Spróbuj wczuć się w ten pomysł.

Quentin pokręcił głową.

- Przyszedłem tutaj z myślą, że być może ubijemy interes. Tak, żebyś mogła dostać to, czego chcesz i żebyśmy mogli skończyć z tym raz na zawsze. Ale myślę, że się nie uda.

- Nie jestem tego warta? - spytała drwiąco udając żal.

- Komu na tym świecie potrzebna jest bestia w parze z tobą? Najwyraźniej te słowa wcale jej nie ubodły.

- Wszyscy tylko krytykują. No proszę. Więc Quentin Fears nie ma zamiaru wracać do domu Babci, żeby otworzyć dla mnie moją szkatułkę? Co za przykrość! Biedna Roz nie postawi na swoim! Bu-hu-hu! Bu-hu-hu!

Dalej mała, okropna więdźmo, przejdź wreszcie do rzeczy.

- Niecierpliwy, co? Jak już mówiłam, trzymam się tylko tych, którzy coś znaczą. Na przykład detektywa, którego twój prawnik wynajął tu, w stolicy. Kiedy ty rozmawiałeś z *grandę dame*, ja znalazłam się w jego samochodzie i rzuciłam na niego urok. Jest mój, Quentinie. To on przekazał ci adres tego domu. Oczywiście kiedy już byłam gotowa.

- Gotowa? Właśnie sobie drzemałaś.

- Poszedłeś do kina i na kolację. Ja tymczasem miałam kilka spraw do załatwienia. Rzecz w tym - pamiętasz, miałam przejść do rzeczy - rzecz w tym, że twój detektyw, wykonywał również pewne zadanie dla mnie.

Quentinowi zrobiło się niedobrze, chociaż nie miał pojęcia co takiego mogła zażądać od tamtego faceta.

- Kazałam mu pojechać na cmentarz w Kaliforni na małe wykopki - powiedziała Roz. - Przywiózł mi mały kawałek ciała twojej siostry. A ponieważ znałam również jej imię - nie wiedziałeś, że to było mi potrzebne, prawda? - ponieważ znałam jej imię, mogłam ją przyzwać. Detektyw wrócił z jej szczątkiem właśnie dziś rano. Teraz mam twoją siostrę w zamknięciu. Jest uwięziona tak samo jak smok. Tylko, że ona nie ma żadnej mocy. Nie może wyjść na zewnątrz, nawet w części. Może istnieć tylko wewnątrz swojego... nazwijmy to po prostu jej domem, czemu nie.

- Bestia już tobą zawładnęła.

- Jestem silniejsza niż smok. Tego właśnie ani moja matka, ani Babcia nigdy nie wzięły pod uwagę. Co będzie, jeśli znajdzie się ktoś, kto jest na tyle silny, że nie potrzebuje zabijać bestii, ani jej więzić? To ja, właśnie ja, zamierzam poskromić smoka, ujeździć go, a następnie udać się na nim tam, gdzie będę chciała.

- Jak kowboj na rodeo - powiedział Quentin.

- A ty mi pomożesz, Quentinie. To w twoim ciele będzie mieszkał smok, kiedy będę go dosiadać. Myślę, że proponuję uczciwy układ. Mnie zawdzięczasz najlepszy rok w swoim życiu. Może nie cały rok, ale prawie. Kiedy już nabrałam wprawy, zapewniłam ci tyle wspaniałego seksu, ile nie miał żaden inny mężczyzna na świecie, i to noc po nocy. Byłam także wspaniałą towarzyszką. Idealną żoną. Zapłaciłam z góry za możliwość użycia twojego ciała. Nie będziesz stratny. Pozy tym ty i Lizzy znowu będziecie razem. Oczywiście, kiedy twoje ciało umrze. Nic nie trwa wiecznie, prawda? Daję ci słowo, że kiedy smok wejdzie w twoje ciało, Lizzy zostanie wypuszczona z... miejsca, w którym

obecnie przebywa. Odzyska wolność. Więc znowu otrzymasz zapłatę. Pomyśl, Quentinie, to uczciwa transakcja. Twoja siostra za smoka. I do tego najszcześniejszy rok w twoim życiu. Nie możesz mówić, że zostałeś oszukany.

Quentin czuł się tak, jakby już nie żył.

- Możesz także i później mieć niezłą frajdę, patrząc na to, jak smok i ja wykorzystujemy twoje ciało. Wiem, ty myślisz, że ja jestem wcielonym złem, ale się mylisz. Cała ta moc potrzebna mi jest do czynienia dobra. Zjednoczę cały świat pod jednym silnym władcą. Zapewnię pokój na ziemi. I dobro dla wszystkich ludzi. Hitler był już takim, jakim go znamy, zanim bestia weszła w jego ciało. Kaligula dużo wcześniej stał się pyszałkowatym skurczybykiem. A ty kim jesteś?

- Mowa-trawa, Quentinie. Zawsze pragnęłam władzy tylko po to, by czynić dobro. Więc wszystko obróci się na dobre. Powinieneś się cieszyć, że zostałeś wybrany. A kiedy będę starsza i osiągnę dojrzałość, najprawdopodobniej znajdę z tobą w ciążę, tak więc twoje potomstwo odziedziczy panowanie nad całą ziemią. Tak jak to obiecuje Księga Apokalipsy - zapanuje tysiącletni pokój.

- Księga obiecuje także wielkie zniszczenie.

- To wszystko zależy od tego, jaki opór stawią mi uparci ludzie. Nie da się zrobić omletu bez rozbicia jajek. Nie krzyw się na te banały. Owo powiedzenie stało się banalne tylko dlatego, że jest prawdziwe.

Quentin wstał i podszedł do drzwi. Nogi miał jak z ołowiu.

- Nie licz na moją pomoc - powiedział.

- Och, Lizzy będzie strasznie przykro to usłyszeć.

- Ona mnie zrozumie.

- Ale ty nic nie rozumiesz, Quentinie. To nie jest żadne tymczasowe więzienie. Jeśli ty mi nie pomożesz, ja nigdy, przenigdy jej nie wypuszczę.

Quentin zatrzymał się w drzwiach.

- Czas twojego życia, i czas jaki obejmuje słowo "nigdy", to dwa okresy znacznie różniące się długością, dziewczynko. Tobie tylko się wydaje, że jesteś nieśmiertelna.

- Nie muszę żyć wiecznie. Wystarczy, że zakopię obecne miejsce przebywania twojej siostry na podwórku za domem, a wtedy - powiedz mi, Quentinie - kto ją stamtąd wykopie? Ile tysięcy lat będzie musiało minąć, zanim erozja wydobędzie jej zamknięcie na powierzchnię? A wtedy co? Ty nie wiesz, w czym ona jest zamknięta. Ale powiem ci jedno. To coś nie ulega biologicznemu rozkładowi.

Quentin był tak przepełniony bezsilnym gniewem, że z trudem oddychał.

Roz wstała z kolan ojca i w podskokach podbiegła w kierunku schodów.

- Jestem tylko małą dziewczynką - powiedziała. - Nie powinieneś się na mnie tak złościć.

- Najchętniej widziałbym cię martwą - powiedział Quentin.

- Kiedyś na pewno nią będę. A teraz pożegnaj się z moimi rodzicami.

Wbiegła po schodach do góry.

Niemal w tej samej chwili państwo Duncan ocknęli się. Ray wyglądał na zaskoczonego.

- Musiałem przysnąć, do licha! O czym to ja myślałem? Rowena zaś popatrzyła na Quentina z wyrazem niewymownego smutku na twarzy.

- Nie mogę dłużej niczemu zaprzeczać - powiedziała. - Jak sam pan widzi, moja córka ma nade mną całkowitą kontrolę.

- Tylko dlatego, że ją kochasz - powiedział Quentin. - Ale jak i dlaczego, nie jestem w stanie odgadnąć.

Łzy popłynęły po policzkach Roweny.

- Bo ona jest moim dzieckiem. Bo nie jestem taka jak moja matka. Ja kocham swoje dzieci.

- Twoja matka też kochała swoje dzieci - powiedział Quentin. - Ale zaufaj swojej matce przynajmniej w jednej rzeczy: to bestia ukradła jej dziecko. A ona nie wychowywała go po to, by stał się potworem.

- Więc ośmiela się pan mnie osądzać? Quentin pokręcił głową.

- Nie osądzam cię za to, co zrobiłaś, czy za to, czego nie zrobiłaś. Ale jeśli pozwolisz swojej córce zrealizować to, co planuje, wtedy, owszem, widzę twoją winę.

- Nie obchodzi mnie w czym widzisz moją winę - odparła Rowena. - Ja nie jestem taka jak moja matka!

- Tym gorzej dla wszystkich ludzi - powiedział Quentin. - Tym gorzej dla twojej córki. Ona myśli, że jest w stanie panować nad bestią.

Wtedy Rowena i Ray znowu opadli bezwładnie na swoje krzesła. Na szczycie schodów pojawiła się Roz.

- Wystarczy, Quentinie - powiedziała wesoło. - Nawet mała wiedza mogłaby im zaszkodzić.

- A absolutna władza absolutnie niszczy - odpowiedział Quentin.

- Och, strasznie się boję. - zakpiła. Następnie machnęła ręką. - Otwórz drzwi i znikaj, chłopcze.

Chciał powiedzieć coś, co mogłoby porazić ją brutalną trafnością. Ale nic nie przychodziło mu do głowy. Dalsza rozmowa z Rowena i Ray'em również nie miała najmniejszego sensu, przynajmniej dopóki byli w takim stanie.

- Roz - odezwał się wreszcie.

- Słucham cię, Tin, mój pieseczku? - W jej czułości było tyle ironii, że aż poczuł ukłucie w sercu. Niedługo naprawdę stanie się jej pieseczkiem, o ile ona zwycięży w tej grze. Jeśli przegra, on i tak pozostanie wierzchowcem smoka, ogierem bestii, zaś Lizzy nigdy nie wydobędzie się ze swego więzienia.

- Może ci pomogę - powiedział.

- Lizzy bardzo się z tego ucieszy.

- Musisz przynieść Lizzy ze sobą. W czymkolwiek ją masz, przynieś ze sobą.

- Ani mi się śni - powiedziała Roz. - Myślisz, że jestem głupia. Mała dziedzma-śmalkula? - jej dziecięca paplanina tak go rozzłościła, że znów miał ochotę stłuc ją na kwaśne jabd'ko. -Ojoj! Nie ciemy siecieś, zięby jakiś niedobly chopcik żłobił mnie w bambuko?

- Mówisz tak, jakbym rzeczywiście miał jakieś możliwości.

- Mówię to na wypadek, gdybyś miał podobnie szalone pomysły - powiedziała. - Pamiętaj, że ja nie jestem złudzeniem, tak jak Madeleine. Jeśli między nami dojdzie do walki, ja ją wygram. Nie jesteś w stanie zwyciężyć z wiedźmą, Quentinie. Masz zbyt mało siły.

- Jeśli zdecyduję się pomóc ci, jak mam cię o tym zawiadomić?

- Sama się o tym dowiem, wielki, naiwny matołku. - Znowu wydała z siebie chichot zalotnego kociaka.

- Dlaczego sądzisz, że tym razem ci się powiedzie, skoro ostatnio nic z tego nie wyszło.

- Teraz mam lepszy plan.

- To znaczy?

- Tym razem zjawię się tam osobiście. Nie będzie też tylu osób, które mogłyby mi przeszkadzać.

- Nie jesteś w stanie dorównać swojej Babce, jeśli o to ci chodzi.

- Jestem w stanie dorównać każdemu - powiedziała. - Jestem młodsza od Aleksandra Wielkiego, kiedy ten odziedziczył królestwo po swoim ojcu.

- Ale nie jesteś tak bystra, jak ci się wydaje.

- Ty zaś nie jesteś wystarczająco bystry, żeby móc to ocenić. Teraz proszę się wynosić, panie Fears. Moim rodzicom wszystko cierpnie i dostają odleżyn, kiedy zbyt długo trzymam ich w takim stanie na siedząco.

Quentin otworzył drzwi i wyszedł, zostawiając je uchylone. Był już w połowie schodów prowadzących na dół, kiedy ponownie usłyszał jej głos:

- Co za dziecinada, Quentinie! To całe zostawianie otwartych drzwi. Ale z ciebie wielki dzieciak!

Zignorował ją i wrócił do swojego samochodu.

Musiał być jakiś sposób na powstrzymanie tej dziewczyny. Kłopot w tym, że zbyt mało wiedział, aby żywić jakąkolwiek nadzieję na znalezienie takiego sposobu. Ale jeszcze nie było potrzeby się martwić. Pani Tyler ponownie chciała się z nim zobaczyć. Ona na pewno pomoże mu coś wymyślić, żeby mógł uwolnić Lizzy bez konieczności wypuszczania bestii na świat.

Wiedział jednak, że jeśli przyjdzie mu wybierać pomiędzy wolnością dla Lizzy, a ocaleniem własnego życia, czy nawet ocaleniem świata, nie będzie musiał się zastanawiać. Obecnie jego życie wydawało mu się całkowicie bezwartościowe. A świat? Świat niech sam się zatroszczy o siebie. Smok nieraz już grasował po świecie, a świat jakoś to przeżył. Poza tym nawet smoki nie żyją wiecznie. Peter, Paul and Mary nie wiedzieli o czym mówią w swojej piosence.

Smoki umierają, to fakt. Czy nie mógłby spletać wspaniałego figla Roz i bestii? Gdyby tak tuż przed otwarciem szkatułki zażył sporą dawkę trucizny. Niech smok zawładnie jego ciałem, a potem niech pada martwy

Ale w ten sposób nie uwolni Lizzy. Musi ułożyć jakiś lepszy plan. Pani Tyler będzie wiedziała, co powinien zrobić. Musi do niej wrócić.

WŁOSY

Quentin zadzwonił do firmy wynajmującej samochody, żeby wyjaśnić dlaczego samochód wynajęty na lotnisku La Guardia zostanie oddany w Porcie Lotniczym im. Dullesa. Kobieta, z którą rozmawiał miała śpiewny, nosowy głos, co samo w sobie było wystarczająco irytujące. Ale do prawdziwej furii doprowadził go jej ton, znamionujący poczucie wyższości i kompletny brak najmniejszego choćby zrozumienia dla przyczyn, które zmusiły Quentina do przyjęcia takiego rozwiązania.

- Samochód nie może zostać zwrócony na innym lotnisku, proszę pana.

- Ale właśnie tam zostanie zwrócony.

- Ale nie może go pan tam zwrócić, proszę pana.
- Ale ja właśnie zaraz tam pojadę.
- Podpisał pan umowę, w której zobowiązuje się pan do zwrócenia samochodu w porcie lotniczym La Guardia.
- Ale była śnieżycy. Lotnisko La Guardia zostało zamknięte.
- Umowa jest umową. Czy nigdy nie dotrzymuje pan umów, panie Fears?
- Właśnie staram się zwrócić samochód. Przecież macie swoją filię na lotnisku Dullesa.

Zdążyli powtórzyć cały cykl ze trzy razy, zanim wreszcie Quentin stracił cierpliwość. Nie podniósł głosu. Raczej mówił coraz ciszej.

- Spróbuję to pani wytłumaczyć jak najprościej. Nie ma pani wyboru, ponieważ ja też nie miałem wyboru. Lotnisko La Guardia było zamknięte, a ja musiałem dostać się do DC. Teraz jestem tutaj i mam zamiar polecieć do Nowego Jorku z lotniska Dullesa. Przepisy Federalnego Urzędu Lotnictwa nie pozwalają na przewóz samochodów jako bagażu.
- Ale pan podpisał umowę, panie Fears. Jeśli nie zamierza pan...

Quentin miał dość oskarżeń o niedotrzymywanie słowa.

- Mówię to pani po raz ostatni. Jeśli chce pani sobie pogadać zamiast mnie wysłuchać, proszę bardzo.

- Słucham pana, panie Fears.

- Zapłaciłem wam za zrzeczenie się praw własności do samochodu na wypadek kolizji. Oznacza to, że gdybym go rozbił, nie musiałbym się kłopotać jego zwrotem. Podobnie w przypadku, gdyby samochód został skradziony, też nie miałbym najmniejszych problemów. Więc albo wasi ludzie na lotnisku Dullesa przyjmą ten wóz, albo zostawię go przy jakimś barze z kluczami w stacyjce i uruchomionym silnikiem, a wtedy możecie zacząć ubiegać się o wypłatę ubezpieczenia w waszym towarzystwie. Niech pani wybiera.

- Będzie pan musiał porozmawiać z moim szefem.

- Mam lepszy pomysł. Niech pani porozmawia ze swoim szefem. Jeśli szef będzie miał jakieś pytania, to niech dzwoni do mojego adwokata.

Quentin włożył kosmetyczkę do torby wraz z ostatnią czystą koszulą, skarpetkami i jedną zmianą bielizny. Jeśli będzie potrzebował więcej ubrań, to sobie kupi. Wziął także swój telefon komórkowy i w drodze na lotnisko zadzwonił do Wayne'a Reada, aby opowiedzieć mu o swoich utarczkach z firmą wynajmującą samochody.

- Nie powinieneś dawać się podpuszczać takim służbistkom. Im bardziej się wściekasz, tym większy mają ubaw.

- Wiem, Wayne. Dostają swoją działkę władzy i zaraz odbija im palma. Po prostu nie mam ochoty na żadne opóźnienia.

- Zadzwoń do tej firmy. Nie martw się.

- Za pięć minut będę na lotnisku.

- Ja jestem bardzo szybki.

Mówił prawdę. Pracownicy filii na lotnisku im. Dullesa przyjęli samochód bez najmniejszego skrzywienia.

- W porządku, panie Fears. My się wszystkim zajmiemy. Czasami dobrze było mieć pieniądze i adwokatów. Quentin zastanawiał się, dlaczego normalni ludzie częściej nie dawali popalić aroganckim biurokratom. Ale w końcu to właśnie tacy biurokraci byli normalnymi ludźmi. Być może większość ludzi po prostu rozumiała, co to znaczy być zmuszonym do podporządkowania się idiotycznym regułom w pracy. Jakoś się do wszystkiego dostosowywali, ponieważ nie chcieli robić kłopotów innym biednym patałachom. Wszyscy przecież musieli robić to, co im kazano, żeby nie stracić pracy.

W porządku, ale wcale nie musieli czerpać z tego takiej obrzydliwej satysfakcji.

Więc skoro mam pieniądze, myślał sobie idąc przez holl lotniska, mogę się nimi posłużyć, by usunąć z drogi mnóstwo uciążliwych drobiazgów. Jeśli ktoś mnie wkurza, mogę powiedzieć swojemu adwokatowi, żeby się nim zajął. Czy to w pewnym sensie nie jest złe? Posiadanie takiej władzy? Ile władzy trzeba mieć, żeby stać się potworem? Na ile łatwe staje się dla kogoś postawienie na swoim kosztem innych, zanim stanie się tak zły, że aż godzien zniszczenia?

Siedząc w samolocie Quentin doszedł do wniosku, że sam jeszcze nie przekroczył takiej granicy. Na razie. Wiedział, że nie jest bezdusznym tyranem. Na razie. Ale wiedział także, że owa granica wcale nie miała wyraźnie zaznaczonego przebiegu. Kiedy Roz ją przekroczyła? Ponieważ o tym, że ją naprawdę przekroczyła, był święcie przekonany. Sprawowanie kontroli nad rodzicami, używanie ich jako narzędzi, stworzenie sukuba, aby uwiódł jakiegoś biedaczynę, wykorzystanie ciała uwiedzionego do ujarznienia potwora jeszcze straszniejszego niż jest się samemu - to wszystko wykaczało poza tę granicę.

Jednocześnie musiał przyznać, że z chwilą kiedy oddawał jakąkolwiek sprawę w ręce Wayne'a, nie miał żadnej gwarancji, że zostanie ona załatwiona łagodnie i uprzejmie. Z tego co wiedział, Wayne był adwokatem z piekła rodem, gotowym zadzwonić do najważniejszego szefa działu obsługi klienta i wyjaśnić mu, że pan Quentin Fears, który ma wystarczająco dużo pieniędzy, żeby z czystej złości wykupić całą ich firmę, poczuł się srodze urażony zachowaniem jakiejś nierozgarniętej zołzy z przedstawicielstwa w stanie Nowy York, więc dzwoni z zapytaniem, czy mógłby zwrócić wynajęty samochód w Porcie Lotniczym im. Dullesa. Wtedy tamten waśniak chwytając za telefon i

osobiście zajmuje się całą sprawą. Rezultatem jego działań może być poważne upomnienie pracowniczki z La Guardi. Może nawet udzielenie jej nagany. Albo wylanie z pracy. Być może pracowniczka ta będzie musiał pójść do domu i powiedzieć swojej owdowiałej matce oraz trojgu rodzeństwu, dla których stanowiła jedyne źródło utrzymania, że straciła posadę, a wszystko dlatego, iż nieopatrznie zadarła z Ważnym Panem Milionerem.

Fakt, że nie wiem w jaki sposób to wszystko przebiega, nie oczyszcza mnie z wszelkiego zła, jakiego dokonuje się w moim imieniu i przy użyciu moich pieniędzy. Być może jedyną różnicą pomiędzy mną a Roz jest to, jak daleko każde z nas zdecydowało się wyjść poza ustaloną granicę i na ile szczerze mówimy o swoich pragnieniach. Ja na przykład mówię sobie, że nigdy nie szukałem władzy, że nie dbam o pieniądze, że interesuje mnie robienie wyłącznie dobrych rzeczy.

Ta kobieta z firmy wynajmującej samochody w Nowym Jorku była wyjątkowo upierdliwa. Najprawdopodobniej wcale nie straciła pracy, a być może nawet nigdy więcej nie usłyszy o całej sprawie. Ale tego Quentin nie wiedział. Podobnie jak Roz nie miała najmniejszego pojęcia o tym, jaką krzywdę wyrządza ludziom, których kontroluje. Tamten prywatny detektyw, który poleciał do Kalifornii i w jakiś sposób zdołał rozkopać grób dziewczynki, która zmarła ponad dwadzieścia lat temu, by wyjąć z niego kawałek jej ciała, nie mógł się przed tym powstrzymać, ale teraz musiał żyć ze świadomością, że popełnił coś tak ohydneho. Ale czy istniała tylko ta jedna różnica pomiędzy nimi? Ta, że ona w ogóle nie zastanawiała się nad tym co zrobiła, a on tak, i nawet czuł się trochę winny.

Ale skąd mógł wiedzieć, że ona nie czuje się winna? Może wciąż dręczyły ją wyrzuty sumienia, ale parła dalej, ponieważ wiedziała, że robi dobrze. Chciała zjednoczyć świat pod jednym rządem. Raz na zawsze skończyć z wojnami. Tak by już nigdy więcej nie było Bośni ani Rwandy, Somalii ani Czeczenii. Pokój w Libanie. Chiapas wolne od korupcji i przemocy. Kolumbia bez narkotykowych karteli. Radosne święto wolności na Placu Tiananmen. Koniec machlojek w Zairze. Koniec morderczych jatek w Haiti. Jeśli to były marzenia Roz, jakim prawem mógł twierdzić, że zmarnowane życie kilkorga ludzi nie było uczciwą ceną za powszechne dobro, jakie pragnęła osiągnąć? W czym różniły się jej działania od polityki rządu powołującego żołnierzy i wysyłającego ich by ginęli w słusznej sprawie? Bo przecież istniały słuszne sprawy. Dlaczego więc sprawa tego dziecka nie miała być słuszna, tak jak inne?

Już niemal uwierzył, że z moralnego punktu widzenia nie istniała żadna różnica pomiędzy nim a Roz. Że nie miał prawa jej osądzać. Że wszystko sprowadzało się do walki o przeżycie. Do prawa dżungli. Po jej stronie znajdowały się moce przewyższające wszystko, czym dysponował Quentin. Po jego stronie zaś wszelkie przewagi, jakie ma wiek i doświadczenie nad krótkowzroczną i impulsywną młodością. Ale pod względem moralności nic ich nie różniło. Albo nawet gorzej - realizacja nadziei całego świata zależała od jej zwycięstwa, natomiast jeśli jemu uda się doprowadzić ją do klęski, ta bardzo obiecująca nadzieja na przyszłość zostanie zaprzepaszczona.

Nie, nie, nie, krzyczał do siebie w głębi duszy. To nie tak. To wszystko kłamstwo. Ale nie potrafił wymyślić nic, co upewniłoby go w owym przekonaniu.

Czy to ona drażni mój umysł takimi wątpliwościami? Sukub nie wystarczył, więc spróbujmy zażyć chłoptasia inaczej.

Ale to nie działało w taki sposób. Wiedźmy umiały sprawić, że ludzie widzieli to, co nie istniało. Potrafiły rzucać uroki i wymuszać na ludziach posłuszeństwo. Mogły kazać ludziom zapominać niektóre rzeczy. Ale nie mogły wejść w umysł Quentina i tak nim pokierować, by myślał w żądany sposób, gdyż w przeciwnym razie nigdy nie potrafiłby się uwolnić od wiary w istnienie Madeleine, kiedy wróciła do niego i nawiedziła go w łóżku. Te wątpliwości były jego własnym tworem. Wciąż pozostawał sobą, a w jego umyśle nie pojawił się żaden intruz.

Roz nie może mnie zmusić abym myślał w inny sposób, ale na pewno może widzieć moje myśli. Oznacza to, że jeśli chcę zachować jakiegokolwiek szansę na powstrzymanie jej, nie mogę pozwolić sobie na myślenie o swoim planie. Co oznacza, że nie mogą, mieć żadnego planu. Co z kolei oznacza, że równie dobrze mogę się od razu poddać, ponieważ ona na pewno ma plan całej gry, w której dla mnie przewidziała rolę pionka.

Och, chyba się jednak nie doceniasz, Tin, powiedział do siebie. Jesteś co najmniej koniem. A może gońcem? A może nawet wieżą?

W każdym razie na pewno nie królową.

Zaś król jest zamknięty w szkatułce.

To błąd, pomyślał. Roz nie jest moim wrogiem. Niezależnie od tego jak jej nienawidzę, jak się jej boję i jak wielki mam do niej żal; niezależnie od tego, jak bardzo chciałbym się zemścić za upokorzenie doznane za jej sprawą, prawdziwe niebezpieczeństwo stanowi ta, która ukradła małemu Paulowi Tylerowi jego życie, a teraz czeka na otwarcie wieczka, żeby wskoczyć do innego ciała i zawładnąć nim. Bestia omamiła Ro-wenę swymi kłamstwami. Skąd mógł wiedzieć, że nie zwodziła także Roz? Chodź do mnie, będę ci służyć, będziesz moją panią. Będziesz miała władzę. Wskoczę do ciała tego Quentina Fearsa, a ty rzucisz na niego urok i będziesz mnie miała. Wspaniały plan! Wspaniały plan!

Roz nie jest wrogiem. Roz jest oszukiwana przez bestię, równie skutecznie jak ja zostałem oszukany przez Madeleine.

Ale prawdę mówiąc, w rozgrywce pomiędzy Roz a smokiem, Quentin mógł nie zakwalifikować się nawet jako pionek. Nawet gdy gra zacznie się rozwijać, nie będzie w stanie zrozumieć tego co widzi. Biorący w niej udział rywale przewyższali go pod każdym względem.

Na lotnisku La Guardia wynajął kolejny samochód, tym razem w innej firmie, gdyż nie chciał znowu rozmyślać nad krzywdą, jaką wyrządził, czy też nie wyrządził, tamtej kobiecie z obsługi. Ruszył na północ drogami, wzdłuż których po obu stronach piętrzyły się teraz usypane przez pługi wały, niczym ściany wąwozu. Nie było widać żadnych krajobrazów, tylko białe światła samochodów nadjeżdżających z przeciwka i czerwone światła tych, które jechały z przodu, no i ogromne kopy brudnego śniegu.

Kiedy zbliżał się do Mixinack, odczytał telefon domowy Mi-ke'a Boita z jego wizytówki i zadzwonił do niego. Może ponowne spotkanie się z tym człowiekiem było z jego strony głupotą, skoro wiedział, że znajduje się on pod kontrolą Roz. Ale miał nadzieję, że teraz, kiedy Rowena była

bardziej świadoma tego, co się dzieje, Roz nie będzie miała tak łatwego dostępu do komendanta. Dopóki Bolt trzymał się z dala domu spokojnej starości był przyzwoitym człowiekiem. Przyjacielem. A poza tym miał prawo wiedzieć, jak się to wszystko skończyło.

Bolt odebrał telefon.

- Mówi Quentin. Za jakieś pięć minut będę w Mixinack. Kiedyś proponowałeś mi nocleg u siebie. Podobno masz wolne miejsce na jakiejś kanapie w gabinecie, czy coś w tym rodzaju.

- Jest północ - oznajmił Bolt. - Ty mówisz poważnie?

- Spotkałem się dzisiaj z Rowena. Mieszka w Wirginii.

- Czy ona jest... jak to mówiłeś? Czy ona jest twoim wrogiem?

- Jest wiedźmą, Bolt. Ale dzisiaj niezbyt mi wychodzi odróżnianie dobrych od złych. Porozmawiamy o tym, gdy już będę u ciebie.

- Czy ona tu przyjedzie? Czy przyjedzie do Mixinack?

- Sądzę, że tak - powiedział Quentin. - Z tego co wiem tutaj odbędzie się walna bitwa.

- Naprawdę pojechałeś wczoraj nocą z powrotem do DC w tej śnieżycy? Mówili, że nikt nie mógł przejechać przez żadną z dróg.

- Pomylili się co najmniej o jedną osobę. Jak zawsze.

- A teraz już wróciłeś.

- Cóż, wykupiłem abonament w liniach lotniczych. Muszę go jakoś wylatać.

- Dobra, wpadaj do mnie. - Bolt przypomniał mu jak do niego dojechać. A potem spytał: - Czy wciąż jest taka piękna?

- Rowena?

- Nie, jej suczka.

- Mike, przecież ty masz żonę.

Kiedy znów usłyszał głos policjanta, nie było w nim żartobliwego tonu.

- Proszę cię, powiedz mi.

- Tak, wciąż jest piękna. - Quentin był pewny, że Boltowi wydawałaby się dużo piękniejsza niż jemu.

- Więc nie postradałem rozumu zakochując się w niej?

- Bolt, każdy z nas traci rozum kiedy się zakochuje. Ale tym bardziej go tracimy, jeśli nie mamy się w kim zakochać.

- Piękna sentencja i mądrości wszelakiej pełna.

- Wypisz ją sobie i naklej na lodówce, żebyś nie zapomniał do czasu kiedy przyjadę.

Podczas gdy przedzierał się przez ulice Mixinack, nie tak dokładnie odśnieżone jak autostrady, Quentin w końcu znalazł moralne usprawiedliwienie dla swoich zamiarów, którego tak rozpaczliwie szukał przez całą drogę. Była nim Lizzy. Lizzy przetrzymywana jako zakładniczka. Wobec tego faktu nie liczyło się dobro ani zło. Zrobi wszystko, co będzie musiał, aby uwolnić Lizzy. Oznaczało to, że musi wyjść z wszystkiego żywy i wolny. Był bowiem w pełni przekonany, że niezależnie od tego czy wygra bestia, czy Roz, duch Lizzy pozostanie zapomniany w miejscu, w którym został uwięziony, jeśli on sam nie przeżyje, by go odnaleźć i wypuścić.

Żona Bolta była na nogach, gdy dotarł do domu komendanta. Quentin od razu zauważył, że pewnie zerwała się z łóżka. Włosy miała pozlepiane, było jednak widać, że kilka razy musiała przejechać po nich szczotką, zaś powieki opadały jej ze zmęczenia. Mimo to przywitała go z uśmiechem, kiedy Bolt przedstawił ich sobie.

- Oto moja Leda - powiedział energicznie obejmując ją ramieniem.

- Z kofeiną czy bez? - spytała strząsając z szyi ramię męża i żartobliwie kłując go łokciem w bok.

- Dziękuję za kawę - powiedział Quentin. - Niepotrzebnie pani wstawiała, nie chciałem robić kłopotu.

- Jakbyś nie chciał robić kłopotu, to zatrzymałbyś się w motelu - powiedział Bolt. - Daj spokój, Quentin, czy myślisz, że często zdarza nam się przenocować milionera na naszej kanapie? Pozwól nam odegrać rolę gościnnych gospodarzy.

- Bardzo miło z waszej strony. W takim razie proszę bez kofeiny. Albo czekoladę.

- Mam to i to - oświadczyła Leda.

- W takim razie czekoladę.

Podawała gorącą czekoladę dla całej trójki, a potem wyjęła z lodówki pudełko z resztką lodów waniliowych. Każde z nich wrzuciło sobie gałkę lodów do gorącej czekolady, a potem wszyscy troje brali do ust łyżeczki na których gorący, czekoladowy płyn z wolna rozpuszczał lodowato zimną, białą masę. Delektując się tymi pysznościami Quentin rozglądał się po kuchni, w której królowały łabędzie we wszelkiej postaci. Łabędzie z wikliny, z porcelany, z materiału, z drewna. Malowane na dzbankach, drukowane na oprawionych reprodukcjach, wyszywane na serwetkach, a nawet tworzące desę na tapecie.

- Leda i łabędź - odezwał się Quentin. - Domyślam się, że ten łabędź to ty, Mike?

- Bóg, który przybywa w przebraniu i uwodzi piękną bogdanę - potwierdził Bolt. - Zeus. Pan

błyskawicy i grzmotu.

- Uwaga - ostrzegł Quentin. - Hera może być zazdrosna.

- Tyle, że nie ma żadnej Hery - powiedział Bolt. - Kobieta, która wstaje nocą do moich dzieci, jest dla mnie jedyną kobietą na świecie.

Żona posłała mu uśmiech, który na jej zmęczonej twarzy wydał się blady, ale mimo wszystko promieniujący zadowoleniem z tego, co powiedział Mike.

- Widzisz pan, jakiego mam w domu romantyka - wskazała na męża. - Myślę, że łabędź, który byłby w stanie mnie podnieść, nie zdołałby polecieć. Na całym bożym świecie nie ma tak wielkiego łabędzia.

Żona Bolta umyślnie nadawała swoim słowom przesadnie mocny akcent z Bronxu, nieśmiało odrzucając mężowskie hołdy. Słodka, dobra kobietka. Widać było, że Bolt naprawdę ją kocha. Szkoda, że został zauroczony przez wiedźmę, której córka miała kontrolę nad nią samą i nad mężczyzną, jakim przypadkiem zdołała zawładnąć. Gdyby Rowena tego zapragnęła, Mike zostawiłby Ledę nawet się nie oglądając. Ale w pełni zdawałby sobie sprawę ze swego postępuku. Czy byłby w stanie to przeżyć? Roz to nie obchodziło. A Rowenę?

Wypili czekoladę. Quentin nie chciał mówić o swoich planach. Nie miał bowiem żadnych planów. Nie było go stać na planowanie. Nie wiedział nawet czy ma jechać do domu spokojnej starości, czy może czekać na Roz?

Leda wymyła kubki i poszła z powrotem do łóżka. Bolt pokazał Quentinowi swój pokój. Nie było tam kanapy, ale ładnie zaścielony, rozkładany tapczan. Telewizor z pilotem.

- Nie jest to Ritz - stwierdził krytycznie Bolt.

- Ale Motel Six bije na głowę - powiedział Quentin.

- A więc dobrej nocy. Myślę, że nie będziesz potrzebował budzika. Drzwi będą zamknięte, ale przypuszczam, że delikatne stapanie dziecięcych stopek zabrzmii w twoich uszach jak początek drugiej wojny światowej.

- Mnie to nie przeszkadza.

Bolt odwrócił się żeby wyjść z pokoju.

- Mike. Czy będzie to strata czasu, jeśli poproszę cię o pożyczenie mi broni?

- Nie potrzebujesz broni. Broń może wypalić i zrobić krzywdę innym ludziom.

- Wiesz przeciwko komu walczę.

- Nie da się ustrzelić kobiety, która nie zostawia śladów, Quentinie.

- Te, z którymi mam się spotkać, zostawiają ślady.
- Czy kiedykolwiek strzelałeś z broni? - spytał Bolt.
- Obiecuje ci, że nie użyję jej przeciwko innym ludziom.
- Cóż może powstrzymać ich od zabrania go tobie i ustrzelenia cię?
- Muszę coś mieć ze sobą, Mike.
- Załatwię ci jakiś sprzęt do samoobrony. Ale nawet nie myśl o ostrym strzelaniu. Kiedy trzeba będzie strzelać, ja się tym zajmę.
- Planujesz tam przyjść?
- Nie mógłbym sobie tego darować.
- Ale czy będziesz wtedy wolnym człowiekiem, Mike?
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Rowena rzuciła na ciebie urok i ma cię pod kontrolą, Mike. Tak mówi jej matka.
- Jej matka kłamie - powiedział Bolt wesoło. - Mam wobec niej wielki dług wdzięczności, ale kiedy opowiada takie rzeczy o Rowenie, musisz brać poprawkę, kto to mówi.

Nie było sensu się z nim spierać. Być może obecność Mike'a okaże się pożyteczna, a może wręcz przeciwnie. Ale ponieważ Quentin z góry odrzucał wszelkie plany, decydując się na pełną improwizację, nie starał się rozstrzygnąć tej kwestii.

- Nie łam się, Quentin. Pomyśl tylko - zostałeś uwiedziony przez sukuba, ale teraz weźmiesz udział w rozprawie pomiędzy wiedźmami a prawdziwymi macho.
- A więc zaliczasz mnie do macho? To niezwykle miłe z twoje strony - powiedział Quentin.
- Miałem na myśli... dobrych kumpli - zaśmiał się Bolt.
- Ach, więc nie chodziło o twardzieli, ale o kumpli. - Quentin położył dłoń na sercu - Doprawdy, jestem szczerze wzruszony.

Bolt pokręcił głową.

- Pamiętaj, że jeśli któryś z nas miałby zginąć jutro w tamtym domu, mam nadzieję, że będziesz to właśnie ty.
- Jestem pewien, że Leda nie wyobraża sobie innego rozwiązania - powiedział Quentin.

Bolt zamknął za sobą drzwi, wychodząc z pokoju. Quentin rozebrał się i kiedy wpełznął na

skrzypiący i zapadający się tapczan, o materacu grubości kartki papieru, wiedział, że będzie to najgorsza noc w jego życiu. Po trzech minutach zapadł w sen.

Rankiem Quentin ubrał się i poczłapał do kuchni, gdzie Leda smażyła naleśniki i z głośnym plaśnięciem zrzuciła je po jednym na talerze dzieciaków.

- Nie chcesz pójść do łazienki przed śniadaniem? - spytała.

- Jeśli naleśniki już są gotowe - powiedział - to nie mam zamiaru marnować czasu w łazience i pozwolić, żeby ci faceci wszystko mi zjedli.

Dzieciaki wybuchnęły śmiechem, Leda przedstawiła ich sobie, po czym razem zasiedli do śniadania. Dopiero wtedy, gdy małe brzdące wybiegły z domu do szkoły, Quentin zdał sobie sprawę, że jeszcze nie widział Bolta. Jak mógł go nie zauważyć? To niewiarygodne, że nie zauważył.

Roz, co ty robisz?

- Gdzie Mike? - spytał, ze strachem oczekując odpowiedzi.

- Miał coś do zrobienia, więc wybiegł z samego rana. Kazał mi powiedzieć, że to jedna z owych robótek, którymi musi się babrać każdy, kto tyra na etacie. Miałam ci także wręczyć to - podała mu małą puszczkę aerozolu. Nie było na niej żadnych fabrycznych napisów, prócz przyklepionej etykiety z nazwą: "MixPolDep". - To mocna rzecz, żadna tam pieprzówka. Prawdziwy gaz łzawiący. Mówił, żebyś nie używał tego na dworze, bo wiatr może dmuchnąć ci prosto w twarz, a kiedy będziesz używał w pomieszczeniu, twoja ręka powinna być nie dalej jak trzydzieści centymetrów od twarzy przeciwnika.

- On naprawdę myśli, że ja mam dwie lewe ręce, prawda?

- Nic o tym nie wiem - powiedziała Leda - ale to samo mówi nowym policjantom, którzy zaczynają z nim pracę.

- Jakoś to przeżyję - powiedział Quentin. - Dzięki za śniadanie. Od tygodnia nie miałem w ustach nic lepszego.

Mówił prawdę. To, co myślał, że jadł w domu Laurentów smakowało lepiej, ale trudno powiedzieć, że miał wtedy cokolwiek w ustach.

- Czy mam poczekać aż wróci? - spytał Quentin.

- Powiedział, żebyś robił co chcesz. Jeśli nie będziesz czekał na posterunku, pojedzie od razu do tamtego domu. Mówił, żebyś nie zaczynał bez niego.

- W porządku - powiedział Quentin.

Nagle poczuł gwałtowne ukłucie strachu. Pomyślał, że nie powinien był spuszczać Bolta z oczu. Muszę go poszukać. Ale Mike wyprzedził mnie już co najmniej o godzinę. Muszę zadzwonić do Sally

i ostrzec ją, że Bolt wyrwał się spod mojej opieki.

Ale nie zadzwonił. Zamiast tego poszedł do łazienki, wziął prysznic, ogolił się i ubrał w swoje ostatnie czyste rzeczy. Może był to ostatni raz kiedy w ogóle potrzebował czystych rzeczy.

Przez chwilę, wychodząc z domu Bolta, przypomniał sobie, że miał coś zrobić. Coś, co wydawało się bardzo pilne, kiedy myślał o tym w kuchni, zaraz po śniadaniu, ale co to właściwie było? Nie potrafił odtworzyć w pamięci. Cóż, jeśli było to tak pilne, na pewno zaraz samo mu się przypomni.

Pojechał na posterunek.

- Komendant Bolt był tu dosłownie przed minutą - powiedziała recepcjonistka. - Wyszedł na chwilę. Powiedział, żeby pan na niego poczekał.

Wtedy dopiero przypomniał sobie o swoim pilnym zadaniu i odetchnął z ulgą. Bolt dopiero co wyszedł. Wszystko będzie w porządku.

Otworzył drzwi i zobaczył Sally Sannazzaro, czekającą w gabinecie Bolta.

Zerwała się na równe nogi.

- Nie wierze własnym oczom! - zawołała. - Pani Tyler powiedziała mi, że znajdę pana właśnie tutaj. Sądziłam, że kieruje mnie do komendanta Bolta, który powie mi gdzie pana mogę złapać, ale proszę, pan zjawia się tu we własnej osobie!

- To przeznaczenie - powiedział Quentin. - Przyjechałaś tu samochodem? Musiałaś wyjechać o piątej.

- Wyjechałam o ósmej. Teraz drogi są puste, a poza tym pewnie jest później niż myślisz.

- Dziękuję, że nie chowasz urazy - powiedział.

- Nie, to ja byłam wtedy okropna. Bolt po prostu wie jak mi zalać sadła za skórę. Może udaje mu się zwieść cię miłym obyciem, ale przysięgam, że to zły człowiek.

Quentin pokręcił głową.

- Kiedy jest sobą, to naprawdę wspaniały facet. Kocha swoją żonę i dzieci.

- Najwyraźniej widywałam go tylko wtedy, kiedy nie był sobą - powiedziała siostra Sannazzaro. - A ty? Jesteś teraz sobą?

- Mam nadzieję, że nie - powiedział Quentin. - Staram się zebrać w sobie jak najwięcej odwagi, bo czeka mnie dziś naprawdę idiotyczna i niebezpieczna robota.

- Jeśli wiesz, że to idiotyczna robota... - Ale nie dokończyła zdania. Oboje wiedzieli, że czasami idiotyczna i niebezpieczna robota musiała zostać wykonana.

- Co cię tu sprowadza? - spytał Quentin.

- Pani Tyler powierzyła mi pewną misję - oświadczyła. -W jakiś sposób odgadła, że będziesz tutaj.

- Niezwykła kobieta. Najwyraźniej oznacza to, że znowu z tobą rozmawia.

- Od czasu twojej wizyty jest bardzo ożywiona. Nawet bardziej niż wtedy, kiedy przybyła do nas. Zapewnia mnie, że wcale jej nie uleczyłeś, ale Quentinie - mogę znowu mówić do ciebie Quentin? To znaczy jeszcze.

Jakiś nagły impuls kazał mu powiedzieć: "pod warunkiem, że ja będę mógł nazywać cię panią Fears". Ale nie powiedział tego. Wiedział, że ten nagły pociąg do Sally Sannazzaro spowodowany był niczym więcej jak tylko strachem i przeczuciem zbliżającej się śmierci. To samo pragnienie kazało żołnierzom ruszającym na wojnę żenić się lub przespać z jakąś kobietą, by zostawić po sobie zasiane ziarno na wypadek, gdyby już mieli nie wrócić.

Pielęgniarka niewłaściwie zrozumiała jego wahanie,

- Wciąż jesteś zły?

- Nie jestem zły ani trochę. Nie wiem, co czuję. Proszę cię, mów mi Quentin.

Na krótką chwilę jej dłoń spoczęła na jego dłoni, cementując ich pojednanie.

Potem Sally wyjęła z torebki dużą, żółtą kopertę, którą musiała złożyć na czworo, żeby się zmieściła. Rozłożyła ją, otworzyła i wyciągnęła nylonową torebkę z plastikowym zamknięciem, wypełnioną siwymi włosami.

- Przysłała mi swoje włosy? - zdziwił się Quentin.

- Nie twierdziłam, że jest całkowicie zdrowa psychicznie. Mówiłam tylko, że już nie leży w śpiączce, jak przedtem. Nie potrafię ci tego wyjaśnić... po prostu wstała, znalazła nożyczki i obcięła sobie włosy, zanim przyszłam do niej dziś rano. Wygląda okropnie, ale powiedziała, że ty będziesz wiedział do czego ich użyć. A jeśli nie, tu jest do ciebie list.

- I co w nim napisała?

- Nie mówiła, że mogę go przeczytać.

Przypomniał sobie jak *grandę danie* narzekwała, kiedy nie za-kleił w kopercie wiadomości, którą jej powierzał i uśmiechnął się do siebie.

- Myślisz, że i tak to przeczytałam?

- Uśmiechnąłem się, bo wiem, że tego nie zrobiłaś - powiedział Quentin.

Kobieta przewróciła oczami.

- Złośliwiec.

- Złośliwiec?

- Jasne, że przeczytałam. Jedna z moich podopiecznych obcina sobie wszystkie włosy, wręcza mi je w nylonowym worku i mówi, żebym je zawiozła pewnemu milionerowi do miasta, w którym on wcale nie mieszka, więc nie ma pewności, że w ogóle tam jest, a ty myślisz, że miałabym nie przeczytać tego listu?

Quentin nie odpowiedział, pogrążony w lekturze.

Drogi Quentinie,

Jeśli to będzie z tobą, ja także będę z tobą. Umieść to na swoim, sercu. Niewiele, ale zarazem wszystko, co w tej chwili mogę dla ciebie zrobić. Nie pozwól, by dotykał twojej skóry. Jeśli dotknie twojej skóry, nie będzie mógł się oprzeć i weźmie ciebie zamiast niej, nawet jeśli jej będzie pragnął bardziej. Wszystko w twoich rękach. Bóg z tobą.

Z poważaniem

Anna

- Czytałaś to? - spytał Quentin.

- Czy widzisz w tym jakiś sens?

Na początku nie widział. Dopóki nie zorientował się, że kiedy pani Tyler pisała, by nie pozwolił dotykać mu swojej skóry, nie miała na myśli woreczka z włosami, tylko smoka. Czy aby na pewno?

- Ona zwariowała, prawda? - spytała Sally. - Bardzo ją lubię, ale najwyraźniej staruszka miała kompletny odjazd, mam rację?

- Czy to medyczny termin? - spytał.

- Pytam całkiem serio. Wiedziała, że z nią musi być coś nie w porządku, jak tylko przeczytałam ten liścik. Ale nie mogłam po prostu tego zostawić. Wiedziała, że muszę przyjechać i pokazać go tobie.

- Ona wcale nie oszalała i dobrze o tym wiesz - powiedział Quentin

Sally najpierw zawahała się, a potem przytaknęła skinieniem głowy.

- Wiem. Ale chcę wiedzieć, po co to wszystko. Quentin rozpiął koszulę i zdjął ją.

- Bolt z pewnością ma tutaj jakąś taśmę izolacyjną. Taki twardej jak on na pewno nie mógłby poprzestać na beznadziejnym biurowym przyklepcu.

Sally ruszyła mu na pomoc, przeszukując wraz z nim kolejne szuflady i szafki kartoteczne.

- A więc nie masz zamiaru nic mi wyjaśnić.

- Wszelkie wyjaśnienia dadzą tylko tyle, że uznasz mnie za bardziej szalonego od pani Tyler.

- Mam. Proszę, ta szafka wyposażeniem przypomina skrzynkę na narzędzia.

- Pomóż mi przykleić worek do klatki piersiowej, dobrze? I powstrzymaj się od dowcipkowania na temat dodawania mi męskości włosiem na piersiach. Wiem, że wygląda to idiotycznie.

- Quentin, nie mam pojęcia, co ty właściwie robisz, ale to coś na pewno nie zadziała jak kamizelka kuloodporna.

Jedna rzecz naprawdę mu się w niej podobała. Mogła narzekać i zrzędzić, ale jednocześnie sprawnie przyklejała woreczek według jego wskazówek.

Musiał powiedzieć jej prawdę. Uważał, że nie powinien zostawiać ją w całkowitej nieświadomości. A jeśli miał zginąć w tej walce, nie chciał żeby Bolt był jedynym człowiekiem, który będzie wiedział o stawce pojedynku.

- Pani Tyler jest wiedźmą, Sally. Potrafi odłączyć ducha od ciała i wysłać go w świat. Gdziekolwiek znajduje się jakiś szczątek jej fizycznego ciała, jej duch będzie mógł skupić się na nim i zostanie przyciągnięty w to miejsce. Zakładam na siebie owe włosy, aby podczas konfrontacji z diabłem mieć jej moc pomiędzy nim, a moim sercem.

Sally pokręciła głową.

- Dobrze, dalej mi nie mów. - Przyklepała nylonowy worek, teraz ze wszystkich stron przyklejony taśmą izolacyjną, do jego piersi. - Miałeś rację. Naprawdę wygląda to kretyńsko.

- Jej córka Rowena, również jest wiedźmą - ciągnął Quentin. - Mike Bolt pracował u nich w domu jako młody chłopak i wtedy ona pocałowała go, tym samym rzucając na niego urok, więc obecnie kiedy tylko tego chce, może zmienić go w swojego niewolnika, który robi dla niej wszystko, co mu każe. Dlatego próbował udusić panią Tyler. Najprawdopodobniej nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi.

Wiedziała już, że on nie żartuje, co jednak nie znaczyło, że mu wierzyła.

- Daj spokój, Quentinie. - Dodatkowo przymocowała worek kilkakrotnie owijając mu taśmę dookoła tułowia. - Dlaczego córka pani Tyler miałaby przysyłać jakiegoś faceta, by zamordował jej matkę?

- Ponieważ pani Tyler zabiła swojego syna Paula, kiedy był jeszcze dzieckiem, o czym Rowena wie i nigdy jej tego nie wybaczyła. - Nie było sensu tłumaczyć wszystkiego o Roz, szkatułce i Madeleine.

Już i tak to, co mówił brzmiało zbyt nieprawdopodobnie, by Sally mogła dać wiarę.

- Ta historia jest bardziej zwariowana niż Ross Perot -stwierdziła Sally.

Quentin założył koszulę i zapiął ją, zakrywając worek z włosami przyklejony do klatki piersiowej.

Sally starała się znaleźć jakiś wiarygodny punkt zaczepienia w jego opowieści.

- Komendant Bolt naprawdę miał zamiar zabić panią Tyler?

- On w ogóle nie ma żadnych zamiarów - powiedział Quentin. - Wszystko zależy od tego, czego chce wiedźma, która ma go pod kontrolą.

- Masz wiedźmy za przyjaciółki, Quentinie, więc może wiesz kiedy Bolt planuje kolejną próbę?

Przyglądali się sobie przez długą chwilę, stojąc w biurze komendanta Bolta i zastanawiając się czy jest jakiś rozsądny powód, dla którego nie ma go tu razem z nimi. Dlaczego wcześniej nie przyszło im to do głowy?

Quentin gwałtownie otworzył drzwi i szybkim krokiem podszedł do biurka recepcjonistki.

- Gdzie jest komendant Bolt?

- On mi się nie melduje, panie Fears, jest raczej dokładnie odwrotnie.

- Nie może go pani przywołać przez radio?

- Nie wziął radiowozu.

- Myślałem, że wszystkie policyjne auta mają radia.

- Radiowozy są potrzebne funkcjonariuszom na dyżurze -powiedziała. - Komendant i tak wybierał się poza miasto, więc po co by mu było radio?

- Poza miasto? Dokąd?

- Będę mogła powiedzieć panu w piątek, kiedy da mi do przepisania swoje cotygodniowe zestawienie wyjeżdżonych kilometrów.

Poczuł jak Sally kładzie mu dłoń na ramieniu.

- Quentinie, jadę z powrotem do nas.

- Jeśli on naprawdę tam jest, Sally, nie będziesz w stanie sama go powstrzymać. Jeśli staniesz mu na drodze, rozniesie cię na strzępy.

- Wezwę policję - powiedziała. - Wezwę ich po drodze. Recepcjonistka wyglądała na zdezorientowaną,

- O czym państwo mówicie?

- Pani to nie dotyczy - zapewnił ją Quentin. - Dziękujemy za pokazanie nam biura komendanta Bolta.

- On mówił, żebyście się tam rozgościli, kiedy już się zjawicie.

- Rozgościli? - zdziwił się Quentin. - Spodziewał się nas obojga?

- Jasne. Powiedział: Sally Sannazzaro i Quentin Fears. Co do pana, to nie był pewny, czy pan się pojawi, ale jeśli chodzi o panią Sannazzaro, to wiedział, że przyjedzie.

Sally spojrzała na Quentina oczami, w których czaił się strach.

- Tego nie mógł wiedzieć w żaden sposób.

- Mówiłem prawdę, Sally - powiedział Quentin. - Cokolwiek wiedźma chce żeby wiedział, on to wie.

- Szkoda, że nie mamy czasu, żebyś mi wyjaśnił dlaczego dzieją się takie dziwne rzeczy - powiedziała Sally. - Życz mi powodzenia.

- Powodzenia, Sally - Ale jej oczy mówiły mu wszystko. Wiedziała, że jest już za późno.

- Sam też życz sobie powodzenia - powiedziała. A potem dosłownie wyfrunęła przez drzwi. Quentin usłyszał jak jej służbowe buty na miękkiej podszewie tupoczą w korytarzu, kiedy biegła w stronę parkingu.

Czując, że zbiera mu się na mdłości, Quentin ruszył w tę samą stronę, ale trochę wolniej. Może powinien był pojechać razem z nią, na północ, może powinien spróbować powstrzymać Mike'a. Ale był przekonany, że to Roz manipulowała wszystkim od samego rana. Jeśli dawała Quentinowi wolną rękę by mógł jechać na północ, najwyraźniej nie miało to już najmniejszego znaczenia. Tego ranka zablokowała go wystarczająco, sprawiając, że co chwila zapominał co miał zrobić. Wszystko wskazywało na to, że Mike wyruszył przed godziną, kiedy on siedział pod prysznicem. Dla Roz fraszką było sprawić, by recepcjonistka naprawdę myślała, że Bolt wyszedł "przed chwileczką", nawet jeśli w ogóle tego ranka nie pojawił się w swoim biurze. Roz chciała uśmiercić panią Tyler i teraz było już za późno, by temu zapobiec.

Jedyną co pozostało Quentinowi to sprawić, aby pani Tyler, o ile miała zginąć tego ranka, nie zginęła na darmo. Jego zadanie polegało na tym, by stawić czoło temu, co czekało go w domu Laurentów. Duncanowie bez wątplenia już go oczekiwali. Roz była jedenastoletnim dzieckiem. Nie zniosłaby ani chwili zwłoki. Najprawdopodobniej wyruszyli do Mixinack, zanim Quentin zakończył swoje telefoniczne utarczki z przedstawicielką firmy wynajmującej samochody. Pewnie przyjechali do tamtego domu nim zdążył się dziś obudzić.

Jedno w każdym razie było pewne. Nie zaczęła bez niego. Właśnie on musiał tam przyjść i otworzyć skrzynkę. Był gościem honorowym. Wsiadł do samochodu, wyjechał na główną ulicę przejazdową

miasteczka i ruszył na południe, w stronę domu Laurentów.

SMOK

Ledwie znalazła się na drodze, Sally Sannazzaro chwyciła za telefon.

- Komendant Todd? Tu Sally Sannazzaro. Jestem w Mixinack i mam poważne powody, by sądzić, że uzbrojony mężczyzna zamierza zabić jedną z moich podopiecznych.
- Ten sam facet, co tamtej nocy?
- Tak.
- Komendant policji z Mixinack?
- Już wcześniej próbował to zrobić,
- Niezbyt ładnie, kiedy policjanci z jednego posterunku, aresztują komendanta innego posterunku.
- Jakoś to potem rozwiążemy.
- Skąd pani wie, że on ma zamiar zastosować przemoc?
- W chwili gdy o tym rozmawiamy, on może już do niej strzelać. Zagrożona rezydentka zajmuje pokój numer 368 na trzecim piętrze, na samym końcu południowego skrzydła, po lewej stronie. Nazywa się Anna Tyler, jest bardzo stara, przykuta do łóżka i całkowicie bezbronna.
- Dlaczego miałby zabijać taką...
- Niech pan nie przysyła zwykłego patrolu jak do małej bójki. Mam poważne powody by sądzić, że komendant Bolt działa pod wpływem psychozy. Będzie go bardzo trudno powstrzymać.
- Mam wielką nadzieję, że to nie jest fałszywy alarm, panno Sannazzaro.
- A ja mam wielką nadzieję, że to będzie fałszywy alarm. Rozłączyła się. Wszystko było poza jej zasięgiem. Jedyne co mogła zrobić, to pędzić na północ i mieć nadzieję, że się myliła, liczyć, że Quentin był równie szalony jak jego opowieść, a komendant Bolt stał gdzieś obecnie z radarem na obrzeżach Mixinack, łapiąc amatorów zbyt szybkiej jazdy.

Ale Quentin Fears nie wyglądał na szaleńca. Raczej sprawiał wrażenie ostoji rozsądku. Miły gość. Ilu milionerów zatrzymuje się podczas szalejącej śnieżycy w domu starców, by pomóc robić sałatkę?

Trzeba przestać myśleć o sałatce. Trzeba przestać myśleć o facecie, który nazywa się Quentin Fears. Teraz trzeba skupić się na jeździe. Trzeba jechać na północ. Przykleił sobie włosy staruszki na serce. Ale ona właśnie o to go prosiła. A komendant Bolt naprawdę próbował ją udusić. Czy trójka ludzi może działać pod wpływem jednej, wspólnej psychozy? A może ja właśnie dołączam do nich jako czwarta?

Mike Bolt otworzył szklane drzwi i minął recepcję. Nie było powodów żeby się skradać, czy ukrywać. Nikt go nie zobaczy. Był niewidzialny. Dwóch salowych minęło go kiedy stał przy windzie. W dłoni trzymał pistolet - wcale nie próbował ukrywać swoich zamiarów. Ale oni w ogóle go nie zauważyli.

Gdzieś w głębi duszy, jakaś zagubiona część jego osobowości wołała głośno:

- Mam broń, tępaki! Niech mnie ktoś powstrzyma!

Na zewnątrz usłyszał wycie syren. Samochody hamowały ostro na zlodowaciałym śniegu. Potem rozległo się trzaskanie samochodowych drzwi. Drzwi windy rozsunęły się. Mike wszedł do środka i nacisnął przycisk oznaczony trójką. Widział jak czterech policjantów pędem wpada do domu spokojnej starości z rękami na kaburach. Mike był na widoku, trudno go było nie dostrzec przez coraz mniejszą szparę w zamykających się drzwiach windy, ale nikt go nie zauważył. Jeden z policjantów pytał o coś recepcjonistkę, dwóch ruszyło biegiem wzdłuż korytarza, jeden na lewo, drugi na prawo. Czwarty pobiegł prosto do windy, ale zamiast wcisnąć się jeszcze pomiędzy skrzydła drzwi, nacisnął przycisk przy drzwiach tak, jakby dopiero chciał sprowadzić windę na parter. Drzwi otworzyły się ponownie, ale policjant wciąż nie wchodził. Stał tylko niecierpliwie wybijając nogą szybki rytm. Czekał. W końcu drzwi zamknęły się całkowicie, a policjant w ogóle nie zauważył stojącego w windzie mężczyzny, po którego przyjechał.

Wewnętrzny głos Mike'a Boita zamilkł z rozpaczy.

Quentin wjechał w drogę dojazdową, prowadzącą do domu Laurentów, który stał się już dla niego miejscem aż zbyt dobrze znajomym. Pamiętał jaki był zdenerwowany, gdy jechał tędy po raz pierwszy, na tylnym siedzeniu limuzyny, martwiąc się jak wypadnie spotkanie z rodziną Madeleine. Czy im się spodoba? Śmiechu warte. Wciąż jednak żałował, że nie da się wrócić do tamtych chwil. Że Madeleine nie może być prawdziwa, że życie, które uważał za swoje, również nie może stać się jego prawdziwym życiem.

Duży Lincoln z numerami rejestracyjnymi stanu Wirginia stał przed domem z włączonym silnikiem. Drzwi samochodu były zamknięte i wydawało się, że w środku nikogo nie ma. Kiedy Quentin przechodził obok auta, idąc w stronę domu, zajrzał do środka i zobaczył, że na rozłożonym siedzeniu kierowcy leży Ray Duncan z zamkniętymi oczami. Żeby dojechać tu w takim tempie, musiał prowadzić całą noc. Wiedźmy zostawiły go na zewnątrz, żeby się przespał. Najwyraźniej nie przewidziały dla niego żadnej roli w małym dramacie, jaki tego dnia miał się rozegrać w tym domu.

Ale mężczyzna nie spał. Albo też odgłosy kroków Quentina na skrzypiącym pod nogami śniegu wyrwały go ze snu. Pomachał mu ręką i usiadł. Quentin obszedł samochód dookoła i stanął po stronie kierowcy, podczas gdy Ray opuszczał w dół szybę.

- Ro i Roz już są w środku - powiedział. - A ja właśnie sobie drzemię.

Quentin był mu niewymownie wdzięczny za to wprowadzenie w cudowny świat oczywistości.

- Musiała być ciężka jazda.

- Ja to lubię - zapewnił Ray. - Przynajmniej czuję się potrzebny. - Uśmiechnął się szeroko.

Ciekawe, czy też przedstawiałem sobą tak żałosny widok, kiedy służyłem Madeleine za kanapowego pieska?

- Nie chciałbym zmuszać pana do przerywania snu.

- Mam nadzieję, że dom się panu spodoba. Jest przepiękny, ale dla nas trochę za wielki. Nie mam pojęcia po co ten cały pośpiech, ale mówię panu, chętnie pozbędę się tej posiadłości. Rowena zawsze się wścieka, gdy rozmawiamy o domu - czy to o wprowadzeniu się tutaj, czy o sprzedaży. Ale tamtego wieczoru, po tym jak pan przyszedł z propozycją kupienia go, nareszcie zmieniła zdanie. Chyba nie powinienem panu mówić, ale jesteśmy zdecydowani sprzedać posiadłość.

Quentin uśmiechnął się.

- Zobaczymy.

Na siedzeniu obok Ray'a leżała para samochodowych rękawiczek. Quentin pamiętał co mówił list od pani Tyler. Nie pozwól by dotykał twojej skóry. Może nie powinien otwierać szkatułki gołymi rękami?

- Czy będzie pan potrzebował tych rękawiczek w ciągu najbliższych chwil? - spytał Quentin.

Ray przyjrzał się rękawiczkom, jakby dopiero teraz je zauważył.

- Nie, a panu się przydadzą? Proszę, niech pan bierze. - Podał mu je przez okno. - Tutaj mam ogrzewanie, ale założę się, że w domu jest zimno jak na biegunie.

W domu będzie tak, jak zadecyduje twoja córka.

- Dzięki, Ray.

Ponownie obchodząc samochód dookoła i udając się w kierunku schodów, usłyszał jak okno podnosi się do góry.

Roz i Rowena oczekiwały go siedząc na fotelach w hollu wejściowym. Rowena siedziała jak dama, a Roz trzymała nogi przewieszane przez poręcz swojego fotela.

- Sporo czasu zajęło ci przybycie tutaj - odezwała się Roz. - Leciałeś samolotem, a mimo to my byliśmy pierwsi.

- Nie miałem pojęcia, że to wyścig - powiedział Quentin. Po czym zwrócił się do Roweny: - Przypuszczam, że nie mieliście kłopotu z dostaniem się do środka. No, ale oczywiście wy macie klucze.

- Nie, nie mamy - odparła Rowena. - Drzwi były otwarte.

- Komendant Bolt zamknął je kiedy wychodziliśmy stąd przedwczoraj.

Roz westchnęła zniecierpliwiona.

- Dlaczego gadamy o jakichś zamkach i kluczach?

- Ponieważ, jak twoja mama zapewne ci powie, to coś uwięzione w szkatułce jest silniejsze niż myślisz - powiedział Quentin. - Więc lepiej jej nie otwieraj, Roz.

- Nie mam zamiaru jej otwierać. Ty to zrobisz - Na jej twarzy pojawił się łobuzerski uśmiech.

- Czy nic jej nie wyjaśniłaś, Roweno? - spytał Quentin. - To coś, rzekomo uwięzione w skrzynce, wciąż ma wystarczającą moc, by otwierać i zamykać drzwi. W odróżnieniu od ciebie, potrafi wprowadzać zmiany w fizycznym świecie. Przewyższa cię tak dalece, iż czystym szaleństwem byłoby myśleć, że jesteś w stanie nad tym zapanować.

Roz wstała i zaczęła podskakiwać dookoła pomieszczenia.

- Wapniacka gadka. Masz szczęście, że potrzebuję cię wolnego. Kiedy moim rodzicom zbiera się na podobne wykłady, z miejsca ich wyłączam. Szkoda mi innych dzieciaków, które muszą wysłuchiwać takich morałów.

- Czy nie przyszło ci do głowy, że być może bestia oszukuje cię w ten sam sposób, w jaki ty oszukałaś mnie? "Chodź", mówi, "to coś nie jest wcale tak silne, możesz nad tym zapanować, możesz dosiąść tego wierzchowca". Kilka kłamstewek, żeby nakłonić cię do zrobienia tego, czego bestia nie jest w stanie zrobić sama - do złamania babcinych pieczęci i wypuszczenia jej na wolność?

- Nie, Quentinie. Takie durne i niedorzeczne myśli nie przychodzą mi do głowy. - Spojrzała na jego dłonie. - Te rękawiczki nie będą ci potrzebne.

- Tu jest bardzo zimno.

- Myślisz, że jestem głupia? Powiedziałam, że nie będziesz potrzebował tych rękawiczek, zrozumiano? - Jej twarz była pełna agresji, groźna, ziejąca furiją.

- A ja myślę, że będą mi potrzebne - powiedział Quentin.

Na jego oczach zmieniła się w monstrualną karykaturę dorosłej kobiety, wyciągając w jego stronę szponiaste paznokcie i demonstrując mu przed nosem dwa rzędy ostrych zębów.

- Zdejmuj te rękawiczki - zasyczało monstrum. - Nie zaczniemy, dopóki tego nie zrobisz. Lizzy nie

wyjdzie na wolność, dopóki tego nie zrobisz.

Wszystko na nic. Była w stanie odszukać nawet najnędrniejsze strzępy jakiegokolwiek planu w jego myślach. Quentin ściągnął rękawiczki.

- Miło chociaż przez chwilę zobaczyć cię bez tej atrakcyjnej fasady - powiedział. Natychmiast Roz powróciła do swojej dziewczęcej postaci.

- Ha, ha. Chyba złamiesz mi serce - odparowała. - I nie myśl sobie, że nie jestem dokładnie poinformowana o pozałowaniach godnych zakusach Babci, która pragnie zniweczyć moje plany. Wiedz, że już się nią zajęłam.

Quentin poczuł jak serce na moment przestało mu bić. Miał rację nie wysilając się na układanie planów, ponieważ wszelkie, nawet cząstkowe plany ułożone przez niego lub przez panią Tyler, zostały przewidziane i uprzedzone. Biedna pani Tyler. Czy słowa Roz oznaczały, że starsza pani została na nowo przykuta do swojego łóżka? Czy też stało się coś gorszego? Czy Roz naprawdę potrafiła zmusić biednego, zauroczonoego niewolnika swej matki do popełnienia zbrodni.

- Mogłabym go zmusić do odgryzienia sobie stóp - oznajmiła Roz. - Jedyne powód, dla którego ciebie nie potraktowałam w podobny sposób, to ten, że smok nie wejdzie w ciebie, jeśli nie będziesz wolny.

- A więc bierzmy się do dzieła - powiedział Quentin.

Jakby w odpowiedzi na jego słowa, drzwi do saloniku otwarły się z hukiem, a ich skrzydła trzasnęły o ścianę. Przez chwilę Roz wyglądała na zaskoczoną i zdenerwowaną. Potem odwróciła się do niego z szerokim uśmiechem.

- Rumak może wierzgać, ale w głębi serca pragnie by go dosięść.

- To chyba najgłupsza rzecz jaką słyszałem w swoim życiu - powiedział Quentin.

- Mów co chcesz, Quentinie. Już niedługo nie będę miała okazji cię posłuchać.

- Gdzie jest Lizzy? - spytał Quentin.

- W samochodzie. Jak tylko skończymy, uwolnię ją.

- Co będzie, jeśli się mylisz? Co będzie jeśli w tej grze stracisz wszystko?

- Wtedy i tak to, co stanie się z Lizzy, nie będzie miało większego znaczenia, prawda?

- Nie zamierzam niczego otwierać, dopóki nie będę miał pewności, że Lizzy odzyska wolność.

Roz zmieniła się w Madeleine. Była słodka i onieśmielona.

- Jeśli tego nie zrobisz, Tin, to obawiam się, że Lizzy nie będzie miała najmniejszej nawet szansy, by

wydostać się na wolność. Wszyscy musimy postawić na mój sukces.

Quentin zamknął oczy, nie chcąc oglądać Madeleine.

- Trudniej pozbyć się złudzenia kiedy jestem w środku, prawda, Tin?

Odwrócił głowę.

Roz znowu przemówiła i usłyszał już jej własny głos.

- Skończmy te zabawy. Drzwi są otwarte. Nadszedł czas. Quentin otworzył oczy. Przed sobą znów miał Roz w swojej naturalnej postaci. Dała mu znak ręką, aby pierwszy wszedł do salonu.

Pokój ten nie był tak zapuszczony jak pozostałe pomieszczenia w całym domu. Żadna z szyb nie była wybita. Kurz pokrywał wszystko grubą warstwą, ale nie było żadnych pajęczyn ani najmniejszych śladów po szczurach. W saloniku panowała głęboka cisza. Widać było tylko stare ślady Quentina prowadzące do wnętrza. Szkatułka ze skarbem leżała na swoim postumencie i wydawała się emanować lekkim blaskiem. Pulsować wewnętrznym światłem.

Mike Bolt wyszedł z windy i ruszył korytarzem. Jeden z dwóch policjantów, którzy zaraz po przyjeździe pobiegli w górę schodami, właśnie wychodził z pokoju pani Tyler, zaś drugi truchtem dołączał do swego kolegi.

- Jeszcze go tu nie było.

- O ile w ogóle przyjdzie.

- W każdym razie mamy pełnić wartę przy drzwiach.

- To pogoń za duchem. Tak jak tamtej nocy. Zastanawiam się, dlaczego pozwalają kierować takimi domami siostrom-psychoptom.

Kiedy tak narzekali, Mike przeszedł dokładnie pomiędzy nimi. W ogóle go nie zauważyli.

Przez otwarte drzwi wszedł do pokoju pani Tyler. Leżała na łóżku z otwartymi oczami. Z całych sił próbowała się podnieść, ale za każdym razem, kiedy wyginała plecy w łuk, opadała z powrotem na prześcieradło. Zaprzesła wysiłków i obróciła głowę, żeby spojrzeć na niego.

- Domyślamy się, że ma nas oboje, prawda Mike? - zapytała. Podniósł pistolet, wycelował go w jej głowę i wypalił raz, drugi. Za każdym razem siła wystrzału przybliżała ją do krawędzi łóżka. Trzeci strzał. Czwarta kula zwała ją na ziemię. Smuga krwi na poduszce znaczyła drogę jej głowy.

Mike odwrócił się i nagle ta obecność, która cały czas trzymała go w swoim wnętrzu, sterując jego ruchami, ulotniła się. Spojrzał na pistolet. Po co trzymał go w ręce? Dlaczego znajdował się w pustej szpitalnej sali? Wyszedł przez drzwi i wyrzwał na korytarz.

Stali tam dwaj policjanci. Mike zawołał do nich.

- Gdzie jest pani Tyler? Czy ona nie powinna być w tym pokoju?

- A ty kim jesteś? Skąd się, u diabła, wzięłeś? Wychodź stamtąd!

Mike cofnął się do pokoju, gdy usłyszał jak biegną w jego stronę. Zobaczył krew na poduszce. Podeszedł do łóżka i zajrzał za nie. Leżała na podłodze, martwa, z niemal całkowicie rozwaloną głową. Spojrzał na pistolet, który trzymał w ręce. Przypomniał sobie, że przed chwilą z niego strzelał.

- Pani Tyler - wyszeptał. - Słodki Boże, nie!

- Rzuć broń! Rzuć broń! Natychmiast!

Mężczyźni stojący w drzwiach trzymali w dłoniach wycelowane w niego pistolety.

- Czy ja to zrobiłem? - spytał ich.

- Rzuć broń i ręce na głowę!

Mike pochylił się jakby chciał położyć pistolet na podłodze, ale kiedy opuścił głowę, włożył lufę pistoletu do ust i rozwalił sobie tylną część czaszki, zanim policjanci zdążyli zareagować. Poleciał do tyłu na ścianę, rozrzucając szeroko ramiona. I wtedy tamci odruchowo wystrzelili, faszując go pociskami. Ale on już ich nie czuł. Już nie żył.

Quentin stanął przed szkatułką.

- Dlaczego stoisz tak daleko ode mnie, Roz? - spytał. - Boisz się?

- Zachowuję właściwą ostrożność - odpowiedziała z uśmiechem.

- Czy nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli zapytam, co takiego właściwie jest w tej skrzynce?

- Z moich lektur wynika - powiedziała Roz - że może to być serce dziecka, lub jego głowa. Założę się, że to serce. Wątpię, by moja świętej pamięci babka miała na tyle silne nerwy, żeby odciąć głowę własnemu dziecku.

- Przecież ona żyje! - zawołała Rowena.

Quentin odwrócił się, by spojrzeć na kobietę stojącą w cieniu, w najdalszym rogu pokoju. Kulila się jakby coś ją bolało. Lub jakby chciała uniknąć bólu.

- Już nie, matko - powiedziała Roz. - Użyłam władzy, jaką miałaś nad swoim dawnym chłopakiem. Mam nadzieję, że nie miałaś nic przeciwko temu. Był z niego pierwszorzędny strzelec. Do tej roboty potrzebowałam fachowca.

- Kłamiesz - wyszeptała Rowena. - Jak mogłaś zamordować własną babcie?

- Czy sama mnie nie uczyłaś, że Babcia była wcielonym złem? Dzieciobójczynią. Ja tylko wyrównałam rachunki. Jeśli mi nie wierzysz, spytaj Quentina. On ma jej szczątki. Może ją teraz wezwać. - Roz obróciła się do niego. - Dalej, Quentinie. Wezwij ją po imieniu.

- Pani Tyler - wyszeptał Quentin.

- Mówiłam, po imieniu - powtórzyła Roz.

- Anno Laurent! - zawołał Quentin. - Anno!

Pani Tyler zjawiała się po drugiej stronie skrzynki, tak jak za pierwszym razem.

- Czy to prawda - spytał - że pani nie żyje?

- Tak - potwierdziła. - Biedny Mike. Tak się martwi o swoją rodzinę.

- No proszę, posłuchajcie jej tylko! - zawołała drwiąco Roz. - Udaje, że troszczy się o faceta, który ją zabił. On wcale jej nie obchodzi. Jej nic nie obchodzi. Oprócz tego, że przegrała! Nigdy nie wiedziała, że walczy przeciwko mnie.

Pani Tyler odwróciła głowę i spojrzała na nią beznamiętnym wzrokiem. Nawet jeśli była zaskoczona, Quentin nie był w stanie tego zauważyć. Ale w końcu, cóż może zaskoczyć umarłego?

Roz wciąż napawała się swoim zwycięstwem.

- Zawsze myślała, że to jej własna, słaba i tępa córka stawia jej czoło! Spójrz na swoją córkę, Babciu!

Teraz pani Tyler spojrzała na Rowenę i oczy jej złagodniały. Czy był to wyraz miłości? Czy chociaż żalu?

- Oto ona, twoja córka o miękkim serduszku! Ta, która nie mogła znieść myśli o skrzywdzeniu kogokolwiek. Ale to ja jestem twoim prawdziwym dzieckiem, Babciu. Mam taką samą siłę jak ty... tyle że mam jej więcej! To, co ci zrobiłam nie było niczym innym, jak wymierzeniem ci sprawiedliwości! Czy możesz temu zaprzeczyć?

- Niczemu nie zaprzeczam - powiedziała pani Tyler cicho. - Och, Roweno, gdybyś tylko mi uwierzyła.

Rowena patrzyła w okno, a łzy strumieniami spływały jej po twarzy.

- Co za strapienie, dla naszych staruszek - drwiła Roz. - W jaki straszny dramat się wplątały. Ale coś wam powiem, drogie panie. To wszystko i tak was nie dotyczy. Wy byłyście jedynie narzędziami albo przeszkodami, to wszystko. Matka była narzędziem, które wykorzystałam do swoich celów. Babcia była przeszkodą, ale usunęłam ją z drogi. Ponieważ to, co właśnie zamierzam naprawdę ma znaczenie dla całego świata. Od początku było mi zbyt ciasno w tej waszej żalosalnej mydlanej operze. Urodziłam się większa, niż wasze umysły były to w stanie pojąć. Więc zostańcie tu i zobaczcie, do

czego naprawdę służy moc.

Pani Tyler rzuciła Quentinowi spojrzenie ponad szkatułką i posłała mu blady uśmiech.

- Dalej, Quentinie! - wrzasnęła Roz. - Otwórz mój skarb! Pani Tyler lekko kiwnęła głową.

Roz wybuchnęła śmiechem.

- Och, Babciu, czy ty naprawdę sądzisz, że wciąż bierzesz udział w tej grze?

Quentin wyciągnął ręce i chwycił za boczne ścianki szkatułki. Już wcześniej stał w tej pozie, ale wtedy nie miał pojęcia, co może znajdować się w środku. Teraz czuł nagość swojej skóry kiedy dotykał ciepłego, miękkiego drewna.

- Unieś wieczko - poleciła Roz.

Tym razem nie było wuja Paula, który by go zatrzymał. Uniósł lekko wieczko. Przez chwilę nic się nie działo. Podniósł wzrok i spojrzał na panią Tyler. W tym czasie długa, giętka, czerwona tętnica wypełzła węzowym ruchem spod pokrywy i podłączyła się do jednej z żył na grzbiecie prawej dłoni Quentina.

Wrzasnął, bardziej ze strachu, niż z bólu. Drugą ręką spróbował strącić tętnicę, ale ta stała się już częścią jego własnego ciała. Kiedy za nią pociągał, jego ręka poruszała się wraz z arterią. Następne dwie tętnice wypełzły ze skrzynki czepiając się jego lewej ręki.

- Trzeba było zostać w rękawiczkach - szydziła Roz. Quentin próbował stawić jakiś opór, ale jego ręce już mu się nie poddawały. Chciał odsunąć się od skrzynki, ale ręce wciąż do niej parły, pomimo że robił co mógł, by je odciągnąć. Jego dłonie całkowicie otworzyły wieko.

Wyglądało to tak, jakby otworzył klatkę piersiową człowieka. Delikatna siatka żył i tętnic pokrywała wewnętrzne ścianki pudełka, ale coraz więcej naczyń wysuwało się na zewnątrz, by czepiać się dłoni i nóg przedramion Quentina.

Roz zaczęła iść w jego stronę, uśmiechnięta, ale także przerażona.

- Dobrze - powiedziała. - A teraz posiadź go. Posiadź go.

- Zatrzymaj ją, Roz. - wyszeptała Rowena.

- Za późno, Matko - powiedziała Roz. - Kiedy już zaczniesz, nie sposób jej zatrzymać.

Z oczyma pełnymi strachu Quentin spojrzał na panią Tyler. Była poważna, ale na jej twarzy nie dostrzegł ani śladu przerażenia. Patrzyła na niego.

Ogromne serce wynurzyło się z pudełka, ciągnięte do góry przez tętnice, czepiające się ciała Quentina w kilkunastu punktach. Biło nierównym rytmem.

- Pośpiesz się - szeptała Roz, podchodząc bliżej. - Bierz go!

- Serce ma tylko kilka minut - powiedziała pani Tyler łagodnym głosem, jak nauczycielka wyjaśniająca coś swoim uczniom. - Wewnątrz skrzynki nie mogło umrzeć, ale na zewnątrz musi mieć gospodarza. Nie walcz z nim, Quentinie. Weź je na swoją pierś.

Quentin spojrzał na nią śmiertelnie przerażony. Robił wszystko co mógł, żeby powstrzymać swoje ręce przed chwyceniem serca, a teraz ona mówi mu, żeby się poddał? Żeby oddał sercu siebie samego w posiadanie?

- Tylko kilka minut, a potem będzie musiało zostać tam gdzie jest - powiedziała pani Tyler. - Połóż je na swoje piersi.

Quentin przestał się opierać. Natychmiast jego dłonie przylgnęły do serca, schwyciły je i wyrwały z sieci arterii kłębiącej się w pudełku. Natychmiast żyły, które do tej pory nie zostały użyte, przywiedły i wyschły, upodabniając się do zeszłorocznych winorośli. Szkatułka przestała pulsować.

Ręce Quentina zawahały się na moment. Następnie przycisnęły serce do jego klatki piersiowej, gdzie przyczepiło się do materiału koszuli, bijąc jak szalone.

- Gotowe - powiedziała Roz.

- Gotowe - powiedziała pani Tyler.

- Roz, nie! - wrzasnęła Rowena.

- A teraz uczynię cię moim - powiedziała Roz. Podeszła bliżej. - Pochyl się, Quentinie, żebym mogła cię pocałować. - Nagle znowu zmieniła się w Madeleine. - Pocałuj mnie, Tin. Pocałuj mnie ostatni raz.

Była bardzo blisko. Tuż przed nim. Za jej plecami widział panią Tyler. Rękami dawała mu znaki, jakby odpychała coś od swoich piersi. Zrozumiał natychmiast. Ale czy wystarczy mu sił, by tego dokonać?

Własnych sił na pewno by mu nie starczyło. Gdyby bestia nie chciała iść do dziewczyny, nigdy nie udałoby mu się odepchnąć pulsującego serca. Ale bestia bardzo tego pragnęła. A dzięki włosom Babci, oddzielającym zniekształcone serce Paula od jego własnego ciała, dysponował jeszcze resztkami jej mocy, chroniącymi go przed całkowitym zawładnięciem przez bestię. Quentin podniósł ręce na wysokość klatki piersiowej, schwycił serce i oderwał je od siebie. Ponieważ Madeleine stała tuż przy nim, tym samym ruchem przycisnął je do jej piersi.

W tej samej chwili Madeleine z powrotem stała się Roz, tyle że w miejscu, gdzie Madeleine miała biust, widniała teraz naga skóra twarzy dziewczynki. Serce już przyczepiało się do niej w kilkunastu, kilkudziesięciu miejscach. Żyły odczepiały się od rąk Quentina. Cofnął się uwolniony, ale niezdolny oderwać oczy od tego, co działo się z Roz.

Serce ześliznęło się po jej twarzy pod brodę, po szyi i pod koszulę. Roz była przerażona.

- Matko! - ryknęła. - Pomóż mi! Matko!

- Teraz wiesz - odezwała się pani Tyler do Roweny głosem pełnym gorzkości. - Teraz wiesz, dlaczego zrobiłam to, co zrobiłam.

- Nie możesz tego zatrzymać? - spytała Rowena.

- Raz już to zrobiłam, kiedy bestia posiadała mojego małego chłopca - powiedziała pani Tyler. - Ale obecnie, niestety, jestem martwa.

- Matko! - głos Roz był oszalały z trwogi. - Matkoooo! - wyła. A potem jej głos zmienił się w gulgot.

Dziewczynka zachwiała się i upadła na jedno kolano. Jej ciało zaczęło zmieniać kształt. Ramiona skurczyły się, ręce cofnęły się do wewnątrz rękawów, a następnie zniknęły całkowicie. Skrzydła z trzaskiem rozdarły koszulę na plecach, rozpościerając się na szerokość najpierw trzech, a zaraz potem sześciu metrów, delikatne i wiotkie jak z czarnego jedwabiu, cieniutkie jak z papieru. Quentin zauważył, że światło wpadające przez okno prześwituje przez skrzydła. Głowa Roz odchyliła się do tyłu, szczęki rozwarły się szeroko. Ogromny, pozwijany język wysunął się raz, drugi, a potem jej twarz zapadła się tworząc nową formę. Była to głowa smoka. Głowa otworzyła paszczę, żeby ukazać gęsty rząd zębów i ryknęła.

Poprzez ryk dało się słyszeć całą serię zupełnie innych dźwięków. Przypominały strzelające korki szampanów. Jeden. Drugi. Trzeci.

Ciało smoka zapadło się. Znowu ujrzeli Roz, tyle że teraz miała krwawą ranę z boku głowy, a drugą na brzuchu. Przerazonym wzrokiem spojrzała przez ramię na swoją matkę.

- Mamusiu - wyszeptała.

Rowena wystrzeliła ponownie i Roz osunęła się na podłogę. Jedyne podarte ubranie dziewczynki świadczyło o tym, że jeszcze przed chwilą była smokiem. Pulsujące serce zwisało jej ciężką bryłą przy szyi. Gorączkowo starało się uciec, ale było już zbyt słabe. Rowena wypaliła prosto w serce.

- Na to szkoda kuł - powiedziała pani Tyler. - I tak już zawładnęło ciałem Roz. To ciało musi zginąć.

Łkając Rowena posłała dwie ostatnie kule w głowę własnej córki.

Z szeroko otwartymi oczami Roz przewróciła się na plecy i wyzionęła ducha.

- Musiałaś to zrobić - powiedziała pani Tyler. - Nie miałaś wyboru. Jakoś to przeżyjesz, Roweno. Wiem, że ci się to uda, bo i mnie się udało.

Rowena tępym wzrokiem spojrzała na Quentina.

- Wynos się z tego domu. Wynos się albo giń.

Dopiero wtedy Quentin zdał sobie sprawę, że bestia wcale nie zniknęła. Nie miała już żywego ciała,

ale wciąż dysponowała wystarczającą mocą, by zmieniać rzeczy w fizycznym świecie, tak jak wtedy, kiedy była zamknięta w szkatułce. Deski podłogowe pod ciałem Roz wybrzuszyły się, jak gdyby jakiś ogromny kret kopał pod nimi swoje korytarze. Wybrzuszenia utworzyły przesuwającą się falę, która przeszła pod nocnym stolikiem; szkatułka spadła i roztrzaskała się na drzazgi. Fala doszła do Quentina i przechodząc pod nim zwała go z nóg. Teraz ściany także falowały. Wiszące na nich obrazy wylatywały w górę i opadały na podłogę, zaś kawały tynku odrywały się i ześlizgiwały w dół po ścianach.

- Uciekajcie! - zawołała pani Tyler. - Oboje.

Quentin podniósł się i próbował podać rękę Rowenie, żeby pomóc jej wstać. Odepchnęła go.

- Właśnie zabiłam moją córeczkę - wyszeptła. - Nie mam zamiaru jej opuszczać.

Quentin potykając się dotarł do drzwi, co przyszło mu z trudem, gdyż cały pokój wierzgał jak dziki mustang. Następnie wytoczył się do holu.

Tutaj było jeszcze gorzej. Dół schodów oderwał się od podłogi i walił teraz o nią niczym ogromna kocia łapa, rzucająca mu wyzwanie, żeby spróbował przejść tak, aby nie zostać złapanym i zmiażdżonym. Wiedział, że nie ma sposobu na dotarcie tamtędy do frontowych drzwi

Wbiegł do biblioteki. Książki zlatywały ze ścian, waląc w niego, niczym stado samobójczych ptaków. Tędy także nie było przejścia. Do jadalni. Schody próbowały dosięgnąć go, gdy przemykał się obok, ale jakoś przedostał się do pokoju. Lecz kiedy przystanął tam na chwilę, dysząc ciężko, pokrowiec przykrywający stół ożył nagle i pofrunął w jego stronę, próbując schwytać go w sieć misternych haftów. Wielka płachta zasłoniła wszystkie drzwi mogące wyprowadzić go z tego pomieszczenia. Wobec tego Quentin ruszył w stronę wysokiego okna i rzucił się przez nie, niczym lekkoatleta skaczący wzwyż, plecami do przodu, rozbijając szybę na tysiąc odłamków podobnych do lodowych sopli.

Wylądował w bezlistnych krzakach, ciernistych i kłujących, ale zawsze przyjemniejszych niż potłuczone szkło. Podrapany i pokrwawiony wyplątał się z chaszczki i obiegł dom dookoła. Ray Duncan stał oparty o otwarte drzwi Lincolna, gapiąc się z przerażeniem na dom, który trząsł się w posadach, zaś tu i ówdzie ściana wybrzuszała się nagle w miejscu, którędy przechodziła niewidzialna bestia.

- Co się dzieje? Co się dzieje? - zażądał wyjaśnień, kiedy zobaczył Quentina.

- Właź do samochodu i ruszaj! - wrzasnął Quentin.

- Tam jest Rowena! Roz! Moja mała dziewczynka!

- Roz nie żyje, a Rowena nie chce wyjść. Dalej, człowieku! Ratuj swoją skórę!

- Roz! - wrzasnął Duncan. - Rowena! - Ruszył w górę po schodach ku frontowej werandzie.

W chwili kiedy dotarł do frontowych drzwi, coś rozwalilo fasadę domu od środka i przez ogromną

wyrwę wysunęło się potężne ramię walących o ziemię schodów, obalając mężczyznę, a następnie miażdżąc go kolejnymi uderzeniami, podczas gdy jego pozbawione już życia ciało trzepotało się bezradnie pod nimi, niczym mysz pod kocią łapą.

Quentin wysiadł z Lincolna i pobiegł w stronę swojego wozu, wsiadł do środka, uruchomił go, po czym cały czas jadąc tyłem, z ogromną szybkością dotarł do autostrady. I wtedy zatrzymał się.

- Lizzy - wyszeptał. Roz powiedziała, że przywieźli więzienie Lizzy ze sobą.

Spróbował wrócić samochodem pod dom, ale koła zabuksowały w śniegu i samochód ześliznął się na bok. Zatrzymał się, wysiadł z samochodu i ruszył biegiem w stronę domu, ślizgając się na oblodzonej i ośnieżonej alejce. W pełnym biegu włożył prawą dłoń, wciąż krwawiącą z ran jakie pozostawiły po sobie czepiające się jej żyły, do kieszeni kurtki i wyciągnął stamtąd swój telefon komórkowy. Wybrał numer 911 i nacisnął przycisk SEND.

- Wezwijcie policję z Mixinack do starego domu Laurentów! Nie znam adresu, ale oni będą wiedzieć gdzie to jest. Dom Laurentów! Niech przyślą też straż pożarną. I karetki! Nie, nie mogę zostać na linii.

Wcisnął telefon z powrotem do kieszeni i podszedł do Lincolna. Dom wciąż drżał w posadach. Poddasze zawaliło się na trzecie piętro. Szyby pękały i szkło pryskało we wszystkich kierunkach. Wsunął się do środka wozu przez drzwi od strony kierowcy i wyciągnął kluczyk ze stacyjki. Cofnął się do bagażnika i otworzył go. Następnie rzucił kluczyk w kierunku frontowego ganku, tak aby wyglądało, że to Ray Duncan upuścił go biegnąc w stronę domu.

W bagażniku była tylko jedna walizka. Wyszarpnął ją na zewnątrz i otworzył zamaszystym ruchem. Było tam tylko kilka ubrań, parę przyborów kosmetycznych. Butelka szampana. Czy Roz naprawdę wierzyła, że będzie dziś święcić zwycięstwo?

Otworzył wszystkie przegródki zapinane na zamki błyskawiczne. Znalazł tylko kilka pudełek. Jedno z przyborami do pisania, drugie z biżuterią. Poza tym nie zauważył niczego, w czym można byłoby trzymać szczątek ciała jego siostry. Roz skłamała. Nie mieli ze sobą uwięzionej Lizzy.

Jego wzrok padł na butelkę szampana. Podniósł ją do góry. Czy jakaś część ciała Lizzy mogłaby zmieścić się w środku tej butelki?

Nagle stanęła przed nim pani Tyler,

- Uciekaj, dopóki jeszcze możesz.

- Muszę uwolnić Lizzy.

- Uciekaj! I zniknęła.

Quentin podniósł się z kolan wciąż trzymając w rękach butelkę i ruszył alejką w stronę swojego samochodu. Za jego plecami dach runął na znajdujące się pod nim piętra i rozmiarzył je o fundamenty. Usłyszał już pierwsze sygnały radiowozów. Stanął u wylotu alejki machając do nich, ale

zanim wynurzyły się spomiędzy drzew, dom nagle buchnął płomieniem. Ogień zajął Lincolna i otwartą walizkę porzuconą na śniegu. Dach jeszcze raz zapadł się w dół, niemal stykając się z fundamentami. Płomienie, iskry i płonące gruzy wylatywały w powietrze i spadały zapalając to, co kiedyś było trawnikiem i podjazdem. Policja wjechała w drogę dojazdową, a za nią pięć wozów strażackich. Zabrali się do gaszenia pożaru, ale najwyraźniej nie było już nic do uratowania. Nie wyglądało też na to, że ktokolwiek mógł przeżyć katastrofę.

Quentin kamieniem rozbił butelkę. Wśród kawałków szkła zobaczył ją: wyschniętą, skurczoną dłoń, pochodzącą ze szkieletu nastoletniej dziewczynki.

- Lizzy - wyszeptał.

Siedziała przed nim na śniegu, opierając się o samochód. Łzy spływały jej po twarzy.

- Dziękuję, Tin - powiedziała.

- Lizzy, więc ona cię...

- Dobra robota, Tin. Jestem wolna, a bestia przepadła.

- Jesteś pewna? Zawładnęła całym domem, a potem...

- Miała tylko tyle siły, ile życia było jeszcze w ciele dziewczynki. Teraz, kiedy ona nie żyje, bestia została odcięta od świata. Pani Tyler odnalazła mnie i wszystko mi powiedziała. Ona wie bardzo dużo, Quentinie.

- Tak, ale już nie żyje. Nie żyją też rodzice Roz, ale i tak wszystko na nic. Bestia wróci ponownie w jakimś innym miejscu.

- Nie robi tego, dopóki ktoś jej do siebie nie zaprosi. - powiedziała Liz. - Może będzie musiała długo czekać. Zrobiłeś wszystko, co było w twojej mocy. Zatrzymałeś ją tutaj, zanim na dobre stanęła na nogi. Nic więcej nie dało się zrobić.

- Lizzy, a co by było, gdybym cię nie znalazł?

- Przecież mnie znalazłeś. Pani Tyler cię prowadziła. Jak tylko mnie odnalazła, sprawiła, że sam zorientowałeś się gdzie mogę być uwięziona. - Lizzy rozejrzała się. - Idą tu, żeby cię przesłuchać. Nie powinni widzieć, że ze mną rozmawiasz. Pomyślą, że jesteś wariatem. I nie zostawiaj tutaj mojej ręki, Quentin. Nie chcę być przykuta do tego miejsca.

Zniknęła. Schylił się, by podnieść wysuszoną dłoń i włożył ją do kieszeni kurtki.

Policjant zbliżył się do niego leniwym krokiem.

- To pan nas wezwał?

- Przyjechałem tu obejrzeć dom - powiedział Quentin. - Oni jechali samochodem, aż z Waszyngtonu,

żeby mi go pokazać.

- Ktoś tu był?

- Ja dopiero co przyjechałem. Siedziałem w ich samochodzie, rozmawiając z panem Duncanem, kiedy nagle dach zaczął się zapadać. Pan Duncan krzyknął coś o Rowenie i Roz, które były w środku, pobiegł w stronę domu i został przywalony gruzem. Zadzwoiłem po pomoc, ale dla nich było już za późno. Czy powinienem był wejść do środka? Byłem tak przerażony, że wyjechałem aż tutaj, gdzie mój samochód utknął w śniegu, ale potem pobiegłem tam z powrotem i pomyślałem, że może powinienem im jakiś pomóc, ale dom już się cały zapadał i...

- Nie, nie, zachował się pan tak, jak należało. Gdyby wszedł pan do środka, byłby pan teraz martwy, jak tamci.

- Pana Duncana przygniotło już na ganku.

Nie musiał się wysilać, żeby dać upust nagromadzonym emocjom i pozwolić płynąć łzom - z radości, że przeżył; z wyczerpania; z żalu po ludziach, którzy zginęli. Żałował wszystkich, nawet Roz. Była tylko dzieckiem. Nie rozumiała tego, co robi, dopóki nie było za późno. Ray Duncan w ogóle nic nie rozumiał przez cały czas.

- Niech pan się uspokoi, niech pan siądzie w samochodzie na chwilę. - Policjant odtworzył drzwi i pomógł mu wejść. - Proszę tu poczekać. Mamy parę pytań, ale nie ma pośpiechu, niech pan najpierw przyjdzie do siebie.

Quentin siedział w samochodzie, starając się zapanować nad emocjami, podczas gdy jakiś strażak podeszedł do policjanta, który przed chwilą z nim rozmawiał.

- Aż trudno uwierzyć, żeby dom zapadł się w ten sposób. Musiał być cały przeżarty przez termity.

Policjant pokręcił głową.

- Jeszcze przed wezwaniem dostaliśmy inny meldunek. W domu mieszkała pewna staruszka, która wciąż jest właścicielką tego terenu. Dziś w domu spokojnej starości, parę mil w górę rzeki, dostała cztery kulki prosto w głowę. Zabił ją nasz komendant. Pracował tu kiedyś jako ogrodnik. Coś mu odbiło i zabił ją, a potem sam strzelił sobie w łeb. - Policjant odwrócił wzrok na chwilę, żeby opanować targające nim emocje. - Głowa rodziny, porządny facet, dobry szef, dobry gliniarz. Na tym świecie nigdy nic nie wiadomo.

- Właścicielka tego domu została dziś zabita?

- Wszystko wygląda tak, jakby staruszka chciała się zemścić. To nie może być przypadek, że dom zawalił się dokładnie w chwili, kiedy została zamordowana.

Quentin odezwał się z samochodu.

- Wydaje mi się, że to byli jej krewni. Policjant i strażak podeszli bliżej.

- Co?

- Ci Duncanowie. Mówili, że dom należy do ich mamy i że sprzedają go w jej imieniu. Mówili, że ona sama mieszka w domu spokojnej starości, gdzieś w górę rzeki.

- Mówi pan, że ci ludzie w domu, to były jej dzieci.

- Razem z jej wnuczką. To byli jedyni krewni jakich miała.

- Dobry Boże - mruknął policjant. - Cała rodzina w ciągu godziny i to w odległości stu mil od siebie.

- Nikt w to nigdy nie uwierzy - powiedział strażak. - Historia jak z *Archiwum X*.

Dwaj mężczyźni rozmawiali dalej. Quentin zamknął oczy. Było już po wszystkim. Końcówka beznadziejna, ale mogło skończyć się jeszcze gorzej. Dla niego. Dla wszystkich.

Gorzej nie mogło być tylko dla rodziny Mike'a Bolta.

Sally Sannazzaro zatrzymała się przy barierkach ustawionych przed drzwiami domu spokojnej starości. Policjant rozpoznał ją i gestem dłoni pozwolił jej wjechać. Z budynku wnoszono właśnie dwa ciała, każde miało głowę zakrytą prześcieradłem. Błysnęły flesze aparatów fotograficznych. Ekipa telewizyjna włączyła reflektory i ciała zostały zalane blaskiem jaśniejszym niż światło dnia.

Komendant Todd stał przy karetce. Najpierw machał ręką, żeby przyszła, potem zastanowił się i sam podszedł do siostry, kiedy już wysiadła z samochodu.

- Nie mamy pojęcia jak on to zrobił. Moi chłopcy byli tu pierwsi. Sprawdzili, że staruszka ma się dobrze, a potem stanęli na warcie przy drzwiach do jej pokoju i przysięgają mi, że nikt nie mógł prześliznąć się obok nich nie zauważony. Ale jemu to się udało. Żaden z nich nie słyszał strzałów, zobaczyli go dopiero jak stanął w drzwiach z bronią w rękę, ale ona już wtedy nie żyła.

- A Bolt?

- Nie mieli nawet czasu żeby go rozbroić, kiedy wypalił sobie prosto w głowę. Co i tak nie powstrzymało ich przed wpakowaniem ośmiu kolejek w jego trupa. Siostrzyczko Sannazzaro, spapraliśmy tę robotę na całego. Nie mam pojęcia, co się stało, bo to wcale nie są moje najgorsze chłopaki. Sam nie wiem czy mam ich rozstrzelać, czy potopić jak szczeniaki, taki jestem na nich wściekły. Bardzo mi przykro.

Poklepała go po ramieniu i odwróciła się. Po policzkach płynęły jej łzy.

- Myślę, że tak czy siak nie udałoby się go powstrzymać, panie komendancie - powiedziała. - Myślę, że to musiało się stać.

- Na pewno będzie pani miała teraz mnóstwo roboty w ośrodku. Cały dom aż wrze. Personel na pewno powita panią z ulgą. Przyjadę jurto żeby zadać pani kilka pytań, dobrze?

- W porządku - odparła.

Ruszyła w stronę wejścia. Dziennikarze zauważyli ją i zasypali pytaniami. Minęła karetkę, do której właśnie wkładano drugie martwe ciało. Nie zatrzymała się by zobaczyć kto to jest. Teraz nie miało to już żadnego znaczenia.

Wiedziała tylko, że jedynym człowiekiem na całym bożym świecie, który mógł wszystko wyjaśnić, był pewien szaleniec z włosami zmarłej kobiety w plastikowym worku, przyklejonymi do klatki piersiowej.

DO GROBU

Przez następne kilka dni nie mógł ruszyć się z okolicy, gdyż składał zeznania na posterunkach policji w dwóch miastach, a potem nie było już sensu wyjeżdżać przed pogrzebami. Poza tym była jeszcze Sally Sannazzaro, która również musiała odpowiadać na wiele pytań jakie miała do niej policja, a potem, po wielu godzinach dochodzenia, sama zasypała go swoimi pytaniami.

Biedaczka. Tak bardzo chciała mu uwierzyć. Nie miała w sobie sceptycyzmu Wayne'a Read'a, tym niemniej brakowało jej naocznych dowodów, jakie miał okazję zobaczyć Mike Bolt. Nic nie pomogło, że tuż przed tym wszystkim opowiedział jej całą prawdę, gdyż miała okazję zapoznać się z całą litanią kłamstw, jakie wymyślił dla potrzeb stworzenia bardziej wiarygodnej wersji wydarzeń sprzed morderczej misji Bolta, możliwej do zaakceptowania przez policję.

Tym niemniej była z nim jak długo tylko mogła przez wszystkie te dni śledztwa i żałoby. W końcu Quentin domyślił się, że zostaje razem z nim na przekór swoim wątpliwościom, ponieważ go potrzebuje. Wreszcie był komuś potrzebny ze względu na coś, co nie miało nic wspólnego z pieniędzmi, ani otwieraniem szkatulek zawierających mityczne bestie.

Przed pogrzebem Mike'a Bolta, kiedy on i Sally siedzieli razem z Ledą Bolt w jej salonie, przekonał się, jak mizerna i bezradna była potęga jego pieniędzy wobec prawdziwie poważnych problemów. Tym niemniej pieniądze mogły się na coś przydać. Obiecał żonie Mike'a, że zapewni wszystkim dzieciom wystarczające środki, by mogły ukończyć studia i by nigdy im niczego nie brakowało. Gdyby dalsze życie w Mixinack okazało się dla nich zbyt ciężkie, był gotów sfinansować ich przeprowadzkę do dowolnie wybranego miejsca.

- Dlaczego pan to robi? - spytała. - Ledwie znał pan Mike'a.

- Poznałem go lepiej niż ktokolwiek, prócz pani, w tych ostatnich dniach jego życia. Zostaliśmy przyjaciółmi. A jak długo trzeba się z kimś przyjaźnić, żeby pomóc jego rodzinie, kiedy umrze?

Kobieta wybuchnęła płaczem.

Po kilku chwilach przestała szlochać i Quentin znowu zwrócił się do niej, kładąc rękę na jej przygarbionych plecach.

- Na pewno będzie ci bardzo ciężko, Ledo, a jeszcze ciężiej może być waszym dzieciom. Nie wiem, jak mam ci o wszystkim opowiedzieć, byś mi uwierzyła, ale to, co mam ci do przekazania jest szczerą prawdą, więc tak czy siak muszę ci powiedzieć. Wasze dzieci powinny wiedzieć, że ich ojciec do samego końca był dobrym człowiekiem, bo taka jest prawda. Powinny wiedzieć, że chociaż to jego dłoń trzymała broń i pociągnęła za spust, ich ojciec nigdy nie chciał zabić pani Tyler, a jeśli potem popełnił samobójstwo, to skłoniło go do tego przekonanie, że rzeczywiście on zabił staruszkę. Ale nie on ją zamordował. To ktoś inny, kto obecnie też już nie żyje, używał jego ciała wbrew jego woli. Wasze dzieci nie są dziećmi mordercy ani psychopaty. Ich ojciec był uczciwym, zdrowym na umyśle człowiekiem. Twój mąż był wspaniałym mężczyzną, który kochał cię całym sercem i był z tobą szczęśliwy. Waszyscy powinniście być z niego dumni.

Leda zanosła się jeszcze głośniejszym szlochem, obróciła się do niego i zarzuciła mu rękę na szyję, mocno wtulając twarz w jego ramię. Obejmował jej wstrząsane łkaniem ciało. Po drugiej stronie salonu siedziała Sally Sannazzaro. W jej włosach odbijało się światło wpadające do pokoju przez na wpół przezroczyte zasłony. Wpatrywała się w niego, a łzy spływały jej po policzkach. Pokiwała głową. Powiedział wszystko tak, jak należało.

Quentin i Sally stali obok siebie przy grobie Mike'a Bolta wraz z całym personelem posterunku w Mixinack, dwunastoma policjantami, demonstracyjnie okazującymi swoją lojalność wobec szefa, nie zważając na to, jaki spotkał go koniec. Bez wyjaśnień Quentina wiedzieli, że Mike Bolt, którego znali, nie mógł być świadomym sprawcą tego, co zaszło w domu spokojnej starości. A po ich zachowaniu wobec Ledy i jej dzieci, Quentin poznał, że rodzina Mike'a na pewno nie będzie musiała wyjeżdżać z Mixinack; wiedział, że na pewno znajdą tu życzliwość i dobrą opiekę.

Nieco później tego samego dnia, Quentin i Sally byli chyba jedynymi żałobnikami wśród tłumu ciekawskich, zgromadzonych wokół czterech nowych grobów na starym, rodzinnym cmentarzu Laurentów. Malutka, otoczona murem nekropolia była jedynym ocalałym miejscem na całej posiadłości. Quentin już zlecił Readowi podjęcie odpowiednich kroków w celu zakupu całego terenu. Planował odgradzić go od drogi, zalać fundamenty domu, a następnie zostawić posiadłość swojemu losowi, czekając aż zarośnie zielskiem i drzewami. Miało tu powstać coś na kształt niewielkiego rezerwatu z małym, zaniedbanym cmentarzykiem. Zmarli mieli sami zadbać jeden o drugiego i nikt nie mógł im w tym przeszkadzać. Żaden dom nie miał zostać wzniesiony w tym miejscu przez następne sto lat. Bestia pewnie znowu wyruszy na łowy, szukając następnego serca, następnego gospodarza. Ale nie tutaj. Żaden smok nie miał już nigdy gościć w tym miejscu.

Wreszcie wszystko dobiegło końca i pod wieczór Quentin Fears i Sally Sannazzaro znaleźli się obok siebie na sofie w jej mieszkaniu. Nadszedł czas, by zmierzyć się z nieufnością, jaką wciąż budziła w niej jego osoba. Ponieważ nie miał zamiaru odejść i zostawić jej z mnóstwem niewyjaśnionych wątpliwości.

- Sally - odezwał się - ja niczego nie wymyśliłem. Nie jestem aż takim kretyńcem, żeby wymyślać podobne wariactwa. Jeszcze w ubiegłym wieku większość ludzi wierzyła w wiedźmy. To wszystko, co zdarzyło mi się w ostatnim tygodniu, to wszystko, co przeżyłem przez ostatni rok, zapewne

poruszyliby ich i przeraziło, ale na pewno nie byłoby dla nich zaskoczeniem. My po prostu urodziliśmy się w niewłaściwych czasach, to wszystko.

- Nic o tym nie wiem - powiedziała Sally. - Ale myślę, że czasy, w których nie ma wiedźm, są lepsze.
- Ale nie żyjemy w czasach bez wiedźm, chociaż bardzo bym sobie tego życzył.
- Ale teraz nastały takie czasy - odparła Sally. - Przynajmniej dla nas.
- Mam nadzieję.
- Muszę uwierzyć ci na słowo, że nie jesteś stuknięty.
- Miałem nadzieję, że nie masz w zwyczaju zapraszać czubków do swojego mieszkania na długie rozmowy przy lodach.
- Dobre lody działają kojąco na wzburzone emocje, dużo lepiej niż muzyka - powiedziała odgryzając następny kęs Wavy Gravy.
- Muszę cię o coś spytać, Sally - oznajmił Quentin.
- Wal śmiało. Ja nie muszę odpowiadać.
- Ty nie jesteś przez przypadek wiedźmą, prawda? Nie udajesz, że nie wierzysz w moją opowieść tylko dlatego, żebym cię nie podejrzewał?
- Czemu pytasz? Czyżbym rzuciła na ciebie urok?
- Może trochę.
- To forma odreagowania szoku i żalu. Po prostu bardzo potrzebujesz czyjś towarzystwa.
- Rzeczywiście. Ale kiedy szok minie i uda mi się zapanować nad żalem, czy nadal nie będę potrzebował czyjś towarzystwa? Czy nie jest to nader normalny objaw?
- Ale wówczas możesz okazać się bardziej selektywny w doborze towarzystwa, jakiego potrzebujesz. Nie jestem wiedźmą, Quentinie, ale różni ludzie wymyślali dla mnie bardzo podobnie brzmiące przezwiska.
- Jestem samotnym odludkiem. Albo ty staniesz się kobietą mojego życia, albo ja stanę się drugim Howardem Hughesem.* To moja ostatnia szansa. Możesz mnie ocalić, Sally.
- Czy jesteś naprawdę bardzo, bardzo bogaty, Quentinie?
- Mhm. A dzięki Madeleine mam powiązania z politykami w całym kraju.
- Chrzanić te powiązania. Lepiej po prostu wyjedźmy. Teraz, kiedy mamy za sobą wszystkie

pogrzeby. Wyjedźmy do Europy. Do Ameryki Południowej. Do Afryki, Do Indii. Do Chin. Do Australii.

- Mówisz poważnie?

- Ale oddzielne pokoje, Quentin. Nie jestem taka jak inne. Ale przecież stać cię na to, prawda?

- Możemy zawsze brać pierwszą klasę.

- Zobaczymy, czy będziemy się lubić wtedy, kiedy nie robimy sałatek, nie prowadzimy domów spokojnej starości ani nie patrzymy jak porządni ludzie niszczą innych porządnych ludzi lub siebie samych.

- Zgadzam się, jeśli nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy najpierw skoczyli do Kalifornii - powiedział. - Muszę odwieźć pewną rzecz tam, gdzie jest jej miejsce.

Wiedziała o czym mówi. Pokiwała głową i odwróciła wzrok, gdyż jej oczy wypełniły się łzami.

- Masz paszport? - spytał.

- Nie. A ile warte są twoje znajomości?

- Zrób sobie zdjęcie i zobaczmy, jak szybko zadziała system powiązań.

Pochyliła się w jego stronę i chwyciła go za rękę.

- Jeśli kiedykolwiek zabierzesz mnie do swojego domu, obiecuję, że nie będę zbyt miła dla twoich rodziców.

Zaśmiał się i spojrzał na swoją salaterkę po lodach.

- A ja obiecuję, że jeśli kiedykolwiek będziesz mi przypominać moją siostrę Lizzy, nigdy ci o tym nie wspomnę.

Uśmiechnęła się.

- Nawet jeśli nic z tego nie wyjdzie, Quentinie, i tak cieszę się, że cię poznałam.

- Kiedy raz przylepi się mężczyźnie plastikową torbę z włosami do klatki piersiowej, to nie ma już odwrotu.

Ułożyła głowę na jego ramieniu. Bardzo mu się to podobało. Miło było czuć jej ciężar. Zapach włosów. Jej dłoń w jego dłoni. Zupełnie coś innego niż z Madeleine. Bez gwałtownych emocji. Tym razem wszystko przebiegało spokojniej. Ale i lepiej. Lepiej od samego początku. Gdyby wcześniej miał okazję poznać taką kobietę jak Sally, być może nie dałby się tak oszukać.

A może znowu go nabierano? W końcu Madeleine została stworzona przez jedenastoletnią

dziewczynkę, wyjątkowo zdolną, co prawda, ale wszystko co wiedziała o seksie pochodziło z książek albo z głowy samego Quentina. Dorosła wiedźma, z bagażem prawdziwych doświadczeń, mogła okazać się jeszcze lepsza, czyż nie?

Przez chwilę z całą mocą starał się zwątpić w istnienie Sally Sannazzaro. Udawać, że dotyk jej ręki, ciężar jej głowy przytulonej do jego ramienia są zwykłą iluzją. Że jej silny charakter i miłe usposobienie były zwykłą projekcją jego pragnień. Że jej temperament i surowość zostały stworzone tylko po to, aby wydała mu się bardziej prawdopodobna po doświadczeniach z Madeleine.

Ale kiedy otworzył oczy, wciąż była przy nim, wpatrując się w niego uważnie.

- Co ty robisz? - spytała.

- Staram się sprawić, żebyś zniknęła.

Przez chwilę zastanowiła się nad tym, co powiedział.

- Nie zadziała - orzekła.

- To dobrze - odparł. A potem pocałował ją. Nie był to doskonały pocałunek. Zderzyli się nosami. Wybuchnęli śmiechem.

- Jeśli jesteś złudzeniem - powiedział - nigdy mi o tym nie mów.

I tak mieli trwać, osobno lub razem, zdani na wyroki miłości, losu i czasu, na zawsze otoczeni przez cichych, ukochanych zmarłych, odpowiadając na ich ciszę krzykiem życia. To właśnie była niewidzialna szkatułka, którą Quentin dostał dawno temu, ale dopiero teraz znalazł i otworzył. W środku była moc, ten rodzaj mocy, która znika, kiedy weźmie się ją tylko dla siebie, a rośnie szybko jak dzieci, kiedy dzieli się ją z drugą osobą.

* DC - District of Columbia - Okręg federalny w USA nie będący stanem, obejmujący stolicę kraju Waszyngton i jej najbliższe okolice.

* Gra słów. Wymowa obu wyrazów jest bardzo podobna, ale różnią się znaczeniem. "Fierce" jest przymiotnikiem, który można tłumaczyć jako: "dziki, okrutny, nieopanowany", zaś "fears" jest czasownikiem 3 os. 1. poj. czasu teraźniejszego i znaczy: "boi się, obawia się".

* David Letterman - popularny prezenter wieczornego show telewizyjnego.

* Mickey Rooney i Judy Garland to bohaterowie serii bardzo popularnych filmów opowiadających o

różnych przygodach pary dzieciaków (chłopca, którego gra wspomniany dalej w tekście Andy Hardy, i dziewczyny), zabierających się do wszystkiego z ogromnym, naiwnym entuzjazmem. Zdanie jest aluzją do bardzo znanej kwestii wypowiedzianej przez chłopaka: "Możemy mieć swój własny show!"

* Ann Landers - znana dziennikarka, prowadząca bardzo popularne kąciki porad w poważnych czasopiśmie. Oprah Winfrey - znana także i u nas osobowość telewizyjna, autorka własnego talk-show, cieszącego się dużym zainteresowaniem.

* Popularne amerykańskie czasopismo, adresowane do wyrobionego czytelnika.

* Pierwsze strofy wiersza Williama Wordswortha p.t. "Żonkile". Zacytowane na podstawie przekładu St. Barańczaka.

* Order Honoru - Medal of Honour - najwyższe odznaczenie wojskowe w Stanach Zjednoczonych przyznawane za wybitną odwagę na polu bitwy, wykazaną w sytuacji zagrożenia życia.

* Ebert i Siskel - para znanych i popularnych krytyków filmowych często razem komentujących nowości filmowe zarówno na łamach prasy jak i w telewizji. Ebert jest raczej gruby, natomiast Siskel szczupły.

* Howard Hughes (1905-1976) - Popularny amerykański przemysłowiec, lotnik i producent filmowy. Znany z tego, że w ostatnich latach przed śmiercią stał się pełnym odludkiem, wiodąc niemal pustelniczy żywot.